PISMA ZBIOROWE

JÓZEF PIŁSUDSKI
PRZY PRACY W SULEJÓWKU
w 1923 r.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM VI

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ
KAZIMIERZ ŚWITALSKI

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

WSTĘP

Konieczność zachowania ścisłego chronologicznego układu dzieł Piłsudskiego według czasu ich powstawania, sprawiła, że tom szósty nie obejmuje jakiegoś okresu, wyraźnie wyodrębniającego się w życiu Piłsudskiego.

W tomie tym są utwory Piłsudskiego powstałe od dnia przekazania przez niego władzy Naczelnika Państwa w ręce Prezydenta Narutowicza tzn. od 14-go grudnia 1922 r. do chwili rozpoczęcia przez Piłsudskiego w marcu 1924 r. jego pracy nad dziełem «Rok 1920». Data pierwsza otwiera wprawdzie nowy okres działalności Piłsudskiego, ale data druga musiała być przez wydawców przyjęta tylko dlatego, by «Rok 1920», tworzący tom VII, znalazł się na właściwym miejscu w układzie chronologicznym dzieł Piłsudskiego.

Rozrywa to spójnię, łączącą t. VI z dwoma następnymi tomami, które dopiero razem obejmują czas, stanowiący odrębny okres działalności Piłsudskiego. Okres ten zaczyna się ustąpieniem Piłsudskiego z urzędu Naczelnika Państwa, a kończy się wypadkami majowymi 1926 r.

Piłsudski miał zamiar po oddaniu swej władzy Prezydentowi Narutowiczowi odpocząć jakiś czas po trudach swej pracy Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa. Zabójstwo Prezydenta Narutowicza w dniu 16-go grudnia 1922 r. odsłoniło całą grozę atmosfery politycznej, stworzonej wtedy przez obóz narodowo-demokratyczny. Polska mogła się wtedy stać każdej chwili areną wewnętrznych zamieszek. Praca wywalczenia dla państwa polskiego szacunku wśród swoich i obcych mogła pójść na marne. Piłsudski musiał objąć służbę Szefa Sztabu Generalnego, by dać gwarancję, że wśród ogólnego rozprężenia wojsko pozostało czynnikiem siły w państwie.

Rząd gen. Sikorskiego, który objął władzę po śmierci Narutowicza, został obalony dnia 26-go maja 1923 r. na skutek paktu politycznego, zawartego między obozem narodowo-demokratycznym a stronnictwem ludowym «Piast». Gdy dnia 28-go maja 1923 r. został mianowany gabinet Witosa, w którym najważniejsze teki zostały oddane ludowcom z Klubu «Piasta» i narodowym demokratom, Piłsudski dnia 30-go maja 1923 r. wniósł podanie o dymisję ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego. Gdy rząd Witosa wniósł do Sejmu zły projekt ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, bez uzgodnienia projektu z Ścisłą Radą Wojenną, Piłsudski dnia 2-go lipca 1923 r. zrzekł się jej przewodnictwa. Pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej odszedł ze służby. Zawahał się bowiem wtedy Piłsudski w swoim sumieniu, czy byłby w stanie spełnić swój obowiązek żołnierski i bronić rządu, w którego skład weszli ci, o których miał przekonanie, że byli moralnymi sprawcami zbrodni, dokonanej na osobie pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Podanie się do dymisji rządu Witosa w dniu 14-go grudnia 1923 r. uczyniło powrót Piłsudskiego do wojska możliwym, ale obawy czynników decydujących przed sprzeciwami obozu narodowo-demokratycznego, nienawistnie odnoszącego się do Piłsudskiego, były wtedy zbyt wielkie. Przeceniano trudności parlamentarne, niedoceniano, co znaczy dla Polski udział Piłsudskiego w pracach wojska. Rozpoczęła się gra polityczna, polegająca na robieniu pozorów, że się chciało mieć Piłsudskiego w wojsku, przy równoczesnym stwarzaniu warunków uniemożliwiających mu powrót do służby w armii.

Na drugi dzień po swym odejściu od bezpośredniego warsztatu państwowego Piłsudski rozpoczął walkę jako pisarz i jako mówca. Walkę, którą będzie prowadził przez lat trzy.

Miała ona dwa cele. Pierwszy wyraża się w dążeniu Piłsudskiego do zorganizowania naczelnych władz wojskowych tak, by ono zapewniało zarówno owocną pracę w wojsku, jak i możliwie największą ochronę przed wdzieraniem się czynnika politycznego do armii. Dlatego zwalczał projekty ustaw, które nie stwarzały dla przyszłego wodza naczelnego odpowied-

nich ram prawno-organizacyjnych, ułatwiających mu pracę. Dlatego dążył do przyznania generałowi, przewidzianemu na naczelnego wodza, większych praw z obawy, że minister spraw wojskowych, jako członek gabinetu, może w ustroju parlamentarnym mieć mniej mocy w przeciwstawianiu się wpływom politycznym. Dlatego pragnął w całym szeregu swych wypowiedzeń się uświadomić opinię polską, że zagadnienie to jest nie byle jakiej wagi i że od dobrego lub złego rozwiązania tego zagadnienia zależą nieraz losy narodów.

Wydobyć z dusz polskich szacunek dla prawdy — to drugi cel, który postawił sobie wówczas Piłsudski. Czytelnicy znajdą w tym tomie dużo mocnych słów piętnujących metody walki politycznej przy pomocy fałszu i oszczerstw. Gwałtowny ton Piłsudskiego będzie bardziej zrozumiały, gdy przypomnimy sobie ówczesne czasy. Chorobliwe namiętności polityczne i nieorientowanie się w trudnych nieraz bardzo sprawach mas bezkrytycznych, podały sobie wtedy ręce, by stworzyć w Polsce zatrutą atmosferę polityczną. Co najbardziej znikczemniały łeb wówczas wymyślił, to powtarzały tysiące naiwnych ust, wierzących w każdą najnieprawdopodobniejszą bzdurę, w każdą cuchnącą plotkę, w każde najbardziej uwłaczające podejrzenie czy inwektywę. Im bardziej Piłsudski okazywał się silnym, tym niewybredniej mobilizowali przeciw niemu opinię jego przeciwnicy. Piłsudski szukał uderzeń burzących kłamstwo. Chciał podnieść duszę ludzką na taki poziom, by «błoto nie miało znaczenia w Polsce», by myśl polityczna nie tuczyła się fałszem. Naród bowiem, który żyje kłamstwem, na nim «buduje swe myśli — idzie do zguby».

Namiętności polityczne sprawiały, że dzieje niedawnych dni, historię obrony Lwowa czy walk o Wilno, redagowano tak, by ukuć z niej broń w swarach politycznych. Malowano obrazy fałszywe, opaczne, zaprzeczające oczywistym a tak niedawnym faktom.

Piłsudski lubiał i szanował historię. Dał w tym tomie swoje oświetlenia historyczne bo «nie chciał dopuścić, by gdy oczy zamknie, jego głosu o jego własnej pracy brakowało». Pił-

sudski z pasją artysty wnikał w dzieje okresów przełomowych, bo w nich najwyraziściej występują cnoty i grzechy, słabostki i siły, bohaterstwa i nikczemności — «jednym słowem pełnia duszy człowieka» z niebem jej i piekłem.

Ale Piłsudski w swych rozważaniach historycznych był przede wszystkim człowiekiem szukającym prawdy i walczącym o nią. «Słaby nie znosi wzroku prawdy i tarza się przed nią w prochu». Ten naród «jest słabszy, który buduje na kłamstwie i fałszu w porównaniu z tym który buduje na prawdzie». «Prawda jest siłą i mocą duszy. To bogini».

Piłsudski na kartach tego tomu jest w służbie tej bogini, ucząc nieustraszonego patrzenia się w oczy prawdzie, które wymaga nieraz większego hartu niż spojrzenie w oczy śmierci.

Do arsenału Polski i tę broń chciał Piłsudski złożyć.

W technice wydawniczej trzymałem się przy redagowaniu tego tomu wytycznych, o których pisałem we wstępie do tomu V-go.

Kazimierz Świtalski.

WYWIADY Z REDAKTOREM «KURIERA POLSKIEGO»

(31 grudnia 1922 r. i 6 stycznia 1923 r.)

Dnia 16 grudnia 1922 r. Prezydent Rzeczypospolitej Narutowicz został zamordowany przez Eligiusza Niewiadomskiego.

Wywiady są potępieniem zarówno bezpośredniego sprawcy czynu, jak i metody szerzenia plotek, kłamstw i oszczerstw, która zrodziła atmosferę, umożliwiającą dokonanie zbrodni.

Wywiady były udzielone Ignacemu Rosnerowi, redaktorowi «Kuriera Polskiego». Pierwszy wywiad dany był 31 grudnia 1922 r., a opublikowany został w «Kurierze Polskim» z dnia 3 stycznia 1923 r., drugi wywiad dany był 6 stycznia 1923 r., a opublikowany w tymże piśmie w dniu 9 stycznia 1923 r.

WYWIAD I

— *Na wyrażenie nadziei, że w gmachu Sztabu Generalnego, w którym Marszałek obecnie urzęduje*[1]*), łatwiejsze będzie prowadzenie rozmowy, niż to było w Belwederze, odpowiedział Piłsudski:*

— Przeciwnie, jestem obecnie oficerem w czynnej służbie i tym bardziej muszę być powściągliwy w wyrażaniu opinii o obecnej sytuacji politycznej. Ale mogę mówić o wszystkim, co się odnosi do epoki, w której byłem Naczelnikiem Państwa, tak, jak i o rzeczach wyłącznie osobistej natury.

— *Pozwoli mi Pan Marszałek rozpocząć od końca i zapytać o jego wrażenia z wczorajszej rozprawy*[2])?

— Owszem. Wrażenia te, wrażenie zwłaszcza zeznania

---

[1]) Piłsudski został powołany przez Ministra Spraw Wojskowych w porozumieniu z Radą Ministrów na stanowisko Szefa Sztabu Generalnego w dniu 16 grudnia 1922 r.

[2]) Mowa o rozprawie przed Sądem Okręgowym w Warszawie przeciw Eligiuszowi Niewiadomskiemu za zabójstwo Prezydenta Narutowicza, która odbyła się w dniu 30 grudnia 1922 r.

zabójcy, że chciał właściwie zamordować mnie [1]), jest podwójne. Przede wszystkim uczucie bardzo bolesne, że za mnie zginąć miał kto inny, przyjaciel. Ale poza tym uderza mnie ten fakt aberacji moralnej, polegającej na zrzuceniu z taką łatwością odpowiedzialności personalnej z jednej osoby na drugą. Jeśli ja mam być tak odpowiedzialny, że ktoś uważa za swoje prawo strzelać do mnie, to uważam to za niezgodne z duchem naszej rasy zastrzelić kogoś innego i nie wstydzić się tego, chociaż tamten nie dźwiga na sobie odpowiedzialności. To jest duch Wschodu. Czy za moje uczynki kto nie zastrzeli mi córki, czy ona ma odpowiadać za ojca?

Ta aberacja należy do szeregu zjawisk, które obserwowałem z pewnym przerażeniem przez cztery lata na stanowisku Naczelnika Państwa, gdzie się wiele widzi i ma się czas nad wielu rzeczami rozmyślać. Dla ludzi tego zwłaszcza zaboru wpływ Wschodu był fatalny. Nie chcę tego Wschodu poniżać, przedstawia on swoją własną kulturę; nie mówię, żeby była od naszej gorsza, ale jest inna. W swej pogoni za absolutem wyklucza indywidualność, zaciera indywidualną odpowiedzialność. Takich stygmatów Wschodu jest u nas mnóstwo. Starałem się bronić społeczeństwo przed nimi. Jako iluzjonista, tęskniąc do normalnego przejawu życia narodowego, jakim jest państwo polskie, szukałem czynników, danych, które niesie ze sobą rasa polska, w których się czuje dobrze, które potęgują siły jednostki i narodu. Bo cudza dusza — to rzecz niebezpieczna.

Stygmat obcego ducha istnieje we wszystkich trzech zaborach. Dla mnie upokarzająca w sprawie Niewiadomskiego jest ta tajemnica Wschodu w nas.

Co do samego faktu, muszę powiedzieć — żałuję, że Niewiadomski nie napisał do mnie. Byłbym z pewnością przyjechał do Baryczków [2]) po tę polską kulę; zgodnie z moim szczęściem byłaby mnie pewnie ominęła, ale w zbiorze kul, do mnie zmierzonych, byłaby jedyną narodową kulą polską! Śmierć Narutowicza jest w tych warunkach dla mnie tym smutniejsza,

---

[1]) Niewiadomski na rozprawie sądowej zeznał: «Na śledztwie pierwiastkowym przemilczałem pewną okoliczność, którą obowiązany jestem tutaj wyjaśnić. Strzał, od którego padł Prezydent Narutowicz, pierwotnie nie dla niego był przeznaczony. Miał od niego zginąć Józef Piłsudski».

[2]) Niewiadomski, według swoich własnych zeznań, myślał, że Piłsudski przyjedzie w dniu 6 grudnia 1922 r. do domu Baryczków na otwarcie wystawy poświęconej Warszawie za Stanisława Augusta i tam miał pierwotnie zamiar dokonać zamachu na Piłsudskiego.

że był to przyjaciel, którego nie chciałem narażać nawet na pracę, która go czekała na jego stanowisku, a naraziłem na śmierć niezasłużoną.

Przed wyborami Narutowicz był u mnie z zapytaniem, jakbym się zapatrywał na jego kandydaturę? Odpowiedziałem, że byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby ją przyjął. Powód przemilczałem, bo był czysto osobistej natury. Narutowicz był bardzo ciężko chory i już w pracy swej jako minister doszedł do takiego zmęczenia, że nie sypiał po nocach i z trudnością wstępował na schody. Wiedziałem z góry, że na stanowisku Prezydenta spotkać go muszą rzeczy i zjawiska, do których człowiek europejskiej kultury i przyzwyczajeń dopiero z latami i z trudnością przywyka, jak, np., łatwość w przechodzeniu do porządku dziennego nad osobistym życiem człowieka, nad jego czcią i honorem. Do tego potrzeba bardziej, niż jego, wytrzymałej konstrukcji nerwowej i dłuższego przyzwyczajenia do powietrza politycznego Polski. Przed samym wyborem Narutowicz raz jeszcze przyszedł do mnie [1]) i raz jeszcze powtórzył swoje pytanie, a ja raz jeszcze mu odradziłem. Wówczas zrzekł się kandydatury, jak mi to sam powiedział. Wybrano go więc wbrew jego woli, z tą wschodnią łatwością rozporządzania nazwiskiem, które przecież należy do osoby, i osobą, która przecież należy do siebie.

Po wyborze Narutowicz przybył do mnie i powiedział, że nie widzi możności zrzeczenia się. Wzruszył mnie przy tym nieoczekiwanym powiedzeniem, że patrząc na moje położenie, dziwił się spokojowi, z jakim je wytrzymywałem, że zdecydowany jest znosić je krócej, ale nie chce się wstydzić przed sobą samym, by miał się cofnąć, gdy raz już to na niego spadło.

Muszę przy tym zauważyć, jak dziecinne są u nas bazy myślenia politycznego. W zwykłych europejskich warunkach wybór prezydenta budzi ogromną ciekawość. Wszyscy pytają i chcą wiedzieć — kto on? — schodząc aż do najdrobniejszych szczegółów jego przeszłości i życia. Ale tam starają się ludzie dowiedzieć prawdy. U nas, odwrotnie, szukają przede wszystkim kłamstwa. I wierzą w to kłamstwo, i na nim budują swoje budowy polityczne. Rodzinę Narutowiczów znam od dawna,

---

[1]) W czasie gdy w Zgromadzeniu Narodowym odbywało się głosowanie nad wyborem Prezydenta, t. zn. dnia 9 grudnia 1922 r., przybył Narutowicz do Belwederu. W rozmowie z Piłsudskim skarżył się, że postawiono jego kandydaturę bez jego wiedzy i woli. Mówił wtedy, że chciał wbrew regulaminowi Zgromadzenia Narodowego stanąć na trybunie i zrzec się kandydatury lub wysłać pismo o tej treści do przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Marszałka Sejmu Rataja.

jako starą osiadłą szlachtę z tych samych stron, co i ja, z Kowieńszczyzny. Rodzina bez innych tajemnic, jak te, które znane były wszystkim sąsiadom, znajomkom i krewnym. Tu dowiedziałem się innej prawdy, że Narutowicz, który nosił imię Gabriel, pochodzić miał z rodziny żydowskiej. Starzy Narutowicze musieli się chyba przewracać w swych grobach familijnych! Ale na tym kłamstwie budowano daleko idące przypuszczenia, a w słabych głowach skutecznie działa metoda kłamstw, plotek i potwarzy...

Narutowicz był znakomitym inżynierem i profesorem, znanym w Europie, jako specjalista konstrukcyj wodnych. Do Polski przyszedł z chęcią oddania swych sił na rzecz, która stamtąd, z daleka, wydawała mu się tak łatwa, na rzecz budowy państwa polskiego. Znałem go mało. Metody jego pracy w resorcie robót publicznych [1]) należały do tych, które nie umiały znaleźć mojej aprobaty, — polegały na wytwarzaniu od razu rzeczy najlepszych w świecie, na tym dążeniu do wykwitu prawa, techniki, urządzeń państwowych, które naprawdę istnieją tylko w książkach, a w zetknięciu z rzeczywistością, z brakiem środków, niedokładnością w pracy narzędzi ludzkich dają rezultaty nikłe. Niezadawalniały one też mojego zmysłu praktycznego i celowego. Byłem więc zdumiony, gdy ten niepraktyczny idealista po powrocie z konferencji w Genui [2]), przy zdawaniu sprawy przez delegację, złożył dowody, że obcując z Europą, jest w swoim żywiole, że ocenia bardzo prosto i jasno zawiłe nieraz tendencje polityczne, ujmuje bardzo trafnie personalną ich stronę i zachowuje przy tym to, co u nas jest tak rzadkie, — «une tête froide et un jugement juste des forces et les moyens propres et de celles des autres» [3]). To też, gdy mi zaproponowano jego nominację na ministra spraw zagranicznych [4]), przyjąłem to i poparłem, bo jeśli gdzie, to tu,

---

[1]) Narutowicz został mianowany Ministrem Robót Publicznych w gabinecie Wł. Grabskiego dnia 23 czerwca 1920 r. Tekę tę piastował w rządach Witosa i Ponikowskiego do dnia 6 czerwca 1922 r.

[2]) Konferencja państw w Genui rozpoczęła się dnia 10 kwietnia 1922 r., a zakończyła się bez pozytywnych rezultatów 19 maja 1922 r. Przedmiotem jej była sprawa stosunku do Rosji bolszewickiej i rewizji traktatu wersalskiego na korzyść Niemiec. W czasie trwania tej konferencji został dnia 16 kwietnia 1922 r. podpisany traktat między Rosją a Niemcami w Rapallo.

[3]) Głowę spokojną i słuszną ocenę sił i środków zarówno własnych, jak i cudzych.

[4]) Narutowicz objął tekę Ministra Spraw Zagranicznych w gabinecie Artura Śliwińskiego, t. zn. dnia 28 czerwca 1922 r. i piastował tę tekę aż do dnia 14 grudnia 1922 r.

w ciągu lat czterech spostrzegłem, że żyjemy w tak niezwykłych fantazjach, w świecie tak dziecinnych iluzyj in plus i in minus, że ten resort należał u nas zawsze do najsłabiej prowadzonych. Był też Narutowicz jedynym dotąd polskim ministrem spraw zagranicznych, który po europejsku pojmował swoje obowiązki także wobec Naczelnika Państwa. Uważał za obowiązek informować go i radzić się w rzeczach, w których czteroletnie moje doświadczenie mogło mu dać większą pewność siebie...

WYWIAD II

Redaktor naszego pisma zaznaczył, że powszechne zainteresowanie wzbudziła w społeczeństwie naszym teza, którą w pierwszej rozmowie sformułował Pan Marszałek, mianowicie — teza o kłamstwie, jako podstawie myśli politycznej u nas. Zapytał więc Pana Marszałka, czy nie byłby łaskaw zilustrować tę tezę faktami, zaczerpniętymi z bogatego doświadczenia czterolecia, w którym stał na czele państwa polskiego?

— Zgoda. Stawiając tę tezę, nie chciałem twierdzić, że zjawisko to jest u nas powszechne, że cała Polska wytwarza sobie swoje pojęcia polityczne na tej podstawie. Ale jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione. I co mnie zawsze najbardziej dziwiło — to, że to, co my nazywamy plotką, żartem czy wymysłem, może mieć u nas tak niezwykłą siłę sugestywną, siłę jednakową w stosunku do warstw wykształconych i niewykształconych, nawet w stosunku do ludzi, którzy powinniby chyba mieć podstawę do sądzenia inaczej, bo są częścią ogólnej naszej maszyny państwowej, np. — członkowie sejmu.

Osobiście, jako Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa, spotykałem się nieustannie z tym zjawiskiem. Rozumiałem, że osoba moja, która wyszła na powierzchnię naszego życia publicznego, osoba, zanadto może rzucająca się w oczy, a z drugiej strony może niełatwo zrozumiała, musiała wzbudzić w społeczeństwie polskim wiele pytań. Ale przejawy tego zainteresowania się moją osobą miały tak dziwaczny i śmieszny charakter, że chyba doskonale zilustrują tę ogólną prawdę, iż kłamstwo jest często u nas poważną podstawą politycznego myślenia.

Oto, np., fakt, który, przyznam się panu, wzbudził we mnie tak wielkie zdziwienie, że przez pewien czas rady sobie z nim dać nie mogłem. Gdy p. prezydent Ponikowski po raz ostatni podał się do dymisji [1]) i zainaugurował przez to znany

[1]) Por. t. V, str. 241.

długi kryzys, na posiedzeniu konwentu seniorów [1]) w sejmie jeden z poważnych posłów sejmowych, którego nie mogę podejrzewać o złośliwe intencje, zapytał mnie, czy prawdą jest, że dymisja, dana p. Ponikowskiemu, jest związana z rozkazami mobilizacyjnymi, które już są wydane i mają się za kilka dni ukazać? Sformułowałem sobie wówczas wrażenie bardzo ujemne albo dla siebie, albo dla otoczenia; myślałem, że albo mnie mają za wariata, albo ja jestem w szpitalu wariatów. Samo tego rodzaju przypuszczenie o tak lekkim stosunku do niezwykle ciężkiej pracy mobilizacyjnej, która nigdy nie może łączyć się z wywołaniem kryzysu ministerialnego, oznaczającego bądź co bądź osłabienie państwa, jest tak dziecinne i tak niezmiernie ubliżające albo mnie, albo instytucji sejmowej, która w ten sposób sądzić może o zadaniach państwowych, że dotąd nie mogę zapomnieć dziwnego wrażenia, które odniosłem wówczas. Dodam, że p. Skulski, którego potem widziałem i któremu komunikowałem ubliżające dla mnie czy też dla owego pana posła określenie, ostrzegał mnie, żebym tak spokojnie i tak lekko nie traktował tej rzeczy, bo owo zapytanie stanowi poważną część trwóg i niepokojów, ogarniających ludzi, i że właśnie wyjaśnienie tego pytania miałoby wielkie znaczenie dla zmniejszenia niepokoju, który wzbudziło przesilenie [2]). Oto jeden z licznych przykładów — a mógłbym ich przytoczyć o wiele więcej — płytkości ujęcia zagadnień państwowych; sugestywna siła plotki robi z widocznego, zdawałoby się, dla każdego fałszu podstawę myślenia i sądu politycznego.

Co do swojej osoby w przeszłości, mógłbym przykładów takich przytoczyć tuzinami. Chcę panu opowiedzieć najbardziej drastyczne, które mogą posłużyć za naukę rozsądniejszym ludziom w Polsce, a zarazem przyczynić się do wyjaśnienia ostatnich czterech lat naszej historii. Zacznę od dziwnego dla mnie igrania z prawdą historyczną w wypadku historycznego boju pod Warszawą.

Mogę panu otwarcie powiedzieć, że ta bitwa nie zadawalniała mnie nigdy pod względem swej koncepcji strategicznej i konstrukcji organizacyjnej. A to dlatego, że dla mnie, jako Naczelnego Wodza, była raczej położeniem przymusowym, niż swobodnym wyborem między różnymi możliwościami. Już sam rozkład sił, przeznaczonych do boju, naruszał bardzo poważnie zdrowe zasady strategii. Musiałem na obronę dać ogromną większość sił, zostawiając względnie słabe dla decy-

[1]) Por. t. V, str. 242—243.
[2]) Por. t. V, str. 244.

dującego ataku. Gdym koncepcję tej bitwy stwarzał, wypowiadałem otwarcie swe zdanie o tym nonsensie strategicznym. Powiedziałem to generałom: Rozwadowskiemu, Weygand'owi i Sosnkowskiemu, których zostawiałem w Warszawie. Dodałem, że atak w tych warunkach jest trudny do zmontowania i że wobec tego, jak zwykle podczas wojny, biorę na siebie rzecz najtrudniejszą, tzn. dowodzenie atakiem decydującym ze słabymi względnie siłami. Zaznaczyłem też, co mogę teraz otwarcie powiedzieć, że chybionej konstrukcji bitwy poprawiać było niesposób, gdyż poza wojskiem miałem do czynienia z niezwykle nerwowym stanem całego społeczeństwa, koncentrującego resztki swej siły moralnej nie gdzie indziej, jak w obronie stolicy, że zatem, wbrew sensowi strategicznemu, trzeba było dać możliwie silną oporę dla tych resztek sił moralnych w postaci większych, niż trzeba, wojskowych środków obrony.

Dn. 12-go sierpnia wyjechałem z Warszawy do Puław. W parę dni potem dowiedziałem się — nie ze zdumieniem, bo byłem już do tego przyzwyczajony, lecz jakby dla stwierdzenia mego poglądu na sugestywność plotki u nas — że opuściłem Warszawę, bo... stchórzyłem. Jak daleko taka plotka sięga i jakie wywołuje efekty, osądzi pan z tego, że już po zwycięstwie prokuratura w którymś z miast wielkopolskich zwróciła się do mnie, jako do Naczelnika Państwa, z zapytaniem, czy ma ścigać z mego upoważnienia paru ludzi, którzy publicznie wyrazili się o tym fakcie, że uciekłem z miliardami, danymi mi prawdopodobnie przez bolszewików!

Jeśli pan chce innych dowodów, to przytoczę je z dwóch naszych miast kresowych, Wilna i Lwowa, które były przedmiotem specjalnych operacyj myślowych w przeciągu bardzo długiego czasu, wytwarzając, o ile wiem — jeszcze dotąd, podstawy do politycznego myślenia i sądu.

Naprzód więc moje kochane Wilno. W r. 1919 popełniłem również błąd strategiczny, nie oczekując na tamtym terenie dostatecznego wyschnięcia dróg na wiosnę. Miałem bowiem przeciw sobie ogromne wzburzenie w łonie ówczesnego Sejmu Ustawodawczego [1]), które dochodziło do tego, że zmarły poseł Skarbek [2]) przybiegł do sztabu, grożąc rewolucją w razie, jeśli swoje zdrożne plany w stosunku do Wilna wykonam. Operacje więc wileńskie podjąłem w czasie feryj sejmowych bez względu na inne okoliczności natury czysto technicznej i strategicznej.

[1]) Por. t. VI, str. 109.

[2]) Poseł na Sejm Ustawodawczy, Aleksander Skarbek, jeden z czołowych przywódców partii narodowo-demokratycznej. Zmarł w 1921 r.

Zdobyłem wówczas Wilno i pierwszą rzeczą, z którą się spotkałem po moim powrocie do Warszawy, było nieodparte twierdzenie, że zrobiłem to, ażeby się stać wielkim księciem litewskim. Zamiar, co prawda, wielce ambitny, ale niesłychanie sprzeczny z prawdą i zrozumieniem człowieka, któremu przecież były wówczas, jako Naczelnikowi Państwa i Naczelnemu Wodzowi, powierzone losy państwa.

Przyszły potem z Wilnem nowe próby i nowe dość ciężkie międzynarodowe zawikłania. Stanowiło Wilno przedmiot długich, nieraz zawiłych bardzo i trudnych pertraktacyj, toczonych w różnych stolicach świata, w różnych wielce poważnych instancjach, jak Rada Pięciu [1]), Liga Narodów. Za mną, jako przedstawicielem i wyobrazicielem siły fizycznej państwa, stały fakty tak jaskrawe, jak wzięcie Wilna, jak jego osłona od wszelkich zakusów, skądkolwiekby pochodziły, wreszcie te wszystkie decyzje, które chroniły fizycznie Wilno w epoce Żeligowskiego [2]) od jakiejkolwiek próby rozstrzygnięcia tej kwestii bez nas lub przeciw nam. I niech pan sobie przypomni scenę w sejmie, gdy postawiłem w kwestii sejmu wileńskiego sprawę terenu, z którego miały się odbyć wybory [3]). Postawiłem ją zgodnie ze zobowiązaniami, któreśmy mieli jako państwo, prowadząc swój spór międzynarodowy o obiekt, określony w ten a nie w inny sposób. Nie chciałem zadać kłamu rocznej już pracy paru rządów państwa, pracy, w takim właśnie prowadzonej kierunku. Nigdy nie zapomnę wrażenia, gdy dowiedziałem się, że takie moje stawianie kwestii jest jakoby wypływem nie tego, co twierdziłem, lecz pochodzi z całkiem innych pobudek i motywów, począwszy od gwałtownego pożądania federatywnych stosunków w młodym państwie polskim, a kończąc na bardzo poziomych pobudkach, którym dali wyraz liczni posłowie, rzucający przy wychodzeniu z sali sejmowej po głosowaniu pod moim adresem słowa tak piękne, jak: sprzedawczyk i targowiczanin! [4]) Ta chęć doszukiwania się zawsze pobudek niskich, brudzących istotę moralną, jest rzeczą, nad którą myślałem, szukając jej przyczyn. Różne nasuwały mi się

[1]) Radą Pięciu nazywano ciało reprezentujące pięć głównych mocarstw sprzymierzonych: Anglię, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Francję, Włochy i Japonię.

[2]) Por. t. V, str. 226.

[3]) Mowa o posiedzeniu Sejmu w dniu 16 listopada 1921 r. Por. t. V, str. 228.

[4]) «Gazeta Poranna» z dnia 17 listopada 1921 r., dając sprawozdanie z przebiegu posiedzenia Sejmu w dniu 16 listopada 1921 r., notuje, że po głosowaniu padały okrzyki: «Precz z Belwederem! Precz ze sprzedawczykami!»

hipotezy, wreszcie przyszło mi na myśl, że prawdopodobnie jest to proces myślowy, zgodny z przysłowiem rosyjskim: «wsiakij mierit swoim arszinom» [1]).

— *Pan Marszałek obok Wilna wymienił także Lwów.*

— Tak. Niech pan sobie zestawi dwie rzeczy z naszej historii, które, zdawałoby się, są tak rzucające się w oczy i tak jaskrawe, że w żadnym społeczeństwie na świecie nie mogłoby być pod tym względem dwóch zdań. U nas było akurat przeciwnie. Więc — z jednej strony niewątpliwy wysiłek dla obrony Lwowa, prowadzony z niesłychanie małymi środkami. Gdy sobie przypomnę to mnóstwo wówczas formacyj ochotniczych, w których ogromną część stanowili peowiacy, tych żołnierzy, którzy na pół boso i na pół nago wytrzymywali zimę w obronie miasta; gdy sobie przypomnę niesłychanie ciężkie kłopoty, które spadły na mnie i moich pomocników w postaci rozstrzygnięć co do zaopatrzenia, amunicji — tej brak był taki, że liczyło się ją na godziny, a nie na dnie — w związku z bardzo trudnymi problematami organizacyjnymi w stosunku do całego wojska, któremu brakowało wszystkiego, a które jednak staczało boje w obronie zagrożonej dzielnicy i granic, dając krew, a nieraz, zbyt często, zdrowie swe na ofiarę — i gdy zestawię ten fakt z istnieniem poza granicami państwa w tym czasie nierozporządzalnej dla mnie wielkiej ilości żołnierzy polskich, ubranych i wyekwipowanych do ostatniego sznurka, uzbrojonych w porównaniu z nami z luksusem, mających możność techniczną, zrobienia tej naszej walki skuteczną i pewną [2]), — to trzeba naprawdę przypisać istnieniu bardzo głębokiej aberacji moralnej i brakowi wstydu moralnego, by robić winnym tych, co z takim wysiłkiem i takim przeciążeniem sił i zdrowia skutecznie obronę przeprowadzili, a bohaterami obrony tych, którzy z własnej czy nie z własnej winy trzymali środki tej obrony w niemożności ich użycia [3]), znając zarazem szczupłość środków w rozporządzeniu istotnej, prawdziwej miasta i dzielnicy. A jednak pamięta pan, jak w ciągu r. 1918 osią pojęć politycznych i wyobrażeń nie gawiedzi, lecz bardzo odpowiedzialnych czynników w państwie było nie co innego, jak ten misterny w swej konstrukcji absurd logiczny i ta w wartości swej głęboko niemoralna myśl polityczna. Głęboko nie-

[1]) Odpowiednik polskiego przysłowia: Każdy sądzi według siebie.

[2]) Mowa o t. zw. armii Hallera, która dopiero w końcu kwietnia 1919 r. poczęła przybywać z Francji do Polski. Por. t. V, str. 74.

[3]) Mowa o t. zw. «Komitecie Paryskim», który pozostawał pod wpływami Narodowej Demokracji, i który mógł wpływać na postanowienia rządu francuskiego w sprawie armii Hallera.

moralna, bo jest w tym chęć zatarcia poczucia odpowiedzialności, bez którego żadna budowa państwa trwałych rezultatów dać nie może.

Opowiedziałem panu tylko trzy fakty. Fakta, tyczące się mnie osobiście. Przekonany jestem, że każdy, biorący u nas udział w pracy publicznej, mógłby przytoczyć takich przykładów tysiące. Wszystkie one dają wyraz temu, co mówiłem na początku, — łatwości przyjęcia kłamstwa jako podstawy politycznej myśli i politycznych sądów o ludziach i faktach, łatwości stwarzania sytuacji, przy której rzeczowa rozprawa jest bardzo trudna. Na podstawie spotykać nas musi pewna z zewnątrz brutalność określeń, jako jedyny sposób wyrażenia chęci i prób pracy...

SPRAWA OBRONY PAŃSTWA

(maj-czerwiec 1923 r.)

Doświadczenie, jakie ujemne skutki dały podczas wojny w latach 1918—1920 nieorientowanie się społeczeństwa polskiego w sprawach wojskowych i niedostateczna jego odporność na plotki i fałszywe alarmy, wywołało u Piłsudskiego chęć uświadomienia opinii polskiej o najogólniejszych kwestiach związanych z obroną państwa.

Stąd wzięcie udziału w ankiecie, zainicjowanej przez redakcję miesięcznika wychodzącego p. t. «Droga». Piłsudski przyjął redaktora tego pisma Adama Skwarczyńskiego, który w poniżej przytoczony sposób zreferował swoim czytelnikom myśli Piłsudskiego przy tej okoliczności wypowiedziane.

Podajemy je według numeru «Drogi» oznaczonego datą: maj-czerwiec 1922.

Tezy Marszałka Józefa Piłsudskiego.

O obronie granic państwa nie chcę mówić aforyzmami, a omawiać zagadnienia te głębiej jest u nas nadzwyczaj trudno z powodu bardzo pod tym względem niskiego «niveau [1]) pojęć naszego ogółu. O sprawach strategicznych, sprawach obrony, wojska, wojny ogół nasz nie nauczył się jeszcze myśleć, ani nawet słuchać.

---

[1]) poziomu.

Ci, którzy nad sprawami strategicznymi pracują, nie wytworzyli jeszcze nowych pojęć, bo i samo państwo nasze — tak samo zresztą, jak i inne państwa w swych granicach powojennych — nie jest jeszcze strategicznie scałkowane.

Baza istnienia wojska z przed r. 1914 zanika. Trzeba dziś szukać nowych dróg. Przed wojną główną wytyczną był pościg za liczbą, za masą; dziś dalszy wysiłek w tym przede wszystkim kierunku jest trudny, ze względu na niesłychaną kosztowność dzisiejszego, powojennego wojska.

Pracuję już trzeci rok nad stworzeniem baz myślenia o obronie tego nowego tworu strategicznego, jakim jest Polska, która pod względem strategicznym jest zlepkiem dawnych pogranicznych obszarów państw zaborczych, obszarów, urządzanych przez szereg lat w ten sposób, by były terenem walk przeciw sobie.

Sytuacja strategiczna nasza jest, zgrubsza biorąc, podobna, jak sytuacja Niemiec w ubiegłej epoce. Tak samo posiadamy dwa fronty do obrony. Ale nie posiadamy w całej machinie państwowej tej sprężytości, która pozwalała Niemcom wytrzymać tak długo i która umożliwia wygrywanie na tzw. wewnętrznych liniach strategicznych. Nie posiadamy tej sprężystości ani w rozbudowanej gęsto i celowo sieci komunikacyjnej, ani w administracji, ani w urządzeniach, specjalnie wojskowych, jak magazyny, umocnienia itp.

Dla uzmysłowienia tych trudności, tej niespójności strategicznej naszego państwa, które otrzymaliśmy w spadku po zaborcach, dość wskazać na fakty, najłatwiejsze do spostrzeżenia dla każdego. Ile mamy przepraw kolejowych przez Wisłę? Wszakżeż jest ona tak wyzyskana, że niczego nie łączy, a wszędzie jest przeszkodą strategiczną. A jak się przedstawia u nas stosunek rozwoju dróg komunikacyjnych do gęstości zaludnienia? Wbrew oczywistej potrzebie stosunek ten prawie wszędzie jest odwrotny — im gęstsze zaludnienie, tym rzadsza sieć komunikacyjna. Rzadziej zaludnione Poznańskie ma sieć rozwiniętą, gęściej zaludnione Dowództwo Okręgu Korpusu Łódź lub Przemyśl mają sieć nadzwyczaj rzadką, bo obejmują dawne pogranicza, gdzie zaborca kolei i dróg celowo nie budował.

Oto skąd biorą się te ogromne trudności technicznego myślenia i planowania strategicznego w Polsce, trudności, z którymi trzeba sobie dawać radę, by pokonać zasadniczą trudność zadania, polegającą na tym fakcie, że mamy ogromnie rozwinięte granice, a w stosunku do nich mało wojska.

Przy tym wszystkim — jak mówiłem — mamy do czynie-

nia w społeczeństwie naszym z tak niskim «niveau» myślenia o rzeczach wojska i obrony, że mówiąc o owych trudnych zagadnieniach, mówi się, jak w próżnię, — tak trudne zadania stawiając, nie znajduje się odzewu. Jest to jeszcze jedna dziedzina, w której triumfy święci u nas specjalnego rodzaju analfabetyzm.

W czasie wojny nieraz się przekonałem, że ludność nasza, gdy myśli o wojsku, to czyni to jak człowiek, któryby, przystępując do rozwiązywania jakiegoś zadania arytmetycznego, nie wiedział, czy mu wypadnie zero, czy miliony — i któryby nie dostrzegał różnicy pomiędzy wynikiem jednym, a drugim. Inteligencja nasza jest pod tym względem jeszcze gorzej dysponowana, bo posługuje się pewnymi słowami bez należytego ich zrozumienia, a skutkiem tego zamiast rozjaśniać — zaciemnia sobie jeszcze bardziej istotę rzeczy. Mówiąc żartem — z naszym ogółem można na temat wojska i wojny flirtować; flirt ten bywa wesoły, lub — jak dla mnie — przeważnie przykry; porozumiewać się poważnie — jeszcze nie można.

Jest to rzecz zupełnie zrozumiała. W psychice i moralności społeczeństwa naszego niewola polityczna poczyniła takie same spustoszenia, jak w strategicznym urządzeniu kraju. Stąd płynie to nasze niezrozumienie istoty wojska i wojny, ten analfabetyzm i to niewyrobienie naszego społeczeństwa pod względem moralnym w dziedzinie wszelkich zjawisk, związanych z wojną.

Dlatego za najważniejszą rzecz uważam, żeby wszelkimi sposobami w społeczeństwie wyrobić odporność na panikę i nieuleganie plotkom.

Obie te wady wynikają u nas na tle owego analfabetyzmu wojennego, a jak wpływają na wojsko, o tym w czasie wojny mieliśmy się sposobność przekonać. Panika w czasie wojny, gdy się dostaje do wojska, jest najgorszą demoralizacją, a nieprzyjaciel z niej korzysta, rozmyślnie rozpuszczając odpowiednie wieści, — jak to czynił w r. 1920. Te nastroje u nas są elementem tak dalece groźnym, że chcąc brać je na przyszłość w rachubę, muszę w czasie gier wojennych dawać dowódcom specjalne zadania, jak mają opanowywać panikę.

Dla obrony granic państwa społeczeństwo winno dać przede wszystkim to, co w języku wojennym nazywa się «morale». Naród, który owej «morale» nie ma dość mocno wyrobionej, ma w każdej wojnie z góry olbrzymie szanse przegranej.

Niewątpliwie jesteśmy pod tym względem na dobrej drodze. Mam nadzieję, że powszechna służba wojskowa oraz jak najszersze rozpowszechnienie w społeczeństwie elementarnych

wiadomości i umiejętności wojskowych będą działały dodatnio na tę stronę naszej psychiki. Ustąpi stopniowo ów nasz analfabetyzm w rzeczach wojennych, zaniknie płynąca zeń podatność na plotki i na panikę.

W sprawie ustawodawstwa i ogólnej administracji państwowej, nie dotykając wcale szczegółów, uważam, że najważniejszym i najpilniejszym zadaniem jest wprowadzenie jednolitości. Istnienie odrębnych w każdej byłej dzielnicy ustaw, przepisów i zwyczajów — w różnych dziedzinach życia państwowego, nie tylko w ściśle wojskowych — jest tym, co hamuje pracę wojskową nad przygotowaniem obrony państwa W czasie wojny — żeby przytoczyć charakterystyczny szczegół — tymi punktami, w których systematycznie tworzyły się zatory wszelkich transportów wojennych, były dawne stacje graniczne. Działał tu czynnik psychiczny. Po prostu służba kolejowa dawnych dzielnic, choć przecież mówiła po polsku, nie mogła się porozumieć. Dziś oczywiście tak źle już nie jest. Istnieje jednak jeszcze wiele różnic, działających może nie tak bezpośrednio, ale równie dezorganizująco.

W ogóle postęp w ciągu tych trzech lat uczyniliśmy olbrzymi, tak w dziedzinach technicznych, jak zwłaszcza w wyszkoleniu. Ale do przepracowania pozostaje jeszcze niezmiernie wiele, — szczególnie w tych dziedzinach, które wchodzą w zakres «morale» wojennej, a więc należą przede wszystkim do społeczeństwa.

PRZEMÓWIENIE PRZY DEKOROWANIU MARSZAŁKA FOCH'A ORDEREM «VIRTUTI MILITARI» PIERWSZEJ KLASY

(4 maja 1923 r.)

Dnia 2 maja 1923 r. przybył do Polski naczelny wódz wojsk sprzymierzonych w wojnie światowej, marszałek Ferdynand Foch. W dniu 3 maja wziął on udział w uroczystościach odsłonięcia pomnika księcia Józefa Poniatowskiego na placu Saskim w Warszawie; dnia 4 maja o godzinie 10 odbyło się w Belwederze, ówczesnej siedzibie Prezydenta Rzeczypospolitej, uroczyste odznaczenie marszałka Foch'a wielkim krzyżem orderu «Virtuti Militari» przez Prezydenta w obecności: Kapituły orderu z Marszałkiem Piłsudskim na czele, prezesem Rady Ministrów, ministra spraw zagranicznych i posła francuskiego de Panafieu.

Po przemówieniu Prezydenta Wojciechowskiego Piłsudski wygłosił niżej przytoczoną mowę, którą podajemy według «Monitora Polskiego» z dnia 5 maja 1923 r.

Panie marszałku! Kapituła naszego orderu «Virtuti Militari», której mam zaszczyt przewodniczyć, jako b. Wódz Naczelny w czasie naszej ostatniej wojny, postanowiła jednomyślnie mianować ciebie kawalerem «Virtuti Militari» pierwszej klasy. Uchwałę tę potwierdził dekret Prezydenta Rzeczypospolitej.

Według statutu, którego brzmienie w ostatecznej formie obecnie ustalamy, krzyżem tej klasy odznacza się wodzów naczelnych, którzy wygrali wojnę. Wojnę — nie jedną bitwę.

Wezwano ciebie, panie marszałku, do odegrania rozstrzygającej roli, w chwili krytycznej dla wojsk, na czele których stanąłeś dla prowadzenia do zwycięstwa armij, złożonych z kilku państw, rozlicznych narodów, milionów walczących, olbrzymiej ilości armat i wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego; nie szukano wówczas posiłku ilościowego — ale szukano człowieka.

W chwili ciężkiej, gdy zwątpienie przejmowało ludzi i serca słabły, znaleziono ciebie, by zmienić słabość w siłę, zastąpić rozpacz — nadzieją, a wątpliwość — decyzją.

Panie marszałku, ty — także jesteś człowiekiem, ty także mogłeś mieć chwile słabości, godziny wahania — i oto w olbrzymim wysiłku, przezwyciężywszy siebie samego, udało ci się przywrócić funkcjonowanie porządku «z miarą i wagą».

Udało ci się usunąć zgiełk namiętności. Zanim świat ujrzał zwycięstwo, wypisane na karcie Europy bagnetami twoich żołnierzy, jużeś był je odniósł w twej duszy i mózgu.

Panie marszałku, w dziejach ludzkości nie ma wydarzeń wojennych w takim rozmiarze, jak te, którymi kierowałeś.

Przyjmij tedy, panie marszałku, ode mnie i Kapituły Orderu wyraz naszej głębokiej czci, do której dołącza się wielka radość, że od dziś dnia, ozdobiony naszym najwyższym orderem wojskowym, wstępujesz w grono rodzinne walecznych mężów Polski i to nie tylko jako wielki wódz, którego imię chwalebne należy do historii, ale także jako nasz wielki przyjaciel.

PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE PRZY OPUSZCZANIU STANOWISKA SZEFA SZTABU GENERALNEGO

(13 czerwca 1923 r.)

Na skutek układu politycznego, zawartego przez stronnictwo «Piast» z partiami prawicowymi, rząd gen. Sikorskiego został obalony na posiedzeniu Sejmu w dniu 26 maja 1923 r. Prezydent Wojciechowski przyjął dymisję rządu gen. Sikorskiego i dnia 28 maja 1923 r. mianował rząd Witosa, w którym to gabinecie najważniejsze teki objęli narodowi demokraci i ludowcy.

Piłsudski, który nie chciał współpracować z tym rządem, wniósł dnia 30 maja 1923 r. prośbę o dymisję ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego.

Nowym Szefem Sztabu Generalnego został mianowany generał Stanisław Haller, który przejął funkcje w dniu 13 czerwca. Tegoż dnia po południu w gabinecie Szefa Sztabu Generalnego zebrali się szefowie oddziałów Sztabu Generalnego i instytucyj, Szefowi Sztabu bezpośrednio podległych, celem pożegnania Marszałka Piłsudskiego.

Po mowie gen. Rybaka, zastępcy Szefa Sztabu, Piłsudski wygłosił niżej przytoczone przemówienie, które podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 5 maja 1923 r.

Panowie! Odchodząc ze służby, którą pełniłem razem z wami, z powodów, niezależnych od pracy w Sztabie Generalnym, dziękuję panom za współpracę i zapewniam was, że zawsze wspominać będę ją z wielką przyjemnością i pewnym wzruszeniem, gdyż znalazłem w was lojalnych, często oddanych współpracowników, tym uczuciem koleżeńskim, o którym pan generał w przemowie wspomniał. Odchodząc, daję panom ostatnie swoje zlecenie. Jest nim honor służby, to najsilniejsze i często najcięższe dla żołnierza uczucie.

Honor służby staje nieraz w sprzeczności z honorem osobistym. Ale, moi panowie, honor służby jest jak sztandar żołnierza, z którym żołnierz rozstaje się wraz z życiem. To uczucie było zawsze moim przewodnikiem w pracy w wojsku, którego budowie poświęciłem wiele lat swego życia. Bez honoru służba wojskowa zawsze jest bez duszy i traci siły.

Do widzenia, panowie. Życzę wam powodzenia w dalszej pracy...

WYWIAD Z PRZEDSTAWICIELEM PISMA «ADVERUL»

(druga połowa czerwca 1923 r.)

Z okazji zapowiedzianego przyjazdu króla rumuńskiego Ferdynanda I do Polski, zgłosił się do Piłsudskiego korespondent rumuńskiego pisma «Adverul» J. Nedoka z prośbą o wywiad. Piłsudski przyjął tego dziennikarza w Sulejówku i udzielił mu niżej przytoczonego wywiadu, wyrażającego poglądy Piłsudskiego na ówczesną sytuację polityczną w Europie.

Wywiad podajemy według przekładu tego wywiadu, który został ogłoszony w «Kurierze Porannym» z dnia 24 czerwca 1923 r.

— Niespełna rok temu odwiedziłem wasz kraj [1]). Żaden wypadek nie zmącił przez ten czas przyjaźni pomiędzy narodem rumuńskim a polskim. Gdy byłem w Sinaia, w serdecznym przyjęciu, z jakim nas przyjmowała Rumunia, wyczuwaliśmy te węzły przyjaźni, które nas łączą. Bo też między naszymi narodami nie ma absolutnie żadnej spornej kwestii, któraby mogła dzielić politykę naszych państw. — A! — *rzekł z uśmiechem Marszałek* — jest wyspa na Prucie, która jest sporna między nami [2]). Ale całe szczęście, że wyspa ta nie jest większa od mojego ogrodu.

Na zapytanie, czy będzie brał udział w powitaniu pary królewskiej w Warszawie, odrzekł:

— Naturalnie. Wprawdzie podałem się do dymisji, jako szef Sztabu Generalnego [3]), ale aż do odjazdu pary królewskiej zachowuję stanowisko przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej — w tym charakterze powitam królewską parę, aby się odwzajemnić za gościnność przyjęcia podczas mojego pobytu w Sinaia. Będę miał sposobność pokazania moich żołnierzy władzom Rumunii podczas manewrów wojskowych, które odbędą się w Rembertowie.

Na pytanie, co sądzi o sytuacji europejskiej, odpowiedział:

— Cała Europa, po doświadczeniach Wielkiej Wojny, zdąża do stabilizacji i utwierdzenia równowagi pokojowej w Europie. Są tylko trzy kwestie, które komplikują sytuację

---

[1]) Por. t. V, str. 280.

[2]) Najprawdopodobniej chodzi tu o wyspę nie na rzece Prucie, ale na Dniestrze koło Horoszowej. Spór ten został załatwiony polubownie w 1927 r.

[3]) Por. t. VI, str. 19.

europejską, a mianowicie: kwestia Ruhry [1]), sprawa turecka, która zbliża się ku pomyślnemu zakończeniu [2]), oraz nieuregulowane jeszcze problemy rosyjskie, które przedstawiają poważne trudności w ustaleniu równowagi politycznej na Wschodzie Europy. Wszystkie narody chcą za wszelką cenę, drogą pokojową, uregulować swe kwestie sporne, aby ominąć niebezpieczeństwo wojny. Co do mnie, sądzę, iż Europa w tym roku uniknie wstrząsień wojennych. Im prędzej uda się trzy wyżej wspomniane problemy rozwikłać pokojowo, tym szybsze będziemy mieli gwarancję, iż pokój europejski się utrwali.

— *Co Pan Marszałek sądzi o dzisiejszej sytuacji Rosji?*

— Dzisiejsza Rosja różni się tak ustrojem od wszystkich innych państw, nowocześnie zorganizowanych, że przez swoją dezorganizację nie może być niebezpieczną i nie może niepokoić Europy. Podminowana przez rewolucję, o życiu wewnętrznym całkowicie anormalnym, nie może utrzymywać stosunków przyjacielskich i normalnych z żadnym z państw sąsiednich. I to właśnie prowokuje ustawiczny niepokój na wschodzie Europy. Ale są to po większej części tylko alarmy wojenne, nie groźne dla pokoju świata. My mamy z Sowietami zawarty pokój i nawiązane stosunki dyplomatyczne. Jeżeli jednak mimo to słyszy się często niepokojące alarmy w Europie, to wynika to właśnie z tej nierównowagi ustroju Rosji Sowieckiej w stosunku do innych państw i jej niepokoju o własny jej byt i bezpieczeństwo. Ażeby jasno zdać sobie sprawę z sytuacji, te momenty trzeba brać pod uwagę, by zrozumieć, że ze strony Sowietów nie może nam grozić poważne niebezpieczeństwo.

— Sytuacja polityczna w Polsce zdąża coraz bardziej do stabilizacji, do czego przyczyniła się głównie sprawa ostatecznego uznania naszych granic [3]). Z chwilą ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyj spornych, zakończone zostały konflikty, tyczące się Wilna, Górnego Śląska i Wschodniej Galicji. Uregulowanie tych problemów stwarza dla Państwa Polskiego trwałe podstawy pełnego narodowego i państwowego rozwoju.

[1]) Zagłębie węglowe Ruhry zostało dnia 11 stycznia 1923 r. okupowane przez wojska francuskie dla wymuszenia od Niemców zapłacenia odszkodowań nakazanych im przez Traktat Wersalski. Niemcy poczęli stosować przeciw władzom okupacyjnym bierny opór i sabotaż. Okupacja Ruhry ustała w sierpniu 1925 r.

[2]) Od 23 kwietnia 1923 r. trwały układy między państwami sprzymierzonymi a Turcją, które zostały zakończone 24 lipca 1923 r. traktatem lozańskim, stosunkowo korzystnym dla Turcji, likwidującym haniebny dla niej traktat w Sèvres.

[3]) Mowa o decyzji Konferencji Ambasadorów w sprawie granic Polski z dnia 15 marca 1923 r.

W ciągu dalszej rozmowy Marszałek Piłsudski opowiadał swobodnie o swoim życiu obecnym:

— Mając teraz sposobność po trudach ostatnich lat wypocząć i wyspać się wreszcie, wypoczywam w całej pełni.

Pokazując stos książek w języku japońskim, oświadczył, że studiuje obecnie «Historię wojny japońsko-rosyjskiej», które to dzieło nadesłał mu niedawno szef sztabu generalnego armii japońskiej, dedykując ją: «Marszałkowi Pi-ru-su-tu-ki», jak w języku japońskim pisze się nazwisko Marszałka.

Serdecznymi pozdrowieniami dla bohaterskiego narodu rumuńskiego zakończył Marszałek Piłsudski swą interesującą rozmowę.

PRZEMÓWIENIE PRZY DEKOROWANIU KRÓLA RUMUŃSKIEGO FERDYNANDA I ORDEREM «VIRTUTI MILITARI» PIERWSZEJ KLASY

(25 czerwca 1923 r.)

Dnia 24 czerwca 1923 r. przybyła z oficjalną wizytą do Warszawy królewska para rumuńska, król Ferdynand I ze swoją małżonką Marią. Marszałek Piłsudski, jakkolwiek już nie pełnił funkcyj Szefa Sztabu Generalnego, zachował jednak stanowisko przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej aż do odjazdu pary królewskiej, i w tym charakterze brał udział w przyjęciu pary królewskiej.

W dniu 25 czerwca odbyło się w Belwederze wręczenie królowi Rumunii orderu «Virtuti Militari» I klasy w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, Kapituły orderu, ministrów spraw zagranicznych.

Pierwszy przemówił Prezydent Wojciechowski, po nim wypowiedział Piłsudski niżej przytoczone przemówienie, które podajemy według «Monitora Polskiego» z 26 czerwca 1923 r.

Kapituła naszego orderu «Virtuti Militari» poleciła mi w charakterze swego przewodniczącego przedłożyć Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej te motywy, którymi kierowała się Kapituła, wręczając Waszej Królewskiej Mości order «Virtuti Militari» pierwszej klasy. Klasa ta przeznaczona jest przede wszystkim dla tych wodzów naczelnych, którzy, wygrywając wojnę, okryli swą armię sławą i ocalili państwo przed wszystkimi nieszczęśliwymi skutkami przegranej wojny.

Wasza Królewska Mość uczyniłeś to podczas ostatniej wojny dla swojej armii i dla swego państwa. Oceniając czyn wojskowy Waszej Królewskiej Mości, Kapituła poleciła mi skierować uwagę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej nie tylko na epizody pełne chwały, jak bitwa pod Marasesti [1]), ale przede wszystkim na tę siłę moralną, którą Wasza Królewska Mość wykazała w najcięższym okresie wojny.

Armia rumuńska miała przed sobą nie tylko wielkie trudności na froncie, ale znajdowała się również w centrum rozkładu armii sprzymierzonej [2]). Wielu spośród członków Kapituły osobiście obserwowało i przeżyło tę sytuację. W całkowitym uznaniu dla wysiłku moralnego, którego w tym wypadku należało wymagać od wodza, Kapituła ocenia nie tylko wagę wypadków, ale i zwycięstwo, uzyskane przez Waszą Królewską Mość, jako naczelnego wodza armii rumuńskiej, dzięki któremu Wasza Królewska Mość umiała zachować w tych okolicznościach w swej armii te najwyższe cnoty wojskowe, które wypisane są w haśle: Honor i Ojczyzna. Oddalony od wszelkiej pomocy, wobec wroga silnego i zwycięskiego, wśród dzikiego piekła, gdzie żołnierz zatracił wszelkie poczucie obowiązku, Wasza Królewska Mość pozostał mimo wszystko na miejscu, po to, by wykorzystać pierwszą słabość wroga, czego wynikiem jest, że jego państwo i jego armia zbierają owoce zwycięskiej wojny [3]).

Opierając się na tych głębokich przyczynach, Kapituła naszego orderu «Virtuti Militari» postanowiła prosić P. Prezydenta Rzeczypospolitej o nadanie Jego Królewskiej Mości, Królowi Rumunii, Ferdynandowi I, krzyża orderu «Virtuti Militari» pierwszej klasy.

---

[1]) Miejscowość na Seretem, gdzie wojska rumuńskie wykazały latem 1917 r. dużą odporność w walkach z państwami centralnymi.

[2]) Mowa o rozkładzie w armii rosyjskiej po upadku Kiereńskiego. Sytuacja armii rumuńskiej, związanej z rosyjską, stała się wtedy bardzo ciężką.

[3]) Mowa o powtórnym wypowiedzeniu przez Rumunię wojny państwom centralnym (9. IX. 1918), oczyszczeniu kraju swego od wojsk okupacyjnych, zajęciu Bukowiny, Siedmiogrodu, Besarabii i Banatu, i o uzyskaniu korzystnych dla siebie warunków pokojowych w traktatach w St. Germain (10. IX. 1919) i w Trianon (4. XI. 1920).

PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE NA BANKIECIE W HOTELU «BRISTOL»

(3 lipca 1923 r.)

Dnia 2 lipca 1923 r. Piłsudski na posiedzeniu Ścisłej Rady Wojennej zrzekł się jej przewodnictwa. Od tego dnia Piłsudski przestał pełnić jakąkolwiek oficjalną funkcję w wojsku.

Z tego powodu grono zwolenników Piłsudskiego wydało w dniu 3 lipca 1923 r. bankiet, który przy udziale przeszło dwustu osób odbył się w sali t. zw. Malinowej hotelu Bristol.

Po mowach posła Antoniego Anusza, redaktora Kołakowskiego, posła Jędrzeja Moraczewskiego, profesora Michałowicza i senatora Limanowskiego, wygłosił Piłsudski niżej przytoczone przemówienie.

Piłsudski podaje w nim jako powód swego wystąpienia z wojska wahnięcie się w jego sumieniu, czy mógłby jako żołnierz bronić rządu, do którego weszli reprezentanci stronnictw, obciążonych moralną odpowiedzialnością za zabójstwo Prezydenta Narutowicza. Poza tym Piłsudski, dając swój pogląd na historię pierwszych lat wolności, stwierdza, że gdy Polska w chwili dla niej niezmiernie trudnej zdobyła się na jednomyślność powierzenia mu nad nią władzy, szła ku naprawie swych dawnych błędów, a powracała do nich, gdy dawała posłuch oszczerstwom, rzucanym na jej reprezentanta.

Przemówienie podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 4 lipca 1923 r.

Szanowni panowie!

W przemówieniach, które słyszałem, brzmiały nuty, których nie chcę poruszać, nuty tej natury, od której się już odzwyczaiłem. W przeciągu pięciu lat prawie pędziłem czas na pracy, przy której swobodny nigdy nie byłem, swobodny być nie mogłem, gdyż urząd, który w Polsce pełniłem, nakładał mi zawsze na usta pieczęć milczenia. Byłem bowiem reprezentantem, a źle spełnia reprezentant swoją rolę, gdy tylko pamięta o sobie, a nie pamięta o innych, nie pamięta o tych, których reprezentować jest obowiązany. Dzięki temu musiałem żyć w otoczeniu najrozmaitszych potwornych baśni, najrozmaitszych legend, najrozmaitszych śmiesznych nieraz opowiadań, które mnie się tyczyły, które ze mnie wyrastały, a tak dalekie były od tego rzeczywistego skromnego człowieka, który tu przed wami stoi. I jeśli dziś, w dniu, w którym, jak sobie mówię, staję się obywatelem wolnego i łatwego dla siebie powietrza, to w tej chwili chcę serdecznie podziękować inicjato-

rom dzisiejszego bankietu, że w tej pierwszej, dziewiczej, że tak powiem, swobodnej mowie, mogę swobodnie niektóre zdania powiedzieć, które przedtem by wyglądały, jak zdania nieodpowiednie w ustach człowieka, pełniącego urząd reprezentacyjny.

Szanowni panowie! Pomimo woli biegnie się do przeszłości, mając w swym wspomnieniu pięć lat życia, pięć lat życia, przebytego w takim wirze wypadków, w takim chaosie zdarzeń, w takim przewrocie dotychczasowych ludzi i rzeczy, w takim dziwnym życiu! Szuka się w «zamierzchłej» przeszłości początków tego okresu, okresu, gdy Polska powstawać zaczęła. I wobec tego, że to jest tak znacznie oddalone, że można mówić o rzeczach prawie jak o historii i że jestem człowiekiem, który historię lubi, który nad historią się zastanawiał i który w niej nieraz szukał rozwiązania zagadnień teraźniejszości i wskazówek dla przyszłości, więc w tej pierwszej mojej mowie zatrzymam się na tych pięciu latach, jak na historii. A że historia tak jakoś zdziałała, że w przyszłym skorowidzu historyka, który o tych latach pisać będzie, imię moje będzie powtarzane i cały szereg cyfr i cyferek oznaczać będzie stronice, na których imię moje jest wspomniane, przypuszczam, że mogę zaspokoić swój egoizm, zupełnie naturalny, i o sobie z okresu tych pięciu lat parę słów powiedzieć.

Moi panowie! W listopadzie 1918 r. stał się wypadek bynajmniej nie historyczny, ale taki sobie zwykły. Mianowicie — z dworca wiedeńskiego, jak się to zawsze ze wszystkimi teraz dzieje, przeszedł przez ulicę Marszałkowską itd. na ulicę Moniuszki [1]) człowiek, którego będziemy nazywali Józefem Piłsudskim. Szedł w tym mundurze, w jakim obecnie mnie panowie widzicie. Wracał, co prawda, z niezupełnie zwykłej podróży, wracał z Magdeburga. Wracali też w tym czasie z tych czy innych obozów dla internowanych i inni. I w tym też nic nie ma niezwykłego, w tym też nic nie ma historycznego. Historia zaczyna się później, historia niezwykła, nad którą nieraz się zastanawiałem w ciągu tych pięciu lat i szukałem odpowiedzi na pytania, które, przypuszczam, przyszłych historyków będą męczyły jeszcze bardziej wobec tego, że nie będą mieli naocznych świadków tych zdarzeń. Stała się rzecz niesłychana. Mianowicie — w przeciągu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, bez żadnego z jego strony gwałtu, bez żadnego podkupu, bez żadnych koncesyj,

[1]) Piłsudski po powrocie z Magdeburga zamieszkał przy ul. Moniuszki nr 2 w pensjonacie pań Romanówien.

czy to leśnych, czy jakichkolwiek innych, bez żadnych w ogóle i jakichkolwiek «legalnych», że tak powiem rzeczy, stał się fakt najzupełniej niezwykły. Człowiek ten stał się dyktatorem. Wtedy, kiedy się przygotowywałem do dzisiejszego przemówienia, zastanawiałem się nad tym określeniem: «dyktator». Nie chcę użyć jakiegoś wyszukanego słowa, nie chcę szukać dla siebie jakiejś specjalnej nazwy, szukam tylko, jako historyk, określenia zjawiska, którego inaczej nazwać nie można. Bo człowiek ten wydawał edykty, powszechnie słuchane, człowiek ten wydawał rozkazy, słuchane biernie z chęcią czy z niechęcią, ale które były wykonywane, człowiek ten mianował urzędników wojskowych i cywilnych. Czy on robił źle czy dobrze, ja w tej chwili tego nie dotykam, idzie mi o sam fakt, o fakt ścisły, o fakt historyczny. Inaczej tego określić nie mogę, jak tylko mianem dyktatora. Bo wszystko wtedy zależało od jego dobrej woli, od jego decyzji, od jego złej czy dobrej kalkulacji. Biernie czy czynnie, chętnie czy niechętnie, miliony mu ulegały, miliony jego jednego wyniosły w górę, miliony ludzi zdobyły się na akt dziwaczny, na akt niezrozumiały dla zwykłej analizy, aby tak niezwykłą władzę dać temu człowiekowi bez żadnych z jego strony gwałtów lub narzucania. Dziś, gdy tyle jest praw i prawidełek, gdy tyle jest ograniczeń i zakazów, gdy panowie posłowie tak produkcyjnie pracują — rzecz ta wygląda tak niezwykle, że godna jest zatrzymania uwagi. Jestem przekonany, że i przyszły historyk nad tym właśnie będzie musiał się zatrzymać. Dlaczego, po co i na co i z jakiej racji? Dlaczego ten, a nie inny? Skąd i co za przyczyna? Skąd to dziwne zjawisko, które nagle w Polsce zaistniało?

Moi panowie! Analizując po trosze to zjawisko, nie sięgając głębiej, biorąc rzecz po ludzku, biorąc rzecz tak zwykle, jak się szklankę wody wypija, jak się myśli, jak się decyduje, nie mogę nie powiedzieć, że gdyby ten osobnik nie był nikomu absolutnie znany, gdyby nagle ni stąd, ni zowąd był wziętym, to ten fakt nie byłby możliwy. Czemu należy to, moi panowie, przypisać, gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, znanemu potem w skorowidzu historycznym, jako Józef Piłsudski, oddano tę władzę? Dlaczego jemu w sposób, tak sprzeczny z rozumem, rozsądkiem, logiką teraźniejszą władzę oddano? Skąd ten dyktator Polski, nie narzucający swojej władzy żadnym gwałtem, żadną pracą agitacyjną, nie robiący sobie popularności za pomocą takich czy innych wystąpień? Skąd to zjawisko? I gdy szukałem dla siebie wyjaśnienia, zawsze znajdowałem tylko jedno — nie w tych obrazach, które mi przyjemność sprawiały osobiście, a które mi mój przyjaciel,

dr Michałowicz, wywołał, lecz w czymś innym. Za jedną rzecz ten człowiek był witany, za jedną rzecz niezwykłość jego mogła być uznaną, za jedną rzecz, powtarzam, mógł on mieć prawo moralne do zajęcia tego stanowiska, za to, moi panowie, że nosił ten mundur, za to, że był Komendantem I Brygady. Jedyną wartością, którą ludzie wówczas mieli, jedyną moralną siłą, która ludzi do posłuszeństwa zmuszała, jedyną moralną siłą, która miliony ludzi w ręce mu oddawała, był fakt, że był on Komendantem I Brygady i wracał z Magdeburga.

Szanowni panowie! Jeśli użyję tu wyrażenia — dyktator, to dlatego, że przypuszczam, że nawet niektóre z jego edyktów i dekretów jeszcze teraz działają, jeszcze teraz moc prawną mają, jeszcze teraz są ludzie, którzy muszą ulegać edyktom, przez niego wydanym i podpisanym jego nazwiskiem. Bardzo mnie to cieszy. I mógł on tworzyć złe czy dobre rządy, wyznaczać oficerów, urzędników, przerzucać ich z miejsca na miejsce, pewnych ludzi na śmierć posyłać, dawać rozporządzenia mądre lub nie — to jest obojętnym, faktem jest, że był władcą absolutnym nowotworzącego się państwa polskiego. Faktem też jest, że dzięki temu nieprzymuszonemu zjawisku, dokonanemu bez żadnego gwałtu i bez żadnego przewrotu, imię tego człowieka zostało wysunięte w górę. Nowa Polska dała słusznie czy niesłusznie przy swoim pierwszym kroku symbol swój w postaci człowieka, ubranego w szary, dość obszarpany mundur, zaplamiony w więzieniu magdeburskim.

Moi panowie! Pozwólcie, iż nad tym faktem, dość ważnym, uwagę waszą zatrzymam. Jest on faktem ścisłym, jest on faktem historycznym i pomimo, iż należy do bardzo zamierzchłej przeszłości, to jednak oczy wasze ten fakt widziały, jednak świadkami jego byliście i bez względu na to, jak tam w tej czy innej redakcji, w tym czy innym gabinecie, w tej czy innej rozmowie do tego faktu odnoszono się, to jednak fakt był faktem. Zastanawiałem się trochę nad nim, jako nad zjawiskiem moralnym. Znając historię dyktatur wszelkiego rodzaju i z operetki, i nie z operetki, z dramatu i tragedii całej ludzkości, zastanawiałem się nad tym, jak się dyktatury tworzyły. Zwykłe drogi są tu dwie — jedna gwałtu i narzucenia swojej władzy — te wypadki w historii narodów są częste; druga — swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej, gdy najbardziej potrzeba woli indywidualnej, gdy umysły są zatrwożone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać. Tu nie było ani jednego, ani drugiego wypadku. Nie było ani wyboru, nie było też gwałtu. Stał się fakt całko-

wicie inny, fakt moralnej pracy narodu, znajdującego się, co prawda, w wyjątkowej sytuacji i położeniu.

Moi panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historią, jest historią wszystkich tych milionów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomilionowy naród, jest faktem niezwykłym. Był on jakgdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami Polacy to twierdzili, nierządem stoi. Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola. Polska to jest anarchia. I jeśliśmy po upadku mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucania nam opiekunów, wyznaczonych dla narodu anarchii, niemocy, samowoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywatą, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykły i tak dla niego oryginalny.

Moi panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nie tylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu. Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytyczną tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej cnoty. Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka.

Przyjmując za podstawę tego faktu moją poprzednią pracę w I Brygadzie, dumny jestem z tej mojej pracy.

Szanowni panowie! Dyktatorem byłem kilka miesięcy [1]). Decyzją moją głupią czy rozumną, to jest wszystko jedno, postanowiłem zwołanie sejmu, oddanie władzy mojej w jego ręce i stworzenie legalnej formy życia państwa polskiego. Była to moja decyzja. Decyzja ta została usłuchana. Panowie posłowie, którzy potem nieraz przeciw mnie występowali, zostali wybrani na mój rozkaz, tego rozkazu usłuchali, wybór przyjęli, na określony przeze mnie termin do Warszawy się stawili, wyborcy w odpowiednim miejscu, również przeze mnie wyznaczonym, zebrali się i głosy swe oddali; urzędnicy, wyznaczeni przeze mnie, oceniali sprawność wyborów. Wybory

---

[1]) T. zn. od powrotu z Magdeburga do uchwały Sejmu Ustawodawczego z dnia 20 lutego 1919 r., powierzającej mu sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa. Por. t. V, str. 62.

były nieprzymuszone, nie szukałem w nich, jak i poprzednio, mojej osoby.

Sejm się zebrał 8-go lutego [1]). Otworzyłem go, moi panowie, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, przemówiłem do sejmu w tym samym mundurze, przy boku miałem szablę, ofiarowaną mi przez oficerów I Brygady, nie byłem niczym innym, jak tym, czym byłem poprzednio.

W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie jednogłośnie w sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego [2]) i Naczelnego Wodza wojsk, znajdujących się w tym czasie w Polsce. Ten fakt również wzbudził we mnie zastanowienie. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich.

Po kilku miesiącach najśmielsze marzenia któregokolwiek Polaka w niewoli ziściły się we mnie. Gdyby ktokolwiek miał najśmielszą ambicję, gdyby ktokolwiek chciał władzy, gdyby ktokolwiek «per fas et nefas» [3]) szukać jej chciał w Polsce, to ziszczeniem tych marzeń byłoby to stanowisko, które mi wówczas dano, wbrew mojej woli i chęci, bo ja tego nie szukałem, ja się nawet targowałem, gdyż życzyłem sobie czego innego i szukałem czego innego. Szukałem wojska i szukałem dla siebie łatwego powietrza i łatwej pracy wojskowej. Dano mi wszystko do rąk. Dla upiększenia mojej pracy, dla upiększenia moich wspomnień, dla honoru i zaszczytu moich dzieci dano mi miano, które u nas dziecko, nieledwie, gdy wymawiać słowa polskie zaczyna, wspomina je z czcią — dano mi nazwisko «Naczelnika», imię, które łzy wyciska, imię człowieka, który pomimo, że umarł, żyje zawsze, wielkie imię Kościuszki. To imię Naczelnika nowotworzącego się państwa, Naczelnika, który w jednym ręku władzę cywilną i władzę wojskową ma piastować, któremu wyjątkowe prawa nadano, ażeby mógł w wyjątkowej sytuacji wyjątkową pracę dawać, to imię zostało mnie ofiarowane. Znowu, moi panowie, stwierdzam, że żadnego gwałtu, żadnej korupcji, żadnej koncesji, żadnej próby zmuszania kogokolwiek, żeby w tej chwili rękę za mną podniósł czy głos swój za mną oddał — nie było. I znowu, panowie, stanąłem w tym samym mundurze, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, nie znając żadnego innego w Polsce zaszczytu, oprócz mojej poprzedniej dyktatury.

---

[1]) Dekret Naczelnika Państwa i Prezydenta Ministrów Paderewskiego z dnia 5 lutego 1919 r. zwoływał Sejm na dzień 9 lutego. Dnia 10 lutego nastąpiło otwarcie Sejmu. Por. t. V, str. 55.

[2]) Mowa o wspomnianej na poprzedniej stronicy uchwale Sejmu z dnia 20 lutego 1919 r.

[3]) prawnie lub bezprawnie.

Proszę panów! Zaszczyty, honory, zaufanie, jednozgodnie wyrażone, znowu wywołały mi gdzieś z zamierzchłej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przeklęte, gdzie były te sejmy, które kiedyś, bezładne i krzykliwe, o jednozgodność wołały i nigdy tej jednozgodności nie miały, gdyż jeden człowiek przez swawolę, jeden człowiek, płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będący rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszczący się, jak gad, przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu?! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednozgodność, ta niegdyś żądana, ta niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzyczana, ta jednozgodność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwoitość, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie, czy czynnie — to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało zżytego z całym tym społeczeństwem — bo wśród posłów znałem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nic nigdy nie widzieli w moim życiu — wynosi na to stanowisko bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał, daje mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce na zewnątrz i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłumaczyć zjawisko jakimś zamąceniem, jakąś nieumiejętnością — to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia — dają mi poza tym, co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takim obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykły sposób się wyraża. Lecz odtąd, panowie, te piękne zaszczyty, cudne jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historia się zmienia. Postawiono mnie tak wysoko, jak nigdy nikogo nie stawiano, postawiono mnie tak, bym cień na wszystkich rzucał, stojąc jeden w świetle.

Był cień, który biegł koło mnie, — to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te ota-

czały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczędzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Nie sądźcie, panowie, że to jest tylko metafora, ja zacytuję tylko kilka faktów, takich potwornych, dzikich, że trudno pojąć, z jakiej kadzi nieczystości zarazić trzeba sobie wyobraźnię, by podobne rzeczy wymyślić.

Reprezentant narodu, wybrany przez wszystkich, reprezentujący wszystkich — kradnie! Zbiera się komisja sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygniów królewskich [1]). Komisja sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka sejmu, szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy! Czy panowie coś bardziej potwornego, coś bardziej wstrętnego, coś bardziej oplutego pomyśleć możecie? Czy można mieć reprezentanta tego rodzaju? Pomyślcie sobie to gdzie indziej, wśród

---

[1]) Na skutek zgłoszenia się płk. Adama Szymańskiego do Min. Spraw Wojsk. gen. Leśniewskiego z wiadomością, że istnieje legenda, jakoby dawne insygnia królewskie miały być ukryte w kościele we Włodzimierzu Wołyńskim, gen. Leśniewski polecił prof. Gembarzewskiemu i kapitanowi Żmigrodzkiemu zbadanie tej sprawy.

Dnia 28 czerwca 1920 r. udali się oni do Włodzimierza Wołyńskiego i przeprowadzili poszukiwania, które spełzły na niczym.

Według komunikatu Ministerstwa Spraw Wojsk., ogłoszonego przez P. A. T. w grudniu 1920 r. «postanowiono jednak zachować pozór jakoby rzeczywiście wynoszono znalezione insygnia i skarby, a tym samym nie dodawać ujawnieniem obecnego niepowodzenia chęci podejmowania dalszych prób przez osoby niepowołane». Ta okoliczność dała powód do powstania najrozmaitszych plotek o znalezieniu i ukryciu insygniów królewskich przez sfery wojskowe.

Na skutek tego poseł Skarbek z Klubu Narodowej Demokracji postawił wniosek nagły w sprawie tajemniczego zniknięcia insygniów królewskich, domagający się wybrania nadzwyczajnej komisji, złożonej z 7 posłów dla zbadania sprawy i wniosek ten na posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego w dniu 4 marca 1921 r. został uchwalony.

wolnych, swobodnych narodów: nasz reprezentant — złodziej! Nasz reprezentant zdradza kraj w czasie wojny, umawia się z nieprzyjacielem! Naczelny Wódz, prowadzący wojnę, jest zdrajcą! Gdzież na niego kara?! Czy jest próba usunięcia go? Czy jest próba pociągnięcia go do odpowiedzialności? Czy jest próba zrobienia go odpowiedzialnym za te niebywałe zbrodnie? Nie ma! Idzie tylko o plucie, idzie tylko o kał wewnętrzny, którego pełna musiała być dusza, jeżeli na te rzeczy się zdobyła. Idzie o jakieś niesłychanie obrzydłe zjawisko duszy ludzkiej, która w ten sposób postąpić może. Potworny karzeł, wylęgły z bagien rodzimych. Bity po pysku przez każdego z zaborców, sprzedawany z rąk do rąk, płatny. Oto ci, którzy chcą obniżyć do swego poziomu to, co zostało wzniesione wysoko.

Moi panowie, powtarzam, nie znam, gdy nad ubiegłymi latami się zastanawiam, nie znam zjawiska bardziej stałego, bardziej metodycznie prowadzonego, jak to dotykanie rodzinnych stosunków, przed którymi każdy człowiek się zatrzymuje, jak to dotykanie moich przyjaciół, mojego otoczenia, każdego nieledwie człowieka, który się do mnie zbliżył, brudnymi rękoma, brudną duszą, brudnymi słowami i brudnym, stęchłym powietrzem.

Nie znam, moi panowie, zjawiska bardziej stałego, gdy przebiegam swoją historię za ubiegłe lata!...

Miałem przyjaciół, którzy się zmęczyli i odeszli, miałem współpracowników, z którymi źle czy dobrze współpracowałem, którzy także w ten czy inny sposób ode mnie odchodzili. Ale to paskudztwo duszy, które do mnie przylepiano, było tak nieodłączne, tak systematyczne, że gdy myślę o przeszłości, zawsze się oglądam, czy ubranie moje jeszcze nie cuchnie. A plucie to chrzczono wysokimi słowami, wysokimi hasłami. Była to praca tzw. narodowa, praca tzw. patriotyczna! Nie jest to tragizmem — dla mnie. Rzeczy takie rzadko się zdarzały na świecie, gdyż są one potworne, niemoralne, dzikie i wstrętne. Wylęgać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą.

Na rzucone mi tu przez p. Anusza pytanie, który, nie żegnając się ani witając, z niepokojem pyta, dlaczego ten nieodłączny pracownik państwa polskiego, którego niegdyś na wysokie regiony wzniesiono, ozdobiony tak wielkim imieniem i zaszczytami, dlaczego on opuszcza swoje stanowisko — odpowiem wprost: Szanuję swoją historię, szanuję ją dla siebie, szanuję ją dla dzieci. Szanuję ją dla przyszłych historyków, którzyby także w twarz mi napluli, gdybym razem z potwornymi karłami, którzy mnie obniżyć chcieli, — pracował.

Decyzja moja była bezpowrotna. Karły próbowały w ostatnim czasie zmienić swoje grymasy na uśmiech szczęścia z powodu spotkania mnie w tym czy innym miejscu. Zastanawiałem się, moi panowie, nad swymi czynami, nad wartością mej pracy, nad tym, co zrobiłem i czegom nie zrobił. Nie będę mówił i nie będę sobie przypisywał większych zasług, niż te, które mi świat przypisuje. Jeżeli mówią o mnie, że z narodem polskim rady sobie nie dałem — to przecież żadna krytyka, żadna śmiałość nie sięgnie po moje laury wojskowe. Okryłem chwałą oręż polski. Dałem w pierwszych dniach życia polskiego zwycięstwa tak błyskotliwe, tak nieznane, tak gdzieś w zamierzchłej przeszłości słyszane, że dotąd tą sławą pierś żołnierska się koi. Doprowadziłem do zwycięstwa nad nieprzyjacielem, przed którym inni drżeli. Dlatego też zwróciłem się natychmiast po złożeniu urzędu najwyższego do pracy wojskowej. Zdolności, temperament, doświadczenie nabyte dawały mi łatwość pracy, więcej — dawały mi łatwiejsze powietrze. Moi panowie, pracę tę opuściłem, opuściłem ją zupełnie. Wniosłem dymisję i prośbę o zwolnienie z wojska. Dlaczego? Obowiązek żołnierza jest trudny. We Francji armię nazywa się «grande muette» — wielkim niemową. Wojsko milczeć musi i nieraz, panowie, swobodnie używający języka, nie wiecie, jak ciężko nieraz bywa oficerowi i żołnierzowi w kraju, gdzie tak swobodnie języki w buziach się plączą, być tylko niemym świadkiem tego, co się dzieje, ściskać w sobie serca, myśl pracującą, aby się na zewnątrz nie wydobyła, zamknąć siebie. Ostrożnie, panowie, z tym instrumentem, ostrożnie, specjalnie z językami. Żołnierze należą do kasty obywateli bez praw, wtedy, kiedy wy pełnoprawni jesteście. Wszedłem do wojska, dając swą pracę, — teraz opuszczam szeregi. Dlaczego?

W tej samej chwili, gdy Belweder, miejsce zaszczytu, miejsce honoru Polski, opuściłem [1]), wszedł tam inny człowiek, wybrany legalnie aktem uroczystym, podpisanym przez marszałka sejmu. Oddałem mu władzę zgodnie z Konstytucją. Na moje miejsce przyszedł dla reprezentacji narodu całego i wszedł na tę ścieżkę, którą ja po trosze przetorowałem, człowiek inny. Nie rozważam jego zalet ani wad, nie omawiam jego wartości. Człowiek ten, jak ja, został wyniesiony ponad innych, dobrowolnym aktem włożono na niego obowiązek, że ma być naszym przedstawicielem, ma w pieczy mieć nasz honor, naszą godność. Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi. Prezydent nasz zamordowany

[1]) Por. t. V, str. 296.

został po burdach ulicznych [1]), obniżających wartość pracy reprezentacyjnej przez tych samych ludzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo. Moi panowie, jestem żołnierzem. Żołnierz powołany bywa do ciężkich obowiązków, nieraz sprzecznych ze swoim sumieniem, ze swoją myślą, z drogimi uczuciami. Gdym sobie pomyślał na chwilę, że ja tych panów, jako żołnierz, bronić będę, — zawahałem się w swoim sumieniu. A gdym się raz zawahał, zdecydowałem, że żołnierzem być nie mogę. Podałem się do dymisji z wojska. To są, moi panowie, przyczyny i motywy, dla których służbę państwową opuszczam.

Na zakończenie pozwólcie mi, panowie, zrobić małą symbolistykę. Długi czas pracowałem w gmachu na Saskim placu, gdzie, przechadzając się po wielkim gabinecie, rzucałem raz po raz okiem na ciemne, szare widoki Warszawy. I zawsze widziałem jakieś dziwne rzeczy — szarą płachtę, otaczającą jakąś dziwną postać. Naprzód szedł koń. Koń, idący ku słońcu, przerywający parkan, za nim na czworakach pełznącą postać ludzką. Ten widok nieraz mnie śmieszył... Ten widok bawił mnie swoją oryginalną konstrukcją rzeźbiarską. Gdzież tu jest myśl, gdzież tu jest idea, gdzie tu jest praca wielkiego artysty? Wielkie konisko, przerywające parkan, za nim z głową schowaną, jakby ze wstydu, na czworakach człowiek [2]). To był nasz Naczelny Wódz w przeszłości. Wrócił do kraju, szukał serca, szukał tego, czego dawno, dawno nie widział. Naczelny Wódz Wojsk Polskich, bo takim był książę Józef Poniatowski. Gdzież ten piękny ułan, gdzież jest ta postać wyśpiewana, wymalowana? Gdzie ona jest? Oddano mu hołd i sztandary przed nim powiewały, grzmiały armaty, jak nieraz w bitwach. Stanął i patrzy. Gdzie są moi następcy? Gdzie w wolnej Polsce naczelni wodzowie? Gdzie są moi koledzy? Ja zginąłem ongiś w błocie [3]). Błoto przykryło mi oczy, błoto zasłoniło wzrok. Gdzie są oni? Na mnie pierwszego padł zaszczyt być Wodzem Naczelnym Polski. Ja hufce stawiałem, ja je rzucałem w bój. Na pomniku są słowa: «Honor i Ojczyzna». Szukasz honoru? Znajdziesz twego następcę także w błocie, w błocie rodzimym! Błotem

[1]) Mowa o obrzuceniu Prezydenta Narutowicza grudami śniegu, gdy jechał dnia 11 grudnia 1922 r. do Sejmu, by złożyć przysięgę.

[2]) Mowa o montowaniu wiosną 1923 r. pomnika Józefa Poniatowskiego na placu Saskim.

[3]) Aluzja do utonięcia Józefa Poniatowskiego w rzece Elsterze dnia 19 października 1813 r.

został napojony. Taki jest los naczelnych wodzów Polski bez honoru. Polski, której serce drgać nie umie. Panowie, ten symbol naczelnych wodzów Polski, z konieczności ginących w błocie, jest historią Polski dotychczasowej. Gdy patrzę na ten pomnik — mówię: I ja idę do błota. Szanowni panowie, tym symbolem chciałbym was pożegnać. Gdzie indziej w stosunku do reprezentantów państwa, nawet, gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał, jak tarcza. Gdzie indziej wódz naczelny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo wyratował, przecież on ocalił od nieszczęścia wszystkich. U nas inaczej — wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę panów, przywołując wam na pamięć te rzeczy, streszczając historię pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywołać efektu tragizmu. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych narowów powrót się zaczyna, i że, panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć. Nie oskarżam nikogo, nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią śledczym — szukam jedynie prawdy. Co do siebie, panowie, prosząc o pamięć, proszę zarazem o wielki, wielki odpoczynek, bym mógł łatwym powietrzem odetchnąć, bym mógł być takim wolnym i swobodnym, jak panowie, tak wesołym, jak byli moi koledzy z I Brygady, którzy mi największe zaszczyty swą pracą dali.

WSPOMNIENIA O GABRIELU NARUTOWICZU

(lipiec 1923 r.)

Pracę pod tytułem «Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu» napisał Józef Piłsudski bezpośrednio po wycofaniu się z życia politycznego, w lipcu 1923 r., w Sulejówku, i wydał ją w osobnej książce (Józef Piłsudski, «Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu», Towarzystwo Wydawnicze «Ignis» Sp. Akc. Warszawa 1923. Str. 62).

Praca ta prócz charakterystyki postaci Narutowicza daje oświetlenia niektórych faktów z okresu lat 1920—1922 i zawiera ostre potępienie metod politycznych, stosowanych przez obóz narodowo-demokratyczny.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się: a) brulion tej pracy pisany ręką K. Świtalskiego pod dyktandem Piłsudskiego. b) Tekst opracowany stylistycznie przez K. Świtalskiego z własnoręcznymi poprawkami i wstawkami Piłsudskiego.

Niżej przytoczony tekst jest przedrukiem książki wydanej przez «Ignis».

O Gabrielu Narutowiczu słyszałem względnie bardzo dawno. Rodzina Narutowiczów pochodzi z tych samych stron, co moja — ze Żmudzi [1]), i należy do tej samej ziemiańskiej, szlacheckiej sfery, w której specjalnie w tym zakątku dawnej Polski wszyscy o wszystkich wzajemnie jeżeli nie wszystko, to zawsze coś niecoś wiedzą. Stąd nazwisko Narutowicza znane mi było od dzieciństwa. Później w czasie moich wędrówek po świecie nieraz obijało mi się o uszy jego imię, wspominane przez wielu moich przyjaciół, którzy dla tych czy innych powodów przemieszkiwali lub zawadzali o Szwajcarię. Było to naturalne. Ś. p. Gabriel Narutowicz stał się w tym kraju swego rodzaju znakomitością dzięki wybitnym pracom w dziedzinie budownictwa wodnego [2]). A że w owych czasach, czasach cięż-

[1]) Narutowicz urodził się w Telszach na Żmudzi.

[2]) Narutowicz zaprojektował i zbudował szereg elektrowni wodnych między nimi największą wówczas w Europie elektrownię w Muelenberg koło Berna. W 1917 r. objął katedrę budownictwa wodnego w Zurychu.

kiej niewoli, każdy Polak, który zdobył uznanie wśród cudzoziemców, dawał wszystkim innym pewne prawo do dumy narodowej, nazwisko to przez nikogo ze spotykanych przeze mnie Polaków inaczej, jak z szacunkiem, nie było wymawiane.

Przypominam sobie, że w tych czasach uderzył mnie jeden szczegół z życia Gabriela Narutowicza. W jednej z rozmów któryś z moich znajomych wyraził się o nim, jako o dziwaku. Zapytany przeze mnie, na czym polegać ma to dziwactwo, odpowiedział z charakterystycznym wzruszeniem ramion, że Narutowicz, jeszcze jako słuchacz politechniki, uczęszczał systematycznie na specjalne kursa wojskowe, istniejące przy politechnice zurychskiej dla przygotowywania oficerów armii szwajcarskiej.

Fakt ten był dla mnie nadzwyczaj zastanawiający. Było to w owym czasie, gdy w dobie popowstaniowej młodzież ulegała łatwo różnym prądom, jakie się krzyżowały w polskich umysłach, lecz wszystkie razem wykluczały absolutnie, jako rzecz zdrożną, rzecz śmieszną lub nonsensowną — jakąkolwiek pracę w dziedzinie nauk wojskowych.

Dla mnie osobiście Narutowicz, uczeń kursów wojskowych, był niejako wyrzutem sumienia, sam bowiem głęboko w sercu zataiłem, jakby grzech dzieciństwa, sentyment dla tradycyj powstańczych polskich i gryzącą mnie ustawicznie zazdrość w stosunku do ubiegłych pokoleń, które miały tak piękne wiosny w swoim życiu. Zaledwie w najszczerszych rozmowach pozwalałem sobie dotykać zagadnień wojskowych; a tu człowiek, którego imię już powtarzano, jako imię człowieka zasługi i wybitnej pracy, tak śmiało szedł po tej drodze, tak śmiało część swoich wysiłków poświęcał przedmiotowi, po wszechnie skazanemu w Polsce na zapomnienie, na odepchnięcie, na zatracenie.

Nie spotykałem się nigdy w tym czasie z Gabrielem Narutowiczem, lecz fakt ten wywołał w stosunku do niego jakąś bezwiedną sympatię, jakiś mimowolny pociąg. Nie spodziewałem się wtedy nigdy, że w dalszym życiu role nasze tak dziwnie odwrócą. Ongiś ja jemu zazdrościłem jego studiów wojskowych. Po kilkunastu latach on, jak chętnie nieraz zaznaczał, zazdrościł mi mojej pracy wojskowej.

Zanim drogi życiowe nasze zetknęły nas w Warszawie, spotykałem się z tymi lub innymi wzmiankami o Gabrielu Narutowiczu jeszcze z innej strony — ze strony rodzinnych stosunków, gdyż weszliśmy z sobą na drogę powinowactwa: ro-

dzony brat ś. p. Narutowicza ożenił się z bliską moją kuzynką, Billewiczówną [1]).

Osobiście poznałem Gabriela Narutowicza, gdy już w czasie istnienia wolnej Polski wrócił z emigracji i został mi przedstawiony, jako kandydat na ministra robót publicznych w gabinecie p. Skulskiego.

Przy pierwszym zetknięciu się uderzyły mnie tylko jego wesołe, jakby rozradowane oczy, którymi oglądał zarówno mnie, jak i całe belwederskie otoczenie. Stosunki nasze były zrazu bardzo luźne. Ograniczały się do kilku nic nie znaczących rozmów, do wymiany jakichś urywkowych zdań. Pochodziło to stąd, że dla resortu, który objął p. Narutowicz [2]), nie miałem nigdy ani wybitnego zainteresowania, ani wielkiego zaufania.

W początkach Rzeczypospolitej miano w tej właśnie dziedzinie — robót publicznych i odbudowy kraju — wielkie iluzje i wielkie nadzieje. Szukano w tej pracy naprawy wielu bied i wielu nieszczęść Polski. Robiono olbrzymie plany i wielkie projekty, miano powetować w krótkim przeciągu czasu tyle blizn, zadanych przez wojnę, tyle rozmyślnych opuszczeń, zrobionych przez rządy zaborcze. Miano zrobić nadzwyczajny wysiłek, by dogonić świat pod tym względem. I jak gdyby dla większej ironii w stosunku do naszej bezsilności i może nieudolności, zostawiono tyle śladów robót rozpoczętych, nieskończonych, wyglądających tak śmiesznie, jak znakomity kanał obwodowy Warszawy, koło którego jeszcze i dziś nikt bez uśmiechu przejeżdżać nie może [3]). W licznych podróżach moich po kraju konstatowałem wszędzie istnienie biur, zarządów i różnych instytucji, związanych z robotami publicznymi, na które słuchać musiałem żałosnych skarg, że są one chyba stworzone dla przeszkadzania w pracy odbudowy, nie dla jej prowadzenia. Zajęty wojną lub jej likwidacją, nie miałem ani chęci, ani możności wtrącać się do szczegółów tej pracy, najwidoczniej według mnie nieudanej. Z tego też powodu nie szukałem nigdy ani rozmów, ani zbliżenia się do Narutowicza, jako do ministra robót publicznych.

Dochodziły mnie wtedy słuchy, że jest namiętnym sportowcem. Człowiek bardzo już niemłody, człowiek nauki, rozkochany w koniach i w polowaniu, jeżdżący co dzień pomimo wieku konno, robiący długie wycieczki piesze, wesoły towa-

[1]) Mowa o Stanisławie Narutowiczu, ożenionym z Hanną Billewiczówną.

[2]) Por. t. VI, str. 8.

[3]) Mowa o rozpoczętej budowie kanału obwodowego, który nie został zrealizowany.

rzysz myśliwski, przypominał mi wciąż tymi cechami swego charakteru owego Narutowicza, który, będąc młodzieńcem, szukał śmiało wyrazu dla swojej z domu wyniesionej, powstańczej tradycji.

I nagle zaszedł znowu fakt, który mi Gabriela Narutowicza w nowym postawił świetle. Było to za czasów gabinetu p. Ponikowskiego, gdy praca całego rządu ześrodkowała się całkowicie w silnych wewnętrznych tarciach w łonie rządu z powodu walki wszystkich resortowych ministrów z jednym ze swoich kolegów, z p. ministrem Michalskim [1]). P. minister Michalski, uzyskawszy od sejmu pozwolenie na coś w rodzaju dyktatury finansowej [2]), począł ją wprowadzać w nadzwyczaj oryginalny sposób. Dobrał on sobie, mianowicie, kilkunastu panów czy mężów zaufania, których formalnie postawił ponad swoich kolegów ministrów, i ci, wykorzystując swoje przywileje, zaczęli brutalnie sekować kolegów p. Michalskiego. Sprawa ta ciągle obijała się o moje uszy, jako Naczelnika Państwa, z całym mnóstwem anegdot, niezwykle dla ministrów upakarzających. Mężowie zaufania p. Michalskiego byli to często młodzi panowie, tacy sobie nadministrowie, którzy mieli prawie bezapelacyjnie decydować o każdym wydatku, zrobionym z rozporządzenia ministra. Naturalnie, byli ministrowie bardziej uprzywilejowani w oczach p. Michalskiego lub jego pomocników, byli mniej uprzywilejowani, jakby rozmyślnie sekowani, byli tacy, którzy znaleźli sobie drogę do przebłagania nie tyle p. Michalskiego, ile mądrego jego męża zaufania, byli wreszcie tacy, którzy się kłócili zarówno z tymi rzeczoznawcami, jak i z p. Michalskim, którego ekonomska ręka miała jakoby uratować Polskę od niechybnej klęski bankructwa.

Rada ministrów trzy ćwierci swego czasu poświęcała w owe czasy udanym lub nieudanym próbom łagodzenia tarć, które ciągle groziły rozwaleniem się rządu z powodu podawania się do dymisji to jednego, to drugiego spośród ministrów. Sprawy bowiem państwowe nabierały cech przypadkowości, uzależnionych od chwilowych nastrojów nie tylko samego już dyktatora finansowego, lecz i jego subdyktatorów.

---

[1]) Jerzy Michalski był ministrem skarbu od 26 września 1921 r. do 6 czerwca 1922 r.

[2]) Mowa o «ustawie o środkach naprawy państwowej gospodarki skarbowej», uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy dnia 17 grudnia 1921 r. Ustawa ta upoważniała ministra skarbu do znoszenia urzędów, uzależniała od jego woli przyjmowanie funkcjonariuszów państwowych i stanowiła, że uchwały Rady Ministrów, powodujące wydatki ze skarbu, mogą zapadać tylko za zgodą ministra skarbu.

I wtedy nagle dowiedziałem się o jednej poważnej batalii, wygranej prawie całkowicie przez tak nieznaczący resort, jak roboty publiczne. Dowiedziałem się wtedy, że p. Narutowicz postawił spokojnie sprawę tak, jak należało ją stawiać. Zaproponował on zniesienie ministerstwa robót publicznych, jako niepotrzebnego, z chwilą, gdy fundusze, które ma w swojej dyspozycji, ledwie wystarczają na utrzymanie urzędników, bez dania jakiegokolwiek ekwiwalentu państwu w postaci pracy, związanej z celem i przeznaczeniem swego ministerium. Batalia została wygrana, gdyż 9 miliardów (o ile sobie przypominam, chodziło o podobną sumę) zostało przyznane ze względów personalnych dla zatrzymania ministra i jego urzędników. Obiło się to o moje uszy w bardziej szczegółowych sprawozdaniach z tego powodu, że ustępstwo p. Michalskiego w każdej dziedzinie zwykle powodowało tendencje zmniejszenia budżetu wojskowego, którym musiałem się zajmować.

Pomimo tej wygranej batalii, która mi wskazywała, że wpływ osobisty Gabriela Narutowicza jest względnie duży, byłem niezmiernie zdziwiony, gdy usłyszałem, że p. Skirmunt, ówczesny minister spraw zagranicznych, wyjeżdżając na znaną konferencję w Genui [1]), chciał mieć, jako wiceprzewodniczącego delegacji polskiej, właśnie Gabriela Narutowicza. Pomimo, że interesa ekonomiczne i finansowe odegrać miały na tej konferencji wybitną i wielką rolę; pomimo, że w rządzie i w społeczeństwie żywiono jakieś nadzieje na dochody, mające wpłynąć z ruchu tranzytowego, opartego na polskich środkach komunikacyjnych, które nie były w stanie podołać nawet naszym potrzebom wewnętrznym; pomimo wreszcie, że przed konferecją zbierano obfite materiały w różnych komisjach, w których brał udział również i Gabriel Narutowicz — wyznaję szczerze, że wybór rządu zaskoczył mnie, jak niespodzianka.

Nie mogłem zupełnie zrozumieć motywów tego postanowienia. Tak dalekim dotąd był zawsze p. Narutowicz od wszystkich burz w szklance wody, które szalały i szaleją u nas przy każdym dotknięciu kwestji międzynarodowych; tak dalekim wydawał mi się on od tego licznego u nas grona zawodowych autorytetów w tej dziedzinie, która należała zawsze do najdrażliwszych i do najbardziej delikatnych spraw dla każdego z rządów Rzeczypospolitej.

Wybór Gabriela Narutowicza wydawał mi się tym dziwniejszy, że sytuacja Polski podczas konferencji genueńskiej

[1]) Konferencja w Genui por. t. VI, str. 8.

należała może do najtrudniejszych z czasów powojennych. Enuncjacje ówczesnego premiera Anglii [1]) wyraźnie i niedwuznacznie skierowane były przeciw Polsce, jasno wskazując, czyim kosztem należy zadowolić naszych sąsiadów. Natomiast trudno było się spodziewać należytej obrony ze strony innych państw, gdy w grę wchodziły tak poważne interesy, jak kwestia odszkodowań ze strony Niemiec i podniecone niezwykle nadzieje na możliwość zyskania rynków rosyjskich, przy czym konkurencja mocarstw mogła dojść do wysokiego napięcia, obniżając przez to szanse obrony interesów Polski.

Dlatego to w owe czasy radziłem bardziej skoncentrować się w obronie, nie mieszając do konferencji sprawy uznania naszych granic wschodnich, uzyskanych przez zwycięską wojnę. Niestety, w ministerstwie spraw zagranicznych byli innego zdania i sądzili, że należy i tę sprawę postawić na porządku dziennym. Wysunięcie tej kwestii uczyniło i tak już trudną sytuację Polski na konferencji jeszcze trudniejszą. Dało to w rezultacie, jak zwykle u nas w chwilach ciężkich, bardzo podnieconą atmosferę z masą sprzecznych plotek, domysłów, inwektyw, oskarżań, reminiscencyj wszelkiego rodzaju, przechodzenia od wysokich nadziei do nagłego strachu, co z konieczności odbijać się ciągle musiało na nerwach rządu, a przez to i na nerwach naszej delegacji w Genui. Tym bardziej, że w Genui grano nieraz groźbami nowych wojen, nowych niepokojów, tymi straszakami nie tylko naszego życia państwowego.

Byłem więc, powtarzam, zdziwiony, dlaczego obarczono tak trudnymi zadaniami człowieka, który mi się wydawał nieprzygotowanym do prac konferencyjnych i który nie mógł mieć siły utrzymania autorytetu rządowego przy tak podnieconej atmosferze wewnątrz kraju.

Konferencja po wielu perypetiach zakończyła się względnie szczęśliwie. Uznania granic, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie osiągnęliśmy wcale, lecz to, co uważałem na naszą wygraną, osiągnęliśmy w zupełności, wyszliśmy z konferencji obronną ręką.

Po powrocie z Genui zebrali się u mnie w Belwederze główni nasi delegaci na konferencję dla złożenia mi sprawozdania. Wtedy po raz pierwszy miałem sposobność poznać bliżej Gabriela Narutowicza. Byłem zdziwiony, gdym usłyszał, po raz pierwszy może, spokojną, rzeczową ocenę nie tylko szczegółów konferencji, lecz i stosunków międzynarodowych.

---

[1]) Mowa o Llyod'zie George'u.

Widać było w każdym niemal słowie, że p. Narutowicz mówi o świecie zagranicznym, jak człowiek, który świat ten zna, z tym światem się zżył i obraca się w nim ze znacznie większą swobodą, niż w świecie polskim. Długoletni pobyt w Szwajcarii [1]), stałe obcowanie z mnóstwem ludzi, zatrzymujących się na krótko lub na długo w tym zajezdnym domu Europy, w Szwajcarii, dawały mu ten spokój w ocenie ludzi i zjawisk, dobrze mu znanych, jaki rzadko spotyka się w Polsce. Nie było w tym, co mówił, nigdy ani dziecinnych, tak często u nas spotykanych, iluzyj, ani też akcentów niechęci i rozdrażnienia w stosunku do zjawisk, wynikających z naturalnych tendencyj tego lub innego państwa.

Był on, jak to miałem sposobność zauważyć, człowiekiem, któregobym nazwał Europejczykiem w sposobie ujmowania państwa i jego zadań i oceny pracy indywidualnej ludzi, sprawujących funkcje państwowe. Czuć w nim było jakby bolesny skurcz przy każdym oskarżeniu, które mu się wydawało niesłuszne, przy każdym przypuszczeniu, które uważał za niedostatecznie uzasadnione. Prosił wtedy natychmiast o głos i prostował. Gdy zauważył po skończonej konferencji u mnie, że z postępowania delegacji w pewnych kwestiach, jak uznanie granic, pozostałem niezadowolony, prosił o specjalną audiencję, aby dodatkowymi wyjaśnieniami rozwiać moje wątpliwości i stanąć w obronie p. Skirmunta. Nie chciał przypuszczać, by postępowanie p. Skirmunta naraziło na szwank nasze interesy. Stwierdził mi, że najzupełniej nie mogło być mowy o uzyskaniu uprawnienia granic, lecz że stosunki przy końcu konferencji ułożyły się dla nas o tyle pomyślniej, że żaden zręczny czy niezręczny początkowy krok z naszej strony nie odgrywałby najmniejszej roli, gdyż wszystkie kwestie utonęły w ogólnym wrażeniu nieudatnej pod względem zamiarów i celów konferencji.

Podczas tych paru wizyt Gabriela Narutowicza u mnie miałem sposobność poruszać z nim i różne kwestie z dziedziny naszego życia wewnętrznego. P. Narutowicz bowiem skorzystał z tych okazyj, aby poza służbowymi sprawami nieco więcej mówić o sobie i o swoim życiu, korzystając z łączącego nas powinowactwa.

Czuł się w Polsce dobrze — więcej — był szczęśliwy i dziwił się tylko że ludzie, z którymi się spotyka, są ciągle czegoś skwaszeni i z czegoś niezadowoleni. Mówił mi, że od czasu swego przyjazdu do Polski nie może dotąd nastroić siebie na

[1]) Narutowicz przebywał w Szwajcarii od 1887 do 1920 r.

ten sam ton, co Polacy, i dlatego wciąż mu się wydaje, że jest emigrantem. Tęsknił do Polski tak długo, już się był nawet przyzwyczaił do myśli, że do Polski może nie wróci, szukał zużytkowania swoich sił i swojej energii w pracy dla obcych, i gdy Polska otrzymała życie swobodne i niepodległe, myślał, że oszaleje z radości. Likwidował naprędce wszystkie interesy, naprędce zrywał wszystkie nici, którymi był związany z obcym krajem i obcą służbą, przyjechał, jak odmłodzony, ze świeżą energią, chcąc, jak mówił nieco sentymentalnie, odsłużyć Polsce, chociażby na najniższym stanowisku, stracone dla niej i zmarnowane dla niej poprzednie swe lata.

Wbrew swoim oczekiwaniom objął najwyższe stanowisko w Polsce i był stanowczo szczęśliwym człowiekiem. Męczyło go jednak pytanie, dlaczego inni tego szczęścia nie czują. Śmiał się, opowiadając mi, że przypomniał sobie swoje młode lata, chadzając na polowania po lasach i błotach i spotykając się z ludźmi prawie takimi samymi, jakich znał w dzieciństwie i młodości. Nie ma dotąd, jak mi mówił, żadnych nieprzyjaciół, ze wszystkimi żyje dobrze i sądzi, że u nas tylko istnieje jakaś dziwna nieumiejętność do współżycia pomiędzy sobą, a zdolność do kłócenia się bez żadnej przyczyny, któraby była dostatecznie zrozumiałą dla niego. Szczerze się śmiałem z niego, twierdząc, że nie przeżył z nami czasów niewoli i że przenosi tak łatwo stosunki, do których się przyzwyczaił w najspokojniejszym kraju europejskim, w Szwajcarii, na nasze chore jeszcze od niewoli warunki życia. Śmiałem się mówiąc mu, że może on ze swoją europejską metodą układania stosunków przejdzie i dalej swe życie bez zadraśnień i nieprzyjaciół, lecz że wówczas bodaj będzie w Polsce wyjątkiem.

We wszystkich sądach Gabriela Narutowicza o innych spostrzegałem niezwykłą w naszych stosunkach względność dla ludzi i nawet usprawiedliwienie wszystkich braków, a nawet wad. Przy pierwszym słowie krytyki jakiejkolwiek działalności natychmiast usprawiedliwiał pracowników różnymi względami i stale tłumaczył, że ten krótki czas, jakiśmy mieli do urządzenia się w Polsce, nie pozwala zbyt ostro i krytycznie oceniać dotychczasowych prac. Starałem się zanalizować głębiej tę charakterystyczną dla Gabriela Narutowicza względność dla ludzi i dla ich pracy. Wyznał mi on wreszcie otwarcie, że podczas swego życia za granicą przeszedł przez tyle upokorzeń z powodu krytyk i lekceważących ocen naszej narodowości, że się po prostu wdrożył do natychmiastowej obrony przed modą poniewierania wszystkiego, co polskie. Ten rys charakteru wyrobił się u niego, jak twierdził, być

może i z tego powodu, że czuł się zawsze trochę winnym wobec Polski. Przez tyle lat swego życia nic jej nie dał prócz skromnych nieraz ofiar dla celów, związanych z życiem polskim. «Czuję niekiedy — mówił mi — tak, jakgdybym nie miał prawa moralnego robić zarzutów, gdym tak długo do niczego w Polsce ręki nie przykładał».

Nie mógł znieść łatwo nieprodukcyjności naszej pracy. Przyzwyczajony do innych, większych, niż u nas, wymagań, niełatwo dawał sobie radę z naszym przyzwyczajeniem do nieproduktywnego gadulstwa o pracy bez pracy samej. Trudne też było dla niego słuchanie nierzeczowych dyskusyj. Lecz i te najprzykrzejsze wady, z którymi się zetkną, usprawiedliwiał i tłumaczył brakiem obycia się Polaków z pracą państwową i koniecznym, zdaniem jego, w tych warunkach wnoszeniem do pracy przyzwyczajeń z czasów niewoli, w której towarzyskie gawędy zastępowały realną pracę.

Podczas kryzysu gabinetu p. Ponikowskiego [1]) przyszedł sam do mnie, prosząc mnie, bym go użył jako pośrednika dla złagodzenia przesilenia. Sądził, że krytyka moja pracy tego gabinetu była zanadto bezwzględna i dotykająca tylko pewnych przejawów życia państwowego, zatem nie ujmująca całokształtu. Odpowiedziałem mu, że osobiście nie miałem zamiaru wywoływać kryzysu, więc wobec tego jego zarzuty nie są uzasadnione. Dotykałem tylko pewnych rzeczy, które w tym wypadku mnie obchodziły, i nie dotykałem całokształtu. Nie chciał się jednak zgodzić z mymi określeniami, tyczącymi się słabości rządu i nieproduktywności pracy rządowej. A gdym mu przypomniał jego własne narzekania na ową nieproduktywność i brak decyzji, zaczynał, jak zawsze, bronić każdej instytucji polskiej przed krytyką i zarzutami.

W następnym gabinecie p. Śliwińskiego [2]) Gabriel Narutowicz został mianowany ministrem spraw zagranicznych. Tekę tę zatrzymał również w gabinecie p. Nowaka [3]). Teraz Gabriel Narutowicz z urzędu wszedł w znacznie bliższy kontakt ze mną, niż to było poprzednio.

Przede wszystkim zrobił to, co robił każdy minister spraw zagranicznych, mianowicie — oświadczył, że musi stale współpracować ze mną, gdyż jego resort jest najściślej związany z mymi obowiązkami reprezentowania państwa na zewnątrz. Oświadczenie to, powtarzam, składał mi każdy minister spraw zagranicznych. Jest w tym zdrowa konieczność, uznana we

[1]) Por. t. V, str. 241.
[2]) Por. t. V, str. 255.
[3]) Por. t. V, str. 259.

wszystkich państwach, jakkolwiekby one były sformowane. Oświadczyłem mu też, jak wszystkim innym ministrom, że do tej współpracy jestem zawsze gotów.

W tym współdziałaniu ze swej strony wymagam tylko lojalności, tzn. informowania mnie o wszystkim tak, abym w razie niezgody z takim czy innym wystąpieniem odpowiedzialnego ministra mógł równie lojalnie nie szkodzić jego pracy podczas swoich, koniecznych przy reprezentacji, stosunkach z przedstawicielami zagranicy. Zaznaczyłem przy tym, że dotąd tej całkowitej lojalności w Polsce nie doznałem i że nieraz w trudnej znajdowałem się sytuacji, gdy czułem, że w grze politycznej mogę być wygrywany przeciwko ministrowi, jeżeli nie mam dostatecznych danych o jego postępowaniu.

Dalej ostrzegłem go, że staje do roboty najtrudniejszej w Polsce, gdyż na żadną lojalność pewnych czynników politycznych w tej dziedzinie liczyć nie może. Że znajdzie działające poza swymi plecami inne «ministerstwa spraw zagranicznych», które łatwo dają się zawsze wygrywać przeciwko oficjalnemu przedstawicielowi państwa polskiego.

Wreszcie zaznaczyłem, przypominając mu jego dawniejsze rozmowy, że jeżeli się tak chwalił poprzednio, że nie ma nieprzyjaciół, to z chwilą wstąpienia do gmachu na ulicy Wierzbowej [1]) wchodzi od razu do gniazda os, które oszczędzać nie będą nie tylko jego osoby, lecz również jego czci i honoru. Gabriel Narutowicz oburzył się na mnie, jak zawsze, że wydaję tak bezwzględne sądy o stosunkach polskich. Ze śmiechem jeszcze, który mu prędko miał zamrzeć na ustach, twierdził, że może okaże się nieudolnym ministrem spraw zagranicznych, lecz pewny jest, że przez to nie utraci tych, jak mówił, przyjaznych stosunków, jakie ma we wszystkich stronnictwach, co da mu możność spokojnie i rzeczowo rozmawiać o kwestiach polityki zagranicznej. Jeżeli nie był pewnym siebie w rozwiązywaniu zawiłych nieraz problematów naszej polityki międzynarodowej, to czuł się spokojny w stosunkach polskich i pewny co do możności załagodzenia zaciętych nieraz sporów wewnętrznych, które poprzednio obserwował. Jakby z wyrzutem w stosunku do mnie, powtarzał to kilka razy: trzeba być tylko względniejszym dla ludzi, ludzie nie są tak źli.

Nie mogę wchodzić w szczegóły pracy Gabriela Narutowicza, jako ministra spraw zagranicznych, dotyka to bo-

[1]) Na ul. Wierzbowej znajduje się gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

wiem zbyt świeżej przeszłości naszych stosunków międzynarodowych, zbyt może dotyczyć ludzi, którzy w tej dziedzinie i odtąd odgrywają rolę, abym uważał za możliwe odsłaniać publiczne sprawy, do których miałem dostęp z racji swego urzędu. Idzie mi bardziej o metodę pracy Gabriela Narutowicza w jego działalności.

Przede wszystkim wniósł on swoją namiętność do pracy. Nie było dla niego godzin urzędowych, nie było chwili wytchnienia. Dotychczasowe wywczasy myśliwskie, dalekie przechadzki i inne mniejsze lub większe rozkosze życia ustąpiły wymogom urzędu. Pracował bardzo długo, szukając zawsze zgłębienia przedmiotu i wyrobienia sobie zdania na podstawie możliwie największej ilości danych. Nie uprzedzał się przy tym z góry do żadnej opinii, do żadnego zdania, tak, jakgdyby szukał najmniejszego ziarnka prawdy w każdej głowie ludzkiej, w każdej pracy człowieka. Zajmowało mu to, naturalnie, ogromną ilość czasu. Gdy przychodził do mnie, a następowało to zawsze co parę dni, każdą kwestię znał dokładnie i mógł mi wymienić szczegóły opinii takiego czy innego naszego przedstawiciela dyplomatycznego, takiego czy innego męża stanu zagranicy. Przy tym zawsze zachowywał należytą rezerwę, nigdy nie twierdząc lekkomyślnie, jak to u nas często bywało, że wie z pewnością, co w różnych stolicach Europy myślą, lub też co rozmaici mężowie stanu chcą zrobić.

Rezerwa ta, tak zrozumiała i jasna dla każdego człowieka, znającego świat, wywołała z jego strony również usilne starania, by pozbawić Warszawę sławy najbardziej plotkarskiej stolicy europejskiej. Bał się ciągle, by którakolwiek z rozmów jego z przedstawicielami obcych państw nie była powtarzana, by którykolwiek z raportów naszych posłów nie stał się publiczną tajemnicą i nie skompromitował naszego przedstawiciela wobec rządu, przy którym reprezentował nasze państwo. Ta smutna sława naszej stolicy, o której nieraz mówił ze mną, ciążyła nad nim zawsze, jak zmora. Twierdził, że z pomiędzy wielu zarzutów, które z ust moich usłyszał i którym miał stale ochotę oponować, jeden zarzut plotkarstwa uważał zawsze za słuszny i zawsze się obawiał, żeśmy sami wiele przyczynili się do braku szacunku dla siebie w świecie. Twierdził, że jednym z najcięższych i najprzykrzejszych zarzutów, które usłyszał w stosunku do Polski, obcując z ludźmi Europy, jeszcze jako człowiek prywatny, była opinia, że żadnemu Polakowi w niczym wierzyć nie można, gdyż zawsze kłamie. Zarzut ten zrodził się, jak sądził, nie z jakiegoś naszego organicznego wstrętu do prawdy, lecz z nadmiaru lekkomyślnego plotkarstwa, przy

którym nikt w końcu prawdy od fałszu odróżnić nie jest w stanie. Mówił mi, że od chwili, gdy objął urzędowanie, zawsze ma w pamięci moje opowiadanie o pewnym dyplomacie europejskim, który skarżył się przede mną na złośliwe przekręcanie jego rozmów w ministerstwie spraw zagranicznych, tak, że czuł się skompromitowanym wobec swego rządu, mogącego mieć do niego pretensje, iż nie wypełnił otrzymanych instrukcyj. Twierdził przy tym, że w takim kraju można być tylko tak brutalnym, aby tłum plotkarzy dobitnych i jaskrawych słów nie potrafił fałszywie zrozumieć. Prawie przy każdym widzeniu się ze mną Gabriel Narutowicz pytał mnie, czy nie mam do zanotowania jakiegokolwiek zarzutu niedyskrecji i czy nie odczuwam naprawy pod tym względem.

Nie chciał się jednak zgodzić ze mną w zupełności, że tę smutną sławę zawdzięczamy w znacznym stopniu istnieniu poza rządem nieodpowiedzialnego ministerstwa spraw zagranicznych, które w ten właśnie sposób szuka zwycięstwa nie Polski, a swego, i tymi też nieodpowiedzialnymi środkami ustalać chce w opinii krytyczny stosunek do każdego ministra spraw zagranicznych.

Doświadczenie, które nabył przy pracy w ministerium, robiło go bardziej skłonnym do słuchania moich, jakoby bezwzględnych, zarzutów. Specjalnie oburzał się na metodę obniżania niejako z góry wartości każdego prawie naszego przedstawiciela, wyjeżdżającego, by reprezentować Polskę, twierdząc słusznie, że każdy nasz poseł czy delegat, wioząc ze sobą tak duży bagaż plotek, wersyj i insynuacyj, krążących o nim we własnym kraju, a zbieranych skrzętnie przez opinię zagranicy, ma z góry zmniejszony autorytet, powagę i kredyt w pracy nad interesami Polski.

W stosunku do podwładnych musiał Gabriel Narutowicz być, jak przypuszczam, bardzo względny. Przypuszczam to dlatego, że przy każdej rozmowie o którymkolwiek z urzędników ministerstwa spraw zagranicznych starał się przedstawiać mi jego zalety i jego wartości, tak, jakgdyby unikał wytykania wad i przywarów człowieka. Nawet w tych wypadkach, gdy sam przyznawał pewne niedokładności w pracy, nie chciał wyciągać z tego konsekwencyj. Poglądem jego było, że przy wielkich trudnościach, jakie miał prawie każdy Polak w pracy państwowej, lepiej jest cenić nabyte już doświadczenie, niż robić nowe próby z nowymi ludźmi. Boję się jednak, że ta charakterystyczna dla p. Narutowicza względność w stosunku do ludzi była więcej skutkiem niechęci do robienia komukolwiek przykrości i konsekwencją, nieco naiwnej wiary

w dobrą wolę ludzi, niż ufnością w wartość owego doświadczenia, na którą się powoływał.

Twierdzę to na podstawie częstych skarg, słyszanych od niego, na brak znajomości u Polaków świata zagranicznego, jego praw i prawidełek. Mówił zawsze, że wskutek tego każdy prawie Polak może być w świecie zagranicznym łatwo oszukany, łatwo w błąd wprowadzony i łatwo stać się może narzędziem w rękach innych, gdyż z trudem rozumie istotne motywy takiego czy innego postępowania. Ta nadmierna może względność w stosunku do wszystkich ludzi czyniła go nieco słabym administratorem. Jego koledzy w Radzie Ministrów nieraz mi się na to uskarżali, twierdząc, że Gabriel Narutowicz nie zawsze daje sobie radę z podwładnymi i że nie czuć w jego ministerstwie ręki przełożonego.

Przede mną, jako przed Naczelnikiem Państwa, bronił nawet swoich wyraźnych przeciwników. I nigdy nie chciał mi wierzyć, gdy mu dawałem dowody, że w tym czy innym rozmyślnie podstawiają mu nogę. W ciągu jednak swej kilkumiesięcznej pracy stawał się coraz bardziej ostrożny. Odosabniał się bardziej od ludzi, zamykając się w pracy z bezpośrednim swoim otoczeniem. Mówił mi, że stracił dużo ze swych zdolności towarzyskich, że niekiedy musi unikać swoich starych znajomych, nawet przyjaznych mu ludzi, z powodu niedyskretnych pytań i nadmiaru ciekawości, pragnącej wedrzeć się do jego odpowiedzialnych prac.

W stosunku do mnie, jako do Naczelnika Państwa, pozostał do końca wyjątkowo lojalnym ministrem. Zgodnie z początkową umową informował mnie dokładnie o wszystkich pracach w swoim zakresie i omawiał ze mną wszystkie ważniejsze swe wystąpienia. Wyznaję, że po raz pierwszy w moim urzędowaniu czułem się swobodnie, gdym mógł bez obawy rozplotkowania powtórzyć mu każdorazową swą rozmowę z którymś z przedstawicieli państw zagranicznych i gdym mógł mu okazać zgodnie z poprzednią umową pomoc, w różnych okolicznościach, wyzyskując te wpływy, jakie, jako człowiek, zdobyć sobie mogłem w świecie międzynarodowym. Mogłem był swobodnie umawiać się z Gabrielem Narutowiczem nawet co do metody takiej czy innej rozmowy, będąc pewnym, że będzie ona w zgodzie z jego zamierzeniami i nie wzbudzi nigdy u przedstawicieli świata dyplomatycznego podejrzenia, że dwa najgłówniejsze dla nich organy państwowe są z sobą w niezgodzie i nie działają spoiście.

Z prawdziwą wdzięcznością wspominam najtrudniejszą w tej epoce pracę, która na mnie spadła, — reprezentacji

Polski w sąsiedniej Rumunii [1]). Rola nieodpowiedzialnego przedstawiciela państwa jest w takich wypadkach bardzo ciężka i każdy brak taktu ze strony odpowiedzialnych przedstawicieli daje się boleśnie odczuć.

Z całego okresu urzędowania Gabriela Narutowicza przypominam sobie kilka wypadków, gdyśmy się rozeszli w opinii i zdaniu co do sposobu postępowania. Są to wypadki najprzykrzejsze, które, jak wiadomo, nieraz pozostawiają głębokie i niezatarte ślady w duszy, wywołując wzajemną niechęć i rozdrażnienie. W jednym z tych wypadków, mianowicie — w sprawie naszego postępowania w kwestii Kłajpedy [2]), bałem się nawet, że rozbieżność zdań doprowadziła do takiego właśnie rozdarcia czy naddarcia dotychczasowych dobrych stosunków. Po kilku bezowocnych konferencjach, w których Gabriel Narutowicz próbował uzgodnić nasze zdania, zaprzestał przychodzić do mnie na konferencje. Myślałem, że zachorował, lecz gdy dowiedziałem się, że jest stale przy pracy, machnąłem ręką, jak już na wiele zawodów w moim życiu. Po paru tygodniach przyszedł. Był nieco wzruszony i od razu zaczął jakby przepraszać. Twierdził, że nie mógł sobie dać rady i co dzień odkładał wizyty u mnie, gdyż czuł się jakby winnym przede mną, że postąpił i pracował dalej w omawianej kilkakrotnie kwestii przeciw memu zdaniu. Gdy odpowiedziałem mu, że ma do tego najzupełniejsze prawo i nie powinien brać tego do serca, gdyż ponosząc za politykę zagraniczną odpowiedzialność, musi sam, jako ostatni, rozstrzygać, co może, a czego nie może zrobić, — począł gorąco protestować. Wyszukiwał wszelkiego rodzaju argumenty i wszelkiego rodzaju dowody, aby osłonić mnie od najmniejszego uczucia upokorzenia, które jest tak częste i tak często brutalnie wykonywane w stosunku do tych, którzy zajmują stanowiska jakoby najwyższe, lecz w gruncie rzeczy najniższe, o ile chodzi o pracę. Ten rys specjalnej delikatności charakteru człowieka o wysokiej kulturze pozostał mi na zawsze we wspomnieniu wdzięcznego serca.

Cały okres pracy Gabriela Narutowicza w ministerstwie spraw zagranicznych należał do tej fazy naszego życia państwowego, gdy Polska po zwycięskiej wojnie na wschodzie musiała zdobywać uznanie swoich granic przez świat zagrani-

[1]) Por. t. V, str. 279.

[2]) Kwestia Kłajpedy była wtedy przedmiotem badań Konferencji Ambasadorów. Narutowicz był za koncepcją utworzenia z Kłajpedy wolnego terytorium tak, by Kłajpeda stała się terenem równorzędnej ekonomicznej współpracy Polski i Litwy.

czny. Byliśmy jeszcze w owe czasy, że tak powiem, w defensywie w stosunku do wielkiego mnóstwa wątpliwości, podejrzeń i byliśmy obiektem wielu tendencyj, chcących umniejszyć nasze prawa w stosunku do takiego lub innego obszaru, takiego lub innego terytorium, takiej lub innej części naszego państwa. Dlatego potrzebowaliśmy wówczas zawsze wielkiego wysiłku zbiorowej woli, nieraz spokojnych nerwów i wytrzymałości i wreszcie, co główne, podtrzymywania szacunku dla naszych urządzeń, instytucyj, a przede wszystkim dla rządu, który Polskę na zewnątrz reprezentował.

Niestety, wewnętrzne nasze życie, przesycone jeszcze miazmatami niewoli, z łatwością szerzenia kłamstw i oszczerstw w stosunku do wszystkich, reprezentujących państwo na zewnątrz, niezwykle ułatwiało robotę każdemu, kto chciał Polsce szkodzić. Pomimo to Gabriel Narutowicz, pracując spokojnie i z olbrzymim nakładem wysiłków, przeprowadził obronę naszych interesów skutecznie i bez zarzutu. A właśnie na czas jego urzędowania przypadło zaognienie w jednej z najdrażliwszych kwestyj, w kwestii tzw. «Wschodniej Galicji». W tym bowiem czasie mieliśmy do przeprowadzenia tam wybory i pobór wojskowy, co wywołało zamieszki w tej części kraju [1]).

Pracując, jako minister spraw zagranicznych, ponad siły, Gabriel Narutowicz począł po pewnym czasie zapadać na zdrowiu. Serce miał chore, sklerozę dość daleko posuniętą, i brak powietrza oraz ruchu, do którego był się przyzwyczaił, zachwiały jego organizmem. Wzdychał za każdym razem do polowania, specjalnie gdy przyszła jesień, najrozkoszniejsza pora dla nemrodów. Coraz częściej po skończeniu referatu wyrażał nadzieję, że za kilka dni uda mu się wyciągnąć w pole, jak mówił, dla odpoczynku.

Niechybnie też ciążyły na nim warunki jego pracy. Zaczynał czuć się źle moralnie, zaczynała znikać jego poprzednia

---

[1]) Ustawa o ordynacji wyborczej do ciał ustawodawczych z dnia 28 lipca 1922 r. postanawiała odbycie wyborów na całym terytorium Polski, a więc i w Małopolsce Wschodniej. Uchwała sejmowa z tego samego dnia oznaczała termin wyborów do Sejmu na 5 listopada, a do Senatu na 12 listopada 1922 r.

Zarządzenie wyborów na terenie Małopolski Wschodniej wywołało wtedy trudności, spowodowane tym, że pewne czynniki kwestionowały wówczas suwerenność Polski nad tą ziemią.

W łączności z tym mieliśmy na terenie Małopolski Wschodniej do czynienia w jesieni 1922 r. ze wzmożoną akcją pewnych grup ukraińskich, wyrażającą się w zamachach na policję, w niszczeniu środków komunikacyjnych, w paleniu i rabowaniu dworów, a wreszcie w aktach teroru przeciw Ukraińcom, szukającym zgody z Polakami.

wesołość i beztroska. Nie czuł się tak swobodnie, jak dawniej, między ludźmi. Z szczęśliwego emigranta, przybyłego służyć Polsce, zmieniał się powoli w niespokojnego, «skwaszonego», jak dawniej o innych mówił, Polaka.

Najciężej jednak odczuwał Gabriel Narutowicz mus zajmowania się rozstrzygnięciem pytania, kto ma być nowym reprezentantem naszym, jako prezydent Rzeczypospolitej. Wiedział o moim zamiarze niekandydowania na ten urząd bez względu na to, jak wypadną wybory. Nieraz słyszał kategoryczną moją decyzję, wyrażaną słowami, że gdyby jakimś trafem Zgromadzenie Narodowe składało się z najzaciętszych moich adoratorów, to i wtedy nie chciałbym sprawować dalej urzędu, który dotąd pełniłem. Nie zrażało go to i raz po raz wyszukiwał argumenty, aby mnie do zmiany decyzji skłonić. Powracał do tego tysiące razy, nawiązując mnie to w ten, to w inny sposób. Im bardziej termin się zbliżał, tym był natarczywszy, żądając nieledwie ode mnie decyzji według jego myśli. Prosiłem go nieraz, aby zaniechał dyskusji nad tym przedmiotem, gdyż zaczyna ona mnie drażnić i mogę stracić cierpliwość i zepsuć swoje dobre z nim dotychczasowe stosunki.

Głównym argumentem Gabriela Narutowicza, którym w tych dyskusjach operował, a który i następnie działał na niego więcej, niż co innego, był wzgląd na nasze stosunki ze światem zagranicznym. Z tego punktu widzenia nie chciał żadnych zmian, gdyż twierdził, że w ten właśnie sposób najskuteczniej oddziaływujemy na opinię świata o nas. Mają, twierdził, złe o nas przekonanie, wyrobione smutną tradycją z czasów upadku Polski, jak również bardzo długo i systematycznie prowadzoną robotą naszych zaborców we wszystkich centrach kultury światowej bez wyjątku. Jesteśmy, mówił, sąsiadami dwóch wielkich narodów, które w stosunku do nas były do niedawna jeszcze panami, a teraz przez wojnę zostały rzucone w odmęt silnych tarć wewnętrznych i wzbudzają powszechny niepokój co do ewolucji, przez którą sądzono im przechodzić. Ten niepokój, twierdził, tyczy się również i Polski, i wszelka bardziej widoczna i jaskrawa zmiana wzbudza brak zaufania do nas i do dalszego naszego życia. A tym czasem mamy jeszcze wiele rzeczy do uregulowania, wiele spraw do rozsądzenia i zależność nasza od świata wiązać musi nam ręce nawet w naszych sprawach wewnętrznych. Z tego punktu widzenia głównie wywierał swój nacisk na mnie, z tego powodu żądał ode mnie, jak mówił, ofiary ze swej swobody.

Gdy wreszcie spostrzegł, że mojej decyzji nie złamie, zaniechał namowy, i tylko od czasu do czasu, jakby z wyrzutem

i z obowiązku służby, podsuwał mi różne relacje, otrzymane z zewnątrz, a stwierdzające wyłuszczony powyżej pogląd. Zaczął się zresztą trochę denerwować. Musiał odpowiadać na setki interpelacyj, na mnóstwo pytań i bał się, że wykraczać może przeciwko zasadom lojalności czy to w stosunku do mnie, czy to w stosunku do swoich kolegów ministerialnych — może wreszcie przestał dawać sobie radę ze swoim sumieniem.

Zapytał mnie wreszcie wręcz, czy mogę jakąkolwiek kandydaturę wymienić, któraby miała moje poparcie. Odmówiłem stanowczo, twierdząc, że sytuacja będzie jaśniejsza, gdy wybory się skończą i gdy będziemy wiedzieli więcej o opinii tych, którzy wybierają.

Wtedy wystąpił sam z nową kandydaturą. Kandydatem jego był nasz poseł paryski, Maurycy Zamoyski. Twierdził, że przewiduje przy nowych wyborach zaostrzenie, a nie zmniejszenie tarć wewnętrznych. Wydaje mu się, że najłagodniejszym przejściem do dalszego życia państwowego byłby właśnie Maurycy Zamoyski, który swoim łagodnym charakterem i miłym obejściem może wybrnie z trudnej sytuacji, jaką niewątpliwie mieć będzie mój następca w Belwederze. Prowadził o tej kandydaturze ze mną długie dyskusje, spokojnie biorąc i rozważając wszystkie pro i contra. Zawsze przy ostatecznym wywodzie stwierdził, że u niego argumenty pro przeważają nad argumentami contra.

Wreszcie wybiła fatalna dla ś. p. Narutowicza godzina. Wybory się skończyły [1]). Zgromadzenie Narodowe miało się zebrać [2]) i wszędzie dało się odczuć roznamiętnienie w związku z wyborem prezydenta Rzeczypospolitej. Gabriel Narutowicz przypuścił po raz ostatni rozpaczliwy szturm do mnie, błagając wprost, abym zużytkował siłę charakteru i wytrwałość, gdyż po raz pierwszy w czasie wyborów, obserwując rozbujałe namiętności w stolicy, dojrzał to, czego nie chciał spostrzec w czasach swego optymizmu. Zdziczenie obyczajów, nabyte w długiej niewoli, zepsucie moralne pod wpływem długiej wojny, nieprzebieranie w żadnych środkach, bezwzględność w stosunku do czci i honoru każdego człowieka, brak szacunku zarówno dla siebie, jak i dla pracy — święciły w tej dobie swoje tryumfy i boleśnie przerażały Gabriela Narutowicza, nieobytego dotąd ze specyficznymi właściwościami naszego życia politycznego.

Wiedział, że dotąd obojętnie traktowałem wiele rzeczy,

---

[1]) Por. t. VI, str. 50.

[2]) Zgromadzenie Narodowe zostało zwołane na 9 grudnia 1922 r.

nad którymi ludzie rzadko przechodzą do porządku dziennego. Nieprzyzwyczajony z dotychczasowego życia w innym świecie do takiego traktowania ludzi i rzeczy, chciał widzieć w moim postąpieniu nadzwyczajną siłę i moc panowania nad sobą, a nie, jak ja twierdziłem, zatwardziałą obojętność na brzydotę moralną naszego światka wewnętrznego.

Po mojej mowie pożegnalnej, gdziem wyjaśnił motywy swojej niechęci do kandydowania [1]), spostrzegłem go, jak odwrócony plecami do wszystkich, przy oknie, ocierał łzy z oczu. Żegnał się ze światem, w którym dotąd produkcyjnie pracował, żegnał się z pracą, z której był zadowolony, i czuł trwogę przed nieznaną przyszłością.

Przy najbliższej swej bytności w Belwederze oświadczył mi z przerażeniem, że wie o zamiarze postawienia jego kandydatury na prezydenta w Zgromadzeniu Narodowym. Zanim jakąkolwiek da odpowiedź, chciałby wiedzieć o moim zdaniu co do kandydatur na urząd prezydenta. Powiedział mi, że pomimo dość wielkich starań nie mógł znaleźć poparcia dla kandydatury Maurycego Zamoyskiego i dlatego wątpi, by mógł on być wybranym.

Powiedziałem mu otwarcie, że jeżeli mój wpływ coś w Zgromadzeniu Narodowym będzie znaczył, to rzucam go na szalę na rzecz obecnego prezydenta, p. Stanisława Wojciechowskiego. Natomiast stanowczo mu odradzam, aby się zgodził kandydować i jako motyw podałem, że zadanie, jakie czeka prezydenta, będzie polegało przede wszystkim na pracy nad wewnętrznymi stosunkami w Polsce. Do tego on, Gabriel Narutowicz, jest najzupełniej nieprzygotowany ze względu na słabą znajomość stosunków polskich, zbyt małe zżycie się z nimi, oraz ze względu na zbyt łatwe ocenianie stosunków polskich na modłę europejską i stąd prawdopodobieństwo błędów, szkodliwych dla kraju, a niewątpliwie bardzo bolesnych dla niego. Gabriel Narutowicz po wysłuchaniu moich argumentów powiedział mi, że chociaż wysunięta przeze mnie kandydatura nie wydaje mu się możliwą z powodu sporów między stronnictwami ludowymi [2]), to jednak będzie pracował nad tym, aby została przyjęta, i że swoją kandydaturę wycofa.

Jeszcze w ostatniej chwili przed wyborem przyjechał do mnie [3]), przerażony, stwierdzając, że wewnątrz tych stronnictw, które mogły rozstrzygnąć o wyborze, większość wypo-

[1]) Por. t. V, str. 287—296.

[2]) Przeciw kandydaturze St. Wojciechowskiego wypowiadało się wtedy stronnictwo ludowe «Wyzwolenie».

[3]) Por. t. VI, str. 7.

wiedziała się przeciw kandydaturze p. Wojciechowskiego, a za utrzymaniem jego kandydatury. Był bardzo wzburzony i mówił, że wbrew jego woli chcą włożyć na niego ciężar, któremu wątpi, by mógł podołać. Radził się mnie, co począć. Odpowiedziałem mu to samo, com mówił poprzednio. Radziłem odmówić stanowczo. Po paru godzinach doniesiono mi telefonicznie, że Gabriel Narutowicz wybrany został przez Zgromadzenie Narodowe na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Znacznie wcześniej przed wyborem Gabriela Narutowicza doszły do mnie groźby różnego rodzaju. Wiadomości o przygotowywaniu zamachów stanu, czy to terorystycznych zamierzeniach w stosunku do mnie. Zarządziłem środki zapobiegawcze przeciwko pierwszym, nad drugimi, jak zwykle, przeszedłem do porządku dziennego. Dochodziły też mnie wieści o przygotowywanych manifestacjach czy wystąpieniach ulicznych, lecz przyznaję, że nie brałem tego zbyt na serio. Do tonu pism t. zw. narodowych, pełnych jadu i oszczerstw, dawno byłem przyzwyczajony, jak również do krzyków i hałasów, o które tak łatwo w Warszawie. Nie sądzę dotąd, aby proste zarządzenia o charakterze wojskowym, chociażby dla oddania honorów nowoobranemu Prezydentowi, nie zapobiegły od razu obrzydliwym pod względem moralno-politycznym, a nieudolnym pod względem wykonania burdom ulicznym, wywołanym przez niektórych posłów na ulicach Warszawy. Wątpię, aby Gabriel Narutowicz przed swoim wyborem cokolwiek o zamiarze urządzenia burd wiedział, wątpię, aby brał je kiedykolwiek pod swe rozważania. Poznawszy go w ostatnich miesiącach jego życia dokładnie, jestem przekonany, iż w myślach jego przeważała europejska, że się tak wyrażę, ocena zjawisk politycznych i społecznych. Ręczę, że przed wyborem i w dzień samego wyboru w głowie nie powstała mu myśl, aby prawnie wybranego przedstawiciela państwa i narodu można było lżyć na ulicach lub zabijać. Specjalnie zaś, żeby to miało wychodzić z łona stronnictw tzw. prawicowych, które na całym świecie zwykle miały charakter obrony również tzw. ładu i porządku. Zmieniło się, co prawda dużo pod tym względem w sąsiednich Niemczech [1]), lecz było to wynikiem przegranej wojny i wszystkich moralnych skutków klęski. Łudził się Gabriel Naruto-

[1]) Mowa o zamachach stanu, jak t. zw. pucz Rappa i gen. Luttwitza w marcu 1920 r., i o próbach teroru politycznego, robionych przez żywioły prawicowe, jak zamordowanie w dniu 28 sierpnia 1921 r. Erzbergera, przewodniczącego delegacji niemieckiej w sprawie zawieszenia broni, i zabójstwo Rathenau'a, ministra spraw zagranicznych w dniu 24 czerwca 1922 r.

wicz pod tym względem, jak i przedtem, gdy oponował mojej rzekomej bezwzględności.

Po otrzymaniu od pana marszałka sejmu oficjalnego zawiadomienia o dokonanym wyborze, musiał nastąpić okres tych uciążliwych i przykrych układów o sposobie i terminach objęcia władzy przez nowego Prezydenta, zmian miejsc pobytu i w ogóle całego życia osobistego. Jeżeli ja osobiście do tej rzeczy byłem najzupełniej przygotowany, to Gabriel Narutowicz nie mógł w jednej chwili dać sobie z tym rady. Ociągał się z każdą rzeczą, odkładał każdy termin i proponował ciągle przedłużenie okresu przejściowego. Byłem w tej sprawie agresywny. Żądałem możliwie szybkiego załatwienia sprawy, gdyż pomijając niezręczną i fałszywą sytuację, w której się znajdowałem, chciałem w jak najkrótszym terminie wprowadzić w państwie prawny porządek rzeczy. Gabriel Narutowicz sprzeciwiał się każdemu memu żądaniu. Uważał, że musi uporządkować ministerstwo spraw zagranicznych tak, by je spokojnie mógł oddać swemu następcy; miał w kasie pieniądze, niezałatwione rachunki, a był pod tym względem bardzo skrupulatny. Wreszcie uczynił mi propozycję, by stan przejściowy trwał nie mniej, jak miesiąc. Nie zgodziłem się kategorycznie na tę propozycję i gdy teraz myślę, że może mu w ten sposób o miesiąc skróciłem życie, nie mogę się pozbyć wyrzutu i żalu, żem mu nie ustąpił.

Przejawiał w tych dniach nadmierną delikatność w stosunku do mnie. Szukał wciąż formuły i sposobu, któreby mi dały jakąś satysfakcję i ustaliły po wyjściu z Belwederu moją sytuację w świecie. Odpowiadałem zawsze, że wyjeżdżam zaraz do Wilna na odpoczynek, ażeby raz po tylu przejściach, które przeszedłem, mieć choć przez jakiś czas zebraną rodzinę koło siebie. Zresztą, co mówiłem mu otwarcie, nie chciałem, by się specjalnie moją osobą zajmował, bo stworzyłby tym dla siebie nowe przeszkody, które i tak piętrzyły się bardzo groźnie.

W tym ociąganiu się od ustalenia terminu objęcia władzy nie bez wpływu był stan zdrowia, który znacznie się pogorszył. Gabriel Narutowicz jakby ociężał, chore serce nie dawało mu spokoju. Noce nieraz spędzał w fotelu.

Tym czasem przy moich osobistych kłopotach i próbach rozważania różnych dylematów życiowych, nie obserwowałem tak żywo, jak dawniej, tego, co dzieje się dokoła. Dlatego też nie wydałem żadnych poleceń, związanych z wyjazdem nowowybranego Prezydenta do sejmu na przysięgę. Wieczorem zarządziłem eskortę, nakazując wzmocnioną ochronę powozu Prezydenta, gdyż doszły do mnie niejasne słuchy o zamierzo-

nych demonstracjach przy jego przejeździe. Nie starałem się zbadać, co było na pewno bardzo łatwe, ani rozmiaru, ani metody tej rzekomej demonstracji. Gdym się o zajściach na ulicach [1]) dowiedział i sprawdził ich szczegóły, przekonałem się od razu, że zapobieżenie tym burdom było nadzwyczaj łatwe i zarządzenia mogły być wcale nieskomplikowane. Zajścia te, oburzające pod względem ich znaczenia politycznego, ociekające, jak zwykle, brudem i fałszem rzekomych patriotów, miały w dodatku nieznany dotąd w Polsce przysmaczek maskowania się macherów przed odpowiedzialnością przy pomocy jedenasto i dwunastoletnich dzieci szkolnych.

Byłem natychmiast po zajściach z wizytą u Gabriela Narutowicza. Siedział w fotelu, głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. Wskazał mi rewolwer, leżący opodal i powiedział: «Uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelam bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić!» Była w tym gorycz głęboko zawiedzionego w swych uczuciach człowieka. Od razu przypomniał tak częste rozmowy ze mną na temat mojej bezwzględności sądów. «Ma pan rację — mówił mi — to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku».

Wyrzucił na stół kupę listów i kopert. — «Patrz pan!» — zawołał.

Spojrzałem na niektóre. Były to anonimy wszelkiego rodzaju, pełne brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb. Nie mogłem się wstrzymać od głośnego śmiechu. Gabriel Narutowicz spojrzał na mnie zdziwiony. — «A telefony? — zapytałem — dzwonki, rozmyślnie poplątane, zapytania, zadawane udanym żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u pana?» — Zerwał się z fotelu: — «Dokuczają już tym od dawna — zawołał — skąd pan wie o tym?»

— «Ależ, panie, — ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy właziły zewsząd. Zwykłe rzeczy! To «narodowa robota!»

Istotnie było tak ze mną. Dodałem ostrzeżenie, że jeśli ma rodzinę lub w ogóle przyjaciół lub osoby, które kocha, to będą miały te same wszy na ubraniu i że nie należy nic sobie z tego robić, bo to najlepszy środek.

Gabriel Narutowicz nie mógł się z tym pogodzić. Rzucił się, aż go musiałem uspakajać.

— «Po co te brudy? — wołał. — Po co te brudy?»

Nie chciał potem wracać do tej sprawy i, jakgdyby spie-

[1]) Por. t. VI, str. 34.

sząc do końca, ustąpił mi od razu przy ustalaniu terminów, które przedtem tak często odkładał. — «Dla pana byłoby najlepiej wyjechać jak najprędzej — mówił mi, jakby na usprawiedliwienie. — Wytrzymał pan cztery lata, nie sądziłem, że to tak ciężko. Ja nie wytrzymam dłużej, jak rok».

Nastawałem na to, by zaraz przeniósł się do Belwederu, gdzie będzie miał znacznie wygodniej, a ja będę mógł być spokojniejszy, gdyż z całą stanowczością i bezwzględnością nie dopuszczę, aby miejsce zamieszkania najwyższego reprezentanta Polski mogło się stać miejscem zajść ulicznych, przypominających dom publiczny. Odmówił. Ograniczyłem się więc do dania odpowiedniej straży dokoła jego domu.

Po objęciu ode mnie władzy [1]) Gabriel Narutowicz wydał mi się nieco spokojniejszy. Spędziłem z nim w Belwederze dwa miłe wieczory, podczas których omawiał ze mną całokształt spraw państwowych. Nie sądził, by w tej zaognionej sytuacji mógł utworzyć rząd parlamentarny. Roznamiętnienie wyborcze, jakiego był świadkiem, nie pozwalało mu przypuszczać, aby w tych warunkach sejm był zdatny do owocnej pracy. Sądził, że trzeba pewnego czasu, by namiętności się uspokoiły i by normalniejsze życie nastało. Nie chciał, by wojsko, które w większej ilości sprowadziłem do Warszawy, pokazywało się na ulicach, miał bowiem nieprzezwyciężony wstręt do tego, by używać gwałtu i przemocy. Z pewną trwogą pytał mnie, np., o to, czy mi łatwo było zatwierdzać wyroki śmierci. Nie chciał się jednak, pomimo gorzkiej nauki, którą otrzymał, wyzbyć łagodnego optymizmu i jakiejś naiwnej wiary w szybką moralną naprawę ludzi. Pytał mnie, czym w początkach swego urzędowania mniej surowo sądził o ludziach i czym już tak z Magdeburga przyjechał bezwzględny i nieufny. A gdym mu powiedział, że jadąc do Warszawy z więzienia pruskiego, byłem wewnętrznie przekonany, że wiele z naszych wad niewoli natychmiast odpadnie i że wraz z odrodzeniem Polski odradzać się pocznie i dusza polska, ucieszył się, jak dziecko. Uchwycił się tych słów i, ściskając mi rękę, powtarzał po kilka razy: «I niech pan wierzy, niech pan wierzy, to być nie może, by ludzie byli tacy podli. Przecież jest niemożliwe, by bezinteresownej i wydatnej pracy ludzkiej nie szanowano!».

Ostatnim aktem, wzruszającym mnie delikatnością uczuć, aktem, którego mi trudno zapomnieć, była propozycja, bym z pomiędzy pokoi w Belwederze wybrał jeden mi najmilszy. Chciał go zachować bez żadnej zmiany, tak, by on mu o mnie

[1]) Por. t. V, str. 296.

i o mojej pracy w Belwederze przypominał. A gdym mu wskazał mój pokój sypialny, w którym najcięższe chwile i najcięższe noce przebyłem, zaproponował mi od razu, bym zostawił tam wszystkie swoje osobiste pamiątki i rzeczy, gdyż nie pozwoli stamtąd nic ruszyć dla zachowania o mnie pamięci.

Gdym go pytał o zdrowie, mówił mi, że czuje się lepiej, że jednak wolałby czas pewien odpocząć i mieć możność spokojniejszego zastanowienia się nad sobą i nad swoją najbliższą pracą. Niepokoił się głównie myślą, że wojsko odczuć musi brak reprezentanta wojskowego w jego osobie. Mówił mi, że nawet w Szwajcarii odczuwają potrzebę munduru i zewnętrznych odznak, aby mieć poczucie, że wojsko ma istotnie przełożonych i dowódców. Wracał także do planów myśliwskich, żałując, że w swej nowej sytuacji będzie w nich znacznie bardziej skrępowany. Kłopotem też dla niego było znalezienie swego następcy w ministerstwie spraw zagranicznych. Bał się, jak mi mówił, tego, czy się dobrze ułożą jego stosunki osobiste z ministrem tego resortu, do którego z trudnością nie będzie się mieszał w detalach, a nie przypuszczał, by mógł dla tego rządu znaleźć człowieka, równie dobrze zżytego z nim, jak ja z gen. Sosnkowskim.

We wszystkich rozmowach, które podczas tych dwóch wieczorów z nim prowadziłem, nie odczuwałem ani chwili, by przewidywał jakieś groźniejsze dla siebie następstwa. Co do mnie, gdym spostrzegł koło swego mieszkania te same, co zawsze, podejrzane i ciemne figury o typie bolszewicko-narodowym, także się nieco uspokoiłem, przypuszczając, że dalej jestem wyłącznym celem kreciej roboty terorystycznej.

Ostatniego wieczoru przed śmiercią Gabriela Narutowicza, nie byłem u niego. Zdecydowałem nie stwarzać wrażenia, że istnieje jakieś «condominium» władzy i że Gabriel Narutowicz bez mojej rady nic nie decyduje i nie postanawia. Nazajutrz, gdym był w Sztabie, w Biurze Historycznym, otrzymałem wiadomość o zamordowaniu Prezydenta Narutowicza w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych.

*

Zgasł! Gdym poszedł do Belwederu pożegnać się z przyjacielem, przygotowanym już do grobu, i usiadłem w sąsiednim pokoju, myślałem o przebiegu życia ś. p. Narutowicza.

Gdzieś, w dworze żmudzkim, panowała popowstaniowa żałoba; cichą skargę matki zamiast wesołej piosenki miałeś nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadsłuchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś

władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj. Uczono cię pokory, pokory nieszczęścia. Szeptano ci na ucho wspomnienia walk ubiegłych, pokazywano zatajone gdzieś zakazane obrazki. A potem?

A potem! Powędrowałeś w świat daleki. Nie zaznałeś z nami ani walk, ani nędzy niewoli. W walce nie pozbyłeś się sentymentalizmu swego dzieciństwa, w brudzie niewoli nie zbrukałeś duszy, w pokorze nieszczęścia nie pełzałeś, jak gad, już nie łudząc despotów. Zakonserwowałeś gdzieś w szałasach szwajcarskich swe dziecinne i młode marzenia, swe dziecinne i młode zaufanie do ludzi, do ich dobrej woli. Przyniosłeś z sobą nakazy matczyne: żyj, kochaj, pracuj. Zamiast nakazu «cierp», przyniosłeś szczęście życia i pracy w wolnej od kajdan ojczyźnie.

Zginąłeś od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś, — od kuli rodaków, do których niosłeś swą ewangelię miłości i pracy. Czy zginąłeś w ten sposób za to tylko, że takim byłeś, czy za to, że z brudem niewoli walczyć nie chciałeś, czy nie mogłeś?

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGIONÓW

(5 sierpnia 1923 r.)

W dniach 4—6 sierpnia 1923 r. odbył się we Lwowie II zjazd legionowy. Na nim Piłsudski w dniu 5 sierpnia 1923 r. wygłosił w lwowskiej sali ratuszowej niżej przytoczone przemówienie, poświęcone zagadnieniu: jakie cechy psychiczne stworzyły z legionistów typ dobrego żołnierza, tę zdobycz, która «w przyszłej historii stanowić może będzie więcej», niż przewagi w bojach.

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajdują się dwa bruliony tej mowy, powstałe na podstawie notatek stenograficznych. Na brulionach tych są własnoręczne poprawki Piłsudskiego.

Stenogram był więc przejrzany i poprawiony przez Piłsudskiego i w tej formie wydany drukiem jako osobna broszura (Józef Piłsudski, «O wartości żołnierza Legionów», Towarzystwo Wydawnicze «Ignis», Warszawa 1923).

Tekst, który podajemy, jest przedrukiem tej broszury.

Szanowne panie i panowie!

Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legionów. Przez dziesięć lat, będąc najprzód dowódcą oddziałów legionowych, a potem Naczelnym Wodzem wojsk polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć ciągle wartość swych podwładnych. Nie ma, naturalnie, mowy, abym, będąc ograniczony czasem, wyczerpał temat i dostatecznie go dziejową naszą pracą poparł. Muszę zatrzymać w tych warunkach uwagę panów jedynie na fragmentach i urywkach oraz na najbardziej charakterystycznych cechach legionistów.

Legiony powstały w dobie historycznej, która będzie jeszcze bardzo długo tematem roztrząsań dla wielu naszych pokoleń, zajmujących się badaniem tego ogromnego wstrząśnienia całej ludzkości, jakim była wojna światowa, gdyż skutkiem jej było m. in. i ustalenie bytu niepodległej Polski.

Legiony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który, na odwrót, i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykolwiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju — tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznymi odznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętymi nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego narodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy wojskiem polskim, bośmy się odróżniali zewnętrznymi cechami od wszystkich wojsk, które nas otaczały, bośmy mieli język raportów i rozkazów polski, a obyczaje i zwyczaje nawet b a r d z o polskie.

Byliśmy wojskiem polskim w 1914 r., a tym samym w stosunku do swego narodu — nowatorami. Z tego nowatorstwa wypływały, jako konieczny skutek, pewne cechy, któreśmy sami w sobie wytworzyli i które w nas otoczenie polskie obserwowało. Ta nasza trwająca dotąd, niepomiernie bujna wesołość i nadmiernie burzliwy sposób manifestowania uczuć wynikają z tego, żeśmy byli nowatorami.

Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzeczy obiektywnie, jak historyk. Ostatnim wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 1863 r. Poniosło ono klęskę, zostało rozbite i zgniecione. Przez 50 lat naród polski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba, setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach, jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmienne prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego, ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizyczne do tak napełnionej sali, jak ta, którą tu widzimy. W dziedzinie, do

której nowa myśl, nowy czyn chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesądy, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która dotąd nie istniała, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej, niż przeciętna, energii. Bez tej niezwykłej energii i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w stosunku do tego nowego zadania lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50. Z tego powodu, jak z jednej strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.

Zwracam uwagę na te cechy: ilustrować je będę przykładami, obserwowanymi przez siebie stale i ciągle. Legioniści odznaczali się jak gdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy, niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególniej dowieść zarówno sobie, jak i otoczeniu, oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi — w życiu naszym legionowym przewija się, jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedie ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całym otoczeniem. Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza. Walka z ówczesną austriacką komendą, noszącą inne, niż my, mundury, a zatem przypominającą nam obce wojska, stanowi bodaj jedną z najpoważniejszych stronic historii Legionów w czasie ich tworzenia się i dalszego życia. Walka ta była wynikiem przekory, wynikiem przesady w stosunku do postawionych sobie zadań. Szliśmy przeciw mniemaniu całego polskiego społeczeństwa, które w nas, wychodzących ze swej własnej szkoły, ze swych własnych usiłowań, nie chciało widzieć ani zdatnych żołnierzy, ani zdatnych dowódców. Dobijaliśmy

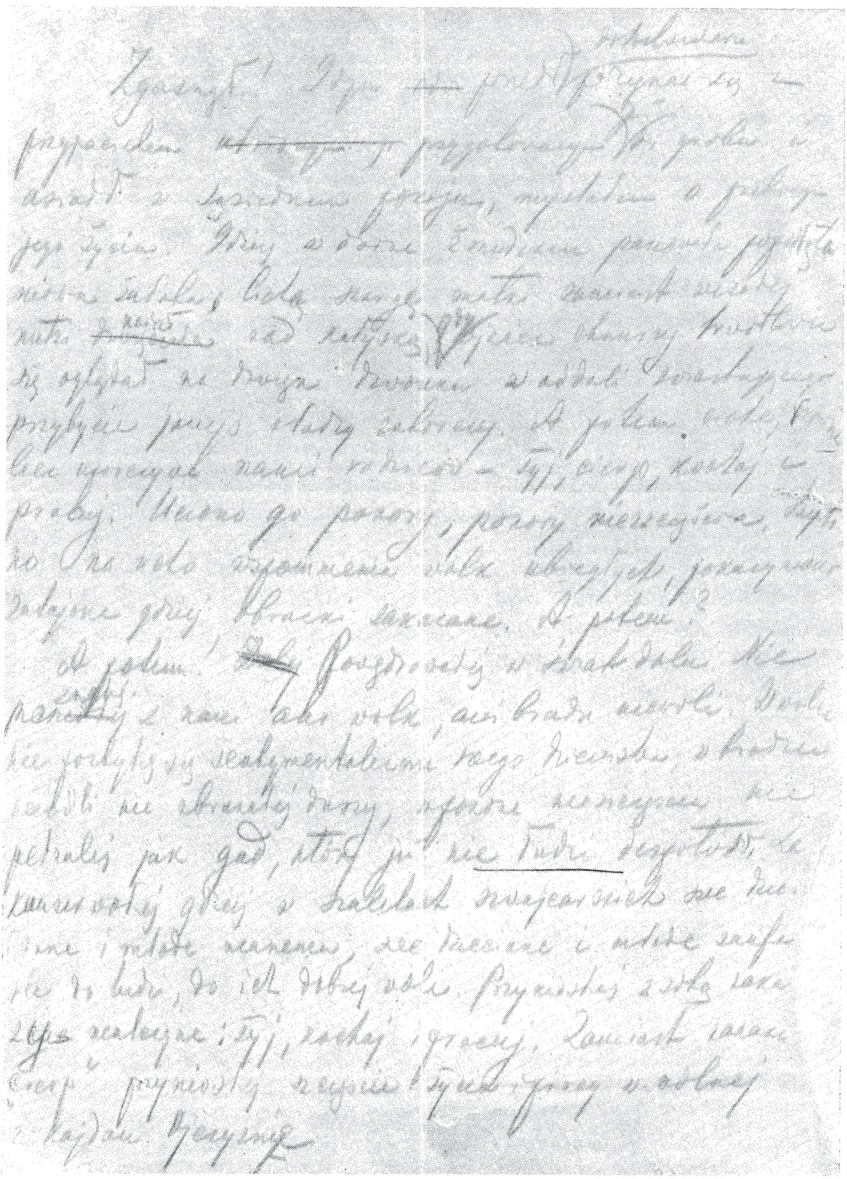

Facsimile artykułu «Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu»
Fotografia strony ostatniej, napisanej ołówkiem chemicznym.

się o uznanie nas, jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią, zdaniem moim, najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legionów.

Wiem, że w ten sposób może rozwiewam pewne legendy, które powstanie i trwanie Legionów wywodzą z szacownych uczuć, z wielkich idei. Lecz wielkie idee i wielkie uczucia są świętem, a życie codzienne, życie każdej chwili wymaga innych czynników, jeżeli ma ono utrzymać się na pewnym poziomie i pewnym stopniu. Śledząc uważnie życie legionowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legiony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy, wbrew opinii Polski. Cechą bowiem charakterystyczną ówczesnego społeczeństwa polskiego był głęboki brak zaufania do tego wszystkiego, co jest polskie, i głęboka wiara we wszystko to, co niepolskie.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne, dowodzące, jak silna była nasza ambicja stania się dobrymi żołnierzami. Chcę być ścisłym pod względem historycznym, nie chcę się opierać na legendach, lecz na faktach, które sam widziałem, sam obserwowałem, sam analizowałem i jestem pewien, że one były. Dlatego najwięcej przykładów przytoczę z życia I Brygady.

Wojsko, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od t. zw. mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia z góry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi panowie, w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych [1]) magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowania dla żołnierzy, nie miałem nawet wygodnej kancelarii, gdziebym sam albo wyznaczeni przez mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza.

[1]) uzupełniających.

Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczym myśleć już niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysiąc razy gorszych, niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki armii t. zw. regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do marszu.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów austriackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów, które usłyszałem od wojskowych władz austriackich przy odbieraniu ostatecznych informacyj, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś «bałaganu» o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu, jakim niechybnie bylibyśmy nie tylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszystkich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, «überrant» [1]) przez austriacką kawalerię. Dzięki przekornej naturze legionowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerii, ale odwrotnie, aby nasze piesze oddziały kawalerię wyprzedziły. Nie powiem, abym chciał teraz zachwalać swe czyny; miały one w sobie dużo lekkomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pier-

[1]) prześcignięci.

wsze [1]) i dopiero później zjawiła się awangarda kawalerii w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

Wieczorem tego samego dnia, w którym weszliśmy do Kielc, nastąpił kontakt z nieprzyjacielem, znacznie liczniejszym i rozporządzającym w porównaniu z nami przepychem ekwipunku i uzbrojenia, armatami i karabinami maszynowymi, których myśmy nie posiadali.

Nastąpił natychmiastowy bój. Nie dowodziłem nim, zostałem bowiem odwołany na tyły [2]) dla omówienia spraw politycznych i komendę tej awangardy sprawował w moim zastępstwie dzisiejszy gen. Sosnkowski. Awangarda, liczącą 500 strzelców, przyjęła bój, którego nasi sojusznicy, czyli szwadron austriacki, rozumniej nie przyjął i cofnął się, z czego oczywiście nie można mu było czynić zarzutu. Sosnkowski wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerii. Bitwa trwała niedługo; Sosnkowski okazał się rozważnym i wolał nakazać odwrót. Pod naporem całej dywizji nieprzyjacielskiej cofa się on, ale cofa się powoli. Wracając z Krakowa w drugim dniu odwrotu, spotkałem oddział strzelecki w Chęcinach, oddalonych od Kielc tylko o 15 km.

Zatrzymuję się na tym pierwszym wystąpieniu Legionów na arenie żołnierskiej nie dlatego, abym siebie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie otoczenie, lecz przez dowództwo austriackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armii austriackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austriackim «cywilbagaż» nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. To też marsz nasz był dla władz austriackich niespodzianką.

Później [3]), gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austriackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest

[1]) Dnia 12 sierpnia 1914 r.

[2]) Piłsudski dnia 12 sierpnia 1914 r. o godz. 16-tej wyjeżdża z Kielc do Jędrzejowa, na skutek wezwania dowództwa austriackiej 7 dyw. kawalerii gen. Kordy.

[3]) T. zn. od 22 sierpnia 1914 r., w którym to dniu po raz drugi oddziały strzeleckie wkroczyły do Kielc.

rangą najwyższy. W ten sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. To też Austriacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą, uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tym samym jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy przejeżdżając później przez Kielce [1]), tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

Z Kielc trzeba było się wycofać [2]). Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę ariergardy, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierza i dowódcę. To owa przekora i ambicja legunów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę. Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrót. Zatrzymywaliśmy ponad miarę zakreślonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczucinie [3]) pod grozą, że nam go z tyłu spalą. Rozmyślnie nadużywałem sił młodych żołnierzy dlatego, że szybciej dążyłem do tryumfu braci legionowej, że szybciej dążyłem do uznania naszej własnej, z nas samych powstałej, pracy żołnierskiej. Pamiętam smutne przejście przez most. Ziemia obiecana, na której obiecywaliśmy sobie wyróść w większą siłę, została opuszczona. Dano nam rozkaz osłaniania odcinka Wisły w łączności z całym mnóstwem wojsk innych. Rozkaz ten doskonale pamiętam [4]). Dla podniesienia dzielności wojsk austriackich, głosił on, że wróg wtargnął w granice «ojczyzny», polecał obronę słupów granicznych austriackich. Dla zachęcenia nas, legionistów, dodano do tekstu niemieckiego ustęp polski, stwierdzający i dla nas wagę «granicy», «ojczyzny», którą była Wisła, dzieląca dwa zabory. Na szczęście duch rozkazu uprawniał mnie do nowych niebezpiecznych przedsięwzięć. Nakazywał on prowadzenie obrony ofensywnej, t. zn. dopuszczał akcję na lewym brzegu Wisły, pozwalał przerzucać wojska przez rzekę z powrotem do tego kraju, który nie jest jakoby naszą ojczyzną. A z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Na skutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczucinie. Stanąłem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę, trzeba było mieć możność

[1]) Piłsudski był w październiku 1914 r. dwukrotnie w Kielcach celem przeprowadzenia rozmów ze sztabem IX armii Hindenburga.

[2]) Dnia 10 września 1914 r.

[3]) Dnia 13 września 1914 r.

[4]) Był to rozkaz, wydany przez Dowództwo etapów 1 armii austriackiej.

przeprawy. Pamiętam, jak w tym właśnie ówczesny porucznik, a dziś pułkownik Dreszer [1]), nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w ręku przeprawił się na drugi brzeg Wisły. Dotąd czyn ten wspominany jest z dumą i dotąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wpław się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod świadczy o tej dziwnej przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzeciętnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki, niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi panowie, wśród legionistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy w okół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły batalion przeprawiał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem tryumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tym swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zlany. Gdym go spytał: — Cóż to wam, chłopcze? — Odpowiedział wesoło i dumnie: — A w głowę mnie trafiło, głowa mocna, wytrzyma.

Po tych pierwszych wrażeniach wojny szły jedne za drugimi ciężkie chwile. Widziałem złamane charaktery, złamane serca od jednego ciężaru i nacisku, serca, w których wojna zdusiła wszystko to, co było w nich najlepszego, zrobiła z człowieka odważnego — podłego tchórza, z człowieka silnego — płaczącą babę. Przeszliśmy tyle rzeczy, tyle nauk, tyle doświadczeń. Przyszedł koniec 1914 r. Po ciężkich bojach, po przegranej bitwie wojska austrackie cofały się rozbite [2]). Powierzono mi znów zaszczytną misję, abym stanął w ariergardzie, gdyż w ciężkich chwilach byliśmy, my, żołnierze polscy, najpewniejszą jednostką, na którą można było włożyć największe cię-

[1]) Mowa o gen. Gustawie Dreszerze.
[2]) Mowa o odwrocie spod Dęblina od końca października 1914 r.

żary. Pamiętam mękę odwrotu, noce nieprzespane lub spędzone przy stole, gdy zasypiało się momentalnie, tak, jak się siedziało na krześle. Pamiętam dokładnie, jakie wrażenie na mnie sprawiały te cofające się szeregi batalionów przerzedzonych, żołnierzy kaszlących, jak owce, robiących wrażenie szpitali, pędzonych przez lasy. Bataliony topniały. Oficerowie, śmiertelnie znużeni, przemęczeni do niemożliwych granic pod wrażeniem pierwszego wielkiego boju, gdzie grała artyleria, gdzie sypały się granaty. Widziałem, jak serca ludzkie się łamały. Widziałem żołnierzy, niegdyś pewnych siebie i hardych, a obecnie ukrywających się w lasach i czekających hańby poddania się do niewoli.

W całym tym odwrocie z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwrocie spokojnie dać zaraz rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austriacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armii naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku batalionami śmiało poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyjacielem [1]). A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiedli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austriackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy przy 1. armii austriackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: «Legionista» czy «Jeńcy» [2]). Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legionowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach, patrzących w dal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

Minęło kilka miesięcy, mieliśmy już dobrą markę, mie-

[1]) Mowa o wywiadzie, który Piłsudski na czele trzech batalionów przeprowadził w dniach 9—11 listopada 1914 r. na wschód od Wolbromia.

[2]) Na odbitkach tego obrazu tytuł brzmiał: «Legionista» («Jeńcy»), w katalogu wystawy z r. 1915 w Krakowie ten sam obraz miał tytuł «Wnuk tych spod Grochowa i Stoczka.

liśmy uznanie. Legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód. Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca. Nasza sława i legenda przed tymi wrotami się nie zatrzymały. Poszło przede wszystkim za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej, — poszła sztuka. Moi panowie, poezja twórcza należy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego, «owija się, jak bluszcz koło dębu», owijają się, jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tym silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego nienikczemnego życia. Przede wszystkim twórczość o charakterze t. zw. ludowym buchnęła, jak gdyby żywym płomieniem, z tego źródła nowej mocy, nowej twórczości, nowego wysiłku ludzkiego, który się uosabiał w Legionach. Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legionowy. Dotąd piosenka legionowa jest nabytkiem całego narodu. Dotąd żołnierz w wojsku polskim, gdy Legiony już minęły, śpiewa nasze pieśni; śpiewa to, co grało w naszych duszach, żyje, bawi się, robi to, cośmy ongi robili na ziemiach polskich. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armii obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tym wielkim, trwałym ogniwem, które zapewnia życie Legionom, dopóki istnieje żołnierz polski. Tyle tych pieśni! Można śledzić historię Legionów, studiując ich pieśń. Każdy batalion miał swoje zbiorowo układane pieśni, do których ciągle dorzucał nowe słowa, dodawał dowcipy. Tworzyła się ta pieśń tak, jak ongiś tworzyła się pieśń ludowa. Ta pieśń żyje dotąd, jako rzecz nabyta, jako rzecz żywa i trwała.

Weźmy malarstwo. Nie wiem, czy jest w ogóle większy malarz polski, który sił swoich nie próbował w dziedzinie życia legionowego, któryby, jak ten bluszcz, nie oplątywał się koło życia, świadczącego o sile, o energii ludzkiej i bezwiednie dlatego pociągającego sztukę, bezwiednie pociągającego piękno.

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmieszków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie, jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie, jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie. Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem prze-

ciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. W ślad za nami, trop w trop za naszym żołnierzem idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli. Śmiać się można z przesadnych nieraz zachwytów i adoracyj, jakie nam towarzyszyły, lecz są one świadectwem głębokiej wartości wewnętrznej tego przejawu życia polskiego, jakim byliśmy.

Moi panowie, to piękno, ta poezja życia, którą myśmy stworzyli, miała pewne cechy, które narzucały się otoczeniu w sposób nieprzeparty, tak nieprzeparty, że chcę wskazać na żywe przykłady oddziaływania tego uroku. Szliśmy krajem, gdzie, gdy mówiono «nasze» wojsko, to mówiono o tych, którzy nas zabijali [1]). Tam więc, gdzie nie szło o polityczną stronę naszego ruchu, gdzie nie odgrywał roli stosunek do t. zw. idei legionowej, tam, gdzie, przeciwnie, widoczna była niechęć do nas, niespokojnym okiem szukałem w duszy polskiej śladów wpływu piękna, któreśmy nieśli, szukałem tych śladów, badając i pytając. Pamiętam postoje po wsiach polskich, postoje dłuższe i krótsze po długich skomplikowanych marszach i kontrmarszach. Za każdym razem badałem uważnie, jaki ślad w ludziach zostawia nasz pobyt. Przychodzili do mnie, jak zwykle do władzy, ludzie ze skargami. Gdzież bowiem jest żołnierz, który zazdrosnym okiem nie śledzi takich stworzeń, jak kura i gęś? Gdzież jest żołnierz, który bodaj okiem pożądliwym nie spogląda na konia? Gdzie jest żołnierz, który dowcipem lub gwałtem nie wyciągnął od gospodyni jedzenia? Takimiż byli i moi żołnierze. To też nic dziwnego, że ludność przychodziła ze skargą lub prośbą, żeby takich rzeczy nie czyniono, żeby w taki czy inny sposób szkodę wynagrodzono, lub chociażby kwit jakiś wydano. Za każdym razem zapytywałem, za każdym razem badałem, jaki jest stosunek ludności do mego żołnierza. I tak żywo pamiętam, jak w każdej nieledwie wsi, kobieta, przychodząca ze skargami, zasłoniwszy się wstydliwie fartuchem, mówiła: «Takie wesołe wojsko». Ten urok wesołości, ten urok żartu, ten urok żołnierzy, idących na śmierć z uśmiechem na ustach, w ostatniej chwili obejmujących w uścisku dziewczynę, w ostatniej chwili rzucających słowa wzgardy dla tchórza, to jest typ, jaki się wytworzył w Legionach.

Pamiętam oto takie, np., obrazy. Było to w kraju, który obecnie wchodzi w granice naszej Rzeczypospolitej, lecz w któ-

[1]) T. zn. o wojsku rosyjskim.

rym, ściśle mówiąc, Polaków było względnie niewielu. Jest to Polesie Wołyńskie. Staliśmy tam bardzo długo [1]), poznaliśmy ten kraj dokładnie. Ludności było tam bardzo mało, zostały jakieś niedobitki osiedli ludzkich, które i tak topniały pod gorącym oddechem wojny. Niknęły sioła, niknęli ludzie. Zniszczenie na całej linii. Smutny obraz ożywiało tu i owdzie na drodze spotkane drzewko owocowe, kwitnące, mimo, iż śladu osiedli ludzkich w okolicy tej już nie było. Zostało jako świadectwo, że gdzieś tu mieszkał człowiek, że gdzieś tu człowiek pracował, że gdzieś tu pot swój do ziemi wlewał, z którego wykwitł ten kwiat owocowy. I pamiętam, jaką radość i życie wnosiły do tego pustkowia najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów t. zw. Beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanym. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie — w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość.

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tym, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić. Oficer musi ciągle czuwać, by doglądano koni. Gdy zmęczony jeździec stanie na odpoczynku, na oficerze leży obowiązek przypominania ułanowi, że koń idzie przed jego potrzebami snu czy wytchnienia. Dla naszej kawalerii te grube tomy nauk i przestróg, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legionowy konia kochał więcej, niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej, niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy polskiej, żyła po wieki. Ułan, któremu piechur krzyczał: «Ułan! drogi nie znasz, zapytaj się

[1]) Od września 1915 r. do października 1916 r.

konia» — ten biedny ułan, przedmiot kpin i żartów innych rodzajów broni, cackał się ze swoim koniem, cieszył się nim, jak dzieckiem, tak, że każdemu innemu wojsku za wzór żołnierza służyć będzie. Na dowód zabawny obrazek. Idą ułani do kuchni w porządku po jadło. Spostrzegam z przerażeniem, że jeden z żołnierzy idzie po jadło z putnią, z której poi konia. Zawołałem komendanta szwadronu i robię wymówki, że żołnierz je obiad z putni, z której pije koń, stworzenie, stojące niżej od istoty ludzkiej. Na to komendant szwadronu odparł, że jest to wielki honor dla ułana, jeżeli jada z tego samego naczynia, co jego koń. Ta przekorna przesada w trosce o konia raz jeszcze stwierdza tę charakterystyczną cechę, jaka się wytworzyła w psychologii naszego żołnierza.

Znałem w Legionach chłopców, którzy w tornistrach nosili bardzo cudaczne rzeczy. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej manii zbierania rupieci w rodzaju odłamków szrapneli i noszenia tych ciężarów, kiedy i tak już ciężka była normalna zawartość tornistra. Pasja ta doprowadzała ludzi do tego, że woleli wyrzucać środki żywności, aby tylko nie pozbyć się swoich dziwacznych pamiątek. Pamiętam niezapomniany dla mnie obrazek, gdy żołnierze, idący pod ogniem artylerii do kuchni, ukrytej w lesie, przy każdym strzale armatnim przystawali, rozglądali się po gapiowsku dokoła i pytali się siebie, gdzie pociski upadły. Krzyczeć trzeba było na nich, aby się nie narażali tak głupio na strzały. Była to ciekawość dziecka-żołnierza, ciekawość człowieka, szukającego nowych doświadczeń; prowadziła ona do najbezsensowniejszych rzeczy, przeczących instynktowi samozachowawczemu. To też nigdy w Legionach nie brakowało ochotników do akcyj najryzykowniejszych; zawsze było ich za wielu i zawsze trzeba było robić wybór, krzywdzący tych, którym najtrudniejszych robót nie wyznaczano.

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy bardzo często mówili mi: — Co tam jest właściwie w tych waszych Legionach? Żołnierze niedoleczeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanij, wracali do szwadronów, uciekali po prostu ze szpitala do wojska, szukając na nowo tych ran, szukając na nowo tryumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legioniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej, niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tym, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju, niż ogół żołnierzy austriac-

kich. Jedynym marzeniem naszych rannych i chorych było jak najprędzej uciec ze szpitala, uciec, jak mówili, do domu. Domem tym był pułk, domem tym była kompania, domem tym byli towarzysze broni.

Legiony miały zdolność asymilowania — często zupełnie mimowolnego — żywiołów obcych. Oto zabawny przykład takiej asymilacji. Pewien wiedeńczyk przyplątał się w jakiejś katastrofie wojennej do jednego z batalionów I Brygady i stał się «dzikim» legionistą. Po pewnym przeciągu czasu nie chciał w żaden sposób nas opuścić i dopiero, bawiąc pod Wiedniem na urlopie, został aresztowany za wymyślanie Austriakom od urodzonych tchórzy, czego nauczył się od swych legionowych kolegów. Ta dziwnie silna asymilacja, która porywała za sobą naiwne dusze, robiła ni stąd, ni zowąd z człowieka obcego legionistę tak wiernego, że, będąc rannym, wracał z ambulansu natychmiast do szeregów, twierdząc, że woli umrzeć z kolegami w polu, niż siedzieć w szpitalu, skoro ma tylko lekką ranę. Drugi fakt asymilacji jest jeszcze ciekawszy. Zabłąkał się jakiś wirtemberski żołnierz. Pułk jego poszedł gdzieś dalej, a on, szukając go, pozostał w tyle i przyczepił się do biwaku legionowych saperów. Ci przebrali go, i odtąd chodził w maciejówce z orzełkiem. A ponieważ saperzy potrzebowali wołów roboczych, przeto chętnie pozostawili go u siebie. Wirtemberczyk był również bardzo zadowolony i twierdził, że trafił do świetnego i wesołego wojska. Zasymilował się tak dalece i tak głęboko, że zapomniał o prawie niemieckim, karzącym za dezercję. Bawił u nas przeszło pół roku i wówczas zaczął pisać listy do rodziny, które go zdradziły. Do Komendy I Brygady przyszło nagle od pułku wirtemberskiego żądanie wydania owego żołnierza dla odpowiedniego ukarania.

Ten sam proces asymilowania odbywał się nie w jednej I Brygadzie; był on nawet może silniejszy w II. Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legionistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych ambicji polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem i przeróbką siebie na dobrego żołnierza. W III Brygadzie, sformowanej później, niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą do typu I Brygady zbliżony.

Zyskaliśmy wkrótce sławę dobrych żołnierzy, a przechodząc przez rozmaite, coraz to różnorodniejsze koleje, doskonaliliśmy się coraz bardziej. Natomiast komplementem stałym

i ustawicznie w stosunku do nas powtarzanym był zarzut «undisziplinierт» [1]). Pozwolicie, panowie, że przedstawię taki obrazek braku dyscypliny, który zdarzył się właśnie tutaj, we Lwowie. Było to po ciężkich bojach wołyńskich, kiedy zachorowałem na influenzę i tutaj, pod Lwowem, odbywałem rekonwalescencję [2]). Wtedy miałem sposobność być podejmowanym przez komendanta miasta. Spotkałem się na przyjęciu z rozmaitymi oficerami. Jeden z nich opowiadał mi o fakcie następującym: o północy, t. zn. w porze, w której porządni żołnierze nie chodzą po mieście, spostrzegł na ulicy Sykstuskiej dwóch żołnierzy, idących na przeciw niego. Z daleka zauważył, że są to legioniści. Spostrzegł również, że są «zalani» i chwieją się w różne strony. Używając tutejszego terminu, «batiary» lwowskie służyli i w I Brygadzie, i miewali najrozmaitsze urlopy, więc spędzali je nie gdzie indziej, jak we Lwowie. Zrównawszy się z oficerem, nie tylko honorów mu nie oddali, ale go jeszcze, przechodząc, potrącili. Oficer począł im robić wymówki: «Legionistą jesteś, jak ci nie wstyd, po nocy pijany się włóczysz? Spotykasz oficera, honorów mu nie oddajesz i jeszcze go potrącasz?» Na to jeden z żołnierzy, zmierzywszy oficera z góry na dół, powiedział: — «My z I Brygady!» — «No i cóż z tego — odparł oficer — żeś z I Brygady? Jakiż z ciebie żołnierz? Wstyd Brygadzie robisz!» — «Wstyd Brygadzie?» — powtórzył legionista i począł długo szukać czegoś i szperać w kieszeni spodni. Wreszcie wydobył z niej nienoszony nigdy na piersi austriacki złoty medal waleczności i, pokazując go oficerowi, zapytał: — «Wystarczy?» — Po chwili wyciągnął z drugiej kieszeni żelazny krzyż pruski i powtórzył poprzednie zapytanie: — «Wystarczy?» Potem, wskazując towarzysza, rzekł: — «Ten ma to samo. Chodźmy!» To brutalne zachowanie się wobec obcych oficerów było istotnie nawyknieniem legunów. Nie będę temu przeczył. Oto drugi obrazek z tego samego okresu czasu. Przez otwarte okno słyszę zmianę warty pod moim mieszkaniem i słyszę cichy rozkaz: «Stać przy mieszkaniu, wszystkich puszczać, swoim oficerom honory oddawać, austriackim — nie».

Nie powiem, panowie, by ten sposób postępowania był dobrym zwyczajem. Był to jeszcze jeden wynik owej przekory legunów, którzy, zdobywszy sławę, starali się akcentować na każdym kroku, że całą swą wartość zawdzięczają własnej pracy i nie potrzebują nieproszonych nauczycieli. Scysje z ob-

[1]) niekarny.
[2]) W marcu 1916 r.

cymi oficerami wywoływane były gwałtownym narzucaniem nam nauczycieli, które rodziło stale niechęć w stosunku do wojska austriackiego, a specjalnie do jego oficerów. Wyrażała się ona nieraz w formie bardzo ostrej i niedopuszczalnej. Stąd zarzut «undisziplinliert». Zwracałem uwagę na te objawy i raz wydałem rozkaz: od dziś oddawać honory wszystkim oficerom, bez względu na to, jakimi są — nie chcę mieć żadnych skarg. Rozkaz ten był wypełniony, a żołnierze stali się przesadnie grzeczni, robiąc «Stellung» [1]) tak wspaniały, że radowały się serca oficerów austriackich, przekonanych, iż to ich wpływ tak umoralnił legunów. Dyscyplinę, to dobrowolne posłuszeństwo, zawsze w Legionach uzyskać mogłem. Rozkaz był rozkazem, służba służbą. Zarzut «undisziplinliert» tyczy się czegoś innego. Tyczy się pewnego lekceważenia form życia codziennego, lekceważenia, wywołanego ciągłym brataniem się ze śmiercią.

Zawód żołnierski — to praca w nienaturalnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają, co prawda, wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, tzn., że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałym, codziennym. Nie wiem, panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe jest ciągłe ze śmiercią obcowanie. To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysiłek przywyknięcia do niej, to bratanie się z śmiercią wyciska w duszy głębokie ślady, wywołuje zmiany w charakterze. Człowiek, który ma jutro umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do rzeczy. Nie ceni pewnych wygód, bo jutro wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni, co prawda, wygód innych ludzi, lecz swoje również ma za nic. W czasie długiego stykania się i bratania się ze śmiercią wygoda staje się rzeczą tanią, staje się rzeczą, nad którą się łatwo przechodzi do porządku dziennego. Życie dobrego żołnierza staje się ciągłą i ustawiczną loterią. Skutkiem tego jest lekceważenie przez niego spraw dobrobytu materialnego w znacznie silniejszym stopniu, niż to się spotyka w życiu innych ludzi.

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, żłobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostawił gdzieś w dali życie rodzinne. Zadowalać się musi często dorywczym uściskiem, nieraz brutalnie zdobytym. Im

[1]) przyjmując postawę na baczność.

bardziej jest skazany na te dorywcze uściski spotkanej gdzieś w kącie kobiety, tym bardziej rodzi się w nim tęsknota za uśmiechem szczęścia, które niesie życie rodzinne. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim paniom radziłbym wychodzić za mąż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeszcze jeden znamienny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywuje pracę, nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkomyślny on jest w życiu codziennym, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materialną stroną życia, wesoły i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń, uprzyjemniających mu życie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obronie swego cesarza, potem ciągle konspirujący, by swego wodza «z niewoli» wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadierach Heinego? [1]) Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tym właśnie charakterystyczniejsza, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i pociągał pióra obcych. Dwaj grenadierzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wieści — ich cesarz w niewoli. Zdawałoby się, że niczego innego pragnąć nie powinni, jeno powrotu do rodziny, której tak dawno nie widzieli. A jednak całe ich marzenie ześrodkowane jest w chęci ujrzenia i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju, — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleonowego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucano z królewskich wojsk po Restauracji, których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwalił się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

---

[1]) Mowa o utworze p. t. «Dwaj grenadierzy» Henryka Heinego, niemieckiego poety z 1-ej połowy XIX wieku.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu [1]), epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkiem rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowymi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostrą, z nią kładły się i wstawały z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze, wierne honorowi własnemu i honorowi swego wodza. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, włóczący się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkim sercem cały swój żołd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich Uspieńskiego [2]), który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służy on w wojsku, walczy na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo... i filozofuje. Bił nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzy, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydrach wypisywano ongiś: «były oficer, czy podoficer byłych Wojsk Polskich». Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworze i zaprawiających rękę młodego panicza do szabli, opowiadających niezwykłe dzieje przygód wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze

[1]) Sedan, miasto w depart. Ardennes, w płn. Francji; w roku 1870 pod Sedanem odbyła się bitwa między Francuzami i Niemcami, zakończona kapitulacją wojsk francuskich i wzięciem do niewoli cesarza Francji, Napoleona III.

[2]) Gleb Iwanowicz Uspieńskij, pisarz rosyjski z końca XIX wieku.

swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Sługy, nie pozwalający jednak siebie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkomyślnie lekceważyli dobra materialne, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę Don Kichota, rycerza, sprzeciwiającego się zepsuciu i łajdactwu.

Wszędzie, gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materialnymi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możność zachowania najlepszej cząstki swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swoim sumieniem jest ich cechą, nabytą w codziennym brataniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie samych. Szukają przy tym radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej, niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych na przekór światu, na przekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE LEGIONISTÓW WE LWOWIE

(6 sierpnia 1923 r.)

W drugim dniu zjazdu legionowego we Lwowie dnia 6 sierpnia 1923 r. toczono przez cały dzień obrady, w czasie których jeden z delegatów w imieniu legionistów II Brygady okręgu stanisławowskiego i tarnopolskiego postawił wniosek, aby Piłsudski nadał legionistom II Brygady odznakę «Za Wierną Służbę». Następnie uchwalono też rezolucję, wyrażającą hołd Komendantowi i zapewniającą go o oddaniu legionistów dla obrony przed napaściami i oszczerstwami.

W czasie odczytywania rezolucyj wszedł na salę Marszałek Piłsudski i pod koniec obrad wygłosił niżej przytoczone przemówienie, określające jego stanowisko w sprawie rezolucji o odznace «Za Wierną Służbę» i zachęcające legionistów do walki przeciwko kłamstwu i oszczerstwu, które zmniejszają siłę narodu, a które unieszkodliwić można przez podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny.

Przemówienie podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 7 sierpnia 1923 r.

Chciałbym mówić o dwóch rezolucjach. Jedna z tych rezoluzyj, mówiąca o nadaniu II Brygadzie odznaki «Za Wierną Służbę» [1]), jest związana z moją osobą, ponieważ ja tylko mogę odznaczenia takie nadawać. Z tych względów muszę wobec tej rezolucji zająć stanowisko. Stwierdzam, że na znaku I Brygady są moje inicjały J. P., a obok tych liter są małe literki «I Br.». Nie chcę, aby legioniści innych Brygad zrzekli się swej istotnie rzetelnej pracy na korzyść I Brygady. Przeto wnoszę poprawkę formalną, aby zamiast pozostawienia na wszystkich odznakach cyfry I Brygady, nadać wszystkim Brygadom odznakę «Za Wierną Służbę», jaką dotychczas posiadali tylko legioniści I Brygady, z tym jednak, aby każda Brygada miała na odznace swój numer z moimi inicjałami. W przeciwnym wypadku, panowie, inne Brygady zrzekłyby się swych czynów żołnierskich i wzbogaciłyby nimi Brygadę I. To jest moje przekonanie.

Teraz przechodzę do drugiej rezolucji o ochronie czci i szacunku w stosunku do mnie i do wysiłków tych, którzy pracowali na rzecz Polski. Żyjemy w czasach, w których prawo oszczerstwa i szarpania czci cieszy się nadzwyczajną swobodą, a nawet uznaniem. Państwa i narody, które nad podstawie

[1]) Por. t. IV, str. 81.

kłamstwa, na podstawie negowania prawdy podają myśl polityczną, dążą do zguby. Takie państwo zbliża się ku upadkowi. Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i fałszu, w porównaniu z tym, który buduje na prawdzie. Jak w walce wódz, który opiera się na kłamliwych wieściach, który się kłamliwymi raportami kieruje, idzie do przegranej, tak samo naród, który na kłamstwie buduje swe myśli, idzie do swej zguby.

To dziwne prawo oszczerstwa, sugestia kłamliwa istnieje przede wszystkim w stolicy kłamstwa, w Warszawie. Skąd ta łatwość ulegania kłamstwu wpływa na ludzi? Prawdy się boją, a nie cofają się przed kłamstwem. Dlatego rzecz ta jest stokroć poważniejszą, niżby się wydawało. Będąc jeszcze Naczelnym Wodzem, patrzyłem ze zdumieniem na zdolność, z jaką moje polskie otoczenie, z jaką moje polskie społeczeństwo chętnie wierzyło kłamstwu, dając tym dowód swej słabości. Jest to rzecz niebezpieczna dla bytu naszego, jako państwa i narodu. Przeciwdziałanie oszczerstwu, jako metodzie politycznej, jest jednym z najtrudniejszych naszych zadań społecznych, jest rzeczą wielką, na którą gdyby Polska się zdobyła, zdobyłaby wielką siłę. Te oszczerstwa, ta uporczywa metoda łgarstwa, którą to zdolnością odznaczają się pewne stronnictwa, mające wpływ na społeczeństwo, na dusze wielu Polaków, mają źródło swe w niewolnictwie. Jako będący obiektem kłamstwa, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, nie chciałem reagować na nie metodą represyj państwowych. Na kłamstwo nie znajdywałem państwowych środków represyjnych, dlatego ich nie używałem.

Choroba ta jest głębszą, aniżeli wam się zdaje. Kłamstwo jest chorobą wielką. Oszczerstwo ma dlatego duże znaczenie, że mu wierzą. Przemawia wtedy, gdy mu wierzą, i ma właśnie dlatego duże znaczenie, że je u nas tak łatwo dusze przyjmują. Oszczerstwo byłoby tanie, gdyby go nikt nie przyjmował, gdyby mu nikt nie wierzył. Tymczasem oszczerstwo u nas jest wynajmowane, oszczerstwo jest drogie u nas.

Jest w zwyczaju najmowanie siebie i swego pióra do oszczerstwa. Tacy, co się tak wynajmują i są dobrymi w tym zakresie fachowcami, robią majątek, są cenieni. Wielkim i trudnym zadaniem waszym, legioniści, jest doprowadzenie społeczeństwa do tego, aby nie wierzyło oszczerstwu. Gdy chodzi o mnie, dziękuję wam, że stajecie w obronie mojej czci i honoru. Ale ja nie tylko do was należę. Do was należę głęboko, gdyż dzięki waszej pracy i waszej krwi zostałem wysunięty na arenę historyczną, na tak wysokie stanowisko. Lecz

ja należę do całej Polski, bo jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz pracowałem z całą Polską. Należę tym samym i do tych oszczerców także. Chcę was zmusić do pomyślenia nad metodami walki z oszczerstwem. Mam przekonanie zresztą, że potrafię sam bronić mojej czci. Nie używałem środków prawnych, środków represyj państwowych, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, bo byłem zobowiązany do reprezentowania całej Polski. Nie mogłem wtedy stawać w szranki sądowe do rozpraw, bo wywyższyłbym przez to oszczerców. Z chwilą, gdy jestem wolny, zdecydowałem się walczyć sam. Dzięki Bogu język w buzi mam przywieszony po legionowemu. Mam środki i sposoby. Nie łatwo przejść nad nimi do porządku dziennego. Nie jedno z moich słów zostanie uwiecznione tam, gdzie oszczerstwa nie znajdą miejsca. W poszukiwaniu środków dla obrony czci, dla obrony honoru jestem bezwzględny. Jestem zdecydowany wyjść naprzód, aby szacunek dla pracy i państwa polskiego zdobyć. Rozumiem was, że szukacie również metod, że szukacie reakcji dla obrony czci i honoru. Jesteście wszyscy dobrzy żołnierze, a dobry żołnierz honoru swego i honoru swego wodza zawsze będzie bronił. Zaprzeczyłby bowiem inaczej swej duszy żołnierskiej.

Chciałbym, aby i w tym wypadku czynami w obronie honoru okazał żołnierz legionowy, że jest dobrym żołnierzem. Sympatyczny jest mi honor każdego żołnierza, tak żołnierza własnego, jak nawet żołnierza obcego. Wspomniałem wam wczoraj o stosunku społeczeństwa do żołnierza polskiego. Stosunek polski do żołnierza nie tylko legionowego, ale w ogóle wobec polskiego żołnierza nie jest przyjemny. Przytoczę wam dwa fakty, które dotyczą żołnierzy.

W tym miejscu Komendant opowiada o wdowie z dwojgiem sierot po zabitym w obronie Warszawy żołnierzu ochotniku, który był «w cywilu» starostą. Żona z dwojgiem dzieci pozostała bez środków do życia. Rząd nie chciał nic dać. Wyrugowano żonę z dziećmi z mieszkania. Zwróciła się do Komendanta, jako do Naczelnego Wodza, z prośbą o pomoc. Komendant, jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, nic nie mógł zrobić. Kobieta z dwojgiem dzieci prawie umierała z głodu.

To — *ciągnie dalej Komendant* — przejście brutalnym butem po męce innych jest typowym obrazkiem z tych, na które się napatrzyłem w Polsce do syta, jako Naczelnik Państwa.

A teraz przykład drugi. Zwrócili się do mnie dawni żołnierze z Zagłębia Dąbrowskiego z prośbą i skargą, że po de-

mobilizacji znaleźli się na bruku. Że ich po powrocie z wojska, do którego wstąpili jako ochotnicy, nikt nie chce przyjąć do pracy. Gdy się powoływali na to, że przecież państwo przyrzekło im i zastrzegło powrót do warsztatów pracy, odpowiedziano im: «Myśmy was na wojnę nie posyłali. Idźcie do tych, co was na tę wojnę powoływali». Co mogłem uczynić wobec takich argumentów, jako Naczelny Wódz i Naczelnik Państwa?

Cóż powiedzieć o legionistach? Przypominam sobie legionistę, który swą krwią i pracą doszedł do dowodzenia pułkiem. Zmarł on na udar serca bez możności zaopatrzenia pozostałej wdowy i sierot, jak większość legionistów. Nie znaleziono dla nich innego rodzaju pomocy, jak dar z łaski. Ja sam ten papier o darze z łaski dla wdowy i dzieci zmarłego żołnierza musiałem podpisać.

Wtedy powiedziałem sobie, że gdyby miano mi wyznaczyć pensję, to odmówię jej przyjęcia, bo na pensję nie zapracowałem w Polsce, bo ja na pensję w Polsce nie zasłużyłem, żadnemu z zaborczych państw nie służyłem. Tam się pensję daje za wysłużone lata. Dla legionistów, którzy nie służyli zaborcom, nie ma zabezpieczenia. Nie chcę być inaczej traktowany, niż moi koledzy.

W społeczeństwie, gdzie nie ma szacunku dla żołnierzy, którzy istotnie państwo zbudowali i trzymają państwo do dziś dnia, musi powstać kierunek, który się stara różne rzeczy usprawiedliwić drogą oszczerstw. Nie chcę wam wskazywać metod walki z oszczerstwem. Istotą walki jest podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny. Wtedy oszczerstwa będą tanie, a więc bezskuteczne. Wtedy Polska nie będzie miała oszczerców, gdyż oszczerstwa będą tanie. Gdy będziecie myśleli o obronie mojej czci, proszę, aby ta obrona była skuteczna. Ja szukam metod skutecznych. Ja szukam uderzeń, które burzą, a nie takich, które sprawiają tylko satysfakcję za pomocą gestów. Ktokolwiek będzie mnie bronił, to proszę — niech mnie broni skutecznie. Nie należy sięgać do przejawów zewnętrznych, ale szukać tam, gdzie te oszczerstwa są fabrykowane.

OBRONA LWOWA

(7 sierpnia 1923 r.)

Nazajutrz po zjeździe legionistów wygłosił Piłsudski dnia 7 sierpnia 1923 r. w sali lwowskiej Rady Miejskiej niżej przytoczony odczyt, w którym wykazał komu należy przypisać zasługę obrony Lwowa, dał wspomnienia, dotyczące tych trudnych warunków, w których Naczelny Wódz musiał w zaraniu niepodległości pracować, i napiętnował postępowanie obozu narodowo-demokratycznego w okresie walk o Lwów.

Odczyt ten podajemy według «Kuriera Lwowskiego» z 9 sierpnia 1923 r. Redakcja tego pisma, mając na sali wykładowej stenografa, najdokładniej odtworzyła tekst przemówienia.

Szanowne panie i panowie!

Historia, wielka mistrzyni życia i wielki sędzia czynów ludzkich, ze specjalnym umiłowaniem wybiera dla swoich studiów okresy przełomów, okresy kryzysów.

Występują bowiem wtedy na jaw z większą wyrazistością, niż w innych epokach, niż w innych czasach, ludzkie czyny, ludzkie słabostki i siły ludzkie, cnoty i wady, jednym słowem — pełnia duszy człowieka.

Wszystko to, czego człowiek nieraz się wstydzi i co przy szarzyźnie życia przed najbliższymi ukrywa, to w chwili przełomów i kryzysów pod gorącym oddechem wypadków przejawia się i w całej nagości występuje.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, którego doznałem w rozmowie z jednym z najwybitniejszych umysłów obecnego świata, z głową katolickiego świata, Jego Świątobliwości Papieżem Piusem XI.

Był on wtedy skromnym monsignorem, reprezentującym Watykan w Polsce. Jako zawodowy historyk [1]) powiedział mi, że jest wdzięcznym losowi, że rzucił go do Polski w chwili tak przełomowej i krytycznej dla narodu polskiego i że jako historyk obserwować może życie i powstawanie nowych tworów boskich i ludzkich, bezpośrednio, naocznie, gdyż przedtem jedynie z ksiąg mógł uczyć się dziejów chwil przełomowych.

Dla wypadków, któreśmy przeżyli, historia upływa szybko, historia się zbliża, wielki sędzia czynów ludzkich, któ-

[1]) Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, był prof. seminarium w Mediolanie i dyrektorem biblioteki w Mediolanie, potem prefektem biblioteki Watykańskiej; pracował specjalnie nad paleografią łacińską.

rych każdy człowiek ma w dalekiej progeniturze, zbliża się do nas znacznie szybszymi kroki.

Nasza epoka przyciągać będzie oczy znacznie bliższe nam, niż to nieraz nam się wydaje. Sędziów znajdziemy w naszych dzieciach, dzieci nasze, te dorastające obecnie małe główki, które ciekawymi oczkami już teraz na nas spoglądają, nieraz będą z trwogą szukać w stronicach historii, gdzie byli ich rodzice.

Obrona Lwowa w życiu powstającego państwa polskiego w przełomowym okresie naszego istnienia odegrała zbyt znaczną i wielką rolę, by jakikolwiek historyk tej właśnie części naszych działań i naszego życia nie musiał poświęcić specjalnej uwagi. W obronie Lwowa ześrodkowało się w swoim czasie «gros» wysiłków całej Polski. Jeżeli ją weźmiemy pod względem wojskowym, to cztery piąte sił, tworzonych z takim wysiłkiem, zebrało się nie gdzie indziej, jak na placach boju koło Lwowa, zostawiając zaledwie małą cząstkę gdzie indziej, a wysiłki wojskowe w owym czasie tworzenia siły ramienia zajmowały również «gros» wysiłków całego społeczeństwa. Jeżeli weźmiemy życie polityczne państwa świeżo tworzącego się ze wszystkimi próbami i niedogodnościami każdego życia politycznego, to również znajdziemy, że ono przez dłuższy czas ześrodkowało się nie koło czego innego, jak koło wypadków, dziejących się koło waszego miasta. Ja osobiście, ze wszystkimi swoimi wadami i cnotami, całą swą mocą czy bezsilnością stałem w centrum zjawisk polskich, «magna pars fui» [1]) wszystkiego tego, co się w Polsce działo. Dlatego też z chwilą, gdym się zdecydował stanąć spokojnie przed sądem nie waszym, lecz historii, stanąć spokojnie ze swoją czynnością i swoimi pracami przed oczy tych, do których mnie najwięcej ciągnie, przed oczy dorastających dzieci, które nieraz sobie o tym mówić będą, chcę dać jedynie stwierdzone fakty, chcę dać jedynie dane, związane ze mną, jako z człowiekiem, który był Naczelnym Wodzem wojsk polskich i Naczelnikiem Państwa. Nie idzie mi o analizę poszczególnych wypadków, nie idzie mi o techniczne określenie sposobów i wartości poszczególnych działów obrony Lwowa, gdyż w nich bezpośrednio sam nie brałem udziału i musiałoby to zresztą stanowić inny dział pracy, do którego panowie i panie, jako audytorium, niezbyt się nadają.

Jak państwu wiadomo, z końcem r. 1918 znajdywałem się w mieście Magdeburgu, w cytadeli. Byłem od polskiego życia rozmyślnie najzupełniej izolowany. Życie polskie biegło hen,

[1]) brałem wielki udział.

gdzieś daleko, nie dając mi żadnych danych o sobie. Izolacja ta była doprowadzona do tego stopnia, że do mnie wiadomości o świecie zewnętrznym dochodziły jedynie z gazety codziennej, wychodzącej w Magdeburgu — «Magdeburgerzeitung». Z niej tylko mogłem czerpać dane i wiadomości o mojej ojczyźnie. Z tych danych, względnie ubogich, przed przyjazdem 11-go listopada [1]) do Warszawy, zostało mi w pamięci jako drogowskazy, jako dane, z którymi do Polski jechałem, kilka zaledwie dziwnych rzeczy. Pierwszą wiadomością był wetknięty mi w ręce na parę tygodni przed uwolnieniem, czy to przez sympatię, czy to przez złośliwość podoficera, tygodnik niemiecki, w którym znalazłem ku memu wielkiemu zdziwieniu mój portret z podpisem: «minister spraw wojskowych Polski». Z krótkiej przy tym notatki widziałem, że chodzi o jakiś gabinet Świerzyńskiego, o którym pierwszy raz słyszałem, że mógł istnieć w Polsce. Byłem w nim jakoby ministrem spraw wojskowych [2]), który siedział w Magdeburgu. Pamiętam, jak śmieliśmy się z moim kolegą w więzieniu, gen. Sosnkowskim, jak kpiliśmy, jako z symbolu Polski, iż minister spraw wojskowych tego kraju jest nie gdzie indziej, jak w więzieniu.

Drugi fakt, który doszedł do moich uszu, dotyczył tzw. zaboru austriackiego. Mianowicie — w piśmie, napadającym ustawicznie na słabość sojusznika, na Austrię, był patent cesarza Karola [3]), nadający nagle wielkie prawa ludności i rzucający do «swoich wiernych krajów i narodów» wezwanie, by same się zajęły swoim losem, dzieląc, że tak powiem, dawną Austrię według krajów, według narodów, nie dając im zresztą określonych zadań, dzieląc raczej mienie i dobro pomiędzy te narody. Pomiędzy tymi narodami byli też Polacy. Bodaj że jeszcze kilka drobnych faktów doszło do mnie, z których mogłem sobie wyrobić obraz o Polsce, a który został mi w głowie, gdym pospiesznym pociągiem, zwolniony wreszcie przez Niemców, jechał do Warszawy.

Przyjechałem do Warszawy 11-go listopada, tzn. w związku z wypadkami lwowskimi w dziesięć dni po rozpoczęciu we Lwowie starć czy bojów.

Historia zatem tych dziesięciu dni wraz z wszystkimi perypetiami nie należy w żadnym wypadku do mnie i w żadnym

---

[1]) Piłsudski przyjechał do Warszawy 10 listopada 1918 r.

[2]) W gabinecie Świerzyńskiego, mianowanym przez Radę Regencyjną w dniu 23 października 1918 r., tekę Ministra Spraw Wojskowych zastrzeżono dla Piłsudskiego.

[3]) Mowa o patencie cesarza Karola z dnia 16 października 1918 r. Patent ten mówił o chęci przeobrażenia Austrii na państwo związkowe.

związku ze mną nie była. Jeżeli piękne lwowianki i równie zacni lwowianie przypuszczają, że w Warszawie, gdym tam przyjechał, słowo padło kiedykolwiek o Lwowie, to grubo się mylą. Ja przeprowadziłem w pierwszych kilku dniach co najmniej tysiąc rozmów z ludźmi z najrozmaitszych stronnictw, z ludźmi najrozmaitszych autoramentów i nie przypominam sobie jednak ani jednej rozmowy, w której mówionoby mi o Lwowie. Mówiono o najrozmaitszych rzeczach, podawano mi tyle recept na zbawienie Polski, z ilu ludźmi rozmawiałem, lecz o Lwowie — nie mówiono.

Żyto w owym czasie innymi wrażeniami, wrażeniami ciężaru życia i niepewności w samej Warszawie i w ówczesnym zaborze rosyjskim, w Królestwie. Niemiec był jeszcze na miejscu. Żołnierz niemiecki chodził jeszcze po ulicach Warszawy. Dokoła działo się coś nadzwyczajnego, o czym nikt ściśle nie wiedział, lecz trwożył się przed niepewnym jutrem. Setki tysięcy bezrobotnych, których Warszawa w owym czasie miała, o ile mi się zdaje, zajmowało znacznie więcej umysłu i trosk w sercach, niż jakiekolwiek rzeczy, które się działy gdzie indziej.

Minęło w ten sposób dla mnie kilka dni, w czasie których główną moją pracą było nie zajmowanie się Lwowem, lecz uregulowanie w jakiś sposób swego osobistego stosunku do zjawisk, których nie zbadałem dotąd, do których nie byłem przygotowany i które wielkim, olbrzymim pochodem tłoczyły się na mnie, żądając ode mnie ustosunkowania się do nich. Z tej masy i powodzi faktów, z tej masy i powodzi recept, z tych wielkich hałasów na ulicach, które wówczas w Warszawie się działy, doszły do mnie bardzo niejasne i niewyraźne dane i o dawnym zaborze austriackim. Dowiedziałem się więc, że w Krakowie urzęduje Komisja Likwidacyjna [1]), rządząca i czyniąca na podstawie patentu cesarza Karola. Dowiedziałem się również, że w tej Komisji Likwidacyjnej są reprezentowane wszystkie stronnictwa, jakie istniały zgodnie z moimi poprzednimi wiadomościami w tzw. Królestwie Galicji i Lodomerii. Dowiedziałem się, że dowodzi tam wojskiem mój dobry znajomy, gen. Roja, a w Lublinie mój dobry znajomy i podwładny, gen. Śmigły, tak, jak w Warszawie dowodzi mniej dobry mój znajomy, gen. Rozwadowski.

Pierwszym moim dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Czułem, że jeżeli rzeczy dalej pójdą w tak rozbieżnym kie-

[1]) Komisję Likwidacyjną postanowiło utworzyć zgromadzenie posłów polskich do b. parlamentu austriackiego, które odbyło się w Krakowie dnia 28 października 1918 r.

runku, to to, co stanowi siłę i moc, wobec zbliżającej się do Polski nieznanej jeszcze fali niebezpieczeństw nie zostanie wytworzone. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednym ręku, a wobec dziwnej może mojej zarozumiałości wolałem, żeby one skupiły się w moim ręku. Ta rzecz mnie się udawała, udawała względnie lepiej, niż wszystkie inne cywilne prace, gdyż pod tym względem spotkałem zbyt silne tarcia i zbyt wielkie przeszkody w roznamiętnionych, lecz chaotycznie usposobionych umysłach, z którymi musiałem się stykać. Starałem się więc zebrać wszystkie dane o stanie wojska i stanie siły w całej Polsce. W tym też czasie przybiegały do mnie najrozmaitsze wiadomości o stanie Lwowa.

Jestem człowiekiem, który przyzwyczajony był zawsze do pewnej pogardy w stosunku do plotek, specjalnie do plotek wojskowych. Szczególną zaś niechęć czułem zawsze do przedstawiania spraw wojskowych w sposób demagogiczny, w sposób, który uniemożliwia najlepszemu żołnierzowi zorientować się, ile w tym jest kłamstwa rozmyślnego lub bezwiednego, a ile w tym prawdy. Dlatego też szukałem od razu za człowiekiem, któremu mógłbym zaufać. Dowiedziałem się, że od pierwszej prawie chwili walk lwowskich szefem sztabu obrony jest jeden z moich oficerów, mianowicie — zmarły obecnie Łapiński [1]). Starałem się z nim nawiązać stosunki, gdyż byłem przekonany, że on wobec swego starego Komendanta ani demagogii, ani plotek uprawiać nie będzie. Starałem się ściśle zbadać stan rzeczy. Niestety, dobrego wniosku z tych wiadomości wysnuć nie mogłem. Około 20-go listopada (ściśle daty ustalić nie mogę) przyleciał wreszcie lotnik Stec [2]), który mi w imieniu tegoż Łapińskiego zdał sprawę z tego, jak jest we Lwowie. Powtarzam prawie dosłownie jego raport: «Mniejsza część miasta jest w rękach polskich, a większa część w rękach ruskich. Boje nie są ciężkie, ogromna część społeczeństwa polskiego (wymienił mi różne nazwiska) pertraktują z Rusinami o coś w rodzaju condominium nad Lwowem [3]), nie wierząc w możliwą obronę i posiadanie miasta w całości. Obrona polega na nie-

[1]) Stanisław Łapiński, pseudonim Nilski, oficer I Brygady, szef sztabu załogi Lwowa od 1 do 25 listopada 1918 r, późniejszy ppłk. Sztabu Generalnego, zmarły 16 lutego 1922 r.

[2]) Mowa o por. Stefanie Stecu, który według pracy Stan. Rutkowskiego «Odsiecz Lwowa» (ogłoszonej pierwotnie w «Bellonie») był przyjęty na audiencji przez Piłsudskiego dnia 12 listopada 1918 r.

[3]) Mowa o pertraktacjach prowadzonych przez t. zw. Polski Komitet Narodowy, ciało złożone z reprezentantów stronnictw polskich we Lwowie.

wielkiej garstce legionistów, na większej znacznie ilości młodzieży, bardzo nieraz młodej, z trudem wytrzymującej ciężary. Obok niej jest prawie to samo, co w Warszawie, — tłum ludzi, chodzących i krzyczących, rozprawiających i zmieniających co chwila zdanie, plotkujących o najrozmaitszych rzeczach, a co niechybnie na siłę obronną nie wpływało korzystnie». Wreszcie powiedział mi, że teraz leci z powrotem do Lwowa, lecz osobiście jest tak mało przekonany o możliwości obrony, że nie jest pewny, czy będzie mógł już wylądować we Lwowie i nie wie, czy lotnisko, z którego wyleciał, będzie jeszcze w posiadaniu polskim, czy też już w ruskim. Stan opisał mi dość rozpaczliwie. Rozpatrzyłem te dane i razem zresztą z Łapińskim, który mi przez niego przesłał swoje dane, przyszedłem do przekonania jedynie rozsądnego, że bez dania z zewnątrz pomocy sprawa dla Lwowa jest przegrana. Zastanowiwszy się nad moim własnym stanem, powiedziałem, że ja tej pomocy dać nie mogę, że gdybym nie wiem co robił, to ze siebie tej pomocy nie wydobędę i żadnego terminu postawić nie jestem w stanie, że jest zatem jako wynik jedyny — czas. Wytrzymacie dłużej — prawdopodobnie zdążę, nie wytrzymacie dłużej — nie będę w stanie tego zrobić.

Lubię prawdzie patrzeć prosto w oczy. Stan bowiem ówczesny, który miałem, polegał na następującym: Niemcy szczęśliwie dawali się rozbrajać; dość dużo najrozmaitszej broni i dość dużo najrozmaitszych zapasów i ubrań dostawało się w polskie ręce; mnóstwo obiektów wojskowych o wielkim znaczeniu wpadało zupełnie łatwo w nasze ręce, a niezwykle «patriotyczna» i podniecona ludność starannie to rozkradała. Miałem, proszę państwa, koszary, które trzy razy w ciągu wojny poprawiałem i które trzy razy do ostatniego mebla przez ludność okoliczną były rozkradane. Musiałem więc, jako dobry gospodarz, z obowiązku chociaż jaką taką straż postawić, żeby zapobiec, aby to dobro, w które może będzie jutro trzeba uzbroić i wyekwipować ludzi, by ono zostało zachowane. Zwyczajem bowiem polskim rozkradano tę broń dla uzbrojenia prywatnego wojska, które wyrastało, jak grzyby po deszczu. Każde nieledwie stronnictwo, mające pewne recepty na uratowanie Polski, tworzyło swoje prywatne wojsko i zupełnie swobodnie sięgało do składów wojskowych, o ile te nie były pilnowane, dla uzbrojenia ludzi, nieraz grożąc mi, gdy byłem jeszcze na ulicy Mokotowskiej [1]), że ta broń będzie przeciw mnie użyta.

[1]) Piłsudski w drugiej połowie listopada 1918 r. mieszkał na ul. Mokotowskiej nr 50.

W tej sytuacji, zmierzywszy swoje możliwości, powiedziałem temu oficerowi: «Leć, człowieku, z powrotem i staraj się trafić do Krakowa. Tam życie spokojnie idzie, może Kraków będzie mógł dać jakąś pomoc. Ja w czasie nieokreślonym, bo nie mam możności określić czasu, przystępuję do organizacji wojska i ruszam — lecz kiedy, nie potrafię tego powiedzieć». Czy piękne lwowianki i zacni lwowianie za grzech to będą mi poczytywać, czy dzieci nawet moje własne w sądzie swoim za grzech i za błąd mój będą mi to poczytywały, nie wiem. Stwierdzam fakty tak, jak one były. O Galicji zachodniej por. Stec dawał mi złe dane. Na moje żądanie, aby stamtąd wyciągnął pomoc, dał mi krótki opis tego, co widział i co słyszał sam. Przychodziły, co prawda, uzbrojone jednostki z frontów najrozmaitszych do takiego czy innego miasta galicyjskiego. Opowiadał mi między innymi o pięknym porządku, w jakim pułk, formowany dawniej w Jarosławiu, przyszedł do tego miasta. Żołnierze jednak broń w kozły składali i szli do domów, zostawiając broń, w kozły złożoną, na placu. Czy oni będą mogli być zebrani i gdziekolwiek rzuceni, o tym ten porucznik, który przez Galicję przejechał i o tym lub o owym słyszał, wątpił. Mówił, co prawda, że wyprzedzili organizację, jak zwykle, legioniści, że pułk 5-ty w Przemyślu, a 4-ty pułk Legionów w Krakowie reprezentują jakąś wartość siły. Bo jest to i zebrane i, zdaje się, gotowe mogłoby być do wymarszu. Lecz również i tam jest ta sama kwestia, jaką miałem w Warszawie, tzn. mnóstwo obiektów wojskowych, których trzeba pilnować. Opowiadał mi, że na wartach stoją w wielu miejscach oficerowie — rzecz dość niezwyczajna — dlatego, że żołnierzy nie ma, bo żołnierze po powrocie wracają natychmiast do domów. No, powiedziałem mu — ja tam nie dowodzę, nie potrafię tego zarządzić, jedźcie, zatrzymajcie się w Krakowie i powtórzcie mój rozkaz Roji, aby iść na pomoc [1]).

[1]) Dnia 12 listopada 1918 r. Piłsudski wysłał do gen. Roji następujący rozkaz:

Rozkazuję Wam niniejszym, co następuje:

1. Kampanię rozpoczętą przez Was na Spiszu przerwać, użyte w tym celu oddziały wycofać z powrotem do Galicji poza linię, obowiązującą przed wojną jako linia graniczna między Galicją a Węgrami.

2. Ilość wojsk, stacjonowanych w Nowym Sączu, obniżyć do możliwych granic, oddziały jednak, znajdujące się w stadium organizowania się, mogą pozostać na miejscu.

3. Zaoszczędzonych na podstawie punktów 1 i 2 sił — użyć:

a. do wzmocnienia załóg i obsady wojskowej na Śląsku Cieszyńskim,

b. do wzmocnienia ekspedycji wschodnio-galicyjskiej.

Piłsudski.

Proszę panów, z wielką ulgą dowiedziałem się względnie prędko, że 5-ty pułk Legionów, stojący w Przemyślu, na wieść o tym, że Lwów jest bardzo zagrożony i że traci nadzieję utrzymania się, bez rozkazu gen. Roji pod dowództwem ppłk. Tokarzewskiego ruszył naprzód na ratunek.

Dziełem więc 5-go pułku było to, że Lwów pozostał w rękach polskich.

Zrobił to 5-ty pułk Legionów, ppłk. Tokarzewski wbrew zdaniu swych przełożonych, gdyż i Przemyśl był również niepewny, również w Przemyślu drżano o utratę tego miasta — i wszelkimi siłami starano się mieć go koło siebie. Decyzja ppłk. Tokarzewskiego, który poszedł wbrew swym przełożonym dla was, Lwowa, fakt ten, powtarzam, oswobodził mnie od wielu trosk. W pierwszej chwili nie miałem wyobrażenia, jakie siły są nieprzyjacielskie. Tutaj tych sił mierzyć czymkolwiek nie byłem w stanie. Wiadomości były zanadto sprzeczne, były zanadto niedokładne, abym sobie mógł właściwie wyobrazić, co to jest ten front lwowski, co to jest ta walka we Lwowie. Z jednej strony układy, prowadzone przez ludzi wszystkich stronnictw, z drugiej strony garść ludzi walczących, tak, że nie mogłem nawet wiedzieć, czy nie walczą oni przeciw układającym się i czy tam wewnątrz nie ma jakichś dzikich pomiędzy sobą sporów. Z drugiej strony doszły mię wieści, że po dotarciu do Lwowa 5-ty pułk Legionów świadomie poszedł dalej naprzód. Wiecie państwo — nabiera się złego przeświadczenia o nieprzyjacielu, który tak łatwo Lwów opuścił [1]). Ale nieprzyjaciel okazał się silniejszy. Lwów został na nowo zagrożony. Proszę państwa, przystępuję do analizy faktycznej, kto był dalszym obrońcą Lwowa.

W swej pracy organizacyjnej jako Naczelny Wódz zrobiłem krok błędny czy niebłędny, nakazując jako pierwszy krok przy organizacji wojska mobilizację Polskiej Organizacji Wojskowej [2]) — zwołać żołnierzy pod broń nie sposobem poborowym, lecz sposobem ochotniczym. Motywy, które mnie skłoniły do tego kroku, były następujące: Niezwykłe ubóstwo materialne, z którym spotkałem się przy pierwszym kroku, t. zn., że żołnierze, przychodząc do koszar, nie znajdowali tam ani siennika, ani poduszki, ani słomy, ani kołdry, ani ubrania, ani butów. Pamiętam, w tych czasach zwiedziłem obecny 36-ty pułk, który tu walczył także pod Lwowem i który miał tradycje specjalne jako pułk, powstały z legionu akademickiego, tzn.,

---

[1]) W nocy z dnia 21 na 22 listopada 1918 r.

[2]) Por. t. V, str. 30—33.

że mnóstwo młodzieży inteligentnej, mnóstwo akademików w zapale wojennym dla służby, dla ojczyzny do tego pułku się zapisywali. Poszedłem rozmyślnie zwiedzić koszary, aby zobaczyć — jak ten pułk żyje. Znalazłem to, co powiedziałem. Nie mieli chłopcy koców, nie mieli chłopcy ubrania wojskowego, broń, co prawda, się ściągało, ale w niewielkiej ilości. Nie mieli butów, ale za to chodzili w lakierkach, a więc w obuwiu bardzo eleganckim, ale bardzo mało nadającym się do służby wojskowej, z lekkomyślnością młodzieńczą sądząc, że to nic nie szkodzi. Osobiście nie chciałem ich wyprowadzać z tego błędnego pojmowania, albowiem wolałem pozostawić ich w lakierach, niż starać się ich zniechęcać, zaczynać im opisywać grozę ich położenia, tzn. niepotrzebnie ich przerażać. Sądziłem, że ochotnicy staną do pracy i znosić będą biedę materialną znacznie łatwiej, niż żołnierz poborowy, żołnierz, który z musu przychodzi, który przychodzi na żądanie państwa i pragnie także możliwości życia, której dać mu nie było można. W ten mniej więcej sposób formowały się bataliony po różnych kątach Polski, niedostatecznie zaopatrzone, ba — z niedostatecznym uzbrojeniem. Broń zbierano z różnych kątów, rzucano ją w nieporządku. Brak amunicji w wojskowym tego słowa znaczeniu wyrastał z każdego kąta.

Ochotnicy zbierali się chętnie i niepodobna było nie brać ochotnika, który miał zapał i chęć zostania żołnierzem. Żołnierze z poboru to ludzie, którzy w bardzo wielkiej ilości z pełną podejrzliwością patrzyli na stałość państwa polskiego, w oczach których Polska jeszcze nie wytrzymała próby życia. Zauważyłem, że już wtedy szalała pomiędzy ludźmi olbrzymia namiętność polityczna ze stałymi oskarżeniami o zdrady i najrozmaitsze podłe rzeczy, bałem się pociągać masy ludzi, tym bardziej, że nie wiedziałem, jak ich uzbroić. Zatrzymałem się więc na powołaniu ochotników i nakazałem najbardziej gotowej organizacji — Polskiej Organizacji Wojskowej — postawić pod broń wszystkich swoich zwolenników i pociągnąć do swych szeregów możliwie najszersze koła młodzieży, któraby zgodziła się w tych złych i trudnych warunkach stanąć na służbie Polski, jako żołnierze. Ta mobilizacja peowiacka dała do 50.000 żołnierzy, tak, że początek armii polskiej i początek jej organizacji opiera się nie na czym innym, jak właśnie na Polskiej Organizacji Wojskowej i jej zwolennikach. Takie to bataliony formowałem i, naprędce zorganizowawszy, pchałem je na Lwów.

Był to, moi panowie, okres czasu, nie bardzo nadający się do wygody ludzkiej, do wygody życia w polu. W zimie, jak

panowie wiecie, są takie chłody, panują nieznośne wiatry, a śnieg albo deszcz moczy i nęka żołnierzy niesłychanie.

Obok tego te wpływy atmosferyczne miały także dziwną skłonność do niszczenia ubrania i niszczenia obuwia, tak, że w czasie zimy ubranie żołnierskie, obuwie żołnierskie niszczyło się dziesięć razy szybciej, niż w czasie lata. W tych warunkach rzucałem batalion za batalionem lub chociażby kompanie ledwie sformowane, by w ten sposób napełnić ten wiecznie głodny worek, jakim wówczas był dla mnie front lwowski. Pamiętam te skargi wszystkich oficerów, którzy mi twierdzili, że takich żołnierzy do boju wyprowadzać nie wolno, pamiętam te skargi, gdy komendant batalionu, mającego natychmiast wyruszyć w pole, z rozpaczą w sercu opowiadał, że nie wszyscy ludzie jego mają buty. Pamiętam raporty, grożące mi ze strony władz wojskowych, że popełniam jakieś wariackie czyny, posyłając w ten sposób ludzi do boju, i pamiętam depeszę za depeszą, przychodzące z pod Lwowa, żądające pomocy i jeszcze raz pomocy. W tej walce wewnętrznej, którą odbywałem, pamiętam dwa czynniki — czynnik rozsądku, który mi mówił, że nieraz moi podwładni wojskowi mają rację, żądając czasu i pamiętam depesze, które gen. Rozwadowski [1]) po kilka razy dziennie przysyłał, żądając pomocy i pomocy. W tej ustawicznej walce pomiędzy sobą żyłem długo, bardzo długo.

Żołnierze, walczący pod Lwowem, złożeni byli z trzech elementów: 1) żołnierz ochotniczy, którego dał Lwów, a który był najmniejszy liczebnie, 2) większy liczebnie dlatego, że z większej części kraju ściągnięty, to chłopcy ochotnicy, którzy zgłosili się z zachodniej Galicji, i wreszcie — 3) olbrzymie «gros», które tworzyły bataliony i kompanie w Królestwie z peowiaków.

Walka, która się tu odbywała pod Lwowem, odznaczała się charakterem niezwykle dziwacznym pod względem pracy wojskowej. Nieraz w Belwederze zachodziłem w głowę, jak właściwie takie dziwactwa mogły się w ogóle utrzymać. Na moje pytania gen. Rozwadowski dawał mi różne wyjaśnienia, mimo to nie mogłem pozbyć się wątpliwości, które ciągle mi siedziały w głowie. To, co się działo, było zbyt nadzwyczajne i dlatego postanowiłem pojechać na miejsce, by stwierdzić stan rzeczy własnymi oczyma. Przyjechałem na front lwowski [2]) z Przemyśla pociągiem pancernym, inaczej bowiem nie chciano mię wysłać. Przybyłem do Lwowa i obszedłem różne części

[1]) Gen. Tadeusz Rozwadowski dowodził całością sił polskich, operujących w Małopolsce Wschodniej od 24 listopada 1918.

[2]) Piłsudski był we Lwowie dnia 22 grudnia 1918 r.

frontu. Obserwowałem miasto, obserwowałem życie wojskowe, rozmawiałem z dowódcami, widziałem pracę i — wyznaję państwu — wróciłem mocno uspokojony. To, co wydawało mi się przedtem dziwacznym, okazało się naturalnym, co wydawało mi się naturalnym — okazało się dziwacznym. Organizacja wojska wydała mi się jakąś niesłychaną pstrokacizną, niemożliwą do dowodzenia, i żądałem od gen. Rozwadowskiego, tak, jak i od później wyznaczonego gen. Iwaszkiewicza [1]), zreorganizowania tego tłumu bez organizacji, za który uważałem ówczesne wojsko, zebrane pod Lwowem. Mnóstwo drobnych oddziałów, rozbitych na kompanie, na grupy, podgrupy najrozmaitsze, ich ułożenie było tak trudne i skomplikowane, iż przypominam sobie, że mniej więcej półtorej godziny spędziłem z gen. Rozwadowskim i jego szefem sztabu dla wytłumaczenia mi prostych rzeczy, a które technicznie w wojsku nazywamy «ordre de bataille». Natomiast przegląd wojsk, walczących pod Lwowem, uspokoił mię pod jednym względem: to, co mi się wydawało trudne, to ludzie łatwo wykonywali.

Stało tu wojsko tak źle ubrane, wojsko tak licho wyekwipowane, wojsko tak źle zaopatrzone, stojące na samej peryferii wielkiego miasta i broniące się na 60-kilometrowej przestrzeni, na froncie, gdzie się ludzie nieledwie plecami o siebie opierali. Było to takie sprzeczne z wszelką strategią, że zdawało się niemożliwe, by ludzie ci mogli długo się utrzymać. Jeżeli zdołali, to właśnie dzięki wartości moralnej. Żołnierz na tym przedmurzu naszej Polski, którym jest Lwów, gdzie wszystkie wiatry ze wszystkich kierunków dają sobie «rendez vous», gdzie zatem jest względnie trudno wytrzymać nawet dobrze ubranemu człowiekowi, ów wytrzymał nieraz pół nago, nieraz boso, nieraz głodny, gdyż aprowizacji dostatecznej dać nie było można. Wszędzie, gdzie byłem, widziałem ducha i pewność, że się utrzyma. Kampania lwowska należała, zdaniem moim, do najcięższych rzeczy, które żołnierze wytrzymali. Nie dziwię się wcale wrażeniu cudzoziemców, którzy potem ze łzami w oczach opowiadali mi o bohaterstwie żołnierza naszego, który w takich warunkach pracować jest w stanie. Mówili mi, że jeżeli kiedykolwiek wątpili o prawach Polski do Lwowa, to widok żołnierza polskiego, który w tych warunkach w tym piekle życiowym, w którym żaden inny żołnierz dwa tygodnie przetrwaćby nie potrafił, to widok tych żołnierzy, którzy z zapałem

[1]) Gen. Wacław Iwaszkiewicz od dnia 11 marca 1919 r. dowodził siłami polskimi w Małopolsce Wschodniej.

bronili tego miasta, był dostatecznym motywem, aby przyznać go Polsce.

Powtarzam, wojsko pod Lwowem składało się z trzech części: z ochotników lwowskich, liczebnie najmniejszej części, z liczniejszych od nich ochotników z zachodniej Galicji i z najbliższych okolic i peowiaków, ściągniętych przeze mnie w drodze mobilizacyjnej pod broń, a którzy stanowili najliczebniejszą część wojska, broniącego Lwowa.

Przechodzę, moi państwo, do strony moralnej obrony Lwowa. Jest faktem niezaprzeczonym, że zapał i chęć obrony zagrożonego miasta w całej Polsce była bardzo wielka. To dodawało zapału, dodawało wytrwania żołnierzowi w ich ciężkich materialnie warunkach. Moralne znaczenie miało i zachowanie się samego Lwowa. Jestem starym żołnierzem, który wiele rzeczy jako żołnierz widział. Dlatego też, przyglądając się Lwowowi w czasie swego pobytu, miałem, przyznam się, w pierwszej chwili niechęć do przeceniania znaczenia wojny pod Lwowem. Wojna tu oddechem swoim nie niszczyła. Nie płonęły tu pod gorącym oddechem wojny, tak, jak gdzie indziej, tysiącletnie wieże kościelne, jak źdźbła słomy, pod naciskiem wybuchów, nie waliły się wieże, kamienice i wasze mieszkania, pod gorącym i zatrutym oddechem wojny liście waszych parków nie opadały zatrute, tak, jak to było gdzie indziej. Pod gorącym oddechem wojny nie zamierało życie całe tak, jak to było gdzie indziej. Oddech wojny mnie, żołnierzowi, wydawał się łagodny. Działał on jednak na miasto, tylko inaczej. Miasto o stukilkudziesięciu tysiącach mieszkańców ma swoje konieczne potrzeby. Te potrzeby odcinała wam wojna. Woda, asenizacja, aprowizacja — te przekleństwa życia w wojnie, działały na miasto, robiąc powoli, lecz skutecznie zgubę miasta, zgubę jej mieszkańców. Siłę tego działania czuć było w mieście, czuć ją było przez zmysł powonienia, czuć ją było na bladych twarzach dzieci, na zmęczonych twarzach kobiet i mężczyzn, na żniwie śmierci, która chodziła po mieście, biorąc i chwytając drogie każdemu człowiekowi osoby. To zatrucie powolnym oddechem wojny, bez całej grozy wojny, bez tego całopalenia miasta w jednym wybuchu, było może dla mieszkańców silniejszą próbą, niż ten silny oddech wojny, który w jednej chwili niszczy tysiąc lat kultury i budowy i który człowiekowi żadnej nadziei w jednej chwili nie pozostawia. Tu codziennie trzeba było walczyć o nadzieję, codziennie walczyć o siłę wytrwania. Wojsko, rozrzucone na samym brzegu miasta, tramwajem jeździło do okopów, wracając tramwajem z placówki do kawiarni, mieszając się z ludnością. Lud-

ność stawała się wojskiem, wojsko stawało się ludnością. Żaden wpływ dowódców nie mógł być tak silny, jak to codzienne przenikanie wojska do ludności i ludności do wojska. Istniała codzienna zależność żołnierza od ludności, codzienna zależność ludności od dobrego lub złego humoru swego obrońcy. A trwało to tak miesiącami. I kiedym ja, jako sędzia wojskowy, dający nagrody, odznaczający ludzi, myślał i przemyśliwał nad kampanią pod Lwowem, to wielkie zasługi waszego miasta oceniłem tak, jak gdybym miał jednego zbiorowego żołnierza, dobrego żołnierza i ozdobiłem Lwów krzyżem orderu «Virtuti Militari» [1]), tak, że wy jesteście jedynym miastem w Polsce, które z mojej ręki, jako Naczelnego Wodza, za pracę wojenną, za wytrzymałość otrzymało ten order.

Lecz, moi panowie i panie, były w czasie walk o Lwów, przyjnajmniej dla mnie, a sądzę i dla innych, duże moralne przeszkody i muszę się przyznać, jak przyznałem się z początku do błędu, że razu pewnego w Belwederze, gdy z codziennym rannym raportem wchodził do mnie adiutant, by mi zameldować o audiencjach powszechnych, znalazł mnie w niebywałej dotąd postawie. Przy boku leżał pistolet i powiedziałem adiutantowi, patrząc mu w oczy i grożąc, słowa: «Lwów, a strzelam!» Adiutant przerażony wyszedł i skreślił wszystkie audiencje w sprawie Lwowa. Przyznaję się do tego faktu. Tysiąc trąb jerychońskich brzmiało wówczas po całej Polsce, ziało oddechem niechęci i nienawiści, nie przeciw Rusinom, ale przeciw mnie, nie przeciw tym, którzy Lwów chcieli zabrać, lecz przeciw temu, kto obroną Lwowa kierował. Tysiące trąb jerychońskich burzyło mury nie wroga, bo tam się «koń śmiał» z tych trąb jerychońskich, lecz moją duszę, Naczelnego Wodza, który miał cztery piąte swych sił nie gdzie indziej, jak pod Lwowem. Trąby jerychońsko-narodowe grzmiały oskarżeniem o zdradę wszelką, syczały, jak płaz pełzający, by wzbudzić w obrońcach Lwowa bezsilność, gdyż mieli oni nie wierzyć swemu dowódcy, gdyż mieli oni mieć wątpliwość w stosunku do jego zamiarów, mieć wątpliwość w stosunku do jego rozkazów.

«Cui bono» tak się robi? Dla kogo tak się pracuje? Dla Polski? Nie wierzę! Trąby jerychońskie, wysyłające do mnie piętnaście delegacji codziennie, z krzykiem szantażujące z moich ust słowa poddania się, szantażyści, nie znający siły, szantażyści, ośmielający się patrzeć tam, gdzie ich oko nie sięga! Trąby jerychońskie brzmiały wówczas rozgłośnym echem, tworząc legendy, powtarzane i dotąd, tworząc fałsze

[1]) Por. t. V, str. 178—179.

historii w stosunku do istotnych obrońców Lwowa, w stosunku do 5 pułku Legionów, od którego działań datuje się chwila, gdy Lwów jest polskim, w stosunku do ogromnej liczby obrońców Lwowa, co, służąc poprzednio w P. O. W., tu przed murami miasta śmierć, kalectwo lub brak zdrowia na całe życie wynosili. Trąby jerychońskie, brzmiące wymysłami o zdradzie Naczelnego Wodza, trąby jerychońsko-narodowe, które tu o «condominium» gadały z Rusinami, bojąc się stanąć oko w oko z wrogiem, które psuły powietrze belwederskie swoją obecnością! Przychodzą ci panowie, którzy zawsze od kuli uciekali, przychodzą panowie ci z krytyką w stosunku do dowódców wojskowych. Panowie ci ośmielili się podnosić głos, mówiąc, że taki a taki generał dwa bataliony tam lub gdzie indziej posłał i że z tego powodu Lwów upadnie. Mogę wymienić nazwiska tych delegatów. Zaproponowałem im wtedy (a byli to posłowie), by za moim podpisem podjęli dowództwo nad wojskiem. Tego nie chcieli wziąć. Trąby jerychońsko-narodowe jeszcze i teraz napadają na mnie w jakimś dzienniczku. Tytuł: «Dlaczego krwią polską zalewał się Lwów? Na marginesie II Zjazdu b. Legionistów»[1]), gdzie ze znanej książki, traktującej obronę Lwowa z punktu widzenia obrońców ulicy Bema, a nie z punktu widzenia Naczelnego Wodza, pomieszczone są jakieś nieznane mi sprawy z jakimś porucznikiem Eustachiewiczem[2]), które w dodatku są zaprzysiężone.

To jest charakterystyka trąb jerychońskich! Więc niechaj piękne lwowianki i zacni lwowianie wybaczą, że byłem w tym stadium zniecierpliwienia, że na słowo Lwów chciałem pociągnąć cyngiel pistoletu. Nie mogłem znosić tego! «Cui bono», pytam, panowie, całe to łgarstwo, «cui bono», cała ta brudna kampania, która nie upiększa naszych dziejów? «Cui bono»? Jako odpowiedź posłużyć może fakt następujący. Wtedy, gdy tutaj broniono Lwowa, na pół nago, na pół boso, wtedy, gdy tutaj codziennie albo co godziny brakowało naboi, wtedy, gdy wojsko moje wyglądało, jak żebraki, w tym samym czasie istniało inne wojsko[3]). Inne wojsko, które polskim też się zwało. Inne wojsko, ubrane w świetne mundury, mające broni poddostatkiem, uzbrojone świetnie, wedle wszelkich za-

[1]) Mowa o lwowskiej «Gazecie Codziennej», wydawanej w duchu narod.-demokr., która w dniach 4, 5 i 6 sierpnia 1923 r. podała przedruk z relacji por. Eustachiewicza.

[2]) Mowa o relacji por. Bolesława Eustachiewicza o jego staraniach w sprawie przyspieszenia odsieczy Lwowowi, relacji wydrukowanej w książce Czesława Mączyńskiego p. t. «Boje lwowskie» na str. 231—246.

[3]) Mowa o t. zw. armii Hallera.

sad nowoczesnej techniki wojennej, z mnóstwem doskonałych armat, z mnóstwem karabinów maszynowych i z żołdem, przewyższającym tysiąckrotnie płace moich żołnierzy i oficerów [1]). Podoficer w wojsku tym brał tyle, co u mnie pułkownik. Tworzyło się to wojsko w tym samym czasie, gdy mnie o zdradę w stosunku do Lwowa oskarżono. Stawały tam bataliony za batalionami, dywizje za dywizjami, stawały pod osłoną polityczną tychże trąb jerychońskich, tegoż rządu innego [2]), który gdzieś nad Sekwaną wojsko to trzymał z bronią u nogi, trzymał wojsko to inne polskie z bronią u nogi, pomimo żądań moich i błagań, by mnie, padającemu niekiedy przed siłą przemocy, pomoc dano. To wojsko stało nad Sekwaną, ale trąby jerychońskie brzmiały o zdradzie, o zdradzie Legionów, o zdradzie Polskiej Organizacji Wojskowej i o zbrodniach narodowych ich Wodza i dowódcy, niejakiego Józefa Piłsudskiego.

Mówiłem na początku odczytu o sądzie historii, o sądzie podrastających dzieci, które z trwogą nieraz badać będą, gdzie był mój ojciec, gdzie była moja matka? Te pierwsze dnie Polski, te pierwsze trudy, te dnie trwogi i niepokoju, dnie gorączkowego miotania się każdego człowieka, niepewnego jutra, niepewnego, czy kładąc się do łóżka, wstanie z tego łóżka nazajutrz, te dnie nadzwyczajnych wysiłków i nerwów, te nerwowe pomysły, te dnie cudu polskiego, tworzącego Polskę własnymi nareszcie dłońmi, te dnie niemocy i bezsilności są związane z waszym miastem, związane nierozerwalnie. Przez kilka bowiem miesięcy lwia część tych bied, tych niepokojów i tych wysiłków przypadła wam i waszemu miastu. Dałem te fakty, które znam, dałem swoje postępowanie, swój nieraz przykry dla was sąd, swoje nieraz nieprzyjemne określenie, dałem je z równym spokojem, z jakim stanę przed każdym sądem w tej sprawie. Przyszły historyk fakty te badać będzie. Przyszły historyk będzie musiał myśleć, co znaczył fakt, że gdy jedni dokonywali tak wielkich wysiłków dla stworzenia własnymi siłami państwa, zewsząd przez wrogów otoczonego, że gdy jedni rzucali młodzież ochotniczą boso, bez naboi i bez ubrania, to inni Polacy tychże obrońców o zdradę oskarżali, tymże obrońcom w twarz pluli. Co znaczy fakt posiadania w chwili niebezpieczeństwa wojennego gdzie indziej wojska polskiego, wyekwipowanego wyśmienicie? I wówczas może historycy odpowiedzą na pytanie, rzucone przeze mnie: «Cui bono» tak się robi? Dla kogo tak się służy? Gdzie być może ta przyczyna? Gdzie powód tak dziwolągowego zjawiska? Nad tym zastanawiać się

[1]) Por. t. V, str. 70—71.
[2]) Mowa o t. zw. Komitecie Paryskim.

nie chcę. Swoją pod tym względem hipotezę podam gdzie indziej, podam tam, gdzie «cui bono» jest bardziej wyraziste, podam ją w moim rodzinnym Wilnie. Tutaj, we Lwowie, ograniczam się do rzucenia panom tego pytania, co znaczą oszczerstwa, co znaczą trąby jerychońskie, jak wielki wpływ wywrzeć one mogą w chwili kryzysu i w chwili przełomu, jak niebezpiecznym jest wtedy ucha skłonić ku wierze trąbom jerychońskim, które niosą nie siłę, lecz słabość narodu i państwa.

Proszę państwa, kończę krótkim streszczeniem. Lwów w początkach naszego istnienia zajął bardzo wielkie i zaszczytne dla niego miejsce. Stał się on centrum myśli, życzeń, serc i uczuć polskich. Zaszczytna to rola i niejedno miasto wam tych chwil zazdrości. Lwów wytrzymał ciężką walkę. Przede wszystkim walkę z sobą, walkę z własną słabością, z własnym niedomaganiem i, zwyciężywszy własną słabość, dał moc i siłę obrońcom. Obrońców spośród siebie miał względnie niewielu — większość przybiegła skądinąd. Miasto zostało polskim, po akcie odwagi i czynu 5 pułku legionowego pod dowództwem ppłk. Tokarzewskiego. Im przypisać należy fakt, że Lwów od tej chwili, gdy pułk ten wszedł do Lwowa, stał się na zawsze polskim. Czyn ten tym bardziej jest znaczny, że zrobił to wbrew bojaźniom, wbrew naciskom bezpośrednim swoich władz przełożonych, zrobił to na własną rękę i na własne ryzyko. Obrońcy Lwowa składali się z trzech nierównych części. Pierwsza — to wasze dzieci, dzieci Lwowa; druga, liczniejsza część — są to wasi rodacy z zachodniej Galicji; najliczniejsza część — są to zmobilizowani peowiacy z Królestwa Polskiego. Tak wygląda istotna historia. Państwo całe, ledwie żyjące, wykazywało w stosunku do was prawie jednolitą chęć pomocy. Osłabioną zaś pomoc została moralnie przez dziwoląg historyczny, nad którym biedzić będą sobie głowy historycy, że istniały wówczas w Polsce dwa rządy: jeden w Polsce, drugi nad Sekwaną, konkurujące i zwalczające się wzajemnie za pomocą najrozmaitszych środków. Do środków tych ze strony rządu nad Sekwaną należało zatruwanie życia rządu w Polsce, pomiędzy innymi jego głównego przedstawiciela, za pomocą trąb jerychońsko-narodowo-oszczerczych. Ten fakt przejdzie przez całą pracę czteroletnią, jako fakt nieodłączny od naszego życia publicznego, od naszego życia politycznego. W okresie walk o Lwów fakt ten szczególnie jasno występuje, gdyż Lwów oznacza wielki przełom i wielki kryzys naszego państwa. Występuje tu naga moralna wartość jednych i drugich. Moralna wartość istotnej pracy i moralna wartość trąb jerychońskich, do których zwracam jeszcze raz swoje pytanie: — «Cui bono» w owe czasy to robiono?

WYWIAD Z REDAKTOREM «SŁOWA»
(14 sierpnia 1923 r.)

Dnia 12 sierpnia 1923 r. przyjechał Piłsudski do Wilna na dwutygodniowy tam pobyt. Dnia 14 sierpnia 1923 r. przyjął redaktora dziennika wileńskiego «Słowo», Stanisława Mackiewicza, i udzielił mu niżej przytoczonego wywiadu, w którym Piłsudski charakteryzuje nowowybrany Sejm, wskazując na brak w nim zdecydowanej większości i na fakt, że w nowych izbach ustawodawczych nie znalazły wyrazu «nowe wartości polityczne, które powstać musiały za czasów istnienia wolności».

Tekst wywiadu podajemy według «Słowa» z dnia 15 sierpnia 1923 r.

Pierwszym zapytaniem, skierowanym do Pana Marszałka, była prośba o wyjaśnienie, jaką przewiduje on ewolucję dzisiejszych wewnętrznych stosunków politycznych w kraju.

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie — *wyraził się Marszałek* — gdyż temat jest zbyt szeroki. Możnaby o tym całą książkę napisać.

— *A czy zechce Pan Marszałek odpowiedzieć na konkretną kwestię, mianowicie — czy Pan Marszałek przypuszcza możliwość powstania nowego rządu pozaparlamentarnego?*

— Dlaczego nie — wszystko jest możliwe, gdy sejm nie przedstawia wyraźnej i jednolitej większości [1]).

— *Czy Pan Marszałek nie zgodzi się na argument, że dzisiejsza większość w walce wyborczej, oparta na demagogii, wykorzystała te arcy-demokratyczne zasady ordynacji wyborczej, które ustalił sejm przeszły. W ten sposób czy nie można zaryzykować argumentu, że lewica została pobitą własną bronią: demokratycznością ordynacji wyborczej?*

— Nie uważam ordynacji wyborczej za zbyt demokratyczną. Cechą jej jest, że oparła się o system stronnictw i to stronictw tych, które już były w sejmie poprzednim [2]). Sejm poprzedni wybrała przecież jeszcze Polska niewoli. Sejm obecny nie pozyskał żadnych nowych wartości. W czymże się

[1]) W sejmie wybranym dnia 5 listopada 1922 r. stronnictwa prawicowe miały 161 reprezentantów, lewicowe 95. O kierunku uchwał sejmowych rozstrzygało to, na którą stronę przechylały się głosy stronnictwa ludowego «Piast» (70 posłów) i Narodowej Partii Robotniczej (18 posłów).

[2]) Ordynacja wyborcza do ciał ustawodawczych, uchwalona dnia 28 maja 1922 r., wprowadzała system, w którym wyborcy byli zmuszeni oświadczać się raczej za stronnictwami niż za ludźmi. Uprzywilejowanie stronnictw, które były w poprzednim Sejmie, wyrażało się w tym, że Państwowa Komisja wyborcza składała się z ośmiu reprezentantów naj-

różni od swego poprzednika? Przybyła tylko szesnastka [1]), poza tym nic, coby było zbudowane przez 4 lata wolności.

— *Więc Pan Marszałek uważa, że sejm dawny stabilizował dawne stronnictwa?*

— Próbował stabilizować dawne stronnictwa. W każdym razie ordynacja wyborcza, uchwalona przez sejm dawny, nie dopuściła do izby nowych wartości politycznych, które powstać musiały za czasów istnienia wolności.

— *Czyli, zdaniem Pana Marszałka, gdyby ordynacja wyborcza nie zawierała wszystkich instytucyj, utrwalających panowanie partyj, a więc instytucji list państwowych, przymusu partyjnego przy głosowaniach na listę, wreszcie samego systemu głosowania na listę — toby sejm miał wygląd inny?*

— Niewątpliwie.

— *A czy Pan Marszałek nie uważa, że w społeczeństwie istnieje pewne rozgoryczenie z powodu majoryzowania świadomych kół wyborczych przez analfabetów i łatwości wygrywania demagogii w takich warunkach?*

— Nie. Istnieje co innego — rozczarowanie do istoty parlamentaryzmu, ale to rozczarowanie przeżywamy z całą Europą.

— *Czy Pan Marszałek poruszy momenty polityczne w swych odczytach o obronie Wilna?*

— Będę mówił o pracy dowodzenia i ilustrował to dobrze mi znaną kampanią wileńską, którą dowodziłem. Łączy się to z moimi pracami przed wojną. Odczyty te będą miały charakter wojskowy. Będę mówił popularnie, gdyż o rzeczach wojskowych zawsze mówię popularnie, ze względu na nieobycie się społeczeństwa z tymi zagadnieniami.

— *Czy nie wspomni Pan Marszałek o samoobronie wileńskiej, mówiąc o całości kampanii wileńskiej?*

— Historia samoobrony wileńskiej [2]) nie należy bezpośrednio do kampanii wileńskiej, która odbyła się pod moim dowództwem i która będzie tłem ilustracyjnym moich odczytów.

---

liczniejszych klubów poselskich ustępującego Sejmu (art. 17 ordynacji wyborczej do Sejmu) i że do zgłoszenia t. zw. państwowych list kandydatów wystarczało już 5 podpisów posłów ustępującego Sejmu (art. 58 ordynacji wyborczej do Sejmu).

[1]) Mowa o wspólnej liście wyborczej wszystkich mniejszości narodowych w Polsce, która została zgłoszona do listopadowych wyborów i oznaczona numerem: 16.

[2]) W listopadzie 1918 r. stworzyli Polacy w Wilnie organizację pod nazwą: «Samoobrona Litwy i Białorusi». Oddziały tej organizacji dnia 1 stycznia 1919 r. opanowały Wilno, które znajdowało się dotąd w rę-

DOWODZENIE PODCZAS WOJNY

(16—21 sierpnia 1923 r.)

W dniach 16, 17, 18, 20 i 21 sierpnia 1923 r. wygłosił Piłsudski w sali Śniadeckich Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie pięć wykładów wojskowych, zatytułowanych «Dowodzenie podczas wojny». Odbyły się one staraniem oddziału wileńskiego Towarzystwa Wiedzy Wojskowej; jako słuchacze — przeważali oficerowie, nie brak było jednak publiczności cywilnej, szczególnie ze sfer naukowych i politycznych.

W wykładach tych Piłsudski zastanawiał się, na czym polega istota dowodzenia podczas wojny, dawał historię swej koncepcji wyprawy wileńskiej i dzieje jej realizacji.

Wykłady niżej przytoczone nie były stenografowane, zachowało się też z nich tylko streszczenie, zestawione z pobieżnych notatek słuchaczy, drukowane w dzienniku wileńskim «Słowo» z 17, 18, 19, 21 i 22 sierpnia 1923 r., które tutaj przedrukowujemy.

WYKŁAD I

(16 sierpnia 1923 r.)

Marszałek oświadcza zebranym, że mówić będzie o «Dowodzeniu podczas wojny». Czym ono jest, jakie ma znaczenie, z jakich składników psychicznych się tworzy i jakie są jego niejako gatunki?

Czym jest dowództwo? Jest koniecznym rozkazem, wolą jednostki nad zbiorowiskiem ludzi; żadna praca ludzka bez dowództwa nie da się pomyśleć, co więcej — w rodzinie, w stosunkach bliskich, musi też być dowództwo starszych nad młodszymi, matki nad dzieckiem i t. d. W Polsce, gdzie tyle charakterów słabych, jest tendencja do współrządzenia, współdowodzenia, co zawsze osłabia naturę dowództwa.

W wojsku inaczej być musi, tam nie można dopuścić do tworzenia fałszywych pojęć, dyskusyj i wahań, gdyż praca wojenna prowadzi dane indywiduum za pomocą nakazów takich, jakie się nie spotykają w normalnym życiu. Dowódca na wojnie żąda od ludzi najcenniejszych skarbów — życia. Człowiek jest oddany człowiekowi, ze wszystkimi jego wadami i zale-

---

kach niemieckich. Oddziały te, dowodzone przez gen. Wejtkę, musiały dnia 5 stycznia 1919 r., głównie wskutek braku amunicji, wycofać się z Wilna pod naporem wojsk bolszewickich i zostały rozbrojone później przez Niemców, wycofujących się z terenów przez nich okupowanych.

tami, wadom i zaletom wodza. Żadna dziedzina nie zna takiego dowodzenia, bo sięga najgłębszych praw... praw życia.

Bierze całość moralną i fizyczną człowieka i daje swoją całość moralną i fizyczną.

Każda praca wojenna jest szukaniem zwycięstwa. Operacje wojenne to jest ta technika pracy, która kieruje ruchami wojska od góry do dołu. Dowództwo pracuje rozkazami w stosunku do pewnej grupy ludzi, którzy są wykonawcami rozkazów, ci przekazują je dalej i właściwie dowodzi się tylko kilku ludźmi. Ci myśl dowództwa, czyli wodza, przekazują dalej i dalej, aż do najdalszych formacyj wojskowych. Cała sztuka dowodzenia jest zrozumienie rozkazów wodza, przeniknięcie ich ducha przez podwładnych.

Wszyscy w wojsku są odbiorcami rozkazów, prócz wodza naczelnego — ten tworzy rozkazy. Praca, która buduje w myśli dowódcy rozkaz, poruszający masy, powstaje za pomocą koncepcji, będącej pierwotnie zarysowanym projektem planu, czyli widomego już czynu.

Plan — jest to już praca techniczna; wszystko, co jest koncepcją, przechodzi w plan lub umiera, zastąpione nową koncepcją, nową myślą, stosowną do okoliczności, zależną od powstałej i ujrzanej koncepcji wroga lub usłyszanej koncepcji współtowarzyszy.

Zadaniem duszy ludzkiej w ogóle jest tworzenie; koncepcje są tworzeniem nagłym, rodzajem natchnienia, dowództwo — to zdolność koncepcji; są wodzowie o specjalnie lotnych, żywych, obfitych koncepcjach, gotowi zawsze znaleźć je w zastosowaniu do każdej okoliczności. Takim wodzem był Prądzyński [1]), którego umysł tworzył szybko i ciągle na nowo. Typem ciężkiej koncepcji był Kuropatkin [2]), nie umiejący zmieniać raz powziętych pomysłów, wytwarzający w sobie jakby zatory myślowe, które prowadziły do klęski, jak to miało miejsce pod Sandepu [3]), bowiem miejsce to stało się przegraną bitwą wskutek tej zasadzki myślowej, jaka czyha na ludzi, nie umiejących szybko zmieniać i tworzyć nowych koncepcyj. Przy pierwszym załamaniu się — przegrana.

Bowiem «l'idée preconçue» [4]) zawsze przeszkadza dobrze

---

[1]) Gen. Ignacy Prądzyński brał udział w kampaniach 1809 r. i 1812—13, po wybuchu powstania listopadowego mianowany przez Skrzyneckiego generalnym kwatermistrzem.

[2]) Por. t. III, str. 57.

[3]) Por. t. III, str. 56.

[4]) Plan z góry powzięty, nie uwzględniający dostatecznie rzeczywistości.

widzieć i dobrze obserwować. Wódz zaś musi mieć koncepcję niejako na każdą okoliczność gotową i tym prowadzi armię, jak dobry tancerz tancerkę; zły będzie wódz, postępujący, jak tancerz, co od pieca tylko umie zaczynać i, wyczekując odpowiedniego momentu, właśnie się puści bez taktu.

Wódz może brać cudze koncepcje do pomocy swoim, nie jest to jednak wskazane, bowiem największą wartość indywidualną i siłę mają własne, bez ubocznych wpływów pomysły. Do wykonania dochodzi tylko mała cząsteczka koncepcji, nawet do planowania zostaje część tylko pomysłów, a ileż ich trzeba porzucić dobrowolnie lub z musu.

Praca koncepcyjna jest początkiem pracy operacyjnej. A często koncepcje cofa się u wrót rozkazu, wobec koncepcji nieprzyjacielskiej. Wszyscy otrzymują koncepcje gotowe do wypełnienia; tworzy je wódz, on ma obowiązek tworzenia.

Przejdźmy do koncepcji wyprawy wileńskiej, ponieważ w niej znajdą się przykłady na to, co było mówione poprzednio. Gdy w r. 1918—1919 Wilno znalazło się w rękach bolszewików[1]), dzieliło mię od niego 300 km i siły niemieckie i bolszewickie. Miasto mego dzieciństwa, kocham je i tęskniłem doń latami całymi, los Wilna — to był we mnie ten węzeł psychiczny i mus, który ciągnął koniecznością. Na wielkim ekranie duszy dalekie Wilno malowało się różową plamą, na północ od wielkiej czerwonej plamy — walczącego Lwowa, gdzie mus nakazywał posłać posiłki. Było duszy, jako owej kobiecie w «Weselu» Wyspiańskiego: «Mus mnie woła, raz dokoła, raz dokoła!» Ją wołał mus lat młodych, miłości i wspomnień, i Wilno dla mnie było dziedzictwem długich lat tęsknot i przywiązań.

Wodzowie mają swe predylekcje do tych lub owych koncepcji i to może być dla nich niebezpiecznym węzłem myślowym. Pod Lwowem rysowała się wojna jasna i wyraźna, pod Wilnem nie było nic określonego. Konieczność dania posiłków dla Lwowa była widoczną, a los Wilna stanowił jakby zasadzkę w planie wojennym.

Czy źle zrobiłem, dając zemrzeć mojej koncepcji posłania pomocy Wilnu w grudniu 1918 r. — niech osądzi historia.

WYKŁAD II

(17 sierpnia 1923 r.)

Pierwsza koncepcja co do Wilna była nieudana z powodu niemożliwości i należało tworzyć inną. Jesteśmy w styczniu

[1]) Por. t. VI, str. 101.

1919 r.: tworzą się w myśli mojej nowe koncepcje, ale dopiero w lutym zaczyna się planowanie czyli realizacja myśli. Nie zatrzymując się na wszystkich szczegółach planowania, zaznaczę, że z jednej strony musiałem się zajmować jako Naczelny Wódz działaniami wojennymi pod Lwowem i tam było zaangażowane cztery piąte mojej duszy i cztery piąte sił mojej armii. Wilno jednak nie dawało mi o sobie zapomnieć. Była to jakby konkurencja między Wilnem a Lwowem, ale to nie mogło zajmować mego umysłu, była to walka uczuć, nie pojęć jako wodza, pojęć realnych. Z jednej strony sielanka uczuć i wspomnień w stosunku do dalekiego i niepewnego Wilna, z drugiej twarda rzeczywistość, wołająca pod Lwów.

Teatr wojenny zaczynał się tworzyć. Miałem przed sobą nieprzyjaciela, który się cofał krok za krokiem, nie mając zamiaru walczyć z nami, ale oddając bolszewikom na północy, a Ukraińcom na południu miasteczka i wioski, miasta i ziemie [1]). Nie mogłem Niemców uważać za nieprzyjaciół w znaczeniu wojennym i nie potrzebowałem ich brać w rachubę. Po Wilnie — Lida, Słonim, Wołkowysk przechodziły w ręce bolszewickie; widziałem, że za wszelką cenę trzeba zająć Brześć i wydałem odpowiedni rozkaz, ryzykując walkę z Niemcami. 8 lutego wpadł Brześć w nasze ręce i front się utworzył.

Nie mogąc w żadnym razie odciągnąć sił od Lwowa, zająłem się organizowaniem wojska z emigrantów, stworzyć bowiem chciałem jednostkę bojową swoistą, o zadaniach specjalnych, na Wilno przeznaczoną.

Zaczęły się też wtedy moje obserwacje nad nowym, nieznanym wrogiem, przed którym drżała Europa i który przedstawiał wielką tajemnicę, a wszyscy uciekali z miejsca, gdzie jego noga dotknęła.

Już na początku walk z armią bolszewicką spotkała mnie ta niespodzianka, że moje źle wyekwipowane wojsko, słabe liczebnie, prawie bez strat, brało duże przestrzenie, idąc przed siebie, jak w masło.

Były to nowe dane o nieprzyjacielu i weszły w moją duszę, jako podstawa do nowej koncepcji. Ocena nieprzyjaciela na wojnie jest rzeczą bardzo trudną. Bolszewicy byli organizacją nieznaną, którą zbadać nie było łatwym zadaniem.

Nasze obserwacje i badania były chwiejne, jedyną rzeczą wiadomą była łatwość posuwania się i to, dając mi wrażenie słabości nieprzyjaciela, ożywiło pracę koncepcji wileńskiej.

---

[1]) Mowa o wojskach niemieckich, opuszczających okupowane przez nie podczas wojny światowej terytoria dawnej Rosji.

Myśl bowiem biegła ku możliwości wyzyskania tej wyraźnie mojej nad nimi przewagi.

Jest jeden wielki pan — władca myśli wojennej i działań — to przestrzeń, którą rozważać musi każdy wódz. Ile razy przebiegałem myślą te 290 km, dzielących mnie od Wilna — myśl się cofała. Siły miałem za małe, przestrzeń bowiem w pracach wojennych nie może być próżnią, musi być zapełniona pracą dowódcy i podwładnych, ruchami wojsk i t. d.

Była też przeszkoda geograficzna, której myślą nie mogłem przeskoczyć, nasz stary Niemen, który od Olity do Mostów idzie w jednym kierunku, a od Mostów ku Puszczy Nalibockiej w drugim, tworząc pętlę, w której mogły się znaleźć moje wojska. Każda rzeka jest wielką przeszkodą w operacji. Niemen był jednym z węzłów psychicznych, który stał się tym straszniejszy, że należało przypuszczać, że mógł nie mieć mostów, a budowa nowego wydała mi się wielce problematyczną. Przed tą przeszkodą myśl moja cofała się wiele razy. Wiadomość o przejściu pod Mostami naszych wojsk [1]) poruszyła całe moje jestestwo. Więc to jednak możliwe? Więc trzeba w to włożyć całą duszę.

Dla pracy koncepcyjnej trzeba rzeczy, które u każdego dowódcy odgrywają rolę ważną; np., sprawa przestrzeni, związana z czasem, wytwarza te konieczne węzły myślowe, przy których praca koncepcyjna zatrzymać się musi.

Prócz Niemna i braku mostów miałem inną geograficzną trudność — lasy. Lasy są przeszkodą dla jednych, a pomocą dla drugich — to nowe węzły myślowe, takimi były dla mnie puszcze Grodzieńska i Rudnicka. Trzeba też wziąć pod uwagę drogi. Drogi są dobre dla wojska wtedy, gdy mogą po nich przejść nie tylko konnica i piechota, ale artyleria i tabory. Miałem dwie drogi na Wilno.

Droga do Wilna prowadziła albo przez Różankę, Raduń, Rudniki, albo traktem lidzkim — 180 km. W języku wojennym oznacza to pewną ilość marszów. Jazda forsownym pochodem przestrzeń tę przebędzie w trzy dni — piechota w sześć. W chwili koncepcji muszę pamiętać i o nieprzyjacielu, który wciąż myśli o paraliżowaniu moich planów. Liczmy, że mam 8 dni pracy, nim dojdę do Wilna.

Ale trzeba wziąć w rachubę wszelkie okoliczności, które będą działały na naszą lub wroga korzyść — bolszewicy mają gotową kolej z Mińska do Wilna — my posuwamy się pieszo.

---

[1]) Zajęcie stacji i miasteczka Mosty nastąpiło w dniu 17 lutego 1919 r.

Z jednej strony mamy Grodno, zajęte przez Niemców, których podejrzewam o zmowę z bolszewikami, z drugiej — Lidę w rękach bolszewików.

Idąc najkrótszą drogą na Wilno, muszę przejść przez niezmiernie niebezpieczne miejsce pod Puszczą Rudnicką, gdzie odległość między koleją Wilno—Grodno i Wilno—Lida wynosi tylko 50 km; miejsce to jest nadzwyczaj zwężone, wcięte, jak kibić osy, i przez to niebezpieczne.

Praca koncepcji — to praca w niebezpieczeństwie i niepewności; ogarnia trwoga i niepokój, tworzą się konieczne węzły myśli, przy których krystalizuje się wyraźna postać zamiaru, i tę można już na mapie narysować.

Na przestrzeni, przede mną leżącej, rysują węzły: bolszewicy, Niemcy, tam mus mnie woła, a myśl się okręca koło koncepcji, tworząc chocholi taniec, zostawiający niezatarte ślady w duszy podwładnych, którzy pod wpływem wodza wchodzą w te same węzły myślowe.

Trzeba myśleć o wrogu i o tym, że on o nas myśli. Trzeba pamiętać, że przestrzeń to wróg, którego też zmóc trzeba. Wyzyskać ten najpiękniejszy przywilej wojny, niespodziankę, która zabija siłę.

Element niespodzianki na swoją przeciągnąć stronę — oto nowy węzeł psychiczny. Przestrzeń jest wroga: nie daj im czasu, chwytaj wszystkie możliwości, by stworzyć niespodziankę, wszystkiego, co ją zwiększyć może, użyj.

A całą siłą niespodzianki jest jej nagłość, wtedy słaby staje się, choć na krótko, silny.

Czas i przestrzeń były jednak przeciw mnie.

W lutym koncepcja pozostawała jeszcze martwa, nie przeszła w rozkaz. Półtora miesiąca żyła nieujawniona; za nią przemawiała łatwość zdobywania terenów na bolszewikach, a przeciw niej — obustronne niebezpieczeństwo Lida — Grodno.

Nawet największy na świecie wódz, Napoleon, mówi o swej pracy koncepcyjnej, że się nią męczy i lęka i nigdy nic nie widzi dobrego, ani w różowych kolorach, niech to da świadectwo słów moich. Napoleon porównywa pracę tworzenia planów wojennych do rodzącej w bólach dziewczyny, która niczego nie jest pewną, lęka się, ale i kocha dziecię, żyjące w jej łonie. Koncepcja staje się też łożem Prokrusta [1]) dla autora jej, gdy przejdzie w obce dłonie.

---

[1]) Prokrustes w mitologii greckiej, przydomek rozbójnika z Eleusis, który swoich gości poddawał torturom w specjalnie urządzonym łożu.

W początku marca zacząłem pracować nad realizacją koncepcji wileńskiej; analiza i kalkulacja dała mi 10 tysięcy żołnierzy u nieprzyjaciela, 6 tysięcy pod bronią istotnie, a 4 były to niejasne formacje: Łotysze, Chińczycy, marynarze, nic normalnego, ani określonego. Trzeba było zorganizować na nowo podział armii. Przeznaczyłem dwie dywizje na front północny, 1. i 2., wziąłem najlepszych organizatorów, którym ufałem bezwzględnie — legionistów. Zdecydowałem tworzyć też powoli kawalerię, miałem więc dwie dywizje piechoty, trzecią na froncie, sześć pułków kawalerii, cztery pułki miały iść na Wilno.

To był nakaz organizacyjny, przystąpiono do pracy — łatwiej o tym mówić, niż bronić.

Powołałem do przygotowania planu na papierze płk. Stachiewicza i ppłk. Kasprzyckiego.

Płk. Tokarzewski miał sobie powierzone organizowanie armii pod względem gospodarczym, który straszliwie mnie dręczył zapotrzebowaniami, niemożliwymi do zaspokojenia. Sosnkowskiemu [1]) nie było też nigdy niczego dosyć. Siły wzrastały, ale zaopatrzenie wojska było fatalne, wyszkolenie rekruta trwało 2—3 tygodnie, w większości pułków tylko jeden batalion miał ekwipunek, uczono strzelać w drodze na front.

Te buchalterie wojskowe, mus dla dowódcy wyboru i poświęcenia jednych rzeczy dla drugich sprawia, że musi on żyć w ciągłych sprzecznościach i widzieć rosnące ryzyko pracy wojennej, jeśli się przedwcześnie odkrywa plan. Po miesiącu przygotowań zażądałem od gen. Szeptyckiego, żeby zbadał teren i zarządził koncentrację w Różance w najściślejszej tajemnicy.

Powstały obawy, że Niemcy oddadzą Grodno bolszewikom — wysłałem oficerów, by tę rzecz zbadali, a 24-go marca otrzymałem depeszę, donoszącą, że z Grodna na Merecz idą Niemcy z Litwinami przeciwko bolszewikom.

Ta wiadomość, jak się później okazało, zupełnie mylna, nie została jednak nigdy odwołana. Cały mój plan, zdawało się, runął. Wytworzyły się nowe pojęcia: Wilno mi uciekało. 27-go marca przybyły wieści z Grodna o powstaniu spartakusowców [2]) — powstał niepokój o Lidę, ale meldunki świadczą, że posuwanie się w tamtą stronę idzie łatwo.

---

[1]) Gen. Kazimierz Sosnkowski pełnił wtedy funkcję wiceministra Spraw Wojskowych.

[2]) Najprawdopodobniej mowa o strajku powszechnym i starciu tłumu z policją w Zagłębiu Ruhry i Berlinie w marcu 1919 r., wywołanym przez rewolucyjną grupę komunistów niemieckich, zwaną sparta-

Powstaje jednak nowy węzeł trudności pod Słonimem, gdzie koncentrują się większe siły bolszewickie.

Dochodzą też wieści zatrważające o budowaniu fortyfikacyj na Mereczance i w puszczy Rudnickiej.

A przecież tamtędy droga mojej kawalerii.

Koncepcja, jak dziecko, oddane w ręce obce, łamie się, jak na łożu Prokrusta, z nią dusza wodza; to był najcięższy kryzys koncepcji. Wszystko się sprzysięgało przeciwko niej, ale wytrzymała trwogę mojej duszy.

Zdecydowałem wybrać atak na Lidę — zwiększało to nadmiernie ryzyko, trwogę i niepewność, lecz praca poszła tak, rozkazy zostały wydane, moja koncepcja wbrew wszystkim została uratowana.

Wódz musi tworzyć i, gdy stoi przed decyzją wydania rozkazu pracy, daje obraz męki koncepcyjnej. Widząc swą myśl przerabianą przez innych, doznaje wtedy trwogi, nie zająca, drżącego na miedzy, ale burzy, przechodzącej przez duszę lwa, wczepionego pazurami w ziemię.

Wola, skrępowana w łańcuchy, trzymana jest na wodzy i czeka swego czasu. Wola wodza, gdy się poruszy i odrzuci łańcuchy i trwogi, — zaczyna się zbawcza jej moc.

Rozkosz woli to największe szczęście każdego wodza.

WYKŁAD III

(18 sierpnia 1923 r.)

Mówiąc o pracach wojennych, za mało poświęciłem uwagi na dowodzenie niższego stopnia, a to jest równie ważne, opiera się bowiem na duszy dowódcy i duszy dowodzonych.

Muszę się dziś zatrzymać na wszystkich rzeczach, które stanowią powikłania i sprzeczności, nieodłączne od pracy wojennej. Na tym, co nazwałem buchalterią wojenną, czyli planowaniem, prawdziwą kuchnią, przygotowującą smakołyki dla wojska i dla dowództwa.

Naczelny wódz w każdej wojnie stanowi część nieodłączną państwa. Musi na sobie wytrzymać ciężar polityki. Wojnę się prowadzi dla polityki, bez niej nie ma wojny — są one nieodłączne od siebie.

Będąc głową państwa, znajdującego się w boju, spotkałem się na tym polu z czynnikami politycznymi, które nie mogły być zupełnie odsunięte od planów wojennych.

---

kusowcami (lub spartakowcami od nazwy przewódcy zbuntowanych niewolników rzymskich — Spartakusa).

Określenie czasu operacji musi być zawarte w rozkazie dziennym. Ja oznaczyłem sobie ten czas — na wiosnę, lecz to był termin nieścisły, spóźniona wiosna 1919 r. dawała mi ten czas, o który mnie błagali organizatorowie i którego wymagała praca pod Lwowem, ale był inny termin — opuszczenia Grodna przez Niemców pomiędzy 28-go kwietnia a 1-go maja.

Jeżeli kiedy żyć mogła moja koncepcja, to tylko wtedy, kiedy w Grodnie nie było nieprzyjaciela.

Przed 28-ym kwietnia Wilno musiało być moje, gdyż bolszewicy nie mogli sięgać po Grodno, mając Wilno zajęte przeze mnie.

Krótkie obliczenie — do 23-go muszę być w Wilnie — 5 dni na Grodno wystarczy. Muszę zdążyć z organizacją wyprawy. Do całej sprawy jednak wtrąciły się czynniki polityczne. Po prostu przez kucharki, czerpiące wiadomości od legunów z Ostrowia [1]), rozchodziły się wieści o marszu na Wilno.

Jeśli wiedziały o tym kucharki, to cóż dopiero czynniki polityczne? Zawrzało, jak w ulu, — delegacje, burze, sprzeciwy, komisje i nieskończone kłótnie.

Grożono zaburzeniami i manifestacjami przeciw «zdrożnej» chęci rzucenia wojska gdzie indziej, jak pod Lwów. Burza nad moją głową.

Ale trafili na chytrego Litwina. Nadchodzą święta Wielkiej Nocy — rozjadą się na wakacje sejmowe — mam czas, nie zadzierając zbytnio, rzeczy dokonać.

Wola zaczynała pracować, zdecydowałem przyspieszyć tempo, uratować moją koncepcję i brać Wilno natychmiast.

9-go poszły rozkazy. Zaczynam 15-go, by mieć tydzień czasu, konieczny dla przebycia fatalnych dróg wiosennych. Zamiast dziewięciu batalionów 1-ej dywizji idzie sześć, zamiast dziewięciu 2-ej — pięć tylko. Reszta ma przyjść później. Przepoławiam swoje siły — biorę to na siebie. Wojsko nie jest wyćwiczone i wyekwipowane — biorę to na siebie.

11-go burza w sejmie, na posiedzeniu nocnym szukają formułki, któraby mnie, Naczelnemu Wodzowi, postawiła przeszkodę [2]), a mój pociąg stoi już gotów w Rembertowie.

---

[1]) Mowa o rejonie Ostrowia Mazowieckiego, gdzie formowała się 1 dywizja legionów w składzie 1 pp., 5 pp. i 6 pp.

[2]) Na tajnej części posiedzenia Sejmu Ustawodawczego, które odbyło się dnia 11 kwietnia 1919 r., uchwalono wniosek posłów Adama, Dubanowicza, Głąbińskiego i Skarbka, należących do stronnictwa narodowo-demokratycznego, wzywający Rząd i Naczelne Dowództwo, aby skierowały «w najbliższym czasie na front Galicji Wschodniej nowe

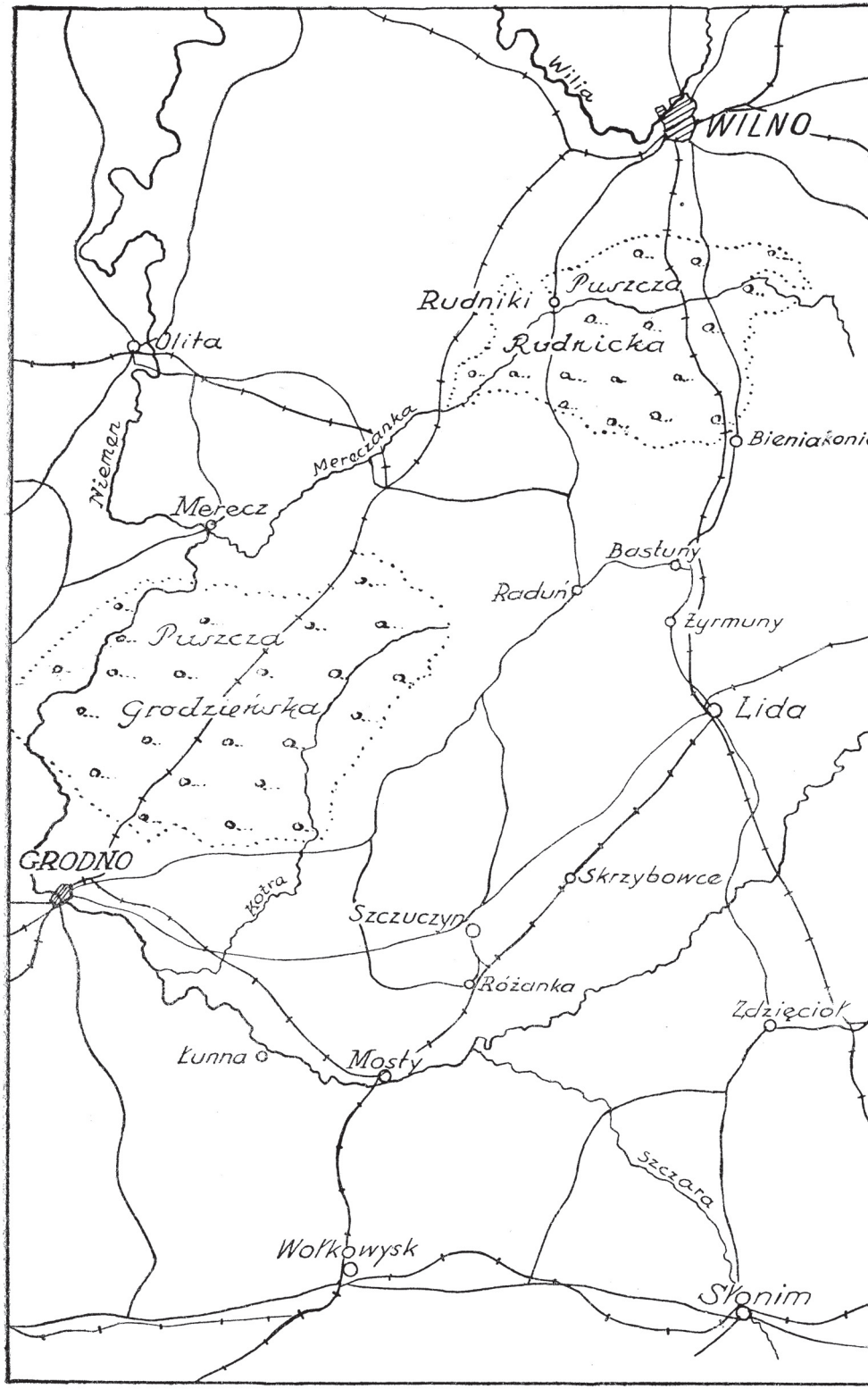
Wilia
WILNO
Rudniki
Puszcza
Rudnicka
Olita
Niemen
Merecz
Bieniakoni
Basłuny
Raduń
Żyrmuny
Puszcza
Grodzieńska
Lida
GRODNO
Skrzybowce
Szczuczyn
Różanka
Zdzięcioł
Łunna
Mosty
Szczara
Wołkowysk
Słonim

MAPKA OK

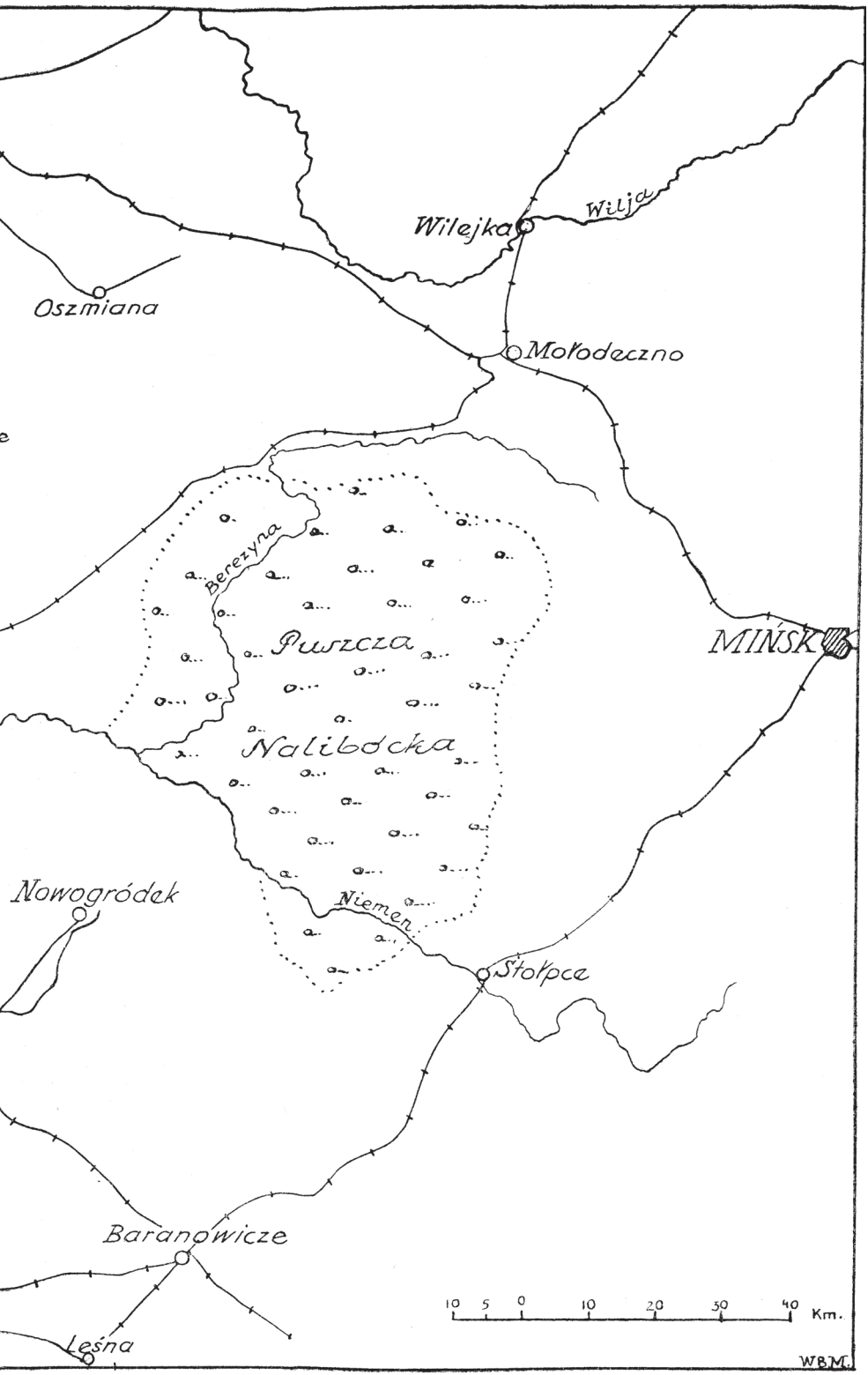

OLIC WILNA I LIDY

Nazajutrz rozjechaliśmy się: sejm na wywczasy — ja pod Lidę.

Nie ja jeden przechodziłem takie zawikłania: francuski gen. Nivelle miał w swoim czasie równie ciężkie starcia z czynnikami politycznymi [1]).

Uważałem, że mam obowiązki współpracy z moim rządem — lojalność była moim prawem, obowiązkiem.

Gdy oświadczyłem wyraźnie p. Paderewskiemu, który jeszcze przed feriami sejmowymi wyjeżdżał do Paryża [2]), że idę na Wilno, i pytałem go, czy mu nie przeszkodzę w jego akcji dyplomatycznej, nastąpiła, jak zwykle, niewyraźna dyskusja i życzenie powodzenia, w końcu zaś obietnica decyzji telegraficznie z Paryża.

Oświadczyłem, że tylko w razie kategorycznego żądania z podaniem powodów cofnę zamierzony pochód.

Otrzymałem telegraficzną decyzję, gdy Wilno było już w moim ręku.

Radzono zaczekać na przybycie «istotnego» wojska pod wodzą Hallera. Jedynym przychylnym człowiekiem w tej sprawie był ówczesny minister spraw wewnętrznych, obecny prezydent Rzeczypospolitej, Stanisław Wojciechowski [3]). Obiecał pieniądze i poparcie.

Wdzięczny mu jestem za jedyną pomoc, której wtedy doznałem. Ciężko wyznać — byłem Naczelnym Wodzem sił polskich, lecz wiedziałem, czemu zawdzięczam to stanowisko. Bo nikt nie śmiał, bo każdy przed tym ciężarem by się cofnął. Gdy wojska prawie nie ma, to, co jest, wygląda, jak żebraki, gdy wokoło rewolucja kładzie trupami oficerów, wszyscy się cofają. Ja wziąłem to na siebie śmiało i spokojnie, lecz dobrze wiedziałem, że brak mi autorytetu. Wszak byłem tylko brygadierem, do naczelnego dowództwa — skok olbrzymi. Gdzież doświadczenie — gdzież jest pewność, że podwładny mi nie zarzuci, że on jest mądrzejszy, bardziej zdatny ode mnie.

Gdy państwo wybiera wodza, szuka ludzi silnych, ambitnych, wierzących w siebie. Ambicji tej miałem poddostatkiem. Szukałem tego egzaminu, by dowieść, że co ja zrobię,

---

i odpowiednio poważne siły». Uchwała ta zwracała się przeciw użyciu nowych sił wojskowych do wyprawy na Wilno.

[1]) Szerzej o tym mówi Piłsudski w pracy swej «Naczelni wodzowie», t. VI, str. 181—183.

[2]) Por. t. V, str. 81.

[3]) Stanisław Wojciechowski był ministrem spraw wewnętrznych od 16 stycznia 1919 r. do 9 czerwca 1920 r.

tego nikt nie zdoła. Piętrzyłem trudności, szukałem nadzwyczajności, by dowieść, że mogę zwyciężyć.

Wilno było moim egzaminem.

Szukałem ludzi, którzyby mi powiedzieli: «Ja to potrafię».

Mój przyjaciel, gen. Henrys [1]), patrzył na projekt wileński, jak na szaleństwo.

Szeptycki nie wierzył w powodzenie i uważał za niedopuszczalne, by Naczelnikowi Państwa groziło odcięcie od państwa.

Gdym 12-go kwietnia siadł do pociągu, rozbrzmiał on cały śmiechem, ufnością i weselem. Więc moja koncepcja, moje dziecko, — żyje, staje się jawne, idzie. Z drogi inne!

Napoleon powiedział: «spieszę do wykonania, od męki ucieknę». Wola nie dawała czasu na wahania. Mus mię wołał. Raz, a nie więcej dokoła!

Przechodzę do wykonania. 13-go w głównej kwaterze w Skrzybowcach ogarniają mię dawne wspomnienia: te sosenki i szare chatki, kościółek, na cerkiew zamieniony... znam, zanadto dobrze znam. Jestem więc tam, gdzie być chciałem. Koncentracja skończona, jeszcze parę brakujących batalionów, jeszcze zaopatrzenia, jakieś braki z powodu pośpiechu, do jakiego mię zmusiły czynniki polityczne.

Zarządziłem wzmożoną pracę na kolei, zawrzał ruch, myśl, zrodzona w samotnym Belwederze, nabiera coraz żywszych barw. Pędzę autem do Lidy zobaczyć to wojsko, które ją zdobywa.

Następują rozmaite przeszkody i niemożliwości — popsute mosty, braki aprowizacji itd., które rozstrzygam słowem «musi być». I to słowo jest skuteczne. Powoli wyładowuje się wojsko. Żołnierze łażą, klną i żartują z kraju, gdzie tak dużo błota, prawie, jak ów grenadier Napoleona, który dziwił się, że to nazywają oni ojczyzną. Jenerałowie zatruwają mi życie: Belina zaklina się, że nie może ruszyć bez owsa, prędzej bez chleba dla żołnierzy, stajni nie ma, konie mu się niszczą. Śmigły dopomina się jakichś menażek dla piechurów, którzy noszą zamiast nich miednice pod pachą. Lasocki [2]) kiwa głową nad Lidą, do której podobno przysłali bolszewicy 8 pułków marynarzy.

Szeptycki ze swą niewiarą w powodzenie zwraca uwagę

---

[1]) Por. t. V, str. 104.

[2]) Gen. Józef Lasocki od marca 1919 r. dowodził na froncie rosyjskim kolejno II bryg. kaw. i grupą zaniemeńską, 2 i 1 dyw. lit.-białorus., 8 dyw. piech. i grupą swego nazwiska, biorąc udział w walkach ofensywnych 1919—20 r. na froncie lit.-białoruskim.

na wzmożoną obronę Słonima, który od Mińska otrzymał posiłki. Następują ostatnie obliczenia, «ordre de bataille» wszystkich moich sił. Ten już podlega rysunkowi, to już jest tzw. buchalteria wojskowa. Miałem 32.000 nieprzyjacielskich bagnetów; na południu 8.000—9.000, reszta na północy. Nasze siły były większe tylko jazdą i armatami.

Pod Lidą miałem suwalski pułk piechoty, 7 pułk ułanów i hałaśliwe piętnastki [1]). Belinę z ułanami pchnę boczną drogą na Wilno. Niech da sławę swej ukochanej broni raidem ułańskim 40-kilometrowym dnia pierwszego, niech dotrze niepostrzeżenie pod samo Wilno, niech wpadnie do miasta gwałtownie od wschodniej strony, gdzie się nie mogą nikogo spodziewać.

Trzymać się w mieście za wszelką cenę, aż przyjdzie lub przyjedzie piechota. Tyś nosiciel, opiekun mego dziecka, niech żyje! Pozostawiony sam sobie, prowadzi ułanów.

Wtym czasie ruch na kolei ogarnia dziwna senność — ledwie się ruszają, kolejarze zmykają od oficerów, którzy klną i łają, tworzą się jakieś zatory, zakorkowują się rozpaczliwie pociągi, maszyniści bez telefonów nie chcą jechać «na wariata», wszystko staje.

Rozpoczęcie akcji musiałem odłożyć do dnia następnego (16-go kwietnia).

Nagle zjawia się, nie wiadomo jak, przejeżdżając przez te zatory, mjr. Brzozowski [2]), nagle dzieje się cud woli jednego człowieka nad wszystkimi — kolejarze ruszają się, jak wesołe mróweczki, lokomotywy gwiżdżą, pociągi idą, jest ruch, życie, impuls dany. Jedna silna wola porusza wszystkie słabe.

Kończąc na tym przykładzie silnej woli, pozostawiam na następny odczyt opowieść o tryumfie zdanego egzaminu.

WYKŁAD IV

(20 sierpnia 1923 r.)

Zatrzymaliśmy się na momencie rozpoczęcia na dobre pracy wojennej. Miałem za sobą stracony dzień z powodu zatorów kolejowych, wreszcie wszystko ruszyło 16-go. Belina poszedł naprzód, Śmigły za nim, bez dwóch batalionów, które musimy podesłać mu, gdy tylko nadjadą. Czy przyjdą w porę? Na moście żegnam idącą kawalerię. Moją było rzeczą dodać im

[1]) Działa o kalibrze 15 cm.
[2]) Por. t. V, str. 78.

ducha, zaświadczyć, że jestem z nimi ciągle, duchowo obecny, że wraz z nimi biorę udział w każdej chwili akcji. Przyjemne mi było zaznać, że moja obecność dodawała ducha żołnierzom; mówił mi o tym Piskor i Belina, każdy szwoleżer mię czuł przy sobie.

Jedna kompania wyrwała się naprzód, wpadła w zasadzkę i zaczęła się cofać w trwodze. Pułk. Mackiewicz [1]) zatrzymał ją i uporządkował, ja się tym nie zajmowałem, bo nie wolno dowódcy za dużo dowodzić. Każdy musi mieć cząstkę swobody rządzenia, żądam od ludzi duszy, niech ona ma swe prawa, niech podwładni moi sami rozstrzygają węzły psychiczne, zawiązane przez meldunki.

Wracamy do Skrzybowiec i czekamy. Czekać jest losem żołnierza, a często i dowódcy; słychać strzały, gwar bitwy, dusza się wyrywa, a tu stać trzeba, nerwy się szarpią i siły słabną. Dowódca musi umieć czekać i trwać w wesołości i szerzyć ją koło siebie, inaczej owiną mu się koło serca żmije niepewności i trwogi i innych też ugryzą.

Czekamy... nagle niespodzianka — pociąg pancerny broni Lidy i praży piekielnym ogniem niedoświadczonego rekruta, który niemniej idzie dzielnie do ataku, ale się wreszcie cofa pod ogniem. W tym wybuch! Pancerka rozbita, zapaliły się prochy od naszych pocisków, zmyka z trupami, poszarpana. Więc Lida wnet będzie moja. Cichnie głos armat... godzina, dwie upływają, nadlatuje autem Kasprzycki: «Cofamy się, Lida nie wzięta!» Prędzej auto, prędzej bataliony Śmigłego, dopiero co przybyłe! Pcham je z płk. Biernackim na Lidę, lecę sam. Dojeżdżam do bateryj. Czemu milczą? Czemu? Amunicji nie ma! Posłać do Skrzybowiec, a tym czasem sam was poprowadzę, tę jedną baterię, która jeszcze ma czym strzelać. Niechętna, strwożona bateria musi iść za mną... Owionął mnie nagle znany, dawno słyszany gwizd, śpiew kul, kule śpiewają śpiew śmierci... Duszo wojenna, jakże ty złożona jesteś!... Myśl leci nagle ku dawnym legionowym wspomnieniom. Chłopcy moi, w dalekich grobach leżący, oto wasze marzenia się spełniły! Wasz Komendant jest wodzem Polski, bądźcie z nim, niech duch wasz towarzyszy moim żołnierzom! Dajcie mi Wilno na święto Wielkiej Nocy! Bataliony nadchodzą, walka się wznawia, na noc przerwa, niech odpoczną Suwałczanie; Lida otoczona, o świcie będzie, musi być wzięta!

---

[1]) Mieczysław Mackiewicz, ówczesny major, d-ca 41 pułku strzelców suwalskich i d-ca grup operacyjnych w walkach o Lidę, Wilno i w wyprawie na Mińsk.

Nadchodzą mi raporty o ruchach mych wojsk wokoło: Belina melduje, że jest już w Żyrmunach, że nieprzyjaciela nie widzi, że oddziały czołowe w marszu naprzód, na północ. W Bastunach patrol bolszewicki, ostrzeliwują Żyrmuny i posłali 2.400 marynarzy do Lidy, błoto grząskie, czekamy na tabory. Śmigły melduje rozpaczliwe wieści o stanie swej nieszczęsnej piechoty, która brnie w błoto, nie ma kontaktu z taborami, ludzie nie mają co jeść, tabory grzęzną, konie padają ze zmęczenia i z głodu, iść nie mogą.

Od Baranowicz idzie ostry bój, trudności, od Grodna wieść, że Niemcy tam grabią i pobili się z naszymi posterunkami. Koło Łunny mają być oddziały litewskie, w Zdzięciole — bolszewickie. Z Mińska podwożą siły pod Brześć, pod Baranowiczami też walka się wzmaga. Zawistowski [1]) jest w niebezpieczeństwie, za mało mamy kawalerii, a ta, co jest — wycieńczona. Pod Słonimem bardzo niebezpieczna sytuacja, przygotowania do ataku.

Ostatnią depeszą, jaką otrzymuję 16-go, jest meldunek mjr. Bobiatyńskiego [2]), który koło Leśnej prosi o posiłki. Podobno zwycięstwo pod Baranowiczami wykluczone, krótko walczą z sobą. Rady, naturalnie, rady w imię rozsądku: iść ze wszystkimi siłami pod Baranowicze. Każdy dręczy moją koncepcję: temu błoto przeszkadza, ten nie ma papierosów dla żołnierzy, oto taniec kochanki dowódcy i błędny krąg raz dokoła!... Niech stoją, niech się zorientują. Lida 16-go wieczorem jeszcze nie wzięta i broni się zajadle.

To był pierwszy dzień, gdy nieprzyjaciel mię zatrzymał; dałem obrazki tych wszystkich wrażeń i uczuć, towarzyszących pracy dowódcy. A te same przecie prawa rządzą i duszą podwładnego, który, otrzymawszy rozkaz, musi potem sam dalej tworzyć i męczyć się tym.

Wódz będzie zawsze bronił swej koncepcji myśli, żądając od innych ich duszy, dając im swoją, w zamian za ofiarę zaprzeczenia ich jestestwa.

Lida padła 17-go i od tej chwili wszystko stało się łatwym i szybkim — co prędzej pociąg do Wilna. Tor zepsuty, ale się naprawia, musimy się związać wieścią z wojskami pod Wilnem, co tam się dzieje? Telefony cały dzień, nic nie możemy osiągnąć... druty zepsute. Ze Skrzybowiec muszę się rozmówić jeszcze z Wojciechowskim. Godzinę całą słyszę w aparacie it,

---

[1]) Mjr. Leon Zawistowski, d-ca 77 p. p.

[2]) Mjr. Stanisław Bobiatyński był wtedy dowódcą wileńskiego pułku strzelców.

it, it, ende, ende [1]), i nic więcej. Ktoś podsłuchuje i włącza się do prądu.

Dnia 19-go kwietnia jestem w Lidzie — wszystko w porządku; tor naprawiony, łączniki utrzymane, robota sprawdzona. Obiaduję właśnie u Suwałczan, święcących swe zwycięstwa, aż wpada ostatkiem tchu oficer od Beliny; Wilno wzięte! Wilno, ukochane miasto, jest moje!

Belina prosi na gwałt piechoty, wagony gotowe, przynoszą mi depeszę z Paryża: «Czekać z Wilnem na armię Hallera»... A ja jadę do Wilna... W tym depesza od pułkownika Dziewulskiego [2]), że bolszewicy idą od boku na nas przez Bastuny czy Bieniakonie. Co u licha! Naradzam się z Radziwiłłem [3]), on sprawdza, okazuje się, że jakiś proboszcz o tym powiedział, a płk. Dziewulski nie miał nic pilniejszego, jak alarmować, ulegając własnej trwodze. Wyruszam do Wilna w wagonie, rozbrzmiewającym radością.

Prowadziłem was, moi państwo, przez analizę pracy mojej duszy, dając analizę duszy dowódcy, mówiłem tym samym i o niższych stopniach, bo każdy na wojnie jest kolejno dowódcą, a prawa, rządzące duszami, są te same.

Mogę o tym mówić obiektywnie, bo lata strawiłem na badaniu sztuki dowodzenia, pchało mię do tego moje przeznaczenie i może zdolności. Musiałem żądać jestestwa ludzkich dusz na rzecz tryumfu i zwycięstwa, bo sam kładłem w to duszę całą.

Tworząc koncepcję wileńską, czułem, że tworzę rzecz piękną.

Wiązałem ze sobą prace wojenne, by panować nad nimi, wszystkie wiązadła zrobiłem jednak niepewne, pod znakiem zapytania. Dlaczego? Bowiem szukając pewności, tracę na szybkości, a ta ileż oszczędza siły i życia żołnierza! Młodzieńcza siła, którą mi dała myśl o Wilnie, pozwoliła tak dziwną koncepcję życiem obdarzyć. To też doznałem rozkoszy tryumfu, wszyscy się cofali, ja jeden nie. Autorytet zdobyty, egzamin złożony. Jestem Naczelnym Wodzem, który umie sięgać po rzeczy wielkie. Ukochane, drogie Wilno... jadąc, uczyłem moich oficerów kochać to miasto Mickiewicza i Słowackiego. Ich miłość śpiewała jeszcze w przestrzeni, bo jest nieśmiertelna, ich to stopy wędrowały po tych borach i łąkach, tak znanych mi, tak ukochanych, tak mocnymi węzłami związanych z moją duszą.

Myśl moja wraca do mnie tryumfalnie, czysta i niezbru-

[1]) Mowa o rozmowie na aparacie Hughes'a.

[2]) Płk. Stanisław Dziewulski był dowódcą 4 pułku ułanów.

[3]) Mowa o rtm. Stanisławie Radziwille, adiutancie Naczelnego Wodza.

kana, z rąk tych, co ją wykonali, nie spaczyli, nie zepsuli. Do żadnego miasta, zdobytego przez mnie, nie wjeżdżałem z takim uczuciem, jak do Wilna. Te słodkie pieśni dzieci, te trwożne oczy matek, te łzy, te wzruszenia... wjeżdżałem konno... czekało miasto moje... tryumf duszy był zupełny, a ile pracy nowej i słodkiej było jeszcze przede mną.

Tak więc widzicie, panowie koledzy, trzeba iść na zasadzki, bo inaczej koncepcja nie ożyje. Kto duszy żąda, duszę dać musi. Kto sięga po dusze — duszą swoją płaci.

Kończąc sprawę wileńską, traktowaną z punktu tylko przeżyć wodza, w ostatnim odczycie szukać będę dróg tryumfu w innych wodzach i ich przeżyciach.

WYKŁAD V

(21 sierpnia 1923 r.)

Przystępując dzisiaj do analizy duszy dowódców, zacznę od tego, któremu się pierwsze miejsce należy, albowiem nie miał sobie równego, od Napoleona. On, ten geniusz wojny, pisze sam o sobie: «Nie ma człowieka bardziej trwożliwego, bardziej małego serca, gdy przystępuję do decyzji wojennej. Widzę wszystko czarno, lękam się, jak dziewczyna, która ma rodzić, ale gdy decyzja powzięta, męka skończona — spieszę do wykonania». Ilustrację tych słów dałem na sobie. Wola męki nie chce, szuka siły. Nieraz wspominał Napoleon o swym austerlickim [1]) słońcu, dlatego, że to była jego najpiękniejsza, najśmielsza koncepcja, bitwa najryzykowniejsza, walczyło przeciw niemu trzech cesarzy. Są w bojach, zdawałoby się, niewzruszone prawidła. Napoleon lekceważył je, robi po swojemu, niespodzianie, nieobliczalnie i zdumiewa koncepcją, której nikt przewidzieć nie mógł. Dla powzięcia takiej decyzji z pewnością męczył się i łamał, tak, jak musiał się łamać ze sobą, gdy po Waterloo szedł na wyspę św. Heleny, z duszą, zmęczoną zdradami i upokorzeniem. Ale i tu męka jego nie była słabością, bo czasami dusza potężna męki szuka.

Sięgnijmy po przykłady systemów koncepcji do własnej historii. Weźmy Prądzyńskiego i Skrzyneckiego [2]). Prądzyński ma ciągle nowe i śmiałe koncepcje, które się Skrzyneckiemu i jego szefowi sztabu, Chrzanowskiemu [3]), wydają często sza-

[1]) Por. t. III, str. 264.

[2]) Gen. Jan Zygmunt Skrzynecki, w roku 1831 po bitwie grochowskiej naczelny wódz powstania.

[3]) Gen. Wojciech Chrzanowski, w powstaniu 1831 szef sztabu.

leństwem nie do spełnienia. Prostym planom Prądzyńskiego tamci dwaj przeciwstawiali ironiczny uśmiech. Błagał wodza na kolanach o spełnienie prośby zaczęcia działań wojennych zaczepnych. Skrzynecki ustępuje, ale niechętnie i bez wiary. To też spełnienie planu nie ma żywotności, robota dowodzenia nie ma siły. Daje jednak zwycięstwo pod Dębem Wielkim [1]) i znużenie Dybicza [2]), czego Skrzynecki wyzyskać nie śmie i nie umie. Koncepcja, zaakceptowana połowicznie, z góry skazana na zamarcie. Wódz jej nie kocha, a twórca widzi, że ją maltretują. Wiemy, że po zwycięstwie pod Dębem pogoń za rozbitą armią rosyjską jest bardzo leniwie prowadzona przez ospałego Łubieńskiego [3]). Zdarza się cudowny pomocniczy wypadek, jaki się nigdy nie trafia; papiery Dybicza wpadają w ręce polskie, plany jego odkryte i tak Skrzynecki z tego nie korzysta, tylko się naradza i waha, a na błagania Prądzyńskiego odpowiada, że nie chce, jak Kościuszko, skończyć Maciejowicami. Skończyło się Ostrołęką [4]). Oto przykład, co się dzieje, gdy wódz nie ma silnej koncepcji, ale przyjmuje koncepcje otoczenia, kilka planów rozpołowionych, niedostatecznie żywotnych, by mieć siłę i wiarę wzbudzać.

Inna strona sprawy — wspominałem o tarciach z czynnikami politycznymi. Każdy wódz ma te tarcia. Wódz jest częścią polityki kraju, praca wojen wpływa na politykę kraju, zawsze następują tarcia, o ile wódz nie jest też dyktatorem, to jest koncentrującym w jednej osobie wszystkie koncepcje i wybór wśród nich.

Przykładem starcia z czynnikami politycznymi i upadku w tej walce jest gen. Nivelle [5]). W r. 1917, gdy wypadki rosyjskie pozbawiły Niemców jednego przeciwnika, na czele armii francuskiej stał Nivelle, który na to wysokie stanowisko zaawansował szybko z rangi pułkownika artylerii, wykazawszy znakomite w tym kierunku zdolności. Właśnie armia była rzucona w największe piekło pod Verdun; Nivelle wytrwał boje, w czasie których padło milion ludzi, ale Nivelle osiągnął, czego chciał, i sukces jego planów był taki, że Lloyd George zażądał,

[1]) Dębe Wielkie, wieś w pow. mińsko-mazow., wojew. warsz., gdzie dn. 31. III. 1831 r. gen. Skrzynecki odniósł zwycięstwo nad Rosjanami.

[2]) Jan Dybicz (przydomek Zabałkański), gen. ros., w roku 1831 był naczelnym wodzem armii rosyjskiej w Polsce.

[3]) Gen. Tomasz Łubieński, dowódca jazdy polskiej pod Grochowem.

[4]) Ostrołęka, miasto powiatowe w wojew. białost., pamiętna bitwą dn. 26 maja 1831 r., która zakończyła się przegraną Polaków.

[5]) Gen. Robert Jerzy Nivelle w czasie wojny światowej obrońca Verdun w r. 1916. Szerzej o konflikcie Nivelle'a z czynnikami politycznymi na str. 182, tomu VI.

by ten generał francuski kierował też armią angielską. Ale gabinet Briand'a padł, a Ribot [1]) nie chciał się zgodzić na «napoleońskie zamysły» Nivelle'a, do których ściągnięto nowy milion ludzi. Zarzucają mu, że nie szanuje życia ludzkiego, że szafuje krwią. Przybywa do Paryża, protestują przeciw zdobywaniu fortu Douaumont [2]), bo może zginąć 60.000 ludzi, a tam było 4.000 tylko. W sporach o to doszło do takiego stanu rzeczy, że się Nivelle musiał podać do dymisji. W czasie wielkiej rewolucji francuskiej krępowano wodzów jeszcze więcej, bo każdy miał swego anioła stróża z Konwentu i jego się musiał pytać i składać raporty. Napoleon jeden nie brał ich pod uwagę i pisze do żony: «nie radziłem się nikogo, osłabiłbym sprawę, gdybym się naradzał, i osłabił duszę w kontakcie z innymi».

Przychodzę do przykładu, opartego, na wielkiej, wspaniałej bitwie pod Mukdenem [3]). Oyama [4]), Kuropatkin [5]). Generał rosyjski, operujący znanymi systemami, — japoński, działający niespodzianką i szybkością. Jeden z generałów japońskich ma prowadzić atak demonstracyjny, by odciągnąć siły rosyjskie, Kuropatkin trzyma się kurczowo kolei, więc Japończycy uderzają pozornie na ten punkt. Ppłk. Kawekami prowadzi 2 szwadrony, złożone z 12 oficerów i 160 żołnierzy, tak, by wypłynęli na tyłach nieprzyjaciół i niszczyli tor. Półtora dywizji rosyjskiej miało strzec kolei i szukać tego małego oddziału. A on się mnożył, straszył, robił ciągle napady, zdawał się być w kilku miejscach naraz. Odciągnął półtora dywizji z pod Mukdenu. Japończyk przystępuje do demonstracji. Ruszył o cztery dni wcześniej i dzień po dniu zdobywał pozycje, trwożył i niepokoił większe siły rosyjskie. Tak pomieszał pojęcia o tym, gdzie są największe japońskie siły, że I korpus syberyjski maszeruje na obronę rzekomo zagrożonego odcinka, po to, by się dowiedzieć, że właśnie o 80 wiorst stamtąd jest potrzebny i że wnet wracać musi.

Generał, dowodzący demonstracją, tracił ludzi, ale nie prosił posiłków; wiedział, że jeśli on zginie, to dlatego, by inni przeszli. Żył i umierał, jak prawy żołnierz. To przykład najcudowniejszy. Koncepcja, twór powiewny, ma płynąć z woli pod-

---

[1]) Aleksander Ribot, polityk francuski, był w roku 1917 premierem i min. spraw zagran.

[2]) Douaumont, wieś i fort na płn. wsch. od Verdun (wsch. Francja) odegrał dużą rolę w walkach francusko-niemieckich w 1916—17 r.

[3]) Por. t. III, str. 18.

[4]) Oyama Iwao (1843—1916), marszałek japoński, zwycięzca z pod Mukdenu.

[5]) Por. t. III, str. 57.

władnych i w ich duszach zawiązywać węzły psychiczne, które nimi kierują. Najwspanialszym zwycięstwem jest to, gdy wola zawiąże w duszy przeciwnika takie węzły psychiczne, że im ulegać musi, że staje się on słabym tam, gdzie ja chcę, by był. Koncepcja, żelazną wolą kierowana, wdziera się w koncepcję nieprzyjaciela i niszczy ją. Wtedy, pod Mukdenem, dusza Kuropatkina była jakby harfą, na której grał nieprzyjaciel. To należy do cudów sztuki dowodzenia. Jesteśmy koledzy, w wielkim i w małym przechodzimy przez pracę dowodzenia. Po tych przykładach wielkich bojów, wspomnę o przykładzie, zaczerpniętych z bliskich doświadczeń.

Opuściłem Belinę, gdy sam z mymi rozkazami szedł raidem ułańskim na Wilno, mając uderzyć niespodzianie, zdemoralizować nieprzyjaciela i utrzymać się do przyjścia piechoty. Pierwszego dnia osiągnął wedle instrukcji pół drogi, stanął w Bieniakoniach. Tam nie doczekał piechoty, nazajutrz ruszył dalej i w Pawłowie otrzymuje spóźniony rozkaz: «stać i czekać na piechotę w Solecznikach». Ależ on ją minął, więc ma wracać?

Waha się i męczy, ma tylko 1.100 ludzi, koni i szabel, ale on tak kocha swoją broń, pierwszy raz mają dokonać coś tak ważnego i miałby innemu ustąpić chwały zdobycia Wilna? Więc koncepcja zmieniona? Co robić? Wahał się w męce. Szli strzelać do celu na losy, by oderwać myśl męczącą. I zdecydowali iść. Bo chwilowe ciągnienie losów było odpoczynkiem myślowym. Ja muszę się przyznać, że kładę w takich razach pasjanse i gdy jestem bardzo niespokojny, wybieram najłatwiejsze, żeby się udały.

Prowadziłem was do tajników dowodzenia, szukając prawdy. Dowodzenie ma tę dziwną tajemnicę, że sięga niezmiernie głęboko w duszę podwładnego, i ma tak silne panowanie, jakiego świat nie zna większego. To też zasadą dowódcy musi być: duszę bierzesz — duszę daj.

Trudno o własnej duszy prawdę powiedzieć i o niej myśleć. Starałem się jednak wam tę prawdę szczerze wypowiedzieć. Gdy chcesz pracować dowodzeniem, szukaj prawdy duszy. Patrz jej w oczy, prawda jest silną i jest mocą duszy. To bogini. Słaby nie znosi wzroku prawdy i tarza się przed nią w prochu, silny nawet się chwieje, ale nigdy nie pada, i on wyczyta w oczach bogini rozkaz woli.

SPRAWA WILEŃSKA

(24 i 25 sierpnia 1923 r.)

Bezpośrednio po wojskowych wykładach: «O dowodzeniu podczas wojny» wygłosił Piłsudski w sali wileńskiego teatru Wielkiego dnia 24 i 25 sierpnia 1923 r. dwa niżej przytoczone wykłady, w których dał wspomnienia swoich walk o Wilno zarówno na terenie zagranicznym, jak i wewnętrznym, dał charakterystykę metod oszczerczych, uprawianych przez jego przeciwników i zastanawiał się jaka może być geneza obrania przez nich takich metod w walce politycznej.

Niestety nie zachował się tekst obu przemówień ścisły i skontrolowany przez autora.

Pierwszy wykład z dnia 24 sierpnia 1923 r. wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» podali według streszczenia dziennikarskiego w «Kurierze Porannym» z dnia 25 sierpnia 1923 r. Poszedłem za ich przykładem, gdyż streszczenie «Kuriera Porannego» jest obszerniejsze, niż streszczenie tego samego wykładu w wileńskim «Słowie»

O tekście drugiego wykładu wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» podali w przypisach następującą informację:

«Do drugiego wykładu natomiast, z dnia 25 sierpnia, oprócz sprawozdania dziennikarskiego («Kurier Poranny» z 26 sierpnia, «Słowo Wileńskie» z 28 sierpnia 1923 r.) zachował się w archiwum «Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski» tekst, przepisany ze stenogramu, odbity na maszynie. Niestety, stenograf był snadź niezbyt wprawny, czy też nie miał dobrych warunków pracy i nie orientował się zupełnie w treści wykładu, stenogram bowiem pełen jest niedokładności, sprzeczności, przerw w środku zdania. Pomimo tego jednak daje on tyle rzeczy, nie zawartych w sprawozdaniu dzienikarskim, że redaktorzy niniejszego wydania uznali za właściwe przyjąć go za podstawę, skreślając ustępy, niewątpliwie nieściśle zanotowane i uzupełniając tekst starannym porównaniem ze streszczeniem, przytoczonym w prasie. Jest to zatem rekonstrukcja nowa, niewątpliwie bardziej zbliżona do tekstu przemówienia, jednakże pod względem autentyczności przedstawiająca wartość rekonstrukcji późniejszej, robionej bez wglądu autora».

Niestety stwierdziłem, iż w archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» nigdy stenogramu, o którym mówili wydawcy, nie było, i nie mogłem go znaleźć. W tym stanie rzeczy byłem zmuszony przedrukować wykład drugi w takim brzmie-

niu, w jakim został on podany w tomie VI «Pism — Mów — Rozkazów», str. 206—225, bez możności porównania stenogramu ze sprawozdaniami dziennikarskimi.

Jest to tekst bardzo niepoprawny, nie dający żadnej gwarancji czy myśli Piłsudskiego nie zostały tu wypaczone.

WYKŁAD I.

(24 sierpnia 1923 r.)

Do niedawna stałem w centrum pracy państwowej. Byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem w czasie wojen. Ale na jednym i drugim stanowisku charakter reprezentacyjnej pracy zawsze stał mi na drodze do mówienia o niej. Czynność moja była ubierana przez innych w słowa, lecz z chwilą, kiedy rzuciłem pracę reprezentacyjną, postanowiłem przejść do słów poza wszystkim w moim interesie osobistym. Mam dzieci. Dzieci kocham. Wiem, że od nich tego sądu historii oczekiwać muszę. Nie chcę, aby w sądzie historii moje dzieci ojca swego nie poznały, a w sądach dotychczasowych jest częstokroć więcej oszczerstw, niż prób stworzenia prawdy.

Panowie, mówię w Wilnie o sprawie wileńskiej. Sprawa ta była państwową, jedną z najważniejszych. W pracy nad tą sprawą miały do czynienia wszystkie rządy, jakie były. Mieliśmy nawet rząd, który się o te sprawy przewrócił [1]). Rzecz prosta, że musiałem w tej pracy brać udział i jako Naczelnik Państwa, i jako człowiek prywatny. Sprawa wileńska w znaczeniu politycznym otwarta została przeze mnie w kwietniu 1919 r., gdym posiadał Wilno jako Naczelny Wódz. Wilno zostało zdobyte orężem. Otworzyłem w tej sprawie również i pracę polityczną, kierując się w niej zawsze zasadami lojalnymi.

Przed wymarszem na Wilno zwróciłem się do pana Paderewskiego i przeprowadziłem z nim kilka konferencyj, uprzedzając o marszu na Wilno przed jego wyjazdem do Paryża, gdzie się wówczas rozstrzygały losy nie tylko Polski. Pan Paderewski jechał na Kongres Wersalski [2]). Z panem Paderewskim byliśmy zgodni pod jednym względem — pod względem przeszkód, jakie na drodze spotkamy. Przeszkody te tkwią w poglądach świata, który jest przeciw nam. Pojęcia świata

[1]) Mowa o gabinecie Ponikowskiego, który dnia 3 marca 1922 r. podał się do dymisji z powodu trudności, jakie napotkał przy podpisywaniu przez delegację Sejmu Wileńskiego aktu złączenia ziemi wileńskiej z Rzeczpospolitą Polską.

[2]) Por. t. V, str. 80.

bowiem układane były na podstawie niedawnej przeszłości, przeszłości, która była przeciwko nam i która mówiła językiem oficjalnym, że przekroczenie Bugu — to aneksja. Z powodu tej właśnie przeszłości utrudniającym momentem były zobowiązania wobec Rosji, które miały wielkie mocarstwa z tytułu przymierza i dzięki wspólnym z Rosją trudom, poniesionym w wielkiej wojnie. Pod tym względem byliśmy z p. Paderewskim zgodni. Natomiast co do środków przezwyciężenia lub obejścia trudności byliśmy rozbieżni. Ja kładłem nacisk na siłę stworzenia faktów dokonanych. Zwracało wówczas uwagę, że w niektórych częściach dawnej Rosji istnieją fakta dokonane, uskutecznione rozbieżnością tam przedstawicieli wielkich mocarstw. Tak było wówczas w Kijowie [1]).

Paderewski sądził inaczej. Zdawało mu się, że jeżeli pozyska poparcie Ameryki, która przez Wilsona miała istotnie wpływ na myśl europejską, to rzeczy mogłyby wziąć taki obrót, że udałoby się uzyskać zgodę na stworzenie stanów zjednoczonych wschodniej Europy. Paderewski już nawet dzielił ziemie poza Bugiem na stany. Ja twierdziłem, że iść tą drogą wydaje mi się niemożliwe. Zasadę federacji nie da się zastosować na tych ziemiach. Przychodzimy wszak z bronią, co jest sprzeczne z zasadami federacji. Zresztą nie widziałem tutaj tych, którzyby do tej federacji chcieli przystąpić. Przysłowie mówi: «że w tym jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz», a mianowicie — nie chciałem, aby Polskę federować z tą stroną, która się od nas, jako federant, odwróciła [2]). Ja stałą swą wytyczną miałem — stworzenie faktów dokonanych, aby później otrzymać uznanie de jure. Miałem zatem zamiar natychmiast po zdobyciu Wilna stworzyć rząd [3]), oparty na wojsku, dowodzonym przeze mnie. Przyszedłem do Wilna. Nie udało mi się tego zrobić. Bano się tego więcej, niż ja i Paderewski. Bano się stworzenia rządu, jak swego własnego cienia.

Drugą rzeczą, jaką zrobiłem, to było odezwanie się do społeczeństwa. Odezwa ta jest znana [4]). Dawałem w niej gwa-

---

[1]) Ustęp ten w streszczeniu wileńskiego «Słowa» z dn. 25. VIII. 1923 r. brzmi tak: «Ja kładłem nacisk na fakt posiadania, na siłę, biorąc za przykład republikę ukraińską, która już miała u siebie przedstawicieli obcych państw, uznano tam status quo».

Dnia 3. I. 1919 r. rząd francuski ustanowił swojego przedstawiciela przy ukraińskiej Centralnej Radzie w Kijowie, którym został generał Tabouis. W kilka dni potem również i Anglia mianowała swojego przedstawiciela Pictona Bagge.

[2]) Mowa o Litwie.

[3]) Por. t. V, str. 81.

[4]) Por. t. V, str. 75.

rancję, że o losie tej ziemi decydować będą jej mieszkańcy. Zastanowiłem się, jak tę odezwę zatytułować: «Do Wilna», czy «Do Wilnian» — czy do kogo wreszcie? Trudno było znaleźć wyraźny tytuł. Nie mogłem wszak użyć tytułów oficjalnych — «Do siewiero-zapadnawo kraja» [1]), «Do Litwy», «Do Polski». Wpadło mi wówczas myśl obudzenia tradycji tej ziemi. Tradycję, wprawdzie zwalczaną, ale niewątpliwie istniejąca. Tradycją tą było niewątpliwie istnienie za czasów Rzeczypospolitej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Była to forma, wspominała panowanie Rzeczypospolitej na tych ziemiach. Każdy tę tradycję musi szanować, dlatego też odezwę zatytułowałem: «Do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego». Ale wówczas nigdy nie byłbym przypuścił, że znajdzie się tylu w Polsce, którzy mają tę tradycję w pogardzie.

Stworzyłem stan dokonany i wówczas z relacji ogólnej, z relacji p. Paderewskiego dowiedziałem się, że odezwa moja zrobiła mu na terenie światowym dobrze. Od tego czasu bowiem można było mówić ze światem o tym kraju, w którym się urodziłem. Przedtem zaś nawet przystąpić do mówienia nie było można. Pierwszym moim aktem było urządzenie cywilne tego kraju. Dałem zarząd, w którym wszystko, co jest pracą, pochodziło od ludzi i ze współudziału miejscowego społeczeństwa. Było to dowodem, że nie jesteśmy okupantami. Następnie chciałem zwołać sejm. Tu jednak spotkałem się ze zdecydowanym oporem i protestem oficjalnym z zewnątrz. Zwrócono się do mnie z żądaniem, abym tego nie czynił. Uległem. Nie zdobyłem się już na akt przejścia mniejszymi drogami. Chciałem w powolnym tempie doprowadzić do tego samego. Zarządziłem wybory do sejmików powiatowych i okręgowych [2]).

W tym miejscu muszę przypomnieć fakt ważny, wiążący się z historią pracy w sprawie wileńskiej. Oto, w końcu roku 1919, czy też w początkach 1920 przedstawiciele mocarstw chcieli urządzić spotkanie moje z Denikinem [3]). Celem tego spotkania miała być wspólna kooperacja przeciwko bolszewikom. Wówczas przez pośrednika zaproponowano mi, jako kar-

[1]) Kraj północno-zachodni, którą to nazwą ziemie te określano w dawnej Rosji.

[2]) Mowa o rozporządzeniu Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich z dn. 8 lutego 1920 r., które polecało w okręgach: wileńskim, brzeskim i mińskim utworzyć Zjazdy Powiatowe z przedstawicieli gmin miejskich i wiejskich, a delegaci Zjazdów Powiat. mieli utworzyć Zjazdy Okręgowe.

[3]) Antoni Denikin, gen. rosyjski, dowódca w latach 1918—20 południowej armii t. zw. białych, walczących przeciw bolszewikom.

dynalny warunek ze strony Denikina, abym zarząd poza Bugiem prowadził w imieniu Denikina, aby zewnętrzne znaki byłego państwa rosyjskiego były tam wprowadzone, jako emblematy państwowe. Odmówiłem. Oświadczyłem, że moi żołnierze nie zechcieliby bronić tego, przeciwko komu walczyli. Widzicie, panowie, chociażby z tego faktu, jak trudno było przeprowadzić rzeczy, które pozornie wydawały się łatwe.

Wtenczas, w r. 1920, wypadły niepowodzenia wojenne. Praca się urwała. Jednocześnie z niepowodzeniami wojennymi szły też niepowodzenia polityczne. Gdy doradzano nam ugody ze stroną przeciwną, wysuwano w Spaa ograniczenia terytorialne, przy których nie tylko Wilno, ale i Brześć musiałyby być odstąpione [1]). Zapadła nawet poza nami decyzja, oddająca Wilno Litwie. Z tymi decyzjami miałem do czynienia przy mojej nowej pracy. Trzeba było stworzyć nowe fakty dokonane. Natenczas przyszła akcja generała Żeligowskiego [2]), który działał pod moim dowództwem i z mojego wyraźnego polecenia. Mogę to śmiało powiedzieć, gdyż, wychodząc z Belwederu, powiedziałem to wyraźnie przedstawicielom wielkich mocarstw [3]), nie chcąc, aby sprawa ta w ich opinii szkodziła gen. Żeligowskiemu. Stworzyłem więc nowy fakt dokonany, ale i nowy stan posiadania na innych warunkach. Inwazja bolszewicka zakończyła się wielką klęską. Armia bolszewicka była tak rozbita, że nie miałem żadnych przeszkód wojskowych, abym mógł sięgnąć, gdziebym chciał, na całym prawie froncie. Ale zostałem zatrzymany wówczas w pochodzie przez brak siły moralnej w społeczeństwie. Zaczęły się więc pertraktacje w Rydze. W traktacie ryskim mamy już Wilno i ziemię wileńską wyodrębnione [4]).

[1]) Prezydent ministrów Władysław Grabski podpisał dnia 10 lipca 1920 r. t. zw. układ w Spaa, w którym był następujący ustęp: «Rząd Polski zgadza się na to, by zainicjować i podpisać niezwłocznie rozejm na tej podstawie, że wojsko polskie cofnie się i stanie na linii, ustalonej przez konferencję pokojową dnia 8 grudnia 1919 r. jako tymczasowej granicy polskiego zarządu i że wojsko sowieckie stanie o 50 km na wschód od lini. Jednakże Wilno ma być niezwłocznie oddane Litwinom i wyłączone ze strefy, zajmowanej przez bolszewików podczas rozejmu».

[2]) Por. t. V, str. 173.

[3]) Pisze o tym b. poseł włoski w Polsce Tommasini w swej książce p. t. «Odrodzenie Polski» na str. 215. Fakt ten według Tommasini'ego miał miejsce w dniu 6 grudnia 1922 r.

[4]) W ryskim traktacie pokojowym, podpisanym dnia 18 marca 1921 r., był w art. 3 następujący ustęp: «Obie układające się strony (t. zn. Polska i Rosja) zgadzają się, że, o ile w skład ziem, położonych na zachód od oznaczonej w art. 2 traktatu niniejszego granicy, wchodzą terytoria sporne między Polską a Litwą — sprawa przynależności tych terytoriów do jednego z tych dwóch państw należy wyłącznie do Polski i Litwy».

Biorąc stosunkowo nikły udział w kierownictwie nawą państwową, w sprawie wileńskiej żądałem od każdego rządu, aby, pracując w tej kwestii, szedł w zgodzie ze mną. Wszystkie rządy w sprawie tej ze mną współdziałały. Sprawa ta zakończyła się wreszcie uznaniem granic wschodnich za rządów Sikorskiego [1]). Przez cały czas sprawy wileńskiej starałem się stworzyć primo — fakty dokonane, zmierzające do związania tej ziemi z Polską, secundo — przezwyciężyć pogląd całego świata, wiążącego ten kraj z Rosją. Powtarzam jeszcze raz, że świat był przeciwko wam. Świat był przeciwko mnie. Świat miał wyrobione pojęcie o Rosji i nie chciał wznowienia świetnych tradycyj Polski, które szły przeciwko Rosji.

Ale były przeszkody i z innej strony. Naszego ministra spraw zagranicznych, który poruszał sprawy wileńskie, mogłem z góry ostrzec, co go spotka, a więc przede wszystkim, że nadejdą zaraz depesze od naszych posłów za granicą, że sprawa jest niebezpieczna, a moment nieodpowiedni. W opinii wewnętrznej zaś nasz minister, który tę sprawę chciał poruszyć, był co najmniej głupim, jeżeli nie zdrajcą. Każdy więc minister bał się tej sprawy. Nie tyle może lękając się upadku, ile unikając nieznośnego krzyku i hałasu o zdradzie narodowej. To samo spotkało p. Skrzyńskiego [2]), kiedy do tej sprawy przystąpił. Ten się jednak zastraszyć nie dał. Jeżeli panowie w Wilnie sądzicie, że wy nie braliście w tym udziału, to się mylicie. To są te dwa cienie. Wewnętrzny i zewnętrzny, które zawsze towarzyszyły sprawie wileńskiej.

WYKŁAD II.

(25 sierpnia 1923 r.)

Szanowne panie i szanowni panowie!

Wczoraj w ogólnych zarysach przedstawiłem sprawę wileńską.

Przy tym wskazałem, na jakie olbrzymie trudności natrafiłem przy rozstrzygnięciu tej sprawy, i przedstawiłem swoje metody, które stosowałem do rozstrzygnięcia tej sprawy; metody faktycznego stanu posiadania i powolnej zmiany utartych

[1]) Mowa o decyzji konferencji ambasadorów Anglii, Francji, Włoch i Japonii z dnia 15 marca 1923 r.

[2]) Mowa o Aleksandrze Skrzyńskim, który był Ministrem Spraw Zagranicznych w gabinecie Wł. Sikorskiego od 16 grudnia 1922 do 26 maja 1923 r. Za jego czasów nastąpiła w lutym 1923 r. decyzja Rady Ligi Narodów co do podziału pasa neutralnego między Polską a Litwą.

poglądów, utartych zdań i utartego mniemania o Wilnie i ziemi Wileńskiej. Wskazałem również na przeszkody, na które zarówno ja, jak i rząd, napotykaliśmy. Główną przeszkodą było zawsze złamanie poglądów w każdej danej sprawie, w każdym nowym prądzie, w każdym nowym kroku, w każdym nowym etapie ze strony całego świata, który miał swoje poglądy na te rzeczy i swoje zobowiązania. Obok tego wskazałem na przeszkody wewnętrzne, które metodycznie pracowały w kierunku utrudnienia tej właśnie pracy, utrudnienia jej za pomocą ostrzegania, aby tej pracy nie poruszano i za pomocą t. zw. obrony narodowej. Jest to stałym zjawiskiem we wszystkich pracach w sprawie wileńskiej.

Obiecałem zatrzymać się dłużej dla lepszej ilustracji na dwóch etapach sprawy Wilna. Pierwszym jest ustalenie stanu faktycznego posiadania i tak dobrze pamiętnych przejść gen. Żeligowskiego. Polska podczas klęsk swoich zawiązała pewne zobowiązania. Były nimi znane przejścia p. Grabskiego w Spaa, gdzie Wilno było wyraźnie wymienione [1]). Było to również przyczyną rzucenia tego rozstrzygnięcia na forum debat w Lidze Narodów. W tym czasie szczęście wojenne mnie się uśmiechnęło — zdecydowałem od razu, by stan faktycznego posiadania orężem do Wilna wprowadzić. Wybrałem do tego gen. Żeligowskiego [2]), gdyż sam, jako Naczelnik Państwa oraz Naczelny Wódz Polski, łamać zobowiązań nie byłem w stanie. Wybrałem generała, co do którego byłem najbardziej pewny, że mocą swego charakteru potrafi utrzymać się na należnym poziomie i że poleceniom i żądaniom rządu nie będzie zarówno, jak poleceniom i żądaniom moim, przeciwstawiać pracy wojskowej. Udało mi się to znakomicie i stało się przedmiotem mojej dumy. Dumny jestem, że mogłem ustawić wojsko i popchnąć je do czynu tak, jak tego wymagała chwila decydująca. Fakt ten spotkał się z odporem Europy tak gwałtownym i tak silnym, jak żaden inny. Nie jestem w stanie powtórzyć wszystkich rozmów, nie jestem w stanie powtórzyć wszystkich not, jakie tej sprawy dotyczą. Muszę liczyć się także z obowiązkiem milczenia, który związywał mnie wówczas. Ataki były bardzo gwałtownie skierowane przede wszystkim przeciwko mnie osobiście i przeciwko gen. Żeligowskiemu. Ataki te trudno było nieraz wytrzymać. W pracy nad wytrzymaniem tych ataków miałem pomoc przestraszonego rządu. Rząd bowiem zaczął się obawiać następstw tego kroku. Szły zgodnie z metodą ostrzegawcze depesze od przedstawicieli naszych z całego świata.

[1]) Por. t. VI, str. 124.
[2]) Por. t. V, str. 173.

Brzmiały one, jak zwykle: «Nie możemy bronić Żeligowskiego. Jest to niemożliwe — lepiej nie bronić, nie poruszać tej sprawy. Jest u nas zbyt gorąco, zbyt niebezpiecznie» — dla mnie, i przeze mnie dla Polski. W pierwszych też początkach sprawa cała spadła na mnie. Miałem mnóstwo z tego powodu tarć ze światem, miałem mnóstwo — powiem — walk o utrzymanie tego, com zrobił. Dochodziło do zrzeczenia się mego urzędu i groźby, że jadę sam do Wilna [1]). Wtedy właśnie zaczęły się plotki i oszczerstwa w Polsce, których tłem było, że w Belwederze mieści się zdrada narodowa.

Sutenerzy pracować zaczęli. Hece narodowe, znane mi dobrze z przeszłości i teraźniejszości. Opasła, głupia babina, rzucona na środek sali przez sutenera, pracowała. Głupkawy uśmiech w stosunku do pracy dokonanej.

Naprzód nazwa. Nie jestem jej autorem. Nie ja wymyśliłem nazwę Litwa Środkowa [2]), ale to pachnie Belwederem. Belweder jest w robocie. Piłsudski — autor romansów federacyjnych, Piłsudski — autor klęsk Polski. Hece narodowe! Sutenerzy przy pracy! Znam, zanadto dobrze znam. Zanadto dobrze znam sutenerów opinii i ich metody. Naprzód — «Belweder państwo sobie nowe knuje! Belweder robi państwo litewskie! Praca przeciwko Polsce! Zdrajca narodowy zagnieździł się w Belwederze!» Krzyki. Hałasy. Znam, zanadto dobrze znam! Znam, zanadto dobrze znam i pracę sutenerów, i pracę babiny opasłej, a głupkawej i nie umiejącej nieraz powtórzyć słowa federacja, zanadto dla niej mądrego. Widziałem ironiczny uśmiech panów, rozmawiających ze mną, gdym bronił gen. Żeligowskiego. Widziałem pisma w ich rękach, które mi pod oczy podsuwano. Słyszałem twierdzenia, że to jest sprzeczne z chęcią narodu polskiego. I znowu inne przeszkody — z za granicy: to jest agresja Polski. Zaborczość Polski. To rzecz, na którą świat zgodzić się nie może, widząc skutki, jakie może wywołać. Jedna z przeszkód, znanych panom, wychodzi od Ligi Narodów. Przede wszystkim kontrola [3]). Jeden z panów kontrolerów, gdy przytoczyłem mu moje dane, powiedział na to, że Polska i tak przecie uważa Wilno i Wileńszczyznę za zagranicę. Zaprzeczyłem jak najgoręcej. Wtedy ów pan pokazał

---

[1]) Por. t. V, str. 173.

[2]) Termin ten został wymyślony przez przyszłych członków t. zw. «Tymczasowej Komisji Rządzącej» (por. t. V, str. 226).

[3]) Mowa zapewne o uchwale Rady Ligi Narodów z dnia 28 października 1920 r. tyczącej się przeprowadzenia plebiscytu na Wileńszczyźnie, i o wyznaczeniu komisji alianckiej z płk. Chardigny na czele dla przygotowania głosowania.

mi dane: jeden z ministrów, p. Michalski, zatrzymuje wywóz za granicę, t. zn. do Wilna, zboża, pozwalając jedynie na transport końmi z powiatów duniłowieckiego i dziśnieńskiego. Pamiętam rozprawy o tym, gdy się temu sprzeciwiałem, gdyż nigdzie więcej tego nie sprzedadzą [1]). Pamiętam sądy, gdy wyroki wileńskie, wynoszone tutaj, nie były obowiązujące dla Polski i każdy zbój z wyroków tych kpił, gdy dojechał do Lidy. Była to zagranica dla Polski. Pamiętam rozmowę w jednym z miasteczek, niedalekich od Wilna, gdzie mówiono, że często jadą za granicę i gdy zdumiony zapytałem «co to, do Bolszewii?» odpowiedziano «nie, do Wilna». Skutki są daleko idące każdej takiej hecy, każdego takiego krzyku.

Przechodzę do faktów, kiedy czasy zdawały się trochę zmieniać na lepsze. Nasi nieprzyjaciele w tym procesie, Litwini, porobili bowiem znacznie więcej głupstw, niż Polacy, z tego powodu praca była znacznie lżejsza.

Do wszystkich atutów dodać nagie zdanie samej ziemi Wileńskiej [2]), zdanie, po którym należy powrócić do porządku dziennego! Stworzyć nowe przekonanie! Zachwiać dotychczasowe! Kazałem przyśpieszyć jak najbardziej to dzieło, by nie stracić dobrego momentu i znowu spotkałem się z tym samym zjawiskiem: dość nieśmiałe protesty świata, w tej właśnie chwili najgorętszej, ostrzegawcze depesze od naszych przedstawicieli z całego świata, aby tej rzeczy nie poruszać, aby tego nie czynić. I znowuż hece narodowe, idące natychmiast krok w krok — trop w trop każdej pracy.

Sprawa przedstawiała się, jak następuje. Rok cały państwo polskie prowadzi pertraktacje nad sprawą ziem wileńskich. W pertraktacjach były zarysowane kontury tych ziem. Rok cały Polska brała na siebie zobowiązania do tych czy innych czynów, do takiej czy innej pracy, związanej z tą ziemią. Obok tego istniał podpis mój, złożony na traktacie ryskim, gdzie również ta ziemia miała pewne kontury [3]). Natomiast w pracy wojskowej, chcąc poprzeć i utrzymać słabe siły gen. Żeligowskiego, popchnąłem w kierunku Wilna wojsko tak, aby Wilno wieńcem otoczyć, zagrodzić, jak to szczerze wyznałem

---

[1]) W streszczeniu wileńskiego «Słowa» z dn. 28. VIII. 1923 r. ustęp ten brzmi tak: P. Michalski zaś zabronił wywozu zboża «za granicę» (do Wilna), pozwalając na wywóz końmi do powiatów dziśnieńskiego i duniłowickiego. Opierałem się temu, twierdząc, że w ten sposób wspomagają wywóz zboża do Bolszewii.

[2]) Mowa zapewne o postanowieniu Polski w końcu 1921 r. o zarządzeniu wyborów do Sejmu wileńskiego.

[3]) Por. t. VI, str. 124.

przedstawicielom państw obcych. Dzięki temu wytworzył się stan posiadania wojskowego.

Dlatego żądałem, aby praca sejmu była czyniona na terytorium, na którym praca przez cały czas trwania sprawy o ziemię wileńską się toczyła.

Rząd nie mógł nawet postąpić inaczej. Było to dla niego niemożliwe. Byłby się skompromitował, byłby musiał upaść w swojej powadze. Lecz od czegóż są hece narodowe, od czego są krzyki i hałasy, by sejmu nie zwoływać? Walka pod tym względem jest mi bardzo pamiętna. Walka o dwie szmatki ziemi, wyłączonej z Polski: powiaty lidzki i brasławski [1]), przyłączone do zagranicy, do Wilna, do obcego państwa, do obcej ziemi, sprzedawane w ręce prawdopodobnie niepolskie. Miałem wówczas śmiechu co niemiara. Ministrowie tak się tej hecy poprzestraszali, że oświadczyli, że nie są w stanie bronić tej tezy i przyszli do mnie z prośbą, abym ja to wziął na siebie. Lubię takie rzeczy. Spokojnie je zawsze wezmę na siebie. Wziąłem je wtedy i postawiłem je «aut-aut». Nie można zobowiązań narodowych w śmietnik rzucać. A rząd postanowił albo ja, albo ziemię Lidzką i Brasławską wyodrębnić do obcych państw i zmusić razem swe losy rozstrzygnąć. Opasła babina, miotając przekleństwa na moją głowę, rzucając jakieś nowe niezrozumiałe dla siebie słowo «federacja», o zdradach belwederskich skrzeczała. Skończyło się wtedy w sejmie moim zwycięstwem; ale część przegłosowana krzyczała, żem sprzedawczyk i targowiczanin, sprzedający ziemie polskie [2]).

Proszę państwa! Przebiegłem pracę swoją w sprawie wileńskiej. Rozpatrzyłem dwa jej etapy bardziej szczegółowo. Sprawa wileńska w życiu młodego państwa polskiego odegrała bardzo dużą rolę. Była ona rzucona przeze mnie jako wyzwanie, jako obrona tych ziem, do których Polska mieć mogła pretensje. Ze sprawą wileńską miał do czynienia każdy rząd. Każdy rząd poświęcać jej musiał olbrzymią dozę trosk i olbrzymią dozę trwogi i pracy. Sprawa wileńska spotkała się z trudnościami, nieznanymi w innej pracy. Miała przeciwko sobie wszystkich, miała również metody pracy narodowej, metody podwójnej: oficjalnych ostrzeżeń, działających pod wpływem zakulisowych ministrów spraw zagranicznych, co było istotą życia międzynarodowego przez bardzo i bardzo długi czas, i — dla poparcia tej pracy uchwał ministrów zakulisowych — hece narodowe, czynione na każdą uchwałę w sprawie Wilna.

---

[1]) Por. t. V, str. 228.
[2]) Por. t. VI, str. 12.

Wolno więc zapytać — cui bono — po co to czyniono? Z jakiej racji? w jakim celu? Każdy historyk, który w dalekiej przyszłości społeczne nasze życie rozpatrywać będzie, przejść nad tym pytaniem nie będzie w stanie. Musi rozpatrzeć, co to w tej Polsce się działo? Jak to życie pierwsze kroki swe formowało?

Pierwsze kroki państwowe Polski związane są ze mną dlatego, że praca całego narodu oraz losy moje wyniosły mnie na najwyższe szczyty, dały mi tyle siły i tyle władzy, że z pracą moją związane są wszystkie państwowe czyny. Byłem Naczelnikiem Państwa, wybranym jednogłośnie przez sejm [1]), bez żadnego nacisku z mojej strony. Rzadki wypadek jednomyślności w dziejach polskiego sejmu. Byłem Naczelnym Wodzem podczas wojny. To znaczy: rzadko człowiekowi do rąk tyle władzy się daje.

I oto ten człowiek spotyka stale w swojej pracy jedne i te same przeszkody, jedną i tę samą pracę innych. Każdy historyk nad tym zastanowić się musi. Każdy historyk te prace obiektywnie ocenić musi i każdy zgodnie ze mną rzuci pytanie: dlaczego człowiek — jednogłośny wybraniec narodu — rzucony na szczyty, jest potem tak staranną pracą zwalczany? Cui bono to się robi? W jakim celu? Z jakim zamiarem? Dla jakich powodów i przyczyn? Praca, która była zawsze metodą, — metodą jedną i tą samą, która się przejawiała przez całą historię mojej osoby, jako metoda codzienna. Jeżeli w hecach narodowych ta metoda stale się zgęszcza i tworzy rysy, których zetrzeć nie można — w codziennej pracy jest ona ustawiczną. Jest to metoda kłamstw, oszczerstw, potwarzy i łgarstw. Metoda, charakteryzująca zatem pracę i charakteryzująca stan społeczeństwa, w którym praca się odbywała. Przy analizie tej pracy może znajdziemy i pewne odpowiedzi na pytania historyka — cui bono?

Proszę panów! Wczoraj, gdym mówił, z czym się spotkała moja odezwa wileńska [2]), gdym stwierdzał, że spotkała się natychmiast z określeniem, że przygotowuję tron wielkiego księcia litewskiego w Wilnie i dla swojej Żydóweczki go przeznaczam [3]) — panowie spotkali me orzeczenie śmiechem. Zatrzymałem was w śmiechu, gdyż rzeczy te nie są tak śmieszne, gdyż są one stałe i codzienne i charakteryzują pracę, która ma pewne znaczenie w życiu naszego społeczeństwa, naszego na-

---

[1]) Por. t. V, str. 62.

[2]) Por. t. V, str. 75.

[3]) Aluzja do jednej z oszczerczych wówczas plotek, że córka Piłsudskiego, to owoc związku jego z Perlówną.

rodu i naszego państwa. Nie jest przecież rzeczą śmieszną zanalizowanie tej pracy.

Proszę panów! Świeżo przed wyjazdem tutaj otrzymałem wycinek z jakiegoś pisma («Kurier Poznański», czwartek 26 lipca). Nad tym napis: «Wiedz o tym, były Naczelniku, że na sumieniu masz hańby bez liku» [1]). Znane mi i scharakteryzowane w broszurze o przyjacielu moim, Narutowiczu, wszawe roboty anonimów. Proszę państwa! Ze zdumieniem wyczytałem tam rzeczy następujące, kreacje z Wilna niejakiego p. Jana Obsta, sutenera, w którym czytam następującą odę do mego nazwiska: «Jeden jeszcze przykład, iż «familia», rządząc w ciągu czterech lat samowładnie Polską, nie zapomniała o swych osobistych interesach... Niech nikogo nie zdziwi, iż pierwszym życzeniem, jakie wypowiedział p. Piłsudski w odzyskanym 1919 r. Wilnie było, aby mu społeczeństwo odkupiło dobra rodowe, położone w powiecie święciańskim, a przez utracjuszostwo ojca zaprzepaszczone. Kiedy zaś ktoś z otoczenia nieśmiałą zrobił uwagę, iż obszar tych dóbr znacznie przewyższa owe maksimum, projektowane przez polską ustawę rolną — machnął tylko lekceważąco ręką». Naturalnie, był p. Obst przy tym. Widział, jak lekceważąco machnąłem ręką. «Rozpoczęła się hałaśliwa, niesmaczna reklama... Tu jednak okazała się w całej pełni rozreklamowana «popularność» p. Naczelnika. Ci, co najwięcej krzyczeli, nie dali nic, gdyż nie po to przecież służyli p. Piłsudskiemu, by dawać, lecz brać... Widząc, iż tą drogą nic nie wskóra, p. Piłsudski, pozbywszy się łatwo sentymentu do swych «dóbr rodzinnych», kazał sobie ofiarować nieco mniejszy, lecz bardzo piękny majątek Świątniki [2]). Niesprawiedliwością byłoby jednak oskarżać p. Piłsudskiego o niski egoizm, miał on serce szerokie, a jeśli nim nie ogarnął «milionów», tym hojniejszy był dla swoich najbliższych...» Owi «najbliżsi» są wymienieni po imieniu.

Proszę panów! W tym jest metoda, w tym jest praca. Wówczas przychodzi znów pytanie — qui bono? To są czynniki historyczne. To są rzeczy stałe w tym życiu publicznym, w istnieniu tego życia publicznego. Proszę panów! System zbijania takich szmat kloacznych, system zbijania w szczegółach oszczerstw, łgarstw, kłamstw i potwarzy, zarówno, jak system przyjmowania tego, jest niemożliwy. Praca narodowa ma pod

[1]) Napis ten pochodzi najwidoczniej od tego, który anonimowo przysłał Piłsudskiemu wspomniany wycinek.

[2]) Mowa o przyznanej Piłsudskiemu działce żołnierskiej w Świątnikach w powiecie wileńsko-trockim. Działki żołnierskie były przyznawane żołnierzom, którzy brali udział w wojnie.

tym względem swoją przeszłość. Świadczy ona przede wszystkim w całej rozciągłości przed światem całym, jak należy Polskę rozumieć. W sądzie o nas ten rys życia publicznego jest aż nadto dobrze znany i ceniony. Człowiek, który takie rzeczy pisze, jest, naturalnie, płatny. Ktoś za to płaci. Ktoś opłaca słowa kłamliwe, oszczercze, niewiarogodne. Dla kogoś jest to potrzebne, bo przecież niktby takiemu sutenerowi trzech groszy nie dał, gdyby tego nie było potrzeba. Czy p. Obst o swojej kieszeni pamięta i zbija grosze, nie wiem i nie starałem się dowiedzieć. Lecz system sam w pracy, skierowanej przeciwko przedstawicielowi Polski na świecie, daje pojęcie o Polsce. Praca tego rodzaju wszędzie jest odpowiednio ceniona.

Człowiek, który takie rzeczy pisze, — z góry wiadomo — jest płatny. Człowiek taki zarabia. Taki człowiek jest kupny. Nie tylko wewnętrznie, ale i zewnętrznie. Każdy kupić taką szmatę ludzką może, ale najwyżej jest ceniona u nas. Bowiem tylko głupia babina, reprezentująca opinię polską, może za głupie szmaty drogo płacić. Gdzie indziej dla takiej pracy potrzeba więcej zdolności, potrzeba więcej rozumu, a za zdolności i rozum trzeba drogo płacić. Natomiast w Polsce za głupie niewiarogodne rzeczy płacą niewiarogodnie drogo. Gdzie indziej trzech groszy za to by nikt nie dał.

Proszę panów! Dla scharakteryzowania tej właśnie pracy dam wam, panowie, inne przykłady, z których możecie się śmiać, jak wam się podoba. Świeżo dowiedziałem się, będąc we Lwowie na zjeździe legionistów, że jest w Sandomierszczyźnie pewna ziemianka, która głośno opowiada, że kwaterowałem w jej domu w r. 1915, przy czym ukradłem mężowi jej jakieś żółte buty. Panom to się wydaje śmieszne. Ależ, proszę panów, sam pomysł opowiadania tych rzeczy jest oryginalny. Ta pani, u której stałem, czy nie stałem w jej domu, której synowie szli do boju pod moim dowództwem, ta głupia babina, reprezentująca opinię w swojej sferze, da opinię, odpowiednią do rozumu sfery, do której należy. Jest to zresztą echem jednej pracy znanego posła Zamorskiego, który publicznie w broszurach opisał, że jestem bandytą [1]) i dywizja legionowa z bandytów się składa [2]). Jednak bandyta był Naczelnikiem Państwa

[1]) [2]) Mowa o pracy posła Jana Zamorskiego p. t. «Rola socjalistów w odbudowie Polski», wydanej nakładem «Dziennika Narodowego» w Chicago 1921 r. Na stronie 7—8 tej pracy czytamy: «Przed ludźmi, którzy brzydzą się rabunkiem, wyjaśniali (socjaliści), iż takie postępowanie nie jest naganne, bo zdobycz z tych rabunków nie idzie do kieszeni członków bandy, lecz do kasy partyjnej, a więc na cele dobra publicznego. Nikt ich nie obrachował dotąd z tego, ile narabowali,

i Naczelnym Wodzem. To nie przeszkadzało jednak, że te rzeczy były czytane i pisane.

Proszę panów! Niech będzie jeszcze jeden przykład z bogatej skarbnicy systemu i metody łgarstwa, oszczerstwa, potwarzy i zaplwania się w tej pracy. Historyk, badający te rzeczy, musi natrafić na tę pracę i musi zdawać sobie sprawę — skądże taki głupi naród był, który człowieka, kradnącego buty, wybiera na Naczelnika Państwa? Czyż nie był kto inny do tego? Chyba może która ziemianka? Głupota jest zadziwiająca i dlatego tak spokojnie mówię o opasłej, głupiej babinie, urządzającej hece narodowe. Czyż głupota przerażająca opinii stanowi o głupocie narodu polskiego? Z tego punktu widzenia jest on oceniany przez cały Boży świat.

Jeszcze jeden przykład z tej bogatej skarbnicy narodowej. Bolszewicy zbliżali się do Warszawy. Po wielu zwycięstwach, które odniosłem, spotkały mnie klęski. Zbierałem się z siłami, aby umrzeć lub zwyciężyć. Szukałem metody dla pracy, szukałem koncepcji, najbardziej odpowiedniej dla każdej sytuacji. W tym czasie zbierano ochotników i, jako ochotnik, zgłosił się między innymi mój szef Kancelarii Cywilnej. Urzędnik, stojący na wysokim stanowisku, stanął do szeregu jako żołnierz. Rzadki w Polsce wypadek, godny szacunku. Ale człowiek ten pracował w Belwederze. To wystarczało. Człowiek ten dowiedział się, ku wielkiemu swemu przerażeniu, z którego się śmiałem, że poseł wasz, ksiądz Maciejewicz [1]), opowiada, że Car ma telefon, tajemnie przeprowadzony spod soboru prawosławnego na placu Saskim, i za pomocą tego aparatu komunikuje się z bolszewikami z mojego polecenia lub z własnej ochoty. Proszę panów! To jest fakt. Ja ledwo tego człowieka powstrzymałem od samobójstwa. Tak był przerażony, tak był struty, tak zabity, zabity moralnie! To są, proszę panów, fakty. Ja się z tego śmiałem. Mówiłem mu: człowieku, dajże spokój z uważaniem na takie rzeczy! Poczekaj jakiś miesiąc, to się dowiesz, że ja się umawiam przez telefon, przeprowadzony spod soboru do Moskwy, o pobicie bolszewików. Może to nie jest takie straszne.

Intencja, tkwiąca w tej głupiej wycieczce, jest także charakterystycznym zjawiskiem w życiu publicznym Polski, dają-

---

a ile z rabunku odstawili do kasy organizacji socjalistycznych». Na str. 14: «Strzelcy byli pierwszą organizacją wojskową, która rabowała od samego początku wojny, zanim jeszcze danym jej było powąchanie prochu».

[1]) Ks. Stanisław Maciejewicz, poseł na Sejm Ustawodawczy z pow. bielskiego i na Sejm Wileński.

cym pojęcie o metodach i pracy. Powtarzam, nie trzeba do tej pracy zdolności. Nie trzeba mądrości. Wystarczą pierwsze lepsze bzdury, aby znaleźli się Polacy, którzy im uwierzą. Szanowni panowie! W życiu prywatnym, w życiu codziennym potwarz znajduje swój odpór w najrozmaitszych postaciach i wywołuję pracę nad utrzymaniem niechęci i nienawiści ludzkiej w należytych rozmiarach. W życiu publicznym Polski tego nie ma. Czyżby Polacy byli mądrzy tylko prywatnie, publicznie zaś byli głupimi i nie znajdowali środków dla zatrzymania powodzi oszczerstw, łgarstw, kłamstw, tyczących się nie tylko mnie, tyczących się także i innych? Dla przykładu tych innych przytoczyłem już mego szefa kancelarii. Dla przykładu tych innych przytoczę jeszcze zabitego prezydenta Narutowicza. Dopóki był ministrem skromnym, ministrem robót publicznych, dopóty był dla wielkiej ilości Polaków szlachcicem, pochodzącym z Kowieńszczyzny, dopóty był dla wielkiej ilości Polaków człowiekiem znanym ze swoich pracy w dziedzinie technicznej. Z chwilą, gdy zaczęto go wysuwać naprzód, gdy stał się kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej, a potem moim następcą, stał się Żydem. I jeżeli panowie sądzicie, że ta nagła Owidjuszowa metamorfoza była prostym głupstwem, to się mylicie. W pewnych okolicach Polski odprawiano dziękczynne nabożeństwa, że Żyda, wybranego na prezydenta Rzeczypospolitej, zabito.

Szlachcic z Telszewskiego [1]) zmienił się w jednej chwili — hocus focus filipocus — w Żyda, — i głupia babina w to wierzy. Nie trzeba zdolności, nie trzeba mądrości, bo jest sposób uczynić skutecznymi te hece, jeżeli głupia babina takich sutenerów opłaca drogo. Wszyscy inni cenią ich tak, jak należy.

Zatem, panowie, jakaż odpowiedź na pytanie, które rzuciłem — cui bono ta praca? Przecież są inne, bardziej szanowne drogi walki, bardziej cenne moralnie drogi do takich czy innych spraw. Czy to jest wymaganiem duszy polskiej i narodu? Czy to jest koniecznym sposobem załatwiania walki w pracy publicznej? Proszę panów! To zjawisko stałe w naszym życiu, związane także z całą pracą nad sprawą wileńską!

Dam przykład jeszcze jeden. W jednej szmacie narodowej — «Gazecie Warszawskiej» — Obst czyni rewelację [2]). Czytam w niej nagle o sobie — bo jakżeby beze mnie w tej pracy się obeszło? «Poza odczytami swoimi w Wilnie Piłsud-

---

[1]) Narutowicz urodził się w Telszach na Żmudzi.

[2]) Mowa o «Listach z Wilna» Jana Obsta, ogłoszonych w «Gazecie Warszawskiej» z dnia 24 sierpnia 1923 r.

ski mało się udziela szerszym masom. Siedzi u brata swego, odbywa konferencje z przyjaciółmi z szesnastki [1]), z mniejszością i z Taraszkiewiczem» [2]). Może to komu w Wilnie potrzebne, aby takie rzeczy w Warszawie mówiono. Rewelacje p. Obsta prawdopodobnie zrobią wielką niespodziankę dla gospodarza, mego brata. Mnie zawsze śmiech bierze, gdy mówię o mej konspiracji. Gdybym chciał mówić z Taraszkiewiczem, tobym to spokojnie uczynił, nie potrzebowałbym tego czynić w cichości i konspiracji.

Proszę panów! Przechodzę do swoich badań historycznych. Cui bono to się robi i robiło? Jako historyk, pracując nad tym i zastanawiając się, dlatego, że przed śmiercią chciałem zdać sprawę z przebiegu mego życia, zostawiając dzieciom ojca, którego znały, a nie ojca z «Legendy Piłsudskiego» [3]), zastanawiając się nieraz nad tymi zjawiskami, stawiam trzy hipotezy.

Pierwsza — to nienawiść. Może dawać produkcje tego rodzaju uczuć, które ludźmi władną. Nienawiść daje podszepty, nieraz sprzeczne ze sobą, nieraz prowadzące do krzywdy na honorze i na czci. Nienawiść znana jest w życiu urzędowym, znana jest w życiu codziennym. Znana nieraz w życiu rodzinnym, gdy w procesie brat na brata miota oszczerstwa, które dla innych mogą być tylko śmieszne. To jest pierwsza hipoteza. Osaczenie wrzaskiem danego człowieka z jedną tylko obietnicą, że — hocus focus filipocus, a przestaniesz być germańskim sprzedawczykiem i staniesz się zacnym polskim obywatelem. To u nas łatwo.

Więc może szantaż? Może szantaż, aby zmusić mnie czy kogo innego do takich czy innych ustępstw? Do takiej czy innej pracy przeciwko sobie, przeciwko własnej duszy, własnemu sumieniu? Hocus focus filipocus i twoja córeczka przestanie być Żydówką, a będzie chrześcijanką. Widać na przykładzie p. Narutowicza, że hocus focus filipocus bardzo jest łatwe! Tak!

Więc może szantaż? Może próba zastraszenia człowieka głupim śmiechem babiny, krzykiem sutenerów, hałasem i wrzawą hecy narodowej? Może być.

Ze mną jest rzecz inna. Do mnie stosowano bardzo metodycznie i bardzo długo różne środki: więzienie, widma szu-

---

[1]) Por. t. VI, str. 100.

[2]) Bronisław Taraszkiewicz, poseł na sejm okr. I z listy państwowej, należał do Klubu Białoruskiego, był dyrektorem gimnazjum.

[3]) Mowa o książce p. t. «Legenda Piłsudskiego», wydanej w Poznaniu 1923 r. Autorem tej książki był Jan Lipecki (pseud. Ireny Pannenkowej).

bienic i widma kul. Szantaż ze mną nigdy dotąd nikomu się nie udał.

To są dwie hipotezy. Każdy historyk, z tą stroną życia polskiego zetknięty, będzie musiał odpowiedzieć sobie na pytanie — cui bono? Że ktoś ma z tego korzyść, to jest pewne, że komuś to jest potrzebne — to oczywiste. Więc odpowiedź być musi. To są dwie hipotezy.

Teraz przechodzę do hipotezy trzeciej. Przechodzę do hipotezy, bardzo głęboko sięgającej, sięgającej do głębi naszego życia publicznego. W Polsce życie publiczne za czasów niewoli miało cechy niezwykle upokarzające. Była to służba dla obcych, służba nie dla Polski, służba dla zaborców. I każdy z zaborców starał się mieć ludzi, gotowych do służenia im. Gdy zaś przyszła wojna ze swymi wymaganiami, gdy na wojnie, zgodnie z moim określeniem, żądano nie tylko ciała, lecz i duszy, służba stała się jeszcze bardziej upakarzająca. Służono we wszystkich trzech zaborach zaborcom. Dawano pracę polską nie dla siebie, lecz dla zaborców. Dusza musiała się zbrukać w służbie u obcych. Widziałem te rzeczy i obserwowałem, widziałem obniżenie cnoty obywatelskiej. Z jednej strony strach wszechwładny istot, podlegających prawu wojny, drżących stale o życie, o mienie, a gubionych bezwzględnie z żelazną konsekwencją. Widziałem, jak Moskale wiankiem pożarów znaczyli swe drogi w Polsce. Widziałem zanik ludzkich istot, zbolszewizowanych wojną, toczoną w Polsce, nie dla Polski i nie o Polskę, gdzie Polacy pracę swą dawać musieli i dawali dla obcych. W tej pracy byłem i ja. Zdołałem wielkim wysiłkiem woli uchronić się od brudu pracy dla okupantów, bo nie daję zbrukać siebie ani ludzi, których prowadziłem. Miałem za sobą prześladowanie i więzienie magdeburskie. Gdy trzeba było stawiać ostre karty — stawiałem. Jedynie honoru i czci dać nigdy nie chciałem. Należą do mnie i do ludzi, których za sobą prowadziłem, i do Polski.

Proszę panów! Jeżeli panowie sądzicie, że ten właśnie element mojej pracy, ta umiejętność stałego przeciwstawiania się zaborcom w obronie zachowania honoru były jednym z powodów, dlaczego mnie, a nie kogo innego zrobiono przedstawicielem Polski, — to się nie mylicie. Był to w Polsce czas wiosenny, wiosna nowotworzącego się życia. Nowa era życia polskiego chciała i szukała człowieka bez skazy, człowieka, który honor cenił ponad wszystko i który honoru zdeptać ani po więzieniach, ani po turmach, ani na wygnaniach nie pozwolił. Ten czynnik nie był obcy uczuciom tych, którzy mnie na czoło narodu wynieśli, pomimo, że obcy byłem narodowi, gdyż

całe życie chodziłem, jak dziki kot Kiplinga, swoimi własnymi ścieżkami.

I ten czynnik czystości charakteru, ten czynnik honoru, który występował we wszystkich moich czynach, w całości mojej pracy podczas wojny, który sprawił, że pierwszy zjazd polski w Petersburgu mnie, choć stojącego w innym obozie, powołał na swego prezesa honorowego [1]), ten czynnik legendy, który szedł ze mnie, dawał mi siły moralne, gdy sił do pracy codziennej ze swym społeczeństwem nie stawało.

Proszę panów! Kiedy nad tym się zastanawiam, często przychodzi mi na myśl, że ludzie, najbardziej zbrukani w służbie dla obcych, nie mogą znieść tej prawdy, nie mogą spokojnie nad tym przejść do porządku dziennego, że na wyżyny w Polsce został wyniesiony człowiek, który dumnie głowę nosi, człowiek, na którego czci skazy nie ma, który ma za sobą prace tak trudne, jak może nikt z Polaków. Zepsucie nie znosi cnoty. Człowiek, głęboko upokorzony, nie znosi dumy. To jest moja trzecia hipoteza.

Hipotezy wszystkie, które rzucam, są ubrane w szaty psychologiczne, są ubrane w szaty życia publicznego naszego społeczeństwa. Nie tłumaczą one zjawisk, które poprzednio przedstawiłem w pracy nad sprawą Wilna. Być może dlatego, że są to hipotezy psychologiczne. Hipoteza taka jest niedopuszczalna być może dla wytłumaczenia tych zjawisk. Poruszę hipotezę ostatnią. Hipotezę zobowiązania i służby u obcych. Hipotezę zobowiązania i służby u innych, która do takiej sutenerskiej pracy zmuszała. Rzucam panom te hipotezy, które będą może czynione przez historię. Historia, która będzie prace polskie oceniać, przejść nie będzie mogła nad zjawiskiem, że w początkach pracy naszego życia państwowego, naszej nowej ery, praca narodu polskiego związana jest z jednym ciągle imieniem. Wiąże się z imieniem wybrańca losu, z jego błędami, lub też z zasługami, wiąże się ze stałą pracą niejakiego Józefa Piłsudskiego. Rzucony przez los na szczyty, ma w ręku możność pracy i możność tworzenia, ale obok tego będzie widział kontrapracę, stale idącą obok, stale robiącą te same ruchy i ułatwiającą sobie pracę metodą oszczerstw, potwarzy, łgarstw iście narodowych. Porzuciłem hipotezy.

Niech mi wolno będzie na zakończenie oświadczyć o jednym drobnym fakcie. Przeznaczyłem go dla odczytu w Krakowie, gdzie mam zamiar scharakteryzować pracę swoją w po-

[1]) Por. t. V, str. 220.

czątkach istnienia Polski [1]). Tam powtórzę zapewne fakt, który może nieco rozświetli hipotezy postawione.

Wśród kłopotów, rozpoczynających się dla mnie przy tworzeniu centrali rządowej w Polsce, miałem również kłopoty ze stronnictwami. Starałem się uczynić tak, żeby było jak najlepiej, mieć rząd z różnych stronnictw — nie udało się. Zbierałem wówczas wojsko, gdyż armaty już grzmiały na polach pod Lwowem i groziły grzmieć prawie we wszystkich miastach na ówczesnych granicach Polski. W tym czasie z Paryża zjawił się u mnie jeden z moich starych znajomych, p. Stanisław Grabski. Przyjechał do mnie, twierdząc, że rząd, który jest tutaj utworzony, może uzyskać uznanie de facto wtedy, gdy sam on do tego rękę przyłoży, a on przyłożyć rękę może też do rządów Polski. Wzruszyłem ramionami. Znam tego pana od wczesnej młodości i znam sposób tworzenia przez niego koncepcyj. Niech pan spróbuje, bo mnie się nie udało. Próba nie udała się. Chciał on mnie krętacką metodą przekonać, że to, co on robi, to udane, a to, co ja — nie. Wówczas oburzony wyjął szyfr i powiedział, że on natychmiast o mojej niepokorze i nieposłuszeństwie zadepeszuje, gdzie należy. Szyfrem mi groził, rzucając przed oczy. Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, że znam podstawy pracy szyfrowej i wiem, jak się nimi pracuje. Uprzedzam pana, że stąd pan może wysłać szyfr tylko za moim podpisem i pozwoleniem. Z góry panu to pozwolenie daję [2]). Był zdumiony moją śmiałością. W oczach jego widziałem zdumienie, że taki jestem wariat. On szyfr posiada, czarował nim Warszawę, było to jego «passe-partout» [3]), — a taki znowu szyfru się nie boi. Szyfry rozdają — powiedziałem — wszędzie podczas wojny. Szyfry rozdają nawet szpiegom i agenturom. Szyfr spłodzić bardzo łatwo. Od tego są specjaliści. Nagle mi szyfrem chciał zaimponować. Ten mały obrazek, moi panowie, może oświetli wam troski moich szczytów.

Szanowni państwo! Sprawa Wilna to męczeństwo moje i męczeństwo wasze, to męczeństwo nasze wspólne. Ileż razy, moi panowie, gdy byłem Naczelnikiem Państwa i Naczelnym

---

[1]) Por. t. VIII. Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej.

[2]) Stanisław Grabski przyjechał do Warszawy dnia 5 grudnia 1918 r. jako członek t. zw. Paryskiego Komitetu Narodowego z koncepcją zmiany rządu Moraczewskiego, za co obiecywał uznanie rządu polskiego przez Francję. Depesze swoje, redagowane szyfrem Paryskiego Komitetu, mógł Grabski wysyłać dzięki temu, że Piłsudski polecił swemu adiutantowi, por. Stamirowskiemu, ułatwić Grabskiemu takie komunikowanie się jego z Paryskim Komitetem.

[3]) Dokument pozwalający na swobodne poruszanie się.

Wodzem, widziałem was w moim gabinecie! Ileż razy szukaliście ratunku na swoją biedę u mnie! Praca nad sprawą wileńską była dla mnie jedną z najważniejszych. Pracą tą najbardziej się opiekowałem, najwięcej w nią wkładałem istniejącego w każdym człowieku sentymentu. Ta praca należała do najbardziej zawiłych, do najbardziej trudnych do prowadzenia. Przeszkodą w całym okresie wojny było to, co ongiś na tych ziemiach panowało. Była Rosja, Rosja, która niezatarte piętno na tych ziemiach zostawiła. Zdawałoby się, że z grobu powstają widma tych dawnych i tak niedawnych czasów, okresów wielkich polskich walk. Na tych ziemiach polskich, na których ongiś broniono się przed zaborcą, na tych samych ziemiach Polski znowu walczono, znowu obronę budowano. Stąd ta wielka praca, której dokonać trzeba było, aby się uwolnić od dawnej Rosji, która była tak długo potężna, a po śmierci jeszcze pozostała groźnym widmem.

Szanowne panie i szanowni panowie! Wypowiadając swoje poglądy na sprawę wileńską, swoje prace i dążenia, miałem na celu publiczną obronę siebie, obronę nie w znaczeniu prywatnie osobistym, lecz obronę swej postaci, jako postaci historycznej. Nie chcę dopuścić, by gdy oczy zamknę, mego głosu przy tworzeniu mojej postaci brakowało, mego stwierdzenia własnej mojej pracy, gdyż wtedy jestem spokojny, że dzieci moje i dzieci wasze z radością myśleć będą o tym, jak ongiś w obronie Polski występował niejaki Józef Piłsudski.

LIST DO FELIKSA POPŁAWSKIEGO

(4 września 1923 r.)

Komitet imienia Józefa Piłsudskiego, założony dnia 2 lipca 1923 r. w Nowym Jorku, przysłał do Marszałka Piłsudskiego następujące pismo:

Czcigodny Komendancie!

Na wieść o zmianie rządu i Twej rezygnacji ze stanowiska Szefa Sztabu Generalnego Armii, przez Ciebie, Komendancie, stworzonej, postępowa część wychodźstwa w New Yorku i okolicy zwołała walny wiec dla złożenia czci i hołdu Tobie, jako Głównemu Przewodniczącemu Nowej Polski.

Zebrani na wiecu uczucie swoje wypowiedzieli rezolucją jednogłośnie przyjętą, w której, wyrażając słowa czci i uznania za pracę Twoją przy budowie państwa polskiego, zaznaczyli, że państwo i armia polska przewodnictwa Twego potrzebuje. Zebrani wyrazili również głębokie ubolewanie, że wytworzono takie warunki polityczne w Polsce, które Ciebie, Komendancie, do ustąpienia zmusiły.

Znając Twe życie, pełne poświęceń dla sprawy ojczystej, zebrani uchwalili opodatkować się i ze zbieranego funduszu wysyłać Ci miesięcznie pewną sumę, aż do czasu, gdy znowu staniesz do służby czynnej, aby naród prowadzić do wielkiej i świetlanej przyszłości.

Wraz z listem niniejszym załączamy przekaz na dolarów 200, które zebrani złożyli z wyraźnym poleceniem wysłania pieniędzy na Twój, Komendancie, osobisty użytek, a nie na cele dobroczynne. Rozumiemy bowiem wszyscy, że potrzebne są środki, abyś mógł, Komendancie, działać dla sprawy, której życie poświęciłeś.

Przyjmij od nas ten drobny, materialny wyraz uczuć, jako zapewnienie, że szeregi nasze tutaj na ziemi amerykańskiej zawsze są gotowe do czynu, gdy chodzi o demokrację, której jesteś, Komendancie, Twórcą w Nowej Polsce i Wodzem.

Za Komitet:

Feliks Popławski — prezes, Zygmunt Bogdański — sekretarz, Jan Władysław Wojłaszek — skarbnik, Władysław Kucharski.

List Piłsudskiego, podany w tekście, jest odpowiedzią na to pismo.

Pismo Komitetu przytaczamy z oryginału, odpowiedź Piłsudskiego według «Gazety Polskiej» z 23 września 1930 r.

Sulejówek, dn. 4-go września 1923 r.

Do Prezesa Komitetu Imienia Piłsudskiego
Feliksa Popławskiego w Nowym Jorku.

Szanowny i Kochany Panie!

Nie byłem cały miesiąc w domu, więc dopiero teraz mogę przesłać Panu i Jego Kolegom z Towarzystwa mego imienia podziękowanie serdeczne. Wzrusza mnie niezmiernie wasza pamięć o mnie, tak mile wyrażona i tak serdecznie ujęta, z propozycją co miesięcznej pomocy dla mojej pracy w Polsce. Jeszcze raz dziękuję i proszę wziąć pod uwagę następujące moje pod tym względem decyzje. Jestem człowiekiem pracy, który jest dumny z tego, że własną pracą i wysiłkiem mógł uczynić tak dużo na świecie i w Polsce. Z tego płynie już zawsze pewna ambicja, że sam sobie muszę dawać radę w życiu. Dlatego wybaczcie, że nie mogę się zgodzić w zupełności na propozycję, abym sobie brał pieniądze, zbierane z myślą o celach publicznych. Proszę więc zgodzić się na moją propozycję, ta zaś brzmi tak: pieniędzy tych będę używał, to jest na wydatki podróży nieraz dość kosztowne, których dokonać muszę, i na pomoc wydawnictwom, które nie są dochodowymi, a które wydanymi być musiały, na nieprzewidziane wydatki, złączone z pomocą dla mnie w tych czy innych wypadkach — jednym słowem, na wydatki, wykraczające poza normalne życie moje z rodziną, które to wydatki opędzić sam potrafię.

Będę bardzo rad, jeżeli otrzymam od Was Panowie, odpowiedź w tej sprawie i będę bardzo wdzięczny, jeżeli na ten mój projekt zgodę wyrazicie. Proszę przyjąć raz jeszcze serdeczne podziękowanie za pamięć o mnie i zapewnienie o najwyższej przyjemności poczucia mego, że przez ocean wyciągnąć mogę dłoń dla uściskania Waszych dzielnych dłoni.

Józef Piłsudski.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE ZWIĄZKU POLSKIEGO NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH

(10 września 1923 r.)

Na V zjeździe delegatów Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych Rzeczypospolitej w Warszawie zjawił się w trzecim dniu obrad, 10 września 1923 r., Marszałek Piłsudski i został owacyjnie przywitany przez człon-

ków zjazdu. Mowę powitalną wygłosił prezes Związku, Stanisław Nowak, na co odpowiedział Piłsudski niżej przytoczonym przemówieniem o zadaniach nauczycieli w odrodzonej Polsce.

Tekst przemówienia podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 11 września 1923 r. z poprawkami dokonanymi na podstawie protokółu zjazdu.

Szanowne panie i szanowni panowie! Dziękuję za to serdeczne przyjęcie i za te gorące i szczere słowa, z którymi w imieniu waszym zwrócił się do mnie wasz przewodniczący. Stanęliście do pracy odrodzenia w odrodzonej ojczyźnie, aby odrodzić dusze, które się w niewoli splugawiły i znikczemniały. Odrodzić dusze ludzkie, zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym i silniejszym — oto wasze zadanie. Obok pracy wojskowej, która byt nasz utrwaliła krwią wylaną, jesteście tymi, którzy w odrodzeniu Polski i człowieka macie największe prawo do zasługi. Życie wasze płynie w tej samej ciężkiej pracy, w jakiej płynęło życie żołnierskie. Życzyć wam jedynie mogę, dziękując za to przyjęcie, abyście w tej pracy mieli powodzenie i odczuwali płynące z niej szczęście; aby te dzieci, co przez wasze nauczycielskie ręce przechodzą, o was tak serdecznie wspominały, jak chcecie łaskawie o mnie i o mojej pracy wspominać.

ZE WSPOMNIEŃ O ALEKSANDRZE MALINOWSKIM

(3 grudnia 1923 r.)

W grudniu 1922 umarł Aleksander Malinowski, jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego w P. P. S., członek Centralnego Komitetu Robotniczego, autor dwutomowego dzieła p. t. «Materiały do historii P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim».

Po śmierci Malinowskiego grono jego przyjaciół wydało o nim zbiorową książkę pamiątkową p. t. «Aleksander Malinowski 1869—1922» (Kraków 1924). Do tego wydawnictwa napisał Piłsudski niżej przytoczone wspomnienie, charakteryzujące postać Malinowskiego.

Aleksander Malinowski wszedł do centrum kierowniczego organizacji konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej po ukończeniu Technologicznego Instytutu w Charkowie, w drugiej połowie ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku.

Praca w owych czasach była to t. zw. praca «u podstaw». Rzadko bywała uwieńczona powodzeniem, nigdy nie łączyła nazwiska pracownika z blaskiem chwały publicznej, nie miała oparcia w uznaniu tłumu, gdyż nigdy nie schlebiała jego instynktom. Wymagała więc taka konspiracyjna robota specjalnego doboru ludzi o silnych nerwach i wysokim napięciu nastroju moralnego. W ciasnym gronie konspiratorów zbliżenie następowało szybko, a wspólne przeżycia i twarde przejścia wytwarzały węzły koleżeństwa nierozerwalne, trwające całe życie. Spory, nieraz bardzo namiętne, nigdy nie zostawiały, tak, jak to się zdarzało później, żadnej skazy w stosunkach osobistych, które trwały w serdeczności i we wzajemnej i niezmiennej ufności, pomimo bardzo nieraz rozbieżnych poglądów dyskutujących.

Malinowski był jednym z ludzi, do takiej właśnie pracy nadzwyczajnie przystosowanych. Nazywaliśmy go konspiracyjnie «Władkiem»; przybrane imię tak się z nim zrosło, tak przylgnęło do niego, iż zastąpiło całkowicie istotne imię Aleksandra. Gdy ten pseudonim był już skompromitowany przez żandarmerię polityczną, nie udało mu się nigdy zastąpić go innym, pomimo wszelkich jego starań. Przypuszczam, że nawet w jego najbliższej rodzinie nazywano go nieraz Władkiem, jakgdyby dla zaświadczenia, że całe jego życie było ściśle związane z tą ciężką, bezosobową pracą, w której zmężniał i utrwalił się jego kryształowy charakter. Dziwne koleje przechodziły te pseudonimy — znam zaledwie kilku ludzi, z którymi przybrane imiona zrosły się tak organicznie, że na całe życie zastąpiły rzeczywiste imiona. Dotąd po trzydziestu prawie latach całe mnóstwo ludzi zwraca się do nich lub mówi o nich, gdy zeszli już ze świata, nazywając ich konspiracyjnym imieniem. Gdy myślą przebiegam tę grupę towarzyszy, znajduję zawsze jedną wspólną im cechę — kochano ich więcej, niż innych, byli poza pracą konspiracyjną jakby krewnymi, braćmi, zawsze uczynni, pomoc dający łatwo i niewiele dla siebie żądający. Jednym z nich był «Władek»; dotąd zapewne u jego kolegów — przy wspomnieniu o nim — serdeczny uśmiech zjawia się na twarzy, a dłoń do braterskiego wyciąga się uścisku.

Był człowiekiem wysoko wykształconym, lecz pomimo, iż doktryny, które wyznawał, skłaniać go mogły do ujmowania zjawisk z mglistego, rzekomo najszerszego, ogólnoświatowego stanowiska, głęboka miłość dla rodzimej, swojskiej kultury czyniła go zawsze gorącym patriotą, będącym w ustawicznej walce ze stałym w socjaliźmie prądem, który unika patriotyzmu, jak grzechu.

Aresztowany wraz ze mną w r. 1900 [1]), został skazany na 8 lat eksportacji do Wschodniej Syberii i zdołał zbiec z drogi na wygnanie. Po krótkim wypoczynku za granicą [2]), stanął, pomimo zachwianego zdrowia, na nowo do pracy. Było to w zaraniu wrzenia rewolucyjnego, które opanowało imperium rosyjskie podczas i po wojnie z Japonią. Lecz forma ruchu i namiętności sporu zrażały go niezmiernie; nie mógł już znaleźć tej koleżeńskiej serdeczności, do jakiej się był przyzwyczaił poprzednio. Wstręt miał do brudu podjazdowej walki z przeciwnikami i czuł się nieraz bezsilnym wobec panoszącej się plotki. Gdy zaś zdrowie coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa, wycofał się z czynnego ruchu na bliską emigrację, do Galicji.

W działalności swojej Malinowski miał dwa rysy nadzwyczaj charakterystyczne — przede wszystkim był najbezwzględniejszym wrogiem frazeologii, tępił ją niemiłosiernie, nie dał się nigdy zwieść frazesem lub łatwym słowem, dlatego też w stosunku do ludzi był wymagającym i zawsze szukał etycznej podstawy przy wyborze ludzi w swej pracy organizacyjnej. Specjalnie skrupulatnym był w dziedzinie finansowej, wymagając, zarówno od siebie, jak i od innych, ścisłych rachunków, chociażby się to tyczyło kilku groszy.

Następnie był bardzo praktycznym w wyborze środków i dróg, prowadzących do celu; śmiałem się zawsze, że pochodziło to z jego inżynierskiego fachu [3]), dlatego też rzadko zawodził w pracy i dobrze oceniał ludzi; na jego rekomendacji zawsze można było polegać. Dzięki tym cechom umiał zachować siebie od deformujących często charakter wpływów życia konspiracyjnego, szedł w życie bez kompromisów, bez załamań i nadpęknięć w duszy.

Nową Polskę powitał, w nowej Polsce żył, jako jeden z nielicznych, spokojnych jej obywateli, nie odczuwających konwulsyjnych dreszczów z powodu tak zupełnie nowego i tak drażniącego swoją nowością życia. Ile razy spotykałem go już w niepodległej Polsce, zawsze miałem wrażenie, że mam przed sobą człowieka, tak przygotowanego moralnie do swobodnej

---

[1]) W Księdze pamiątkowej jest data 1899, co jest niechybnie pomyłką drukarską, gdyż Piłsudski został zaaresztowany w Łodzi w nocy z 21 na 22 lutego 1900 r.

[2]) Malinowski po ucieczce swej przebywał w Galicji, a potem w Londynie.

[3]) Malinowski studiował w Instytucie Technologicznym w Charkowie.

Polski, że żal mię brał, iż ma ona tak niewielu równie przygotowanych obywateli.

Sulejówek, dnia 3-go grudnia 1923 r.

WYWIAD Z PRZEDSTAWICIELEM «KURIERA PORANNEGO»

(9 stycznia 1924 r.)

Dnia 14 grudnia 1923 r. upadł rząd Witosa wskutek secesji 15 posłów z klubu «Piasta», niezadowolonych ze stanowiska Witosa w sprawie reformy rolnej. Rozłam ten poderwał podstawę większości, na której się rząd Witosa opierał.

Dnia 15 grudnia 1923 r. otrzymał misję tworzenia rządu Stanisław Thugutt, który po trzechdniowych konferencjach zrzekł się misji tworzenia gabinetu wskutek trudności czynionych mu przez klub Witosa.

Dnia 18 grudnia 1923 r. Prezydent Wojciechowski powierzył tworzenie gabinetu Władysławowi Grabskiemu, który dnia następnego sformował rząd. Tekę ministra spraw wojskowych objął w tym gabinecie gen. Sosnkowski.

Fakty te stworzyły warunki, w których możliwym było rozpatrywanie kwestii powrotu Piłsudskiego do pracy wojskowej. Piłsudski chciał objąć funkcje Przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, t. zn. generała przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny i szefa Sztabu Generalnego. Pertraktacje w tej sprawie ukończone zostały dnia 9 stycznia 1924 r., w którym to dniu Prezydent Wojciechowski zawiadomił listownie Piłsudskiego, że Wł. Grabski nie zgodził się na jego warunki. Motywem odmowy Wł. Grabskiego była obawa wywołania nominacją Piłsudskiego na Przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej i na szefa Sztabu Generalnego ostrej opozycji przeciw swemu rządowi ze strony obozu narodowo-demokratycznego.

Dnia 9 stycznia 1924 r. przyjął Piłsudski przedstawiciela «Kuriera Porannego» Z. Sachnowskiego, któremu udzielił niżej przytoczonego wywiadu o swoich warunkach powrotu do pracy w wojsku.

Wywiad podajemy według «Kuriera Porannego» z dnia 10 stycznia 1924 r.

Na pytanie sprawozdawcy, czy Marszałek zdecydowany był przyjąć tekę ministra spraw wojskowych w niedoszłym gabinecie p. Thugutta — Marszałek odpowiedział:

— Tak jest. P. Thugutt przybył do mnie z propozycją, abym wziął udział w gabinecie jego, jako minister spraw wojskowych. Odpowiedziałem, że zgodzę się z całą przyjemnością,

ale wysunąłem warunki, które postawiłbym rodzonemu bratu, gdyby przyszedł z taką propozycją.

Warunków było kilka. Pierwszy podstawowy, aby gabinet uznał zasadę i bronił jej przed sejmem, że wojsko i urządzenia wojskowe nie mogą być w państwie piłką, którą stronnictwa polityczne robią na przekór sobie lub rządowi tzw. gole; taka zabawa demoralizuje niesłychanie wojsko, specjalnie wyższych oficerów, którzy znaczenie i władzę usiłują zyskiwać przy poparciu stronnictw politycznych. Wymieniony powyżej warunek, uniemożliwiający tworzenie wojska partyjnego, może być bardzo uciążliwy dla ministrów, reprezentujących stronnictwa w sejmie, lecz wydał mi się on konieczny po przejściach, które doświadczyła armia za poprzedniego gabinetu [1]).

Drugim warunkiem, wypływającym z poprzedniego, było usunięcie możliwości załatwiania personaliów wojskowych na podstawie postanowień gabinetu; mogą bowiem zasiadać w nim przedstawiciele stronnictw, którzy mają interesy stronnicze wtedy, gdy minister spraw wojskowych powinien dbać o to, aby oficerowie zdobywali stanowiska swoje na podstawie doświadczenia, wytrawności i uzdolnień do służby. Warunek ten postawiłem także dlatego, że poprzedni gabinet w swoim urządzeniu władz wojskowych mnóstwo wyższych funkcyj wojskowych uzależnił nie od czego innego, jak od decyzji gabinetu.

Postulat trzeci polegał na tym, że żądałem powrotu do ułożenia stosunku wyższych władz wojskowych na podstawie dekretu Wodza Naczelnego z 7-go lutego 1920 r. [2]), to jest powrotu do tego stosunku, jaki pozostawiłem, odchodząc z wojska, a co zostało zmienione przez nowe postanowienie gabinetu p. Witosa [3]), posiadające wady, wymienione w drugim moim warunku.

[1]) Minister Spraw Wojskowych gen. Szeptycki usunął z dotychczasowych stanowisk między innymi gen. Krzemieńskiego, płk. Matuszewskiego, mjra Stamirowskiego, płk. Litwinowicza, płk. Góreckiego.

[2]) Data dekretu podana omyłkowo. Chodzi o dekret Wodza Naczelnego o organizacji najwyższych władz wojskowych z dnia 7 stycznia 1921 r. Dekret ten ustanawiał między innymi Ścisłą Radę Wojenną jako organu kierującego w zakresie przygotowań wojennych, planów operacyjnych i obrony kraju. W tych sprawach decyzje Ścisłej Rady Wojennej były obowiązujące dla Ministerstwa Spraw Wojskowych. Do kompetencji Ścisłej Rady Wojennej należała również kwalifikacja dowódców od dowódcy pułku włącznie w górę, przy czym powzięte przez nią w tym zakresie opinie były decydującymi.

[3]) Mowa o projekcie ustawy o organizacji Najwyższych Władz Wojskowych, uchwalonym przez Radę Ministrów rządu Witosa dnia

Co do innych warunków, to dotyczyły one budżetu wojskowego oraz sposobu, metody i pracy w gabinecie. P. Thugutt warunki, postawione przeze mnie, przyjął, no — i jak wiadomo — gabinetu nie sformował.

A potem zwrócił się do mnie gen. Sosnkowski, zaproszony na stanowisko ministra spraw wojskowych w gabinecie p. Władysława Grabskiego. Gen. Sosnkowski prosił mnie, abym wrócił do wojska i pracy wojskowej na podstawie wspomnianego dekretu Naczelnego Wodza z dn. 7-go lutego 1920 r.

Znając pracę, przerobioną pod moim kierunkiem w ciągu dwu i pół lat po zakończeniu wojny, zgodziłem się na propozycję gen. Sosnkowskiego pod jednym warunkiem — abym wziął w swoje ręce przewodnictwo w Ścisłej Radzie Wojennej, czyli stanowisko oficera, mającego objąć w razie konfliktu zbrojnego Naczelne Dowództwo łącznie ze stanowiskiem szefa Sztabu Generalnego armii polskiej. Żądanie to motywowałem kilkakrotnie na najrozmaitszych zebraniach politycznych, które z tego powodu były zwołane.

Motywy, wyłuszczone przeze mnie, były takie: szef Sztabu Generalnego razem z aparatem sztabowym, na którego czele stoi, uzależniony jest w dwóch kierunkach, ściślej — podwójnie uzależniony. Po pierwsze — od ministra spraw wojskowych, któremu pomaga w kłopotach codziennych dowodzenia wojskami w czasie pokoju; druga zależność wypływa ze stosunku do przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, mianowicie — wtedy, gdy zarówno sam szef Sztabu, jak jego aparat wchodzą w grę przy pracy, przygotowującej wojsko do takich czy innych możliwych konfliktów międzypaństwowych.

Znając — powtarzam — cały ten mechanizm, twierdziłem, że nie wybrnąłbym ze swoją pracą, gdybym aparatu sztabowego nie miał zjednoczonego w swoich rękach, zaś pewny byłem siebie, że potrafię dać żądaną pomoc panu ministrowi spraw wojskowych w jego pracy.

Był to warunek, na który odpowiedziano mi odmownie, prosząc o odłożenie tej kwestii aż do ustawowego załatwienia projektu o najwyższych władzach wojskowych.

---

18 czerwca 1923 r., a przysłanym do Sejmu dnia 27 czerwca 1923 r. (druk nr 649). Projekt ten przewidywał utworzenie Rady Wojennej jako ciała wyłącznie opiniodawczego, wcielał Generalnego Inspektora do Ministerstwa Spraw Wojskowych i czynił go podwładnym Ministra Spraw Wojskowych. Projekt ten więc obniżał zupełnie znaczenie przyszłego Naczelnego Wodza.

ROK 1863

(20 stycznia 1924 r.)

Piłsudski wygłosił odczyt o roku 1863 dnia 20 stycznia 1924 r. w sali «Coloseum» w Warszawie, w którym odsłaniając namiętne walki między Polakami w owej epoce, obala legendę, jakoby istniał wtedy pokój narodowy, a poszukując co było wielkiego w powstaniu styczniowym, znachodzi tę wielkość w powadze, jaką miał ówczesny Rząd Narodowy.

Stenogram tego odczytu został poprawiony i przygotowany do druku przez autora, który ponadto zaopatrzył go w przedmowę, datowaną 31 stycznia 1924 r.

W tej formie odczyt ukazał się w druku jako osobna broszura (Józef Piłsudski, «Rok 1863». Odczyt wygłoszony 20 stycznia 1924 w Warszawie. Towarzystwo Wydawnicze «Ignis» (E. Wende i S-ka) Sp. Akc. Warszawa 1924. Str. 52). Tekst niniejszy jest tej broszury przedrukiem.

Odczyt, jako forma wypowiadania myśli, staje nieraz w sprzeczności z dokładnością i sumiennością w stosunku do treści. Sam czas, zwykle ograniczony, oraz konstrukcja, wymagana od przemówienia, są często ramami, dla których poświęcić trzeba ścisłość określeń, dostatecznych dowodów i jasność argumentów. Dlatego też, wydając odczyt mój o powstaniu 1863 r., prosiłem wydawców, aby zechcieli poprzedzić go wstępem, który, nie mając pretensji do wyczerpania treści, pogłębiłby jednak u czytelników odczucie wagi i znaczenia takiego właśnie, a nie innego ujęcia przeze mnie tematu.

Mówiłem o legendach, w których chowaliśmy się wszyscy my, pogrobowcy ostatniego powstania naszego narodu. Wybrałem jako temat dwie główne legendy, te, które bodaj każdy człowiek musiał w siebie wchłaniać, tak bowiem były powszechne, działały tak sugestyjnie, a zatem tak silnie skaziły przez swój fałsz nie tylko samą historię 1863 r., lecz i dusze ludzkie następnych po powstaniu pokoleń.

Fałsz bowiem był tak jaskrawy, tak rzucający się w oczy, że tylko trwożliwa niechęć do powtórzenie eksperymentu dzie-

jowego powstania wytłumaczyć zdoła ten dziwoląg psychiczny i myślowy.

Dwie te bowiem legendy uczuciowo, psychicznie były sobie sprzeczne, natomiast skwapliwie były łączone ze sobą, jako czynnik moralnego wychowania tysięcy i tysięcy ludzi, którzy się byli urodzili po powstaniu 1863 r. Z jednej strony więc prowadzono dziecko lub młodzieńca gdzieś w gęstwę lasu, by go wzruszyć zapomnianą mogiłą powstańca, by mu szeptem w ukryciu, nieraz z wyrzutem mówić, jak jest niepodobnym do swych ojców, gdy kłótnią przysparza domowi kłopotu, gdy nieopatrznym słowem zaczepia jakiś autorytet parafialny czy powiatowy. A obok tego głośno i nieustannie stwierdzano słowem, wzruszeniem ramion, pogardliwym lub niechętnym burknięciem wszystko, co było drugą legendą, legendą głupoty, szaleństwa, często wprost legendą zbrodni r. 1863 i jego ludzi w stosunku do nas, następnych pokoleń.

Osobiście tak często słyszałem te dwie legendy z jednych i tych samych ust, mieszczące się swobodnie w jednej i tej samej głowie, że nie wiem, czy jest bardziej powszechny i jednolity sąd o jakimkolwiek wypadku historycznym, jak właśnie te zjednoczone, a tak sprzeczne w sobie legendy o 1863 r. Więc szanować — szaleństwo? Więc czcić — głupotę? Więc kochać — zbrodnię? Taki byłby wywód prosty i jasny z tego dziwoląga logiki uczuciowej i moralnej. Któż z nas nie nasłuchał się kazań z powołaniem się na r. 1863, czy to o niebezpieczeństwie młodego piwka, które się nie wyszumiało, czy to o złośliwej sprzeczności, jaka istnieje zawsze pomiędzy rzeczami szlachetnymi, a tymi, które są rozumne i praktyczne?

Wcześnie też w moim życiu, może przez przekorność mojej natury, ciągnęło mnie do prób rozwiązania tej dziwnej dla mnie sprzeczności, jaka istniała w stosunku do wypadków 1863 r. W najdrobniejszym zakątku życia społecznego Polski, w każdej kwestii poważniejszej, gdym ją chciał badać genetycznie, znajdowałem olbrzymi wpływ wypadków 1863 r. Tymczasem w odpowiedziach, rzucanych o tych wydarzeniach, spotykałem zawsze, z wyjątkiem bardzo nielicznym, tę potworną sprzeczność legendy, wyznawaną publicznie. Niekiedy w odpowiedziach brzmiała jakaś niema trwoga, która mi mówiła — «nie pytaj, jest to szlachetne i piękne, ale zarazem głupie, nienawistnie przeklęte i tak już oczywiście niepraktyczne». Sąd ten, tak powszechny, zostawił swój głęboki ślad nie tylko w duszy tych, którzy nie byli świadkami powstania, lecz i w duszy wielu uczestników walk tej epoki. Spotkałem ich jeszcze w wielkiej ilości na wygnaniu na Syberii, spotkałem

ich i potem, i nieraz wyczuwałem w nich wyraźną niechęć do rozmów na temat powstania, a często jakąś nieuleczalną gorycz w stosunku do samych siebie, a jeszcze bardziej w stosunku do nas, nowego po nich pokolenia.

Niechże te moje głębokie przeżycia w związku z wypadkami 1863 r., przeżycia, które wznieciły we mnie namiętną potrzebę poszukiwania prawdy, usprawiedliwią w oczach czytelnika odbicie tej namiętności, którą może odczuje w słowach i określeniach mojego odczytu. I niech na podstawie sugestii i legend popowstaniowych nie zechce z góry przesądzać, że to, co jest odczute, jest z zasady nierozumne lub nierozsądne.

Starałem się oddzielić od siebie te dwie legendy i ocenić ich istotną wartość na podstawie pamiętników świadków i uczestników powstania 1863 r. Ograniczony czasem i strukturą przemówienia, nie byłem w stanie wyczerpać ogromnej ilości faktów, które zbierałem był skrzętnie. Dla potwierdzenia tez swoich chcę przytoczyć we wstępie kilka zdarzeń, podkreślających słuszność moich dowodzeń.

Naprzód rozbijałem legendę o «treuga Dei» [1]), legendę zgody narodowej, przedstawiając, jak namiętnymi były ówczesne spory polityczne. Jako skutek tych namiętności, ujawnić się musiała wielka chwiejność w tej najliczniejszej zwykle w społeczeństwach rzeszy, która nie bierze bezpośredniego udziału w sporach politycznych. Tę też chwiejność istotnie spotykałem przy wszystkich swoich studiach nad pamiętnikami. Stąd ogromna ilość wybitnych ludzi w powstaniu, którzy przychodzą do pracy i zajmują w tej pracy nieraz wysokie stanowiska dopiero w drugiej połowie 1863 r., podczas gdy powstanie rozpoczęło się na samym jego początku.

Ba, w opisach spotykałem ot takich sobie, przeciętnych oficerów powstania, którzy w jego początku, służąc w armii rosyjskiej, nawet z powstańcami bezpośrednio walczyli.

Gdym zaś mówił o wielkim cudzie Rządu Narodowego i panowaniu pieczątki, nie chcąc psuć wrażenia przemówienia, nie dodałem, że w samym rządzie oraz w najbliższym jego otoczeniu spory były tak namiętne i tak silne, że wskutek nich następowały częste zmiany i że w historii samego Rządu Narodowego nie brak nawet zamachów stanu [2]). Niechybnie świadczyło to o braku wśród kierowników tych wielkich, któ-

[1]) Pokój boży.

[2]) Dnia 24 maja r. 1863 powstańcy o bardziej radykalnym zabarwieniu, pod wodzą Lempkiego i Olszańskiego, owładnęli pieczęciami Rządu Narodowego, poczem zmusili cały jego skład do ustąpienia.

rzy samą wielkością własną zdobywają autorytet i imieniem swoim znaczą epokę, lecz tym bardziej fakty te podkreślają ogromną siłę zbiorowej energii i moralnej chęci poddania się woli swego własnego, polskiego rządu. Bo chyba nikt nie zechce tłumaczyć tego niezwykłego faktu przystosowaniem się do charakteru polskiego i koniecznością dla powagi rządu ukrycia go przed oczami ciekawych.

Z powodu zakreślonego sobie celu nie dotknąłem wcale jeszcze jednej legendy, która ciążyła nad naszymi losami bardzo silnie, a której wyraźne ślady spotykałem jeszcze w nowej, niepodległej Polsce. Mówię o legendzie, że ją tak nazwę włościańskiej, związanej z taką samą legendą carskiego i obcego demokratyzmu. Wyrządziła ona życiu naszemu po powstaniu głęboko sięgające, niezabliźnione poniekąd rany. Obszerny to temat, nad którym niejedna ślęczała głowa, z powodu którego niejedno męczyło się serce. Zasługuje ten temat na ściślejsze i dokładniejsze badanie, niż to mogłem uczynić w odczycie, albo w niniejszym wstępie. Tutaj mogę zaledwie zlekka dotknąć tego tematu. Zwrócę więc przede wszystkim uwagę na jeden z wyników moich badań, do których doszedłem również na podstawie pamiętników, a mianowicie, że udział włościan w powstaniu zwiększał się z każdym miesiącem jego trwania. Można powiedzieć, iż z rozpoczęciem zimowej kampanii z r. 1863 na 1864 w wielu miejscach powstanie opierało się jedynie na włościanach i na ich życzliwej opiece nad oddziałami.

Spotkałem nawet próby przymusowego poboru do wojska przez oddziały po wsiach w Kieleckim (ówczesnym województwie krakowskim), przy czym pamiętnikarz, sam oficer powstania, stwierdzał, że próby tego przymusowego poboru, robione siłą, nie czyniły z wziętego z poboru parobczaka złego lub niechętnego żołnierza. Następnie zaznaczyć chciałbym niedostatecznie szeroko znany fakt, że uwłaszczenie włościan na całej przestrzeni, objętej powstaniem, uprzywilejowało stan włościański pod względem materialnym w znacznie wyższym stopniu, niż się to stało w rdzennej Rosji. Jeżeli więc mówić o zmianach w strukturze socjalnej olbrzymiego państwa carów, to powstanie i konieczność konkurencji z dekretami Rządu Narodowego zmieniły tę strukturę znacznie poważniej u nas, niż w Rosji. Walka o duszę włościanina i konkurecja carska z tradycjami powstania stanowiły przez cały czas panowania u nas Rosji niezwykle poważny czynnik życia politycznego i społecznego. Oddziaływanie tego czynnika dałoby się zauważyć i dzisiaj. Na potwierdzenie zaś przytoczę zabawny

już teraz, na szczęście, fakt, na który się natknąłem w początkach nowej Polski.

W samym końcu r. 1918 dałem urlop świąteczny jednemu z wyższych oficerów mego sztabu [1]). Były już wtedy rozpisane wybory do pierwszego sejmu Rzeczypospolitej. Gdy oficer ten w drugiej połowie stycznia r. 1919 wrócił z urlopu, pytałem go o wrażenia, jakie wypadki dziejowe wywarły wśród ludności wiejskiej jednego z zapadłych kątów t. zw. Królestwa. Opowiadał mi o przeróżnych rzeczach, lecz dodał pomiędzy innymi, że włościanie zamierzają powstrzymać się od wyborów, gdyż się boją — bo jak powiadali: «przyjdą tu kozacy, to dopiero dadzą nam Polskę!»

Powstanie 1863 r. wraz z całą jego epoką czeka dotąd jeszcze na swoją historię. Nieliczne prace, dotykające tego tematu, są zaledwie próbami. Wobec olbrzymiego wpływu, jaki miały wypadki 1863 r. na losy naszego narodu, jestem przekonany, iż teraz, gdy wszelkie trwogi przed próbą walki o niepodległość już chyba minęły, znajdą się historycy, którzy tej epoce poświęcą swoje siły i pracę. Gdy więc który z nich zechce rzucić łaskawie okiem na moje próby walki z legendami, będę szczęśliwy, gdy mu usunę z drogi w pewnej mierze najważniejszą, zdaniem moim, przeszkodę. Nic bowiem trudniejszego dla historycznej prawdy, jak ogarnąć wielkość epoki. Wielkimi były wypadki 1863 r., wielkimi ich wpływy, wielkimi namiętności, wielkimi są również i braki źródeł dla studiów nad wydarzeniami, odchodzącymi gdzieś w dal przeszłości.

Lecz dla dziejów powstania 1863 r. również wielkie znaczenie ma trwoga oraz sprzeczność myśli i uczuć następnych pokoleń polskich w stosunku do swych ojców i dziadów z 1863 r., a nie ma lepszej pożywki chorobotwórczej dla bakteryj fałszu i legend, jak strach przed prawdą i brak woli.

Sulejówek, 31 stycznia 1924 r. [2]).

* * *

Rok 1863 stoi na przełomie naszych dziejów; stara Polska umiera — nowa się rodzi. Na przełomie dziejów staje epokowe zdarzenie — powstanie naszego narodu, walka orężna, długo trwająca, długo zalewająca krwią i pożogą ziemię naszą. Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 r. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od poko-

[1]) Mowa o ówczesnym mjr. Tadeuszu Piskorze.

[2]) Na tem kończy się przedmowa.

leń, czyniąc nowe życie, zamykając stare, — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry 1, 8, 6, 3. Płonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstaniowego Polaka, — nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania. Pod wpływem wypadków r. 1863 rodzi się inna Polska z innym ujęciem życia i jego zadań. Skutki sięgają tak daleko, że śmiało rzec można, że dziś jeszcze, gdy dziecko na świat przychodzi, jest obciążone rokiem 1863.

Rok wielki i, zdawałoby się, wielkim będąc, zasłużyćby musiał na to, na co wielkość każda zasługuje, — na pracę historii; a jednak historia nasza rok ten omija ostrożnie, rzuca wzrok na ogniste cyfry jak gdyby trwożliwie, zostawiając nam tylko legendę. Każda wielkość tworzy legendę, idzie ona w parze z każdą wielkością, dążąc z nią do grobu, na jej grobie stoi, jak wierzba płacząca, w grobie jeszcze strzegąc wielkości. Historia jednak odrzuca powłoki i skorupy legend, szuka prawdy życiowej, jądro prawdy wyłuskuje i okazuje przed oczy.

«Habent sua fata libelli» — mówi przysłowie — mają swe dziwne losy księgi. Mają też swoje dziwne losy i lata, i cyfry. Cyfry 1863 r. musiały należeć do cyfr nieszczęsnych. Znacząc tyle dla nas, ważąc tyle w życiu narodu, nie miały szczęścia w historii i literaturze, znajdują dla siebie tylko ich surogaty — legendy i anegdotyczne plotki. Więc kiedy dziś w wolnej Polsce i jej stolicy przemawiać mam o r. 1863, legend nie chcę, prawdę dać wam chcę nie moimi słowy; chcę, żeby groby przemówiły! I jeżeli mi się uda zrobić cud wskrzeszenia i w sali tej trysną żywe kwiaty z grobów, mówiąc ich bólami, dając zapach żywych kwiatów życia ówczesnego, szczęśliwy będę, albowiem sercem wgryzałem się niegdyś w prawdę, szukając w wielkim roku wielkości mojego narodu, szukając w wielkim ruchu wielkości mojej ojczyzny.

Niechże więc groby ozwą się wśród was, niech mówią swoim własnym językiem — nie legendy. My wszyscy, pogrobowcy powstania, znamy chyba doskonale jedną legendę o zgodzie narodowej, o bratniej zgodzie wszystkich, o rękach, podanych ku braterskiemu uściskowi ze łzą sentymentu w oczach. Legenda, szeptana nam wszystkim z wyrzutem, legenda różanego olejku, którym nieraz rodzimy brud usiłowała przytłumić, rzucana, jak wzór, dla niegrzecznych dzieci ojczyzny. Czy odpowiadała ona prawdzie? Jak wyglądały stosunki pomiędzy sobą ówczesnych stronnictw?

Było ich trzy — Wielopolczycy, Biali i Czerwoni. Trzy

wielkie potęgi, co świat ówczesny polski poruszały i w wielkim dziejowym roku silnymi były. Pierwsze, nieliczne, lecz silne pracą i wielkością a potęgą swego przodownika — margrabiego Wielopolskiego [1]). Siła charakteru duża, stalowy człowiek z wielką wolą, rozporządzał niewielką liczbą pomocników i przyjaciół. Co czynił? Wykorzystując osłabienie najeźdźcy po przegranej wojnie krymskiej [2]), grając na zmianach personalnych w otoczeniu nowego cara [3]), pracował nad spolszczeniem urzędów w Polsce, usuwając resztki śladów epoki poprzedniego cara Mikołaja i jego faworyta, namiestnika warszawskiego, Paskiewicza [4]). Cały aparat rządowy stawał się polski, a odrodzona Szkoła Główna [5]) dotąd jest pomnikiem jego zasługi. Do społeczeństwa Wielopolski odnosił się z pogardą, żądając jedynie posłuszeństwa. Posłuch zaś wymuszał gwałtownymi środkami i w niczym nie różnił się od najeźdźców, którzy użyczali mu w tym celu rąk i aparatu. Główne siedlisko Białych, Towarzystwo Rolnicze [6]), zamknął gwałtem, poszczególnych ludzi ścigał i szykanował niegorzej od Paskiewicza. Czerwonych nienawidził, jak wrogów osobistych, więził, katował, szpiegował na współkę z policją carską. Nieraz całą wielką siłę charakteru zużywał na nienawistne szykanowanie jednych i drugich z pogardzanych stronnictw. Odpłacano jemu i jego stronnictwu tym samym. Wyklęty był z narodu, nienawidzony może więcej od najeźdźców, Moskali, utożsamiany z nimi we wszystkich ówczesnych publikacjach.

Gdy wybuchło powstanie, gdy w lasach grzmiały strzały karabinów i strzelb, śpiewano po obozach znaną dotąd pobudkę powstańczą «Stój, carze, stój, nie ustał bój». W piosence tej z zapałem może największym śpiewano strofkę «Bo mu (carowi) margraf projekt podał, jak ugasić żar». «Margraf» to Wielopolski, któremu dla większej pogardy zruszczono ty-

[1]) Por. t. III, str. 110.

[2]) Por. t. III, str. 55.

[3]) Mowa o carze Aleksandrze II, który wstąpił na tron po śmierci Mikołaja I (2. III. 1856 r.).

[4]) Iwan Fedorowicz Paskiewicz, w wojnie przeciw Polakom objąwszy 1831 r. naczelne dowództwo, zadał cios śmiertelny powstaniu, zdobywając Warszawę. Mianowany namiestnikiem Królestwa, przez ćwierć wieku prowadził ostrą politykę przeciwpolską.

[5]) Szkoła Główna Warszawska, powołana do życia w roku 1862, składała się z wydziałów: prawa, lekarskiego, matematyczno-fizycznego i filologiczno-historycznego. W r. 1869 zamieniono ją na uniwersytet rosyjski.

[6]) Mowa o Tow. Rolniczym, powstałym dnia 16 stycznia 1858 r. w Warszawie, którego prezesem był hr. Andrzej Zamoyski. Zostało ono rozwiązane dnia 6 kwietnia 1861 r.

tuł margrabiego. Walczono więc i bito się z carem i z margrabią. Gdzież więc jedność narodowa? Przecież to istotna wojna domowa w najściślejszym tego słowa znaczeniu.

Biorę inne stronnictwo. Mamy więc dużą, obejmującą wielką ilość Polaków partię Białych. Na czele czczona postać Zamoyskiego [1]). Jakaż tam prawda? Niech groby mówią. Otwieram księgę najnowszą, najbardziej przetrawioną, pisaną drżącą ręką starca, schodzącego do grobu. Ręka, prowadzona przez rozum, co ból przetrawił, co szukał krótkiej, możliwie nie drażniącej prawdy o r. 1863. Pół-pamiętnik, pół-historia Józefa Janowskiego [2]), członka Rządu Narodowego od chwili wybuchu powstania aż do upadku ruchu.

Otwieram tę księgę na przygotowywanym okresie: mowa o Białych, o stosunku ich do tych, co wojnę 1863 r. poprowadzili, o stosunku do tych, którzy stanowią treść i istotę wybuchu powstania 1863 r.: «Całą organizację Komitetu Centralnego traktowali (Biali) pogardliwie, nazywając ją robotą smarkaczy i głupców». Krótkie określenie, wcale nie mówiące o «treuga Dei».

Niech inny grób przemówi. Jest znany pisarz polski, ceniony dotychczas przez wielu. Uśmiech na twarzy wykwita, gdy się mówi o Klemensie Junoszy [3]), o tym bajarzu, o tym cudownym obserwatorze życia. Żył on w tamtych czasach, należał do organizacji Białych i zostawił swoje wspomnienia.

Przed samym wybuchem powstania (o ile pamiętam, w styczniu 1863 r.) dyrekcja Białych nakazała swoim komisarzom na prowincji wybadać stan umysłów. I oto Klemens Junosza, jako komisarz dyrekcji, bada swoją okolicę. Kogo tam bada, gdzie szuka poznania życia? Swobodnie, w wesołym prawie tonie pisze: przedstawicielem Czerwonych w miasteczku był aptekarz, znany głupiec, do którego nie warto było chodzić. Lawy bulgoczą wewnątrz ziemi — jutro płonąca lawa wyleje się za dotknięciem właśnie czerwonym, lecz nie warto z nimi gadać. Do kogóż iść? Do starozakonnego izraelity, kupca miejscowego, żeby u niego zasięgnąć języka o Czerwonych i od niego dowiedzieć się o stanie rzeczy. «Treuga Dei» — gdzieżeś ty jest?

---

[1]) Mowa o hr. Andrzeju Zamoyskim, prezesie Tow. Roln., przewódcy partii «Białych» w dobie powstaniowej; został on aresztowany 14 września 1862 r., odstawiony do Petersburga i wydalony za granicę.

[2]) Mowa o «Pamiętnikach o powstaniu styczniowym Józefa Kajetana Janowskiego», wyd. we Lwowie przez Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

[3]) Klemens Szaniawski (Klemens Junosza) (1849—1898) znany pisarz i nowelista.

Idźmy dalej, inny grób mówi. Oksiński [1]) na cudownej karcie swoich pamiętników opowiada o początkach powstania. Sam jest Czerwonym z ówczesnej szkoły wojskowej w Cuneo [2]) — było to coś w rodzaju szkół strzeleckich przed wojną 1914 r. Wysyła go naczelny wódz powstania, Zygmunt Padlewski [3]), i daje mu instrukcję. Za tydzień ma się dokonać wybuch i Padlewski mówi: «Posyłam cię na stracenie, tam panują Biali, tam Polaków nie ma». Do kogóż posyła on Oksińskiego, żeby robić powstanie? Do tajnej organizacji moskiewskiej «Ziemi i Woli» [4]), te adresy mu daje, pogardliwie traktując «nie-Polaków», Białych.

Ciekawa i ładna jest scena, która w tym pamiętniku jest przedstawiona. Oksiński przyjeżdża w Kaliskie, nie mając danych o tych nielicznych Czerwonych, którzy gdzieś w morzu białych głów toną. Jak on ich szuka? Jak silnymi były spory, jak pulsowały one żywo, wskazuje pewien charakterystyczny sposób, w jaki odnalazł tych Czerwonych. Oksiński idzie do oberży, gdzie zebrana miejscowa, że tak rzeknę, inteligencja spór polityczny toczy. Oksiński przygląda się zebranym i widzi wśród nich jednego zaperzonego, zaczerwienionego osobnika. Odgaduje, że to musi być ten, co reprezentuje znikomą mniejszość i czuje się skrzywdzonym, a więc to jest Czerwony — i trafia bez pudła. Tak — to Czerwony, bo go w oberży w sporze zaczepiono, pobito i skopano moralnie.

Oto początek powstania. W Białej Podlaskiej Rogiński [5]), młody człowiek, przygotowuje wybuch, organizując miasteczka i okoliczne zaścianki. Dzień wyznaczony na zbiórkę, miejsce wskazane. Rogiński siedzi u siebie i czeka. W wilię wybuchu, w nocy, spiskowi mieszczanie przed wyjściem na bój spieszą do kościoła, aby pogodzić się z Bogiem. Idą gremialnie do spowiedzi, aby oczyścić się z grzechów. Księża rozgrzeszenia nie dają, mówiąc: «Idziesz na mord, na rozbój, rozgrzeszenia nie ma, absolucji nie ma!» Rogoziński widzi, jak ważny trud, całe dzieło jego, chwiać się zaczyna. Zdobywa się po chwili wahania na energię, rzuca się do kościoła, aby wymusić rozgrze-

---

[1]) Mowa o pamiętnikach Józefa Oksińskiego p. t. «Od 16 do 21 stycznia» wydrukowanych w zbiorowym wydawnictwie: «W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego 1863—1903» na str. 312—325.

[2]) Por. t. III, str. 91.

[3]) Por. t. III, str. 88.

[4]) Mowa o tajnej organizacji rosyjskiej, która przyjęła nazwę od swego głównego programowego hasła: ziemia i wolność dla ludu. Działalność tej organizacji zamyka się w latach 1857 do 1879.

[5]) Por. t. III, str. 113.

szenie u księży nakazem, krzykiem, groźbą wyroków śmierci. Żąda, żeby rozgrzeszenie dano. Gdzie jesteś o ty, «treuga Dei»? W przybytku Bożym wojna domowa się toczy!...

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło, lawa z wulkanu trysnęła na ziemię, jesteśmy w obozie jednego z wielkich — Langiewicza [1]). Przyjeżdżają do niego Polacy i ofiarują pieniądze, żeby tylko rozpuścił obóz do domu, żeby dał spokój szaleńczemu dziełu. A gdy Langiewicz odpycha tę propozycję, idą do władz moskiewskich, dając znać o rozkładzie obozu, o jego sile. Gdzież jesteś, łzawa «treuga Dei»?

Idziemy do drugiego obozu. Oto stary wilk, stary weteran trzydziestego roku, znany w dziejach Czachowski [2]), twardy człowiek, bezwzględny w stosunku do podwładnych, przy boku jego stale bat. Batem wymusza posłuszeństwo, trzyma ostro w ręku wojsko, zmusza do pracy, bezwzględny dla siebie, bezwzględny dla wszystkich. Oto opis rozmaitych wizyt Czachowskiego. Do skromnych białych, białych nie tylko pod względem zewnętrznego wyglądu, dworków przyjeżdżając, batem walił właścicieli, nakazując rekwizycje, karząc opornych w stosunku do Rządu Narodowego. Bata z ręki nie wypuszczał. I gdzież jesteś ty, «treuga Dei»?

Idźmy dalej. Powstanie wybuchło w różnych miejscach, pożogi, miasteczka się palą, rannych dobijają. W Warszawie zbierają się Biali, ściągają z różnych stron do stolicy resztki dyrekcji, resztki Białych, niezatrzymanych przez powstanie na prowincji. Dzielą się na grupy. Jedni się wahają, inni wraz z Wielopolczykami idą do władz moskiewskich, prosząc, żeby jak najprędzej we krwi zdusić szaleństwo, nie biorąc za nie odpowiedzialności, szukając ucieczki od brzemienia odpowiedzialności, ciążącej nad krajem.

Idziemy dalej do tych wielkich, do tych, których sam ruch na czoło odpowiedzialności wysunął. Centralny Komitet Narodowy na pierwszym posiedzeniu, ogłaszając siebie jako Rząd Narodowy, zdecydował oddać władzę w ręce dyktatora. Pomimo sporów wewnętrznych, pomimo niechęci osobistych wybrano jednego. Tym jednym był Mierosławski [3]). Co wiemy o Mierosławskim? Ależ on — to wojna domowa! Legendy, osnute koło Mierosławskiego, mówią: Polska nie będzie wolna, zanim — nie przypominam sobie tego określenia, ale, zdaje

---

[1]) Por. t. III, str. 20.

[2]) Dionizy Czachowski, wybitny uczestnik powstania styczniowego, zginął dn. 6. XI. 1863 r.

[3]) Por. t. III, str. 102.

mi się, że jest tam mowa o śmierci ostatniego księdza. Legenda jego wróży wojnę domową.

Idźmy do drugiego ówczesnego dyktatora, Langiewicza — znajdziemy to samo, w mniej może jaskrawej formie. Pomimo, że jest on wysunięty na dyktatora w Krakowie przeciw Mierosławskiemu przez mętne, niezbyt zgodne z przeciętną etyką intrygi, w tajemnicy przed Rządem Narodowym [1]) zostawia się z obawy przed tym «czerwonym diabłem», w listach, pisanych już w więzieniu, po upadku swej dyktatury, zwroty i określenia, polemizujące z Białymi. Czyni im zarzuty, szeroko używa znanych w owe czasy i namiętnie przez Białych zwalczanych haseł, słów i wywodów.

Pozwólcie panowie, abym przytoczył osobiste wspomnienia. Znałem jednego z wielkich powstańców, z którym byłem w szczerej, serdecznej przyjaźni. Był to znany Bronisław Szwarce [2]), członek Centralnego Komitetu, aresztowany przed samym wybuchem powstania. Gdy przychodziłem do niego z teoriami o «treuga Dei», ze łzawą legendą, machnął na mnie niecierpliwie ręką i z ust jego sypały się wyrazy żółci, wyrazy pogardy, wyrazy żartu, — żartu, trawiącego serce.

Gdy badam epokę, gdy poruszam te dzieje, spotykam przede wszystkim prowokację, prowokację polską. Margrabia Wielopolski branką wymusił wybuch powstania. Władze moskiewskie cofnęły się, nie chciały stosować drażliwego środka branki, odkładały ją na coraz inne terminy; margrabia Wielopolski tę brankę na władzy moskiewskiej wymusił. A więc — mamy prawie wojnę domową. Gdzież jesteś, «treuga Dei» łzawa! Gdzie ty, legendo? Gdy groby mówią — znikasz, jak złuda!

Gdy badam tę epokę i porównywam ją z innymi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, biło w nich to, co w nich żyło, — pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywam, to znam tylko dwie epoki, podobne do tej «treuga Dei». Jedna, gdy palec Boży dotknął naszej ziemi i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu, jak w mogile, zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa.

[1]) W dniu 10 marca 1863 r. stronnictwo Białych, przeciwstawiające się Mierosławskiemu, proklamowało dyktaturę Langiewicza. Langiewicza namówił do ogłoszenia się dyktatorem Adam hr. Grabowski, podając się za pełnomocnika Rządu Narodowego.

[2]) Por. t. III, str. 88—89.

A druga — to epoka, gdy wśród wulkanów świata ziemia nasza na nowo nad potoki lawy gorącej się dźwigała, gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane, spod popiołów żywymi się stawały — to epoka nasza.

Legenda o treuga Dei, o pokoju narodowym, zniknąć musi przy dotknięciu prawdy historii. W owe czasy nie było jej w Polsce.

Jest druga legenda, legenda sentymentu, mgiełka łzawa, unosząca się nad grobami, pokrywająca je welonem czarnym, żałobnym. Wszystko owite jakąś łezką, łzą żyje wszystko. Z tą legendą nie warto się rozprawiać. Gdzie widzimy, żeby człowiek, co strzela, płakał, gdzie widzimy, żeby bój toczono we łzach i smutku? Obrazy realne dają inną postać — sute czamary, buty palone, wąs podkręcony, zalotne spojrzenie, taniec wesoły w koło ogniska, jakaś sentymentalna nutka brzmi we dworze — to mazur ostatni, gdzie p. Krzysia w tańcu łezkę roni. Takim było życie ówczesne, życie walk, życie niepokojów. Szło się na śmierć swobodnie, szło się w tany ze śmiercią równie wesoło, jak w tany z dziewczyną.

Istnieje jeszcze legenda smutna, a tak potworna...

Więc małość, więc głupstwo, więc tylko szaleństwo? I ta epoka wielka, która latami tkwi w sercu polskim czy cieniem, czy cierniem krwawiącym, co życie kilku pokoleń wielkiego narodu trawi, jest tak potwornie mała, jest tak śmieszna, tak głupia? Ta legenda małego rozsądku wzorów epoki 1863 r. nam nie zostawia. Uśmiech pobłażliwy — i tyle. Legendę tę znamy. Jesteśmy może bardziej dziećmi tej legendy, niż innej.

Gdy palec Boży ziemi dotyka, na równinach wyrastają góry i dymią, lawa gorąca wewnątrz ziemi bulgoce. I ziemia-matka w bólu, we wstrząśnieniach rodzi ludzi, ludzi wielkości. Gdzie ich imię? W wielkiej epoce wielkość być musi. Ziemia palcem Bożym dotknięta, lawa przez rok cały tryskała pożogą, płonęły serca ludzkie, płonęli ludzie, płonęły sioła. Wielkości, gdzież twoje imię?

Pamiętam tragedię swoją, gdym jej szukał i gdym, napotykając legendy, jedną za drugą odrzucał.

Została legenda, że to tylko było szaleństwo. Przerażenie mnie ogarnęło — wielka epoka wielkości nie ma, więc ziemia przeklętą jest przez Boga, i usta zbielałe we trwodze szepczą: może koniec? A ta legenda straszna szerzyła się, jak zaraza, jak epidemia, wśród pokolenia pogrobowców powstania 1863 r. Szukałem, jak opętany, nie mogłem się z tym pogodzić.

Wielkości, gdzie twoje imię? Największe imię to margra-

bia! Chciałem go kochać za wielkość, bo miał on dumę i godność swego narodu. Widzę wspaniałą scenę — pałac zimowy [1]) w ogromnym Petersburgu, liczny zastęp dygnitarzy czeka na wejście cara, czekają — stojąc, pokornie i cierpliwie, — margrabia siedzi. Gdy zwrócono mu uwagę, by powstał, gdyż majestat rosyjski ma wejść w tej chwili, odpowiedział: «przed królem swoim dopiero powstanę». Nie był niewolnikiem, wielka siła, wielka duma. Padł, zduszony obręczą bagnetów z jednej i z drugiej strony, padł pod siłą pogardy, gnieciony często potwarzą nienawiści. Nie ma wielkości, wielkości szukać trzeba było gdzie indziej. Wielkości, gdzież twoje imię? Szukałem wszędzie. A tamci też szukali i wysuwali na czoło ludzi, jakich znaleźli. Mamy dwóch dyktatorów. W tym bezwiednym posłuszeństwie palcu Bożemu szukano ludzi i wysunięto dwóch: jeden to dyktator Mierosławski, drugi dyktator — Langiewicz. Niewątpliwie więksi, niż inni, niewątpliwie ludzie nie mali. Zaplątali się obaj w sieci dyktatorskie dyktatury prawie operetkowej, dyktatury na przestrzeni strzału dwururki myśliwskiej, dyktatury nieżywej, martwo urodzonej, krwawej farsy, śmiesznością otaczającej te postacie. Wielkości nie ma. Szukałem gdzie indziej. Najstarszy wiekiem z przedstawicieli ruchu, Agaton Giller [2]), cofnął się w ostatniej chwili. Dziennikarz, przekręcał dla potrzeb publicysty orzerzenia i słowa naczelnego wodza, Padlewskiego. Szukałem gdzie indziej: ba, są więksi! Oto silna postać, ze stali wykuta, — Jarosław Dąbrowski [3]), siła wewnętrzna olbrzymia, przewidziany przez Czerwonych naczelny wódz, miota się za kratą, uwięziony przed wybuchem, siedzi w cytadeli, za kratą gorączka czynu go trawi, rzuca gorączkowe, silne plany, przerzuca je za kratę, dyktuje nakazy. Ręce ma skrępowane, za kratą duch żywy, ciało martwe.

Zastępca jego, Padlewski, piękna rycerska postać, półarystokrata, pół-konspirator i demagog. I tu wielkości nie ma. Szukam wśród innych, silnych, pierwszorzędnych ludzi epoki. Wielkości, gdzie twoje imię? Są inni — młody Bobrowski [4]) szybko w oczach się zjawia. Widzimy, jak ten młody człowiek

---

[1]) Siedziba carów rosyjskich.

[2]) Agaton Giller (1831—1887) członek Rządu Narodowego w 1863 r. autor «Historii Powstania Narodu Polskiego».

[3]) Por. t. III, str. 88.

[4]) Stefan Bobrowski, członek Rządu Narodowego, z ramienia tego rządu był naczelnikiem m. Warszawy; miał konflikt z hr. Adamem Grabowskim, który, podawszy się za pełnomocnika Rządu Narod., namówił Langiewicza do ogłoszenia się dyktatorem. Na skutek tego konfliktu, odbył się pojedynek, zakończony śmiercią Bobrowskiego.

w jedną godzinę dojrzewa siwizną doświadczenia, siwizną pracy. Ba, już go wypychają na czoło, już ma wielki wpływ. Ledwo się zjawia w Warszawie, już jest powołany do pracy najwyższej, i... przez szuję w pojedynku zostaje zabity.

Wyrzuca potem historia na końcu większą postać Traugutta [1]). Gdzie on jest, gdy palec Boży ziemi polskiej dotyka? Razem z Białymi, siedząc w puszczy litewskiej, waha się, obawia się. Wielkości nie ma. To kpiny z nas, potomnych. Wielkości, gdzież twoje imię?

Więc legenda głupstwa, legenda szaleństwa, legenda nonsensów historycznych, tak krwawo szarpiąca wnętrzności narodu, napawająca ludzi słabością, dysząca upokorzeniem, straszliwym uśmiechem żalu i zimnego rozsądku! Wielkości, gdzie twoje imię? Gorączką trawiony, szukałem. W bojach, w dziejach wojny nie znalazłem tego. Niech groby mówią, niech dadzą kwiat żywy ze siebie, niech wielkość epoki powstania wzór nam zostawi, niech nam poda naukę.

Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiałem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi olbrzymie tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i z szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?

Szukałem gorączkowo. Wielka epoka wielkich ludzi nie dała lub większym z tej doby niezwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach , w symbolicznych nieraz dziwolągach.

W r. 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego.

Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnym pismem, a u spodu pieczęć. To był symbol siły. Cóż robiła pieczęć, co robili ludzie, stojący za tą pieczęcią?

Dla charakterystyki pracy pieczątki i ludzi, strzegących jej powagi i znaczenia w narodzie, przytoczę przede wszystkim parę wspomnień o stanie prac przygotowawczych przed

[1]) Por. t. III str. 137.

wybuchem powstania. Jeden z wielkich, Miłkowski [1]) (Jeż), jeszcze przed wybuchem powstania, przyjechał konspiracyjnie do Warszawy i był zdumiony potęgą organizacji. Cała poczta konna, którą jechał, a która zastępowała wówczas nieistniejące prawie koleje, była w rękach organizacji. «Urzędnik naszego Rządu jedzie, konie zaprzęgać, niech inni czekają». «Nasz Rząd jedzie!» Trąbka pocztyliona gra i w lesie wpada w tony mazurka Dąbrowskiego. Cała poczta pracuje, pracuje dla swego Rządu, gdy oficjalnie istnieje inny, z którym ma się toczyć walka zbrojna. Stary mój przyjaciel, Szwarce, opowiadał mi chwilę swego aresztowania przed powstaniem. Miał przy sobie papiery rządowe, czuł, że za chwilę będzie wzięty, i cóż zrobił z papierami? Skoczył do pierwszego lepszego sklepiku, rzucił je na ladę i krzyknął: «Papiery Komitetu Centralnego, papiery Rządu!» Dziś sprzedanoby te papiery na giełdzie! Wtedy przechowano je z szacunkiem i oddano komu należało. Jak wielką musiała być już wtedy spoistość społeczeństwa, jak silną chęć dobrowolnego poddania się przymusowi moralnemu, gdy mogły przezwyciężyć przymus materialny, nieledwie cielesny, ciążący tak silnie wtedy na wszystkich Polakach.

Spójrzmy teraz, jak wygląda praca pieczęci i jej ludzi w okresie najwyższej jej potęgi. Oto Marian Dubiecki, co krwią nieledwie napisał pracę cenną [2]), co skrzętnie zbierał dane, jak centrum pracuje, opisuje, jak w Warszawie, zalanej wojskiem, były dwa rządy: jeden, ten w stali zakuty, panował oficjalnie, drugi — ten, co ulegać musi, ten, co po kątach się chowa, ten niewidoczny, toczący wielką walkę, trwającą rok cały. Jakże on pracuje? Gdym przerażony, stary wyga konspiracyjny, przerzucał tę pracę, wybuchnąłem śmiechem — znów same błazeństwa! Masa pisaniny, regulacja drobnych zjawisk życiowych, uwzględnianie najdrobniejszych pytań, biura, dykasterie. Gdzie? — w zalanej wojskiem Warszawie, gdzie patrole ciągle krążyły po ulicy, gdzie człowiek bez latarki na ulicę wieczorem prawa nie ma wyjść, bo musi twarz swoją szpiegom oświetlić. W tych warunkach biura, ministerstwa, piszące olbrzymie foliały, składające pisemne raporty tajne, biura

[1]) Mowa o Zygmuncie Miłkowskim (pseud. Teodor Tomasz Jeż), powieściopisarzu polskim, który w grudniu 1862 r. powrócił z emigracji do Warszawy i został mianowany przez Centralny Komitet Narodowy pułkownikiem.

[2]) Mowa o dziele p. t. «Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—1864. Pamiętnik skreślony przez współczesnego».

oblężone, tłumy ludzi, nieledwie ogonki, wchodzące kolejno do samej centrali władz tajnych. Śmiać mi się chciało, staremu konspiratowi, gdy to czytałem. Po co to robili, na co ta praca, po co ta śmieszność?

A jednak śmiech mi zamarł na ustach, gdym w studiach swoich nad wspomnieniami, nad literaturą pamiętnikową raz po raz natrafiał na skutki tej dziwnej, prawie nieprawdopodobnej pracy ludzi, stojących poza pieczęcią władz centralnych. Wracam do wspomnień Junoszy. Z «Białego», szukającego prawdy o «Czerwonych» u izraelity, przekształcił się on na komisarza Rządu Narodego — bodaj w Łęczyckim. Jest posiadaczem pieczątki, a raczej bibułki z pieczątką — symbolem swej władzy rządowej. Na bibułce jest wypisana jego nominacja. Posiada drugą bibułkę czystą z odciśniętą na niej pieczątką. Ma tam wpisać, według swego uznania, nazwisko i imię swego następcy, gdy już nie będzie w stanie prowadzić dalej swej pracy. W pamiętnikach, pełnych humoru i żywej a trafnej obserwacji, jaskrawo występują szczegóły pracy i mnóstwo drobiazgów, przepracowywanych starannie w centrum. Całe życie bacznie jest regulowane, często w drobnych, codziennych sprawach. Wyczuwa się to, co się robi. Czyni to widzialną i namacalną rękę rządu dla wszystkich mieszkańców kraju, pomimo tego, że Rząd Narodowy jest bezimienny, pomimo, że panuje inny rząd, rząd przemocy i najazdu, pomimo, że wojna się toczy w kraju, wojna z całą surowością swoich praw względem ludzi i ich życia. Żywo w pamięci mi stoi organizacja łączności i opieki nad formującymi się w powiecie siłami zbrojnymi Polski. W każdej stajni dworskiej stoi osiodłany dyżurny koń, obok dyżurny chłopak stajenny. Biegnie wieść ostrzegająca, alarmowa — skądś wyruszyło wojsko rosyjskie. Chłopiec dosiada źrebca i pędzi na przełaj borami, polami do następnej wyznaczonej stacji, wieść wyprzedza ruchy konnicy nieprzyjacielskiej, dopada do wyznaczonego celu z ostrzeżeniem.

Szukajmy innych obrazów. Czasy niespokojne, kraj przebiegają bandy ludzi uzbrojonych i walczących ze sobą. Jak zwykle w takich chwilach, życie dla tych, co broni nie noszą, jest ciężkie, jak zwykle, zdarzają się nadużycia. Na niektóre z nich biegną skargi do Rządu. Znam z pamiętników jeden z takich wypadków. Jeden z dowódców małego oddziału — mówiąc językiem bardziej nowoczesnym — zbandyciał. Pędzi rozkaz do dowódcy danego okręgu, Czachowskiego. Rząd nakazuje ukarać śmiercią bandytę, a Czachowski, nie znający ani jednego z członków tego Rządu, nie znający nawet ich na-

zwisk, sam ścigany przez nieprzyjaciela, czyni specjalną wyprawę, aby winnego odnaleźć. Dopada go i po odczytaniu wyroku każe go natychmiast wykonać [1]).

Oto znowu dalej opisy pracy policji Rządu Narodowego w stolicy kraju, w Warszawie. Praca dwóch Janków — białego i czarnego [2]). Gdy się przurzuca te karty, wyda się może, że się czyta bajkę z tysiąca i jednej nocy.

Czytam jakiś pamiętnik z Łęczyckiego. Opowiada jakiś oficer, instruktor, który tam oddział zbierał i ćwiczył, jakby pokój panował dokoła. Kurier przybiega z ostrzeżeniem — wysłane jest na nich wojsko. Chowają więc broń i stają do pracy przy żniwie, by wrócić zaraz potem do pracy żołnierza, do ćwiczeń. Ileż szalonej spoistości woli u takich ludzi, ile wzajemnej pomocy! Ile szalonych wysiłków ducha trzeba było dla dokonania bodaj małej rzeczy! Co czyni ta spoistość? Cytuję z tegoż Junoszy: oficer rosyjski, zarządzający powiatem, został przeniesiony na inne miejsce, wyjeżdża z rodziną. Chce rodzinie zapewnić bezpieczeństwo w podróży po kraju, gdzie wojna się toczy, chce legalnie w tym kraju przebywać. Czego szuka? szuka przepustki rządu innego, nakaz jego własny nie wystarcza, jest inny rząd, nasz polski, ten go ochroni.

Biorę na świadectwo naszego nieprzyjaciela, Berga, jego «Zapiski o powstaniu» [3]). Co tam znajdujemy? Opis jednej ze scen może służyć jako pouczenie w teraźniejszych czasach. Przyjeżdża świeżo mianowany urzędnik rosyjski do Warszawy. Staje w hotelu, puka ktoś do drzwi. Nakaz płatniczy zapłacenia podatków. Od kogo? W czyim imieniu? W imieniu rządu polskiego. I urzędnik moskiewski płaci podatek rządowi tajnemu, rządowi pieczęci.

Idziemy dalej. Gdzieś w zapadłym Sandomierzu jest sobie taki wariat, oficer rosyjski, zakochany w koniu. Koń to jego życie. Nagle konia mu kradną, nie ma konia. Życie biednego człowieka zatrute, zabrakło mu przyjaciela, zabrakło mu życia. Szuka, rozsyła patrole. Rząd przemocy ofiarowuje mu swoją pomoc. Konia jak nie ma, tak nie ma. Oficer rozpacza, odchodzi od zmysłów. Mądry izraelita radzi mu: «Pan

[1]) Wspomniany na str. 157 Dionizy Czachowski, mianowany przez Rząd Narodowy 20 marca 1863 r. naczelnikiem wojew. sandomierskiego. Wykonał on wtedy w lasach Radoszyckich parę wyroków śmierci, nakazanych przez Rząd Narodowy.

[2]) Mowa o Janie Karłowiczu, naczelniku policji warszawskiej z ramienia Rządu Narodowego, znanym pod pseudonimem Janek Biały i o Janie Massonie, noszącym pseudonim Janka Czarnego.

[3]) Mikołaj Berg, rosyjski historyk, napisał pracę p. t. «Zapiski o spiskach polskich i powstaniach po 1831 r.».

nie tam szuka, pan potrzebujesz szukać u rządu!» — «U jakiego rządu?» — «Nie u tego, jest inny, oni znajdą, jak się pan do nich zwróci». I oficer zwraca się przez Żyda, płaci podatek, opłaca stempel podania i po trzech dniach koń zostaje mu zwrócony.

Policja narodowa wciska się do biur moskiewskich, śledzi więzienia, otacza opieką prace Rządu Narodowego, prace tajne. Ileż niezapomnianych klechd, ileż niezapomnianych legend wówczas powstało, na które po latach trzydziestu stale się natykałem w mej pracy wśród robotników warszawskich. Żyły one życiem kwiatów, swym cudnym zapachem budząc zachwyt nad tą wielką pracą ludzi, pracą ogromnej ilości wysiłków, ogromną ilością woli, by rząd swój własny zrobić silnym.

Przenieśmy się na chwilę tam, gdzie powstanie najdłużej trwało. Jeszcze w 1864 r. dowodził ks. Brzózka [1]) ludem podlaskim. Ze wszystkich dzielnic polskich powstanie było tam najsilniejsze. Na czele organizacji rządu stanął tam niejaki Rawicz [2]), były Biały. Zorganizował on szybko pracę rządu, wciągnął do organizacji wszystko, co tylko żyło. Zginął na szubienicy.

Niech mi wolno będzie z tych wspomnień wybrać może najoryginalniejsze, wydające się czymś nieprawdopodobnym, a świadczące o tej ogromnej potędze sugestii, która posiadała silna władza Rządu Narodowego. Dotyczą one licznego udziału Żydów w powstaniu. Organizacja wówczas wszędzie była oparta na pewnym schemacie. W miasteczku każdym był burmistrz chrześcijanin i pomocnik burmistrza Żyd. I pamiętam ze wspomnień jednego młodego Żydka, któremu najniebezpieczniejsze ekspedycje poruczano, który przewoził wszystkie tajne rzeczy, który masowo broni dostarczał i który, jako o jedyną łaskę, prosił, by mu jakieś najmniejsze odznaczenie dano od rządu polskiego. W swoim życiu napotkałem tradycję tej pracy. Podczas wojny japońskiej, w pracy konspiracyjnej, zabłądziłem do Siedlec. Polecono mi, jako adres, pewną fabrykę, która właściwie była zwyczajnym warsztatem farbiarskim, i gospodarz [3]), poczciwy grubasek, miał mię przyjąć. Zjawiłem się u niego również jako wysłannik takiej pieczęci, jako człowiek bez nazwiska, o którym wiedział jednak, że jest czymś więcej, wysłannikiem jakiejś władzy. Przyjął więc mnie z należną czcią. Po dłuższej rozmowie, gdy już załatwiłem u niego

[1]) Por. t. III str. 209.

[2]) Mowa o Władysławie Rawiczu, naczelniku wojew. podlaskiego, powieszonym w Siedlcach 22 listopada 1863 r.

[3]) Właścicielem tego warsztatu farbiarskiego był Garbiec.

wszystkie sprawy, uległ ku mnie jakiejś nadzwyczajnej sympatii i przed odjazdem zwrócił się do mnie: «Nie możemy się tak rozstać, niech ja na pożegnanie podzielę się z panem największą pamiątką». I z pod pułapu swojej fabryczki wyciągnął zawinięte w mnóstwo papierków dwie małe bibułki. Widniały na nich pieczęcie Rządu Narodowego. Pytam się, skąd to pochodzi. Opisuje mi historię. — Przeszły te bibułki przez piekło katorgi syberyjskiej i wróciły potem do Polski. Taki to właśnie pomocnik burmistrza — Żyd, wróciwszy z katorgi, w nowym życiu nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, bo od jednego brzegu odpłynął, a do drugiego nie przypłynął, w kurczach i bólach konając, tę świętość, zachowaną z katorgi, ojcu tego rzemieślnika oddał. — Teraz ten spadkobierca tradycji pracy Rawicza dzieli się ze mną tą świętością, jak opłatkiem; sobie zostawił jedną kartkę, a mnie drugą na życie późniejsze oddał.

Pieczątka nakazywała nieraz ciężkie, nieznośne obowiązki dla tłumów. Znam te smutne prawa wojny, znam je z opowiadań ludzi, którzy przez te najcięższe obowiązki przechodzili. W mieście ogłoszono stracenie powstańca. Warczą bębny ciemięzcy, żołnierze stoją rotami, prowadzą skazańca. Nakaz rządu brzmi: «Wy tam być musicie, śmiałymi oczami patrzcie w oczy skazańcowi, niech umiera wśród swoich». Cisza zalegała ulicę, gdy warczały bębny. Patrzano w oczy śmierci, mówiono skazańcowi: idziesz na śmierć, ale my jesteśmy z tobą.

To cud siły, cud Rządu Narodowego, cud jakiejś wielkości. Gdym karty historii Rządu Narodowego przerzucał, pytałem siebie, gdzie przy tej cudownej «treuga Dei» był spór, gdzie podziały się te namiętności, które przy wybuchu powstania tak żywo grały? Czy Czerwoni i Biali, jedni i drudzy, przebrali się w kolor różowy i różaną wodą zlewali siebie ku uspokojeniu własnemu? Nie! Ludzie zostali ludźmi, a z nimi namiętności i ich siła. Umieli się przezwyciężać, a przy tym zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie, godni swojej epoki.

Wielkości, gdzie twoje imię?

R. 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy, wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej wysiłków woli, siły moralnej, — nie «treuga Dei» szui zbiorowej, nie «treuga Dei» tchórzów, lecz «treuga Dei» ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymy olbrzymiej pracy moralnej.

Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych pod górnymi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety —
Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza [1]).

I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? — znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 r. istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który, nieznany z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzać może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów.

Gdy palec Boży znów dotknął naszej ziemi, gdy nad nią znów lała się lawa ognista, gdy ziemia nasza dudniła pod milionem armat, gdy płonęła od ognia, gdy uderzały oczy lśniące w słońcu bagnety, gdy skrzyło się niebo od pocisków, gdy roty za rotami, gdy pułki za pułkami mięszały się ze sobą, by lepką swą krwią zlać ziemię naszą, byłem między nimi. Pamiętam chwilę jedną, która, jako symbol, rzucała mi raz jeszcze cienie przeszłości. W samym początku wojny szedłem drogą, gdzie stoi książęca rezydencja wielkiego margrabiego [2]). Wielkie zamczysko opustoszałe, prawie zrujnowane, ogromny dziedziniec zarasta chwastem. Gdzie sala zamczyska — obozowisko. Byłem tam i patrzyłem — cienie przeszłości wracają. Gdym oczy na chwilę zamknął, wielka postać margrabiego stanęła przede mną. Opasłe cielsko, oparte na kiju, ze wzgardliwym twarzy wyrazem. I znów głos jego ozwał się: «Znowu to samo — lecz i ty, i ci twoi, jacyście mali, mała wasza nikczemność, małe bohaterstwo!»

Polska trudy ciężkie przeżywa, nieraz Polak miota się w trwodze.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali,
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali —
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Boga pokaże i przed Nim powali [3])

— wtedy wiedzcie: z mogił, z grobów 1863 r. żywy cień powstaje, cień wielkości epoki, cień Rządu Narodowego i wtedy mogiły zawołają głosem straszliwym: — «Idź i czyń!»

---

[1]) Słowacki, «Beniowski», Pieśń V, w. 465.
[2]) Mowa o Książu Wielkim w pow. miechowskim.
[3]) Słowacki, «Beniowski», Pieśń XII, w. 294.

NACZELNI WODZOWIE
(luty 1924 r.)

Piłsudski uczynił w owym czasie zagadnienie organizacji wojskowych władz naczelnych sprawą aktualną. Piłsudski czuł się powołanym do objęcia w wojsku tej pracy, która jest związana ze stanowiskiem generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny. Tak czuło wtedy i wojsko. Danie tej pracy Piłsudskiemu wiązało się z zagadnieniem: jak należy zorganizować naczelne władze wojskowe i jak ułożyć stosunek przyszłego Naczelnego Wodza do Ministra Spraw Wojskowych i Szefa Sztabu Generalnego.

Sprawa była ważna nie tylko z punktu widzenia umożliwienia Piłsudskiemu powrotu do pracy wojskowej. Piłsudski pragnął przez należyte zorganizowanie wojskowych władz naczelnych stworzyć warunki, gwarantujące możliwie najbardziej wydatną pracę wojska dla celów wojny tak, by Polska w chwilach konfliktu zbrojnego mogła wydobyć ze siebie maksimum siły.

Piłsudski chciał wywołać zainteresowanie się opinii tymi zagadnieniami i dlatego wpłynął na ówczesnego płk. Tadeusza Kutrzebę, by ten dał historyczne przykłady, jak sprawa organizacji wojskowych władz naczelnych była w innych państwach rozwiązywana i by poruszył zagadnienie stosunku Wodza Naczelnego do Rządu.

Płk. Kutrzeba wywiązał się z tego zadania i pod pseudonimem «Miles» napisał rozprawę, w której postawił dwie tezy. Pierwsza, że praca w wojsku może być wtedy owocną, gdy generał przewidziany na przyszłego Naczelnego Wodza będzie miał wpływ dominujący zarówno nad Ministrem Spraw Wojskowych, jak i nad Szefem Sztabu Generalnego. Druga teza brzmiała, że należy w czasie wojny uczynić Wodza Naczelnego członkiem gabinetu tak, by mógł on w najważniejszych chwilach brać udział w jego obradach i decyzjach.

Dla wywołania jeszcze większego zainteresowania się opinii poruszonymi przez płk. Kutrzebę sprawami, Piłsudski napisał niżej przytoczoną pracę o wpływie osobistych tarć pomiędzy dowódcami na przebieg wojen, i o stosunku Naczelnych Wodzów do rządów, stosunku niełatwego do harmonijnego ułożenia się ze względu na trudności pogodzenia nieraz wymogów polityki z wymogami działań wojennych.

Prace Piłsudskiego i płk. Kutrzeby wyszły drukiem pod

wspólnym tytułem: «Naczelni Wodzowie» i zostały wydane w marcu 1924 r. nakładem miesięcznika «Droga» (Warszawa 1924 r.).

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się brulion niżej przytoczonej pracy, pisany ręką Marszałkowej Piłsudskiej pod dyktatem autora. Na brulionie są nieliczne poprawki pisane ręką Piłsudskiego.

Tekst, który podajemy, jest przedrukiem wspomnianej wyżej książki: «Naczelni Wodzowie».

Autor leżącego przed czytelnikami dziełka «Naczelni Wodzowie» przed napisaniem utworu zwrócił się do mnie z prośbą o radę i wskazówki. Przypuszczał bowiem, że mogę je dać, jako jedyny w Polsce fachowiec w omawianej przez niego sprawie, gdyż w jedynej wojnie, którą nowa Polska prowadziła, byłem Naczelnym Wodzem jej armii. Ograniczyłem się do jednej rady — poruszać jak najmniej doświadczenia polskie, natomiast brać wszystkie argumenty z historii wojen, prowadzonych przez inne narody. Przeświadczony bowiem byłem, że omawiając sprawę, tak ważną dla nas, jak obronę świeżo otrzymanej i świeżo obronionej niepodległości, więcej chodzi o to, by argumenty były przyjęte, niż o co innego. Niechybnie zaś wszystko to, co jest obce, wzbudza wśród Polaków wrażenie wielkości, a to, co swoje, wzbudza wątpliwości o prawdzie faktów historycznych, widzianych nawet na własne oczy.

Sam postąpię też według tej rady, gdy proszony przez wydawców, rozwinę temat, rozpatrzony w cennej pracy mego przyjaciela, i postaram się zanalizować te strony życia wojny i pracy naczelnych wodzów, które zaledwie są dotknięte przez autora.

Historia wojen, tak, jak i w ogóle historia, ma swe wstydliwe, że tak powiem, zakątki. Nieledwie każdy historyk niechętnie zagląda do nich, niechętnie analizuje ich znaczenie, jak gdyby obawiając się zaćmić nimi wielkie słońce prawdy historycznej. Takim właśnie zakątkiem w historii wojen jest analiza personalnych stosunków głównych aktorów tej czy innej pracy historycznej, tych czy innych wojen, które dotąd stały prawie zawsze na progu przełomów życia ludzkości. Tak zwani poważni historycy zbyt często pozostawiają te personalne stosunki, jakby je lekceważąc, historycznej anegdocie, w najlepszym wypadku usuwają je do zakresu prac monograficznych i biograficznych. Tymczasem przy bacznej i dostatecznie głęboko posuniętej analizie wypadków znajdziemy zawsze czynnik o niepośledniej wadze, czynnik stosunków personalnych, wywierający swój wpływ często nawet decydujący. Nie chcę

czynnika tego przeceniać, lecz wstydliwie narzucać nań zasłonę znaczyłoby, zdaniem moim, w najżywszym tworzywie pracy ludzkiej — w wojnie — przestać widzieć żywych ludzi, a spostrzegać tylko manekiny i działanie różnych maszyn wojennych.

Przy studiach swoich nad historią wojen natrafiałem bardzo często na wybitny nieraz wpływ personalnych stosunków pomiędzy dowódcami na przebieg największych nawet w świecie bitew i na całą pracę wojny. Z licznych przykładów, które żywo stoją mi w pamięci, wybieram niektóre.

W epokowej, podwójnej bitwie pod Jeną [1]) i Auerstaedt [2]), bitwie, która złamała potęgę pruską, marszałek Davoût, niespodzianie dla siebie, stanął w gorącym boju z głównymi siłami pruskimi, wśród których obecnym był sam król pruski. Borykając się w ciężkiej walce z przemożnym wrogiem, niepewny swego losu, błagał o pomoc swego najbliższego sąsiada, manewrującego jeszcze bez boju, marszałka Bernadotte'a [3]). Marszałek Bernadotte pomocy odmówił i, zasłaniając się rozkazami cesarza, usuwał się od Auerstaedt, idąc w kierunku Weimaru, tak, że korpus jego w tym decydującym dniu nie brał udziału w żadnej z tych dwu bitew. Wszyscy pamiętnikarze, wszyscy historycy przypisują to jedynie wrogim stosunkom personalnym, jakie pomiędzy obu marszałkami istniały. A w tym czasie, gdy Bernadotte złośliwie pozostawił swego kolegę w trudnej sytuacji, losy korpusu Davoût, jak i losy głównych sił pruskich, ważyły się i chwiały przez dzień prawie cały, nim wreszcie energia i talent marszałka i nadzwyczajne wysiłki jego żołnierzy nie przechyliły szali zwycięstwa na jego stronę.

Dzieje epoki napoleońskiej dają mnóstwo podobnych przykładów. Cała długa kampania hiszpańska, a z nią razem i rosnąca sława Wellingtona [4]), późniejszego zwycięzcy Napoleona pod Waterloo, była nieustanną ilustracją wpływu zadrażnień personalnych na przebieg wypadków. Marszałkowie i ge-

---

[1]) Jena, miasteczko w Turyngii. Pod Jeną w wojnie 1806 r. została rozbita armia prusko-saska 14. X. przez Wielką Armię francuską, dowodzoną przez cesarza Napoleona.

[2]) Auerstaedt (Auerstädt), wieś w Saksonii prus., gdzie odniósł zwycięstwo marszałek Davoût dn. 14. X. 1806 r. nad Prusakami.

[3]) Karol Bernadotte, marszałek francuski, król Szwecji. Dowódca korpusu w bitwie pod Jeną. Brał udział i odznaczył się w szeregu wypraw wielkiej rewolucji i Napoleona.

[4]) Arthur Wellesley Wellington, książę Waterloo, angielski wódz i mąż stanu. 18. VI. 1815 r. pobił (wraz z Blücherem) Napoleona I pod Waterloo.

nerałowie francuscy nie chcieli uznawać nad sobą żadnego autorytetu, oprócz autorytetu cesarza. Tracono czas na nieustanne kłótnie i waśnie, podstawiano sobie nogę przy operacjach wojennych, unikano posłuszeństwa i dyscypliny, jak jakiej ubliżającej, brudnej choroby. Praca wojenna rwała się, jak nadgniła nitka, nieprzyjaciel raz po raz wykorzystywał sytuację, a autorytet francuski, oparty na błyskawicznych, oszałamiających zwycięstwach Napoleona, padał szybko w Hiszpanii, podtrzymując tym powstanie i zamieszki wśród ludności. Wpływ zaś historyczny przeciągłej i zgniłej wojny hiszpańskiej, wiążącej wielką ilość sił Napoleona, dawał się odczuwać zarówno w kryzysie, jak i w upadku potęgi wielkiego cesarza Francuzów.

Ileż tarć personalnych, ile trudnych sytuacyj przeżył sam Napoleon w swojej dziwnej, zawrotnej karierze wojennej! Dość wspomnieć początkowe jego kroki w pierwszej klasycznej kampanii włoskiej, gdy generałowie, dowodzący na tym froncie przed jego przyjazdem, zmawiali się pomiędzy sobą, jak wykazać niechęć do jakiegoś smarkacza, przysłanego na ich utrapienie z Paryża na naczelnego wodza. Geniusz i olbrzymia wola przezwyciężyły wszystko, lecz ile drobnych ukłuć i upokorzeń szarpać musiało nerwy lwa, ile chytrości i wybiegów zastosować musiał lew, by utorować sobie drogę wśród lisów i zajęcy. Czy nie stamtąd pochodzi, na pół upokarzający geniusz, a na pół tchnięty wzgardą, aforyzm Napoleona, że wielki wódz musi być komediantem.

A historyczny spór i waśnie Bonapartego, już pierwszego konsula, z generałem Moreau [1]), gdy zwycięzca pod Hohenlinden [2]) nie mógł się zdobyć na poddanie się geniuszowi Marengo [3]). Gdy się zaczyna myśleć o tej niekiedy zabawnej i śmiesznej, niekiedy tragicznej pracy ludzi podczas wojny, gdy się przerzuca karty historii i najżywsze dokumenty życia — listy prywatne i pamiętniki, gdy się analizuje i porządkuje fakty i zdarzenia według ich wagi i siły historycznej, nie można się

---

[1]) Jean Victor Moreau, generał francuski; w r. 1800 zwycięzca pod Hohenlinden; w 1804 r. oskarżony o udział w zamachu na Napoleona, aresztowany i wygnany; w 1813 stanął po stronie koalicji.

[2]) Hohenlinden, wieś w Górnej Bawarii (Niemcy), gdzie 3 grudnia 1800 r. zwyciężyli Francuzi pod dowództwem Moreau wojska austriacko-bawarskie pod wodzą arcyks. Jana. Następstwem tej bitwy było zawarcie przez cesarza Franciszka niekorzystnego dla Austrii rozejmu w Steyr.

[3]) Marengo, przedmieście miasta Alessandrii (płn. Włochy), słynne ze zwycięstwa, jakie tam odniósł Napoleon nad Austriakami dn. 14. VI. 1800 r.

czasem oprzeć paradoksalnym nieraz wywodom, wynikającym z analizy stosunków personalnych na wojnie.

Więc przypuśćmy np. — a przypuścić to bardzo łatwo, — że marszałek Davoût i marszałek Bernadotte, zamiast być wrogami osobistymi, byli serdecznymi przyjaciółmi i w dziejowej godzinie Auerstaedtu Bernadotte, zamiast unikać boju i za to potem wpaść w niełaskę i być prawie wyrzuconym z wojska, pobiegł na pomoc słabnącemu w nierównej walce przyjacielowi. Nie ma wątpliwości, że to przybycie świeżego korpusu musiałoby prawie natychmiast zdecydować o losach boju i oddać w ręce marszałków nie tylko zwycięstwo, które i tak przez samego Davoût było odniesione, lecz prawdopodobnie i główną kwaterę pruską wraz z królem. Najprawdopodobniejszym tego wynikiem wtedy byłoby szybkie zawarcie pokoju i... nie byłoby ani Tylży [1]), ani Księstwa Warszawskiego.

W gorącym, wulkanicznym życiu rewolucyjnej Francji i w bujnej epoce wojen napoleońskich musiały rosnąć i rozwijać się silne charaktery wraz z silnymi uczuciami nienawiści czy przyjaźni. Anormalne stosunki z ich ogromną łatwością szybkiego wywyższania się nad innych lub tracenia równie szybkiego nie tylko kariery życiowej, lecz i samego życia, wytwarzać musiały silne, niepohamowane ambicje wraz z nieokiełzaną zawiścią w stosunku do szczęśliwych wybrańców losu. Dlatego nie chcę się zatrzymać jedynie na przykładach właśnie z tej epoki. Dla udowodnienia wielkiej wagi stosunków personalnych pomiędzy ludźmi podczas wojny przytoczę jeszcze przykład z armij monarchistycznych, mających zwykle bardziej utrwalone i uregulowane posuwanie się naprzód w karierze militarnej. Rozmyślnie wybieram epizod z wojny francusko-niemieckiej 1870 r., w którym może najjaskrawiej, jak gdyby dla nauki, skupione zostały po obu stronach walczących wszystkie zadraśnienia i niechęci personalne, wszystkie złości i znaczne uchybienia dyscyplinie wojskowej. Epizodem tym jest dziwaczna bitwa pod Spicheren [2]), otwierająca kampanię 1870 r., bitwa, pełna dziwacznych nieporozumień, pełna błędów najbardziej rażących. Szala zwycięstwa, przy analizie obiektywnej, chwieje się dzień cały 6 sierpnia 1870 r. tak gwałtownie i śmiesznie, jak gdyby co godzinę zwycięzcy groziła

---

[1]) Tylża (niem. Tilsit), miasto w Prusach Wschodnich, nad Niemnem. 7—9 lipca 1807 r. zawarł tu Napoleon pokój z Prusami i Rosją, w którym zostało stworzone Księstwo Warszawskie.

[2]) Spicheren (po franc. Spicheren, po niemiecku Spichern); gm. w Lotaryngii.

klęska, a zwyciężonemu świeciła już gwiazda tryumfu w następnej chwili.

Bitwa została stoczona na skutek wyraźnego nieposłuszeństwa dowódcy 1-ej armii niemieckiej, gen. von Steinmetza [1]). Nieposłuszeństwo zaś nie było wywołane przez jakieś zniewalające do nieposłuszeństwa działanie nieprzyjacielskie, gdyż Francuzi nie ruszali się wcale. Von Steinmetz, lew Nachodu [2]), okryty chwałą bitwy pod Nachodem w r. 1866, nie znosił wywyższonego nagle Moltkego [3]), czuł dokoła siebie, we własnym sztabie, splot intryg, czynionych z ramienia Moltkego, i nie chciał ustąpić pierwszeństwa zasługi pobicia nieprzyjaciela wybranemu, jak mu się zdawało, do odegrania roli zwycięzcy, dowódcy sąsiedniej 2-ej armii, ks. Fryderykowi Karolowi [4]).

Oto stosunki, jakie panują na początku wojny w armii 1-ej i 2-ej. Pułkownik Wartensleben [5]) ze sztabu gen. Steinmetza pisze tak o tym okresie czasu: «Prowadzimy tutaj (w sztabie 1-ej armii) dwie wojny — jedną przeciw Francuzom, drugą przeciw Steinmetzowi». W sztabie 2-ej armii mówią głośno: «my boimy się mniej Francuzów, niż Steinmetza». Odwrotnie, sam Steinmetz pisze: «Fryderyk Karol i ja jesteśmy, jak dwa krzemienie, tarcie daje wciąż iskry». Na skutek takich stosunków niedługo trzeba było czekać.

Francuzi na samym początku wojny zajęli pograniczne miasto Saarbrücken [6]). Ostrożna koncentracja Moltkego opóźnia znacznie nadejście nad rzekę Saarę 2-ej armii, gdy 1-sza, gen. Steinmetza, w dwóch trzecich swej siły jest już zebrana

[1]) Karl Friedrich Steinmetz, pruski feldmarszałek (1796—1877), zwyciężył w r. 1866 w wojnie z Austrią pod Nachod, Skalitz i Schweinschädel; 1870 r. dowodził w wojnie z Francją pod Spichern i Gravelotte pierwszą armią. Potem gubernator W. Księstwa Poznańskiego i Śląska, od 1871 r. feldmarszałek.

[2]) Nachod (Náchod), m. w Czechosłowacji, pamiętne zwycięstwem wojsk pruskich pod wodzą Steinmetza nad Austriakami 27. VI. 1866 r.

[3]) Hellmuth Moltke (starszy), hr. von, feldmarszałek pruski; 1858—1888 r. szef pruskiego sztabu generalnego.

[4]) Fryderyk Karol Mikołaj, książę pruski. W wojnie francusko-niemieckiej otrzymał naczelne dowództwo nad drugą armią niemiecką; dnia 16 sierpnia odparł w bitwie pod Vionville armię francuską pod marszałkiem Bazaine ku Metz, a przez zwycięstwo pod Gravelotte (18. VIII.) nad prawym skrzydłem nieprzyjaciela rozstrzygnął bitwę.

[5]) Hermann Wartensleben hr., pruski gen. kawalerii. W 1870 r. był głównym kwatermistrzem 1-ej armii.

[6]) Saarbrücken m. nad rzeką Saar, w pruskiej regencji Trewirskiej; obecnie stolica okręgu Saary. 2 sierpnia 1870 r. miasto to ostrzeliwane było przez Francuzów; 6 sierpnia 1870 r. odbyła się tam pierwsza ważna bitwa pomiędzy 1 armią pruską, dowodzoną przez Steinmetz'a, a korpusem francuskim, dowodzonym przez Frossard'a.

niedaleko od rzeki. Depesza Moltkego nakazuje Steinmetzowi czekać nadejścia 2-ej armii i przy podziale dróg droga do Saarbrücken wraz z tym miastem jest wyznaczona wyraźnie armii 2-ej. Ba, awangarda tej armii, korpus III, idąc po tej drodze, zjawia się w przeddzień bitwy spichereńskiej pod samym, że tak powiem, nosem Steinmetza.

Rozkazy Moltkego są wyraźne. 5 sierpnia o godz. 6 rano wysyła depeszę do Steinmetza: «Tylko wtedy, gdy 2-ga armia zbliży się do Saary, będzie czas dla 1-ej armii przechodzić rzekę. Ofensywa cząstkowa i odosobniona prawdopodobnie prowadzić musi do klęski». Tegoż dnia w południe pędzi do wściekłego Steinmetza depesza druga. Nakazuje ona oswobodzić zupełnie drogę na Saarbrücken dla ruchu 2-ej armii, wskazuje, jako cel, obejście lewego skrzydła francuskiego, gdy 2-ga armia zaatakuje ją z frontu, przewiduje możliwość tej operacji dopiero od 9 sierpnia i wreszcie dodaje wyraźnie: «Jego Królewska Mość rezerwuje sobie stanowczo wydanie rozkazów dla wykonania tej operacji».

Gen. Steinmetz widzi w tych rozkazach po prostu osobistą obrazę. Więc nieprzyjaciela, który jest tu przed nim, ma pobić Fryderyk Karol, «protégé»[1]) znienawidzonego Moltkego? Nie, Steinmetz do tego nie dopuści, nie darmo zwą go lwem Nachodu. Chytrze wydaje rozkaz zabiec drogę saarbrückeńską 2-ej armii i nieokreślonym sformułowaniem tego rozkazu podsuwa swym podwładnym myśl przejścia rzeki następnego dnia. Dowódcy korpusów w lot pojmują myśl swego przełożonego i 14-ta dywizja pod różnymi pozorami, na oczach zdumionej kawalerii 2-ej armii, maszeruje po drodze, przeznaczonej dla 2-ej armii, przekracza rzekę Saarę, spędza awangardę francuską i zawiązuje, niespodzianie dla wszystkich, ciężki, nieprzygotowany zupełnie bój pod Spicheren.

Skutki tych kroków Steinmetza i jego podwładnych są zupełnie niezwykłe dla tak zwartej organizacji, jak armia pruska, i zupełnie sprzeczne z tradycjami i z duchem twardej dyscypliny wojsk dynastii Hohenzollernów. Bataliony, baterie, całe brygady nadciągają do boju w jakimś chaosie, w bezładzie, nie kierowane z góry żadną ręką, prowadzone jedynie pięknym, rycerskim uczuciem dania pomocy kolegom, będącym w opresji. Z wielkim trudem, jak gdyby przypadkowo, ustala się kierownictwo bitwą. Dochodzi do tego, że zebrani pod wieczór na jakimś pogórku trzej dowódcy korpusu naradzają się pomiędzy sobą, kto właśnie z pomiędzy nich ma objąć dowodzenie, czy ten, kto rangą jest najstarszy, czy ten, kto zdą-

[1]) protegowany.

żył wprowadzić do boju największą liczbę podkomendnych mu wojsk. Bitwa rozpryskuje się na poszczególne epizody, rwie się i plącze prawie bez systemu, dając raz po raz przewagę nieprzyjacielowi i wytwarzając ustawicznie obiektywne warunki dla zupełnego zwycięstwa francuskiego.

Lecz i po stronie francuskiej znajdziemy również wpływy zadrażnień personalnych. Bitwą, co prawda, dowodzi jedna ręka, jest nią gen. Frossard [1]), dowódca II korpusu, i jego podwładni, trzej dywizjonerowie, nie wykazują ani chwili wahania, gdy spełniają jego rozkazy. Lecz niedaleko od niego stoją dwie dywizje z obcego korpusu, a nieco dalej, w St. Arold, marszałek Bazaine [2]), świeżo wyznaczony dowódca i gen. Frossard. Przy śledzeniu różnych perypetyj bitwy prawie nieodzownie nasuwa się przypuszczenie, że zjawienie się na placu boju dwóch sąsiednich dywizyj, nie mówiąc o trzeciej z St. Arold, rozstrzygnęłoby najzupełniej dzień 6 sierpnia na korzyść Francuzów. Lecz nikt się nie rusza. Dopiero wieczorem, prawie przed samą decyzją gen. Frossard wycofania się z boju, na rozpaczliwą depeszę słabnącego gen. Frossard, jego wódz, marszałek Bazaine, posyła mu jedną dywizję gen. Métman i brygadę jazdy na pomoc. Niechybnie w tej dziwnej pasywności kolegów i przełożonego gen. Frossarda największą rolę odegrały teorie i teoryjki o wartości defensywy i silnych pozycyj, panujące w owych czasach w armii francuskiej. Nie bez znaczenia jednak był fakt, że gen. Frossard był powołany na dwór cesarski, by wychować następcę tronu Napoleona III [3]). Wzbudził tym dużą zawiść wśród kolegów, którzy mu darować nie mogli tego wywyższenia. Świadczą o tym pogardliwe słowa marszałka Bazaine'a, wyrzeczone podczas bitwy spichereńskiej: «le maître d'école est dans le pétrin; qu'il se debrouille» [4]). I drugie wyrażenie z tegoż samego dnia: «Trzy lata gen. Frossard studiuje pozycje w Forbucku i uważa za wspaniałe dla dania bitwy. A więc ma on nareszcie tę swoją bitwę».

Nieraz, gdy jeszcze nie znałem realnego życia wojennego,

---

[1]) Charles Auguste Frossard, generał francuski. 1870 r. którego armia została rozbita pod Spicheren, wzięty do niewoli po kapitulacji Metzu.

[2]) Franciszek Achilles Bazaine, marsz. francuski. W wojnie z Prusami w r. 1870 był dowódcą tak zw. armii reńskiej, pobity pod Metzem musiał zamknąć się w twierdzy; 27 października kapitulował i za to w r. 1872 został oskarżony o zdradę.

[3]) Napoleon Eugène Louis Jean Joseph, ks., syn Napoleona III (1856—1879), uznany w r. 1874 przez bonapartystów za Napoleona IV; zginął jako ochotnik w wojnie z Zulusami w Afryce.

[4]) Nauczyciel jest w kłopocie; niech się z niego wykaraska.

zastanawiałem się nad tą dziwaczną bitwą i nad możliwymi konsekwencjami jej na dalszy przebieg wojny. Bezład strategiczny i chaos bitewny pod Spicheren ze strony niemieckiej był rzucający się w oczy. Zawsze zdawało mi się, że wystarczyłoby trochę choćby energii, wykazanej ze strony francuskiej armii, a walne zwycięstwo byłoby po stronie Francji. Przypominałem sobie kwaśną, niechętną ocenę tej bitwy przez Moltkego, który, wyrażając swój ujemny sąd o pracy Steinmetza, tego dnia jednak stwierdził wielkie moralne znaczenie taktycznego zwycięstwa na początku wojny. Zawsze przypuszczałem, że wszystkie obiektywne warunki składały się na to, aby ta wielka moralna korzyść była po stronie francuskiej. Teraz zaś, po przebyciu tylu doświadczeń wojennych, śmiałe przypuszczenie moje z czasów studiów nad bitwą rozszerzyłbym znacznie. Dość przypuścić — co nie jest wcale trudnym — że albo ponury Bazaine był przyjacielem Frossard'a, albo że na czele korpusu, walczącego pod Spicheren, stał nie «maître d'école» następcy tronu, lecz zwyczajny generał, to energia Bazaine'a byłaby pobudzoną, chociażby dla zyskania dla siebie sławy pierwszego zwycięstwa. A wtedy dwie trzecie 1-ej armii Steinmetza wraz z dodatkami 2-ej armii, rzucone silniejszym pchnięciem wstecz, musiałyby z konieczności zawalić wszystkie drogi, wyznaczone dla pochodu 2-ej armii i powstrzymać rozwinięcie strategiczne Moltkego, dając na pewno czas, dostateczny dla zakończenia spóźnionej mobilizacji francuskiej. Możeby wtedy i wojna 1870 r. wyglądała inaczej, możeby energia, rozbudzona u Francuzów zwycięstwem, nie dała Sedanu, nie dałaby oblężenia i kapitulacji Paryża. A zatem może i skutki Sedanu i kapitulacji Paryża dla całego świata nie byłyby tak smutne i tak trudne do odrobienia.

W historii wojen znaleźćby można było mnóstwo przykładów tego rodzaju, mnóstwo wstydliwych zakątków historii. Tych zakątków, w których, że użyję słów Steinmetza, «widocznymi są skry, wywołane przez tarcie różnego rodzaju krzemieni». Wpływ tych tarć na przebieg wojny jest niechybny i nie brać pod uwagę, nie starać się zawczasu, przed wybuchem wojny, ich usunąć lub co najmniej zneutralizować, byłoby wielkim błędem. Dla każdego zaś naczelnego wodza sprawy personalne są dodatkowym ciężarem, cisnącym i szarpiącym jego nerwy, a zabierającym znacznie więcej czasu i pracy, niż sobie to ludzie wyobrażają.

Nie chcę zakończyć historycznych przykładów, nie dotknąwszy naszej rodzimej gleby.

Zawsze w pamięci mi stoi główna kwatera wojska 1831 r.

z gen. Skrzyneckim na czele. Naczelny wódz ma tępą głowę, nie ma w sobie ani krzty tego, co nad niziny taktyczne wodza wynosi, co wielki Napoleon nazywa «l'art supérieur de la guerre» [1]). Obok niego sztab. Z jednej strony zgryźliwy, żółciowy, niechętny dla wszystkich szef sztabu, Chrzanowski. Z drugiej — lotny, impulsywny, szybki w orientacji, namiętny w sporze, kwatermistrz Prądzyński. Jakżeż wygląda współpraca? Dwa krzemienie, skry dające, to Chrzanowski i Prądzyński. Tylko za pomocą tych skier rozświetla się tępa głowa Skrzyneckiego, który wygląda wtedy, jak wesz, żywiąca się sporem wyższych od siebie talentów. Tępa głowa, leniwie myśląca o pracy, zajęta myślami o dobrym kucharzu i o reklamie za pomocą parad i dobrych obiadów.

Mniej wstydliwym zakątkiem w historii wojen są personalne stosunki naczelnych wodzów z rządem i ludźmi, ten rząd składającymi. Wszędzie ludzie są ludźmi i wszędzie tarcia krzemieni skry dawać mogą i muszą. Historia mniej wstydzi się tych skier może dlatego, że łatwiej jest, stosownie do humoru, zwalać winę to na jedną, to na drugą stronę. Współżycie jednak naczelnego wodza z rządem i jego ludźmi jest konieczne. Wpływa ono niechybnie zarówno na przebieg wojny, jak i na codzienny stan nerwów naczelnego wodza. Dla ilustracji tej dziedziny wybrałem ładny przykład stosunku marszałka Frencha [2]), dowodzącego armią angielską w początkach t. zw. wojny światowej, do ministra spraw wojskowych w gabinecie angielskim, lorda Kitchenera [3]). Dwóch tych ludzi wiązała historia z poprzedniej wojny południowo-afrykańskiej. Kitchener był podczas niej przełożonym Frencha, przez pewien czas nawet naczelnym wodzem. Co więcej — gdy marszałkowi Frenchowi powiedziano, że jest przewidziany na naczelnego wodza armii na wypadek udziału w wojnie francusko-niemieckiej, robił bezskuteczne starania i w rządzie, i u samego lorda Kitchenera, by ten właśnie objął dowództwo, obiecując mu lojalną współpracę w roli podwładnego mu szefa sztabu.

Cytuję od razu bez pewności, czy dosłownie przetłumaczyć mogę angielski tekst, który mam przed sobą, określenie marszałka Frencha o stosunku jego do lorda Kitchenera. «Jako

---

[1]) Najwyższa sztuka wojenna.

[2]) Jan Denton Pinkstone French, marsz. ang., który po wybuchu wojny światowej został naczelnym wodzem sił ang., działających na froncie zachodnim, w r. 1915 odwołany z tego stanowiska, objął dowództwo wojsk ang. w kraju.

[3]) Mowa o gen. Herbercie Kitchenerze, który w r. 1914 był ministrem spraw wojskowych w Anglii.

żołnierza i dowódcę w polu, zawsze go lubiłem i szanowałem. W stosunku do jego właściwości, jako męża stanu i ministra, moje uczucia i wyczucia («feelings») nigdy nie były te same. Zgodzę się przypuścić, że różnice zdań pomiędzy nami — a te były duże i daleko sięgające — mogły być do pewnego stopnia moim własnym błędem, lecz gdyby tak i było, nasze wzajemne stosunki aż do czasu jego tragicznej śmierci były zawsze zaćmione przez pewne wzajemne niezaufanie». Daję umyślnie tę długą cytatę, charakteryzującą tak pięknie zarówno dżentelmeństwo w najwyższym stylu, jak i delikatność serca marszałka Frencha, gdy mówi o tarciach między nim a lordem Kitchenerem, które z wielkim wydatkiem nerwów i sił swoich prawdopodobnie przeżywał.

Nieporozumienia pomiędzy dowodzącym armią angielską w polu i sekretarzem stanu dla wojny (ministrem) w rządzie Jego Królewskiej Mości zaczęły się prawie natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych. Najsilniej jednak przejawiły się w krytycznym momencie upadku Antwerpii [1]) i, jak wiadomo, w dużym stopniu zagroziły bezpośrednim interesom Anglii podczas wojny. W tarciach tych stroną agresywną i aktywną był lord Kitchener. Po zwycięstwie nad Marną, w bojach nad rzeką Aisne [2]) siły angielskie związane były we wspólnej pracy z całą armią francuską, stanowiąc już od paru tygodni część nierozłączną całego rozkładu wojsk francusko-angielskich. Gdy obrona Antwerpii przez armię belgijską słabnąć zaczęła i widocznymi były pierwsze oznaki zbliżającej się katastrofy dla fortecy, marszałek French, zgodnie z instrukcjami swego rządu, rozpoczął natychmiast starania o przeniesienie sił angielskich na północ, by być bliżej wypadków i móc szybciej podać pomocną rękę armii belgijskiej. Pertraktacje w sprawie manewru prowadzone były przez marszałka Frencha z dowodzącym armią francuską obecnym marszałkiem Joffre'm. Pertraktacje trwały zbyt długo dla lorda Kitchenera, zatrwożonego i niespokojnego o los Antwerpii i wybrzeża morskiego. Zaczyna więc nacisk ze swojej strony nie tylko na marszałka Frencha, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, lecz czyni zabiegi poza plecami naczelnego wodza we wszystkich możliwych kierunkach. Raz po raz marszałek French dowiaduje się, że tak powiem, ze strony o różnych faktach, już dokonanych,

[1]) Antwerpia, belgijska forteca na prawym brzegu rzeki Skaldy. Podczas wojny światowej oblężenie Antwerpii zaczęło się dn. 28 września 1914 r., kapitulacja nastąpiła dnia 9 października 1914 r.

[2]) Aisne, lewobrzeżny dopływ rzeki Oise we Francji płn. Mowa o 1-ej bitwie nad rzeką Aisne dn. 13—15 września 1914 r.

o różnych żądaniach Kitchenera, sprzecznych ze stanem pertraktacyj, prowadzonych z gen. Joffre'm. Stawia to ciągle marszałka Frencha w fałszywej sytuacji, zmniejszając niechybnie jego autorytet, jako naczelnego wodza sił angielskich, i doprowadza przy samym upadku Antwerpii do wielkiego zamieszania w stosunkach dowodzenia.

Na pomoc dla Antwerpii wysyłano właśnie 7-mą dywizję angielską, dywizję kawalerii i część marynarki pod dowództwem gen. Rawlinsona [1]). W chwili upadania Antwerpii gen. Rawlinson już nie wiedział, od kogo właściwie zależy. Była nawet mowa o możliwości powrotu wojsk do Anglii i biedny gen. Rawlinson szukał swego przełożonego z zapytaniem, co ma robić.

O tej «confusion of ideas» [2]) świadczy depesza marszałka Frencha do gen. Rawlinsona. Brzmi ona: «Pańska depesza nr 19 do lorda Kitchenera i powtórzona do mnie, otrzymana. Ja istotnie nie rozumiem, czy pan uważa siebie za będącego pod moimi rozkazami, czy nie. Ale jeżeli pan sądzi, że tak, proszę być tak grzecznym natychmiast mi wytłumaczyć jasno swoją sytuację, gdyż ja nie mam żadnej wiadomości o jakiejkolwiek konieczności dla pana powrotu do Anglii («reembarkation»), albo o pańskiej intencji uczynienia tego. Haazebrouck [3]) będzie zajęty przez III korpus jutro rano. Proszę w jakikolwiek sposób odpowiedzieć mi natychmiast, gdyż moje własne i gen. Joffre'a plany zależą bardzo od tego i mogą być skompromitowane przez całe to nieporozumienie».

Nie chcę wdawać się w dokładniejszą analizę wypadków wojennych z okresu pierwszych dni października 1914 r., wypadków, związanych z upadkiem Antwerpii, chociażby dlatego, że nigdy tej części operacyj wojennych nie studiowałem. Przytoczę więc tylko zdanie samego marszałka Frencha, że przy innym użyciu wojsk Rawlinsona, bardziej zgodnym z planami naczelnego wodza angielskiego i z zamiarami marszałka Joffre'a, można było osiągnąć co najmniej skuteczną obronę Lille [4]), a nawet Ostendy i Seebrugge [5]). Dałoby to Anglii, jak słusznie twierdzi marszałek French, uniknięcie jej stałych trwóg («infinite trouble»).

[1]) Henry Seymour Rawlinson, gen. ang., w czasie wojny światowej dowodził na froncie franc.

[2]) Pomieszanie planów.

[3]) Hazebrouck (lub Haazebrouck), m. w depart. du Nord (Francja płn.), nad kanałem rzeki Lys.

[4]) Lille, m. w depart. du Nord (Francja płn.) nad rzeką Deule.

[5]) Zeebrugge (lub Seebrugge), port zewnętrzny Brugii (Belgia), zbudowany w latach 1895—1907.

Niechybnie jednak każdy, oswojony choć cokolwiek z operacjami wojennymi, przyzna, że sytuacja oddziału, reprezentującego w owe czasy siódmą część sił angielskich, nie należała do normalnych i była krytyczną. Dowódca tego oddziału musiał rozpaczliwie szukać specjalnymi depeszami przełożonego, któryby mu pomógł i rozkazem rozwiał mu jego poważne, prawie rozpaczliwe wątpliwości. Stało się zaś to jedynie z powodu nieopatrznego, powiedziałbym złośliwego, wtargnięcia członka lub członków rządu do funkcyj naczelnego wodza.

Słusznie też marszałek French, poświęciwszy cały rozdział swoich pamiętników temu momentowi, dodaje, że zatrzymał się nad tym faktem dla przestrogi swojej ojczyzny, gdyby w przyszłości miała być ona zaangażowana znowu w jakiekolwiek działania wojenne. «Klęska sedańska — mówi on — była wywołana w części przez spory («interference») pomiędzy Paryżem a armią w polu, a amerykańska wojna cywilna [1]) bardziej, niż prawdopodobnie, została znacznie przedłużona przez kilkakrotne wtrącenie się ze strony sekretarza stanu do spraw dowódców w polu».

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia innego faktu z dziedziny stosunków marszałka Frencha z lordem Kitchenerem, faktu nadzwyczaj charakterystycznego, chociaż dla powierzchownego sądu nieznacznego. Nie mogę nie powiedzieć, że jest mi przykro przytaczać świeży historycznie fakt, tyczący się jednego z lepszych żołnierzy świata, jakim był niewątpliwie lord Kitchener. Na usprawiedliwienie mam ten sam argument, który zawarty jest w wyżej przytoczonej cytacie z pamiętników marszałka Frencha [2]).

Wskutek wielkiej różnicy zdań przed bitwą nad Marną przybył do Paryża 1 września lord Kitchener, uważany przez marszałka Frencha, jak on sam pisze, za reprezentanta rządu Jego Królewskiej Mości. Lord przybył w uniformie feldmarszałka, na samym początku rozmowy wziął ton naczelnego wodza i zapowiedział pobyt swój w polu dla inspekcji stanu armii. Z wielką energią wystąpił przeciwko temu zamiarowi ambasador angielski, który natychmiast sformułował depeszę do Londynu, protestującą przeciwko temu zamiarowi. Pomiędzy obu generałami nastąpiła żywa wymiana myśli, po której lord Ki-

[1]) Mowa o amerykańskiej wojnie cywilnej, która toczyła się w latach 1861—1865 między stanami południowymi i północnymi.

[2]) Mowa o pamiętnikach p. t. «Memories of Forty Eight Years Service» (wyd. w 1925 r.) Jana Dentona Pinkstone'a Frencha, wspomnianego na str. 177.

tchener zrzekł się swego zamiaru obniżania autorytetu istotnego naczelnego wodza sił angielskich, marszałka Frencha, i brał udział w dalszych konferencjach z rządem francuskim już w cywilnym ubraniu, w istotnej swojej roli członka gabinetu w Londynie. Łatwo sobie wyobrazić można, ile przykrych chwil, ile starganych nerwów zawdzięczał marszałek French tym personalnym zadrażnieniom z lordem Kitchenerem.

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na wypadku z dziejów angielskich, to uczyniłem to jedynie dlatego, że możliwość takich tarć właśnie w Anglii wydawała mi się zawsze najmniej prawdopodobną. Istotnie Anglia w odróżnieniu od całego kontynentu posiada silnie rozwinięty rys wybitnego cywizmu w swoim charakterze narodowym. Ta najstarsza w Europie demokracja, która swe ostatnie wstrząśnienia przebyła gdzieś aż w epoce Cromvella, w ewolucyjnym swym nieprzerwanym rozwoju wypracowała tak rozpowszechniony i tradycyjnie utrzymujący się szacunek wzajemny urzędów i obywateli, że nawet grzeczność pomiędzy wrogami personalnymi jest tam obowiązkiem. Gdy więc w Anglii personalne stosunki naczelnego wodza z członkami rządu mogą znaczyć tyle, cóż mówić o innych bardziej nerwowych lub bardziej brutalnych narodach.

Wojna zawsze jest naprężeniem nadzwyczajnym sił, energii i nerwów ludzkich, i nic dziwnego, że różne uczucia i praca duszy ludzkiej przejawiają się w tych epokach silniej i jaskrawiej. Dlatego też nie znam prawie wojny, którą studiując, nie spotkałbym przejawów tarć personalnych pomiędzy naczelnym wodzem i członkami rządu. Komuż nie jest znana zacięta, niezmordowana walka, która się toczyła w głównej kwaterze niemieckiej pomiędzy Hindenburgiem i Ludendorffem a kanclerzem Bethmannem-Hollwegiem; Ludendorff i Bethmann-Hollweg jeszcze po wojnie ostrymi i niechętnymi wyrażeniami docinali swym przeciwnikom. W sąsiednim państwie, w Austrii, zacięte walki i intrygi prowadzono pomiędzy Wiedniem a Cieszynem [1]). Każdy wie, że tradycją austriacką były «Hofkriegsraty» [2]), które, opierając się o autorytet cesarza, próbowały z Wiednia, jeśli nie kierować wypadkami wojennymi, to przynajmniej dokuczać naczelnym wodzom. Świadectwa arcyksięcia Karola, arcyksięcia Albrechta i Conrada von Hoetzendorf [3])

[1]) Cieszyn był siedzibą c. i k. Naczelnej Komendy Armii podczas wojny.

[2]) Rady koronne wojenne.

[3]) Mowa o t. V pamiętników p. t. «Aus meiner Dienstzeit 1906—1918» gen. hr. Franza Conrada von Hoetzendorf, który był szefem sztabu gener. austr. podczas wojny światowej.

dają obfity materiał faktów, które na przebieg wojny miały o wiele znaczniejszy wpływ, niż spory pomiędzy marszałkiem Frenchem i lordem Kitchenerem.

Najklasyczniejszym może przykładem z ostatniej doby historycznej byłby gen. Nivelle, który w 1917 r., podczas silnej ofensywy wiosennej, padł ofiarą ostrych tarć pomiędzy nim, jako naczelnym wodzem francuskim, a panami, stanowiącymi w owe czasy rząd w Paryżu. Pomimo nadzwyczaj interesujących szczegółów tego tarcia nie chcę wchodzić w ściślejszą ich analizę, gdyż boję się, że oparłbym się na zbyt jednostronnych dokumentach. Nie chciałbym jednak ominąć w zupełności tego faktu bez oświetlenia pewnych szczegółów. Tarcia były tak namiętne i tak silne, że przedmiotem sporów stały się drobne nawet szczegóły operacyj, zakrojonych na wielką miarę. W naradach, które z tego powodu prowadzone były w Paryżu pomiędzy dwoma gabinetami: paryskim i londyńskim, premier angielski, Lloyd George, wypowiedział się w tej sprawie w sposób następujący: «My nie mamy potrzeby znać detali, które interesują bardziej tych, którzy ponoszą odpowiedzialność wyraźną za prowadzenie operacyj militarnych. My wolimy, ażeby generałowie zatrzymali dla siebie to, co się tyczy ich planów wykonawczych. Jeżeli się je napisze na papierze, dla zakomunikowania ministrowi, rzadkim jest wypadek, aby ministrowie byli jedynymi, którzy znają te detale. A jest rzeczą bardzo ważną, ażeby detale pozostały tajemnicą. W Anglii — dodał z dumą pan premier — nie stawiamy podobnych pytań, zresztą nasi generałowie nigdy nas nie ośmielają do tego, odnosimy się do nich z szacunkiem, na jaki zasługują, i powstrzymujemy się od wszelkiej niedyskretnej ciekawości».

Z prawdziwą przyjemnością cytuję te słowa angielskiego premiera, uznając zarazem, że godnym szacunku jest i taki rząd, który tak szanuje swoich naczelnych wodzów.

Jeżeli z trudnością dałoby się twierdzić, że silne tarcia w owym czasie pomiędzy gen. Nivelle a rządem paryskim były przyczyną i jedynym powodem wybuchu silnych niezadowoleń, prawie buntów, w wojsku francuskim, to niewątpliwie mają niektórzy autorowie rację, że dysonans między gen. Nivelle a rządem francuskim przyczynił się w znacznej mierze do tych smutnych zjawisk. Kilka rad wojennych, zwołanych w tym czasie, nieskończone dyskusje w tej sprawie w parlamencie, odwoływanie generałów, dowodzących wojskiem, podczas ważnych operacyj wojennych dla odbycia z nimi tych narad — wszystko to nie mogło nie wywołać wśród wojska zachwiania zaufania do dowództwa i do rządu, i musiało stwo-

rzyć podłoże do kursowania najrozmaitszych legend, plotek i opowiadań, ubliżających powadze zarówno generałów, jak i rządu.

Jeśli tarcia personalne podczas wojny pomiędzy wojskowymi dają się najczęściej zneutralizować, a nawet niekiedy można ich zupełnie uniknąć, to całkiem inaczej wyglądają tarcia pomiędzy ludźmi, reprezentującymi politykę państw w stanie wojny, a naczelnymi wodzami, dającymi siłę ramienia swemu krajowi i dyrygującymi właściwą istotą zjawisk wojennych — operacjami w polu. Tarcia, zdaniem moim, są nieodzowne, są koniecznością, wynikają z istoty pracy dziejowej, zwanej wojną. Polityka i działanie wojenne w ciągu wojny stoją zbyt często ze sobą w sprzeczności. I niech nikt nie sądzi, że w jakimkolwiek stadium wojny dadzą się te sprzeczności w jakikolwiek sposób usunąć. Rozwiązać sprzeczność — można, ale tylko za pomocą decyzji, uszczuplającej żądania i wymogi albo polityki, albo działań wojennych.

Nic więc dziwnego, że wszyscy, którzy się teorią wojny zajmowali lub wojnę na stanowiskach decydujących przeżyli, nie mogli nigdy łatwo przejść do porządku dziennego nad tą koniecznością wojny.

Kilka przykładów chciałbym przytoczyć dla zilustrowania tej sprawy. Na początku wojny w 1914 r. Francja dla celów całkiem politycznych, w które wchodzić nie chcę, nakazała wojsku przy osłonie swych granic i koncentracji swych armij cofnąć swe oddziały od granicy co najmniej na kilka kilometrów, nieraz wbrew zdrowemu sensowi taktyki wojennej. W innym kraju, w Niemczech, rozpoczęcie walki na morzu za pomocą łodzi podwodnych dało powód do ciężkich tarć, gdzie po jednej stronie stał kanclerz ze swoimi wymogami czysto politycznej natury, z drugiej — dowódcy wojenni z żądaniami, wypływającymi z natury operacyj militarnych. W Rosji atak na Wschodnie Prusy, który się skończył katastrofą przy Mazurskich Jeziorach, był nakazany wbrew głosom dowódców, żądających zwłoki. W umyśle rządu rosyjskiego i w. ks. Mikołaja przeważyły wtedy względy polityczne nad wymogami czysto wojennymi.

Ta zasadnicza sprzeczność odczuć się daje wyraźnie prawie w każdej większej decyzji wojennej. Gdy się zaś wciągnie w rachunek i kalkulację wewnętrzny stan narodu, kraju, czy państwa, prowadzącego wojnę, i odniesie ten szereg zjawisk do dziedziny politycznej, to nie ma prawie kroku na wojnie, w którym nie ważyłyby się szale, z których na jednej napis brzmi: «polityka», na drugiej — «działania wojenne». Rzeczy

nierozerwalne, a tak, niestety, często pomiędzy sobą sprzeczne! Ileż klęsk i porażek zna historia wojen z powodu nieroztropnego zrównoważenia szal na tej wadze dziejowej!

Ludzkość rozstrzygała być może, niestety, tyle swoich zagadnień za pomocą wojny, że problem powyższy był nieraz obiektem rozmyślań i rozważań wielu myślicieli, wielu mężów stanu i z natury rzeczy wielu wielkich wodzów wojennych. Każdy naczelny wódz, w każdej wojnie, w pierwszej chwili swojej pracy ciężar tego problemu ma na swoich barkach. I czy chce, czy nie chce, czy o tym myślał kiedykolwiek przedtem, czy lekkomyślnie od problemu się usuwał, uciekając do szczegółów techniki, musi z tym zagadnieniem mieć do czynienia, musi nad rozwiązaniem sprzeczności się biedzić, nerwy swe w poszukiwaniu rozstrzygnień szarpać i pracować nieledwie codzień udatnie czy nieudatnie nad zestawieniem swego technicznego rachunku, do którego wedrzeć się muszą cyfry, znaki i hieroglify o naturze politycznej. Odwrotnie, każdy rząd i ludzie, go składający, także czy chcą, czy nie chcą, czy są rozważni, czy lekkomyślni, będą musieli w trwożliwych często rachunkach politycznych czekać nadejścia piekących ogniem cyfr, znaków i hieroglifów, mówiących o operacjach wojennych, o kurzawie bitewnej i błyskawicach i gromach, którymi znaczą losy kraju i losy swoje wodzowie naczelni. Tarcia w tej sprzeczności, spory nieraz namiętne z powodu tego problematu są, powtarzam, nieuniknione i konieczne, i nie należy nigdy tchórzliwie zamykać oczu przed tą wielką prawdą życia wojennego.

Tarcia te i spory wraz z rozwojem komplikacyj zarówno w dziedzinie techniki wojennej, jak i życia społecznego i politycznego, wynikają łatwiej i trudniejsze są do usunięcia.

Technika pracy wodzów naczelnych staje się coraz bardziej niezrozumiała nie tylko dla ludzi, nie mających z wojskiem do czynienia, lecz nawet dla przeważnej większości podwładnych im oficerów. Odwrotnie, praca polityczna na naczelnych stanowiskach wymaga coraz wyższego wykształcenia i większej wprawy, niż to było dawniej. Dlatego też przy końcowym wciąganiu przy rachunku działań wojennych politycznych cyfr i znaków, i odwrotnie — przy konieczności wpływu pracy wojennej w polu na życie polityczne, społeczne i na stosunki międzynarodowe, łatwo jest o spory, gdy rzeczy, jasne dla jednej strony, są niezrozumiałe dla drugiej, gdy, że tak powiem, alfabet, czytany łatwo przez jednego, staje się jakimś chińskim hieroglifem dla drugiego. Problemat w tych warunkach, nawet przy dobrej wierze, zaplątuje się niesłychanie, nie

mówiąc o tym, że każda zła wola, każda niechęć doprowadzić może do zupełnego niezrozumienia się.

Charakterystycznym np. było dziwaczne nieporozumienie w tarciach gen. Nivelle'a z rządem paryskim. Na podstawie słów jednego z deputowanych, który był w kwaterze głównej jednej z armij francuskich przez czas pewien, oskarżano w Paryżu głośno gen. Nivelle'a o nieliczenie się zupełne ze stratami. Atak bowiem na pozycje fortu Brimont [1]) miał jakoby kosztować 60.000 krwawych strat ludzkich. Powoływano się przy tym na zdanie generała, który miał dowodzić tym atakiem. Można wyobrazić sobie zdumienie i oburzenie gen. Nivelle'a na swego podwładnego. Wiedział bowiem, że siły, wyznaczone do ataku na tę pozycję, w swym stanie bojowym nie dochodzą do wymienianej liczby. Przy przeprowadzonym śledztwie okazało się, że generał, na którego się powoływano, podał liczebność oddziałów, mających atakować Brimont mniej więcej na 60.000 ludzi, prawdopodobnie wliczając w to cały stan żywnościowy oddziału, który niekiedy stanowi dwa razy większą liczbę, niż stan bojowy, narażony na krwawe straty. A jednak pomimo tak wyraźnego nonsensu połowa parlamentu, a wraz z nią prawdopodobnie połowa Paryża przez tydzień co najmniej poza plecami gen. Nivelle'a brała za dobrą monetę oczywisty absurd, opowiadając o krwiożerczości i dzikiej bezwzględności generała głównodowodzącego.

Przyjaciel mój, autor następnej rozprawy, rozważając ten problem, nie dotknął prawie tej koniecznej sprzeczności, jaka istnieje, zdaniem moim, podczas wojny pomiędzy polityką a działaniem wojennym. Przechodzi on bez zatrzymywania się nad zasadniczą stroną kwestii do wyrozumowanego stwierdzenia konieczności skoordynowania całej pracy wojny i do próby znalezienia metody prawnej dla tego celu. Ujmując słusznie «réalité des choses» [2]) wojny, wie dobrze, że decydująca i najważniejsza część pracy wojennej państwa czy narodu jest na placu boju, tam, gdzie dzierży władze i rozstrzyga losy całego kraju nie kto inny, jak wódz naczelny. Wyciąga więc stąd wniosek, że musi on być częścią składową tego rządu, który przed całym państwem czy narodem niesie odpowiedzialność za po-

[1]) Brimont, fort w depart. Marne (Francja płn.-wsch.). Gdy w czasie swego odwrotu z nad Marny w 1914 r., Niemcy opuścili Reims, fort Brimont (odległy o 10 km na płn.) zatrzymali w swoich rękach. Liczne próby francuskie w ciągu 1916—1917 r., zmierzające do odebrania Brimont nie miały powodzenia. Dopiero na początku października 1918 r. Niemcy Brimont opuścili.

[2]) Istota rzeczy.

myślność walki orężnej. Znając doniosłość działań wojennych dla pracy politycznej i lekko tylko zarysowując konieczność uwzględnienia spraw natury politycznej w rachunkach i kalkulacji czysto wojennej, szuka on możliwie ścisłego kontaktu, możliwie masowej łączności tych, co pracę polityczną prowadzą, z tym, co miecz trzyma w dłoni. Szuka więc nakazu prawa, musu ustawy dla jednej i dla drugiej strony, łączy bowiem w jednej instytucji rządu główne osobistości polityczne wraz z wodzem naczelnym.

Rozstrzygnięcie to wydaje mi się w zasadzie słusznym, chociaż niechybnie daje niejedną moralną i techniczną trudność do przezwyciężenia. Osobiście przy swoich długoletnich studiach nad wojną i jej zagadnieniami w każdej ze studiowanych historyj wojen natykałem się na ten problem z jego sprzecznościami. Nie będąc zaś w swojej karierze życiowej jedynie wojskowym i przeszedłszy w życiu swoim różnego rodzaju prace polityczne, łatwiej może, niż inni, dostrzegałem całą grozę sytuacji, całą śmieszność nieporozumień i całą trudność rozwiązywania tych niechybnych sprzeczności w codziennym życiu wojny. Ogromnym ułatwieniem w dzisiejszych czasach dla spokojnego rozważania tego problematu jest olbrzymie doświadczenie, którego ludzkość nabyła w tej dziedzinie przez ostatnie wstrząśnienia olbrzymiej wojny, tak niedawno zakończonej. Wypadki te tak ogromnej miary, które wciągały w życie wojny i w czynny oraz świadomy w niej udział nieledwie każdego obywatela czy poddanego wszystkich państw i narodów Europy, zostawiły niechybnie szerokie podłoże dla zrozumienia tych zagadnień, podłoże o znacznie wyższym, znacznie jaśniejszym poziomie myśli i wykształcenia. Obawiam się, że jest gorzej z tym podłożem u nas, w Polsce.

Tutaj bowiem olbrzymia większość obywateli i obywatelek Polski była tylko biernym, wystraszonym tłumem ludzi, na których plecach, kosztem ich życia i mienia, odbywali inni swe eksperymenty wojenne. Na całej prawie przestrzeni naszego kraju milionowe armie obu przeciwników przetańczyły parokrotnie krwawego kontredansa, uważając Polaków raczej za mierzwę wojny, niż za aktorów dziejowej tragedii.

Techniczne trudności rozwiązania tego problemu, które daje p. Miles, polegają, zdaniem moim, głównie na tym, że wódz naczelny w swej pracy bardzo często nie ma możliwości obcowania bezpośrednio z głównymi mężami stanu. P. Miles chce przez swoje rozstrzygnięcie osiągnąć wspólne ponoszenie odpowiedzialności i stworzyć konieczności wspólnego przeżywania trwóg, nadziei, wątpliwości i złudzeń ze wspólnej pracy

głównych ludzi narodu, prowadzącego wojnę. Ułatwia to olbrzymie wyjaśnienie sprzeczności, wiąże ludzi, odpowiedzialnych za losy wojny, silniej węzłami solidarności pracy, niż jakiekolwiek inne rozstrzygnięcia. Przy nieobecności jednak jednej ze stron i to głównej — naczelnego wodza, w chwilach częstych kryzysów wojennych trzeba bardzo silnych nerwów nie u naczelnego wodza, lecz u strony innej, dla wytrzymania dręczącej niepewności i niepokojących zagadek kryzysowych. A pamiętać należy, że wszystkie kryzysy wojen czy bitew wymagają tak wyczerpującej pracy i tak wielkiego napięcia nerwów wojsk i naczelnego wodza, że ten przeżywać te momenty musi zawsze w najściślejszym związku nie z kim innym, jak z najbliższymi towarzyszami broni.

Przy studiach swoich nad historią wojen napotykałem na różne próby rozstrzygnięcia zagadnienia, jak w pracy wojenej łączyć z sobą wymogi polityczne z zadaniami działań wojennych. Najdalej idącym rozstrzygnięciem jest danie absolutnej prawie przewagi stronie politycznej, która rozstrzyga o operacyjnych decyzjach, przygotowywanych przez wojskowych. Ten typ rozwiązania problemu spotyka się jedynie tam, gdzie kraj, prowadzący wojnę, przeżywa równocześnie wielką polityczną walkę wewnętrzną, a więc we wszystkich wojnach rewolucyjnych. Tak wielka rewolucja francuska przystawiała do wszystkich dowódców komisarzy konwentu, którzy mieli absolutną przewagę nad generałami, kontrolując nie tylko ich prawomyślność rewolucyjną, lecz i poszukując elementu zdrady w decyzjach wojennych. Ten sam przykład mieliśmy u przeciwnika naszego w ostatniej wojnie. I tu byli również komisarze sowieccy, którzy, pilnując «speców» wojskowych, mieszali się w każdą decyzję, rozstrzygali często swoją władzą wątpliwości wojenne.

Nie chcę się zatrzymywać na analizie tak wyjątkowych stosunków. Urządzenia takie wnoszą tak głęboko w organizm wojskowy i państwowy konieczność tarć personalnych i tak daleko rozszerzają dziedzinę sprzeczności pomiędzy polityką a działaniami wojennymi, że tylko wyjątkowymi środkami — terorem — daje się zatrzymać cała budowa. Zdaniem moim, jedynie nadzwyczajne napięcie nerwów i niezwykłe po prostu wysiłki, wywołane w ludziach przez wstrząśnienia rewolucyjne, upoważnić mogą do przypuszczenia, że w takich warunkach mogą być jakiekolwiek szanse zwycięstwa. We wszystkich innych spotykanych konstrukcjach nigdy nie było tak daleko idącej przewagi jednego czynnika nad drugim.

Najdłuższym może dziejowo był system monarchistyczny,

gdzie cały ciężar rozstrzygania wzajemnego stosunku czynnika politycznego i technicznego podczas wojny leżał na barkach króla, cesarza czy księcia. To znaczy, że wszystkie sprzeczności w każdej fazie wojny rozstrzygniętymi być mogły przez jednego człowieka. Obojętnym w tym wypadku było, czy dynasta, «z łaski bożej panujący, rozstrzygał to sam osobiście, czy oddawał to rozstrzygnięcie w ręce czyjekolwiek, chociażby w ręce faworyta czy nawet ciała zbiorowego.

Ostatnie słowo, słowo decyzji, stwierdzone podpisem, należało do niego. To samo działo się, może z wyjątkiem Anglii, i w monarchiach konstytucyjnych do ostatnich czasów, gdy stan wojny, wprowadzający zwykle prawa wyjątkowe, dawał w ręce monarchów i nadzwyczajne przywileje władzy, i siłę postępowania.

To najprostsze rozstrzygnięcie spotkamy również w najstarszej i najsilniejszej zarazem demokracji świata historycznego republice rzymskiej. Rzym niechybnie w porównaniu ze światem ówczesnym był państwem bardzo demokratycznym. Ba, pod wielu względami prześciga on swymi urządzeniami i duchem demokracji życie nowożytne. Nieustanne, wielkie spory plebsu i patrycjuszów, dające zwycięstwo aż do epoki cesarzów zawsze plebsowi, przewyższają pod względem napięcia i natężenia, z wyjątkiem może okresów rewolucyjnych, wszystko, co znamy z dziejów walk stronnictw i tarć socjalnych w nowoczesnych demokracjach. A jednak mimo tych walk wzrasta potęga wiecznego miasta, narzucającego coraz szerzej i dalej swą władzę miastom, plemionom, krajom i narodom. Przy nieustannych walkach wewnętrznych Rzym prowadzi przy tym nieustanną też wojnę zewnętrzną. Republika rzymska stworzyła epokę w dziejach całego świata. Wpływ jej cywilizacji trwa dotychczas. Musiała być w urządzeniach rzymskich nadzwyczajna siła, musiało być w prawach wojennych niezwykłe zrównoważenie mądrości politycznej i siły wodzów wojny, gdy tak olbrzymie efekty osiągnięto.

Wojny prowadzili tam zwykle konsulowie, którzy zarazem byli najwyższymi urzędnikami cywilnymi republiki. Łączono więc znowu w jednej głowie mus rozstrzygania wszystkich sprzeczności zadań wojennych, wszystkich agresyj polityki do działań na polu bitwy. Najjaskrawiej jednak ilustrują ten system postępowania Rzymian chwile nadzwyczajnych niebezpieczeństw. Ustanawiano wtedy «dictatora», dla którego wszystkie zastrzeżenia demokratyczne, które jeszcze dla konsulów istniały, cofano doszczętnie. Dawano mu termin półroczny dla trwania jego absolutnej władzy. I pomimo, iż dzieje Rzymu,

jak powtarzam, dają obraz namiętnie nieraz prowadzonych sporów i walk wewnętrznych, pomimo, że tarcia socjalne nieraz były tak głębokie i upodobniały się prawie do wojny domowej, nie znają dzieje Rzymu aż do epoki poczynającego się cezaryzmu ani zamachu stanu «dictatorów», ani podejrzeń i obaw, że taki absolutny pan republiki po upływie swego półrocznego terminu władzy tak rozległej nie złoży. Ta nadzwyczajna siła cywizmu republiki rzymskiej zostawiła także niezrównane wzory takich właśnie «dictatorów». Któż bowiem z marzycieli, śniących o silnych demokracjach, nie zna imienia Cincinata, co zubożały przez zapłacenie wysokiej kary pieniężnej za ekscesy w walkach domowych swego syna, oderwany został od pługa, by stanąć, jako «dictator», w obronie zagrożonej ojczyzny. Po upłynięciu swego półrocza i zwycięskim usunięciu niebezpieczeństwa wrócił spokojnie do przerwanej pracy przy uprawie swego pola.

Jeżeli p. Miles w swej próbie rozstrzygnięcia problemu polityki i działań wojennych szuka możliwego zbliżenia w jednej instytucji przedstawicieli obu czynników wojny, to rzecby można, że najsilniejsza demokracja świata — rzymska — posunęła w chwilach niebezpieczeństwa tak daleko owo zbliżenie, że umieściła je w jednej głowie. Mus wtedy zbliżenia się obu czynników, działających przy niebezpieczeństwie państwowym, jest tak wielki, że jedynym pytaniem, jakie w tych warunkach postawić można, to to, czy głowa danego człowieka od sporu wewnętrznego nie pęknie, czy serce nacisk niebezpieczeństwa wytrzyma, czy nerwy wreszcie dadzą możność zharmonizowania wszystkiego w nieustanne akty woli, przy zawsze chwiejnych, zawsze wątpliwych losach wojny.

Ustrój więc monarchiczny i strój republikański Rzym doprowadzał, jak widzimy, do jednakowego rozstrzygnięcia. W obu wypadkach dawano politykę i miecz, będące tak często w sprzeczności i w sporze, jednej głowie, jednym rękom i jednej woli. Różnicą zaś zasadniczą było to, że w Rzymie szukano w chwili bezpieczeństwa człowieka, gdy monarchie na traf i wypadek urodzenia się takiego człowieka na tronie czekać musiały. Znajdziemy też w dziejach wielkości państw monarchistycznych u podstawy tej wielkości zawsze ten traf urodzenia się człowieka na tronie. Chrzci historia tych ludzi nie tylko w swoim kraju, lecz w całej ludzkości mianem wielkich. Są oni jednocześnie mężami stanu większej miary i stwarzają nieraz epoki w dziedzinie sztuki wojennej. Rozbiorcze państwa, sąsiadujące z nami, znają tych wielkich. Piotr Wielki w Rosji, Fryderyk Wielki w Prusach są tymi ludźmi, którzy w jednej gło-

wie łączyli problemy polityki wewnętrznej i zewnętrznej z najbardziej technicznymi zadaniami wojny. Cóż mówić o największym z takich, o wielkim Napoleonie, cesarzu Francuzów. Błyskawicznymi zwycięstwy łamał, jak nikłe słomki, wiekowe budowle ludzkości, posługując się tryumfem bojowym dla celów politycznych, i odwrotnie, czynił sobie zwycięstwo łatwym przez mądrą przebiegłość wielkiego męża stanu.

Pomimo jednak, że te najprostsze rozstrzygnięcia pociągały zawsze i niechybnie pociągać będą ludzi ku sobie podczas kryzysów dziejowych, podczas wojen, trudno przypuszczać, by systemy rzymskie bez dusz rzymskich i systemy monarchiczne bez monarchów nie napotkały nieprzezwyciężonych przeszkód przy próbach urzeczywistniania. Zresztą, że powtórzę raz jeszcze, dzisiejsze życie społeczne i polityczne oraz sama technika życia ludzkiego daje tyle zagadnień i tyle pracy, że ustawy i prawa z trudem ułożyć się dadzą w najprostsze, w tak mało skomplikowane ramy.

Sądzę jednak, że wielu mi przyzna rację, gdy wypowiem główną zasadę, wyciągniętą przeze mnie z moich studiów nad wojną.

Każda wojna nasuwa wszystkim tyle wątpliwości i tyle trwogi, że olbrzymia większość ludzi staje w razie jej nadejścia w pewnej bezradności i w poczuciu bezsilności w stosunku do wielkości zagadnienia. W takim stanie, jak przy każdym wielkim wstrząśnieniu, ludzie, wiednie i bezwiednie, poszukują człowieka lub niewielkiej ilości ludzi, którym, słusznie czy niesłusznie, przypisują siłę i tężyznę ducha oraz zdolność i umiejętność, przewyższającą przeciętną miarę danego narodu czy obywateli państwa. Jeżeli więc trudno przypuszczać, by najprostsze rzymskie rozstrzygnięcie, wybieranie jednego człowieka, mogło być urzeczywistnione, to niechybnie współczesne rozstrzygnięcie da kilku czy kilkunastu ludzi, na których głowy, serca i nerwy spadać będzie cały ciężar problemu wojennego. Wśród tych ludzi, jak słusznie dowodzi p. Miles, największa część ciężaru spadnie na tego, kto ma być wodzem naczelnym. A jeśli czytelnik zechce łaskawie pamiętać wszystkie rzucone przeze mnie przed jego oczy przykłady tarć i sporów i ich skutków podczas wojny, to może razem z p. Milesem dojdzie do przekonania, że nakaz wszystkich zmuszać powinien tych kilku czy kilkunastu pracować z sobą jak najściślej i jak najbardziej łącznie. Stwarza się w ten sposób najdogodniejsze warunki dla utrzymania autorytetu władzy politycznej oraz największe szanse dla uproszczenia kalkulacyj polityczno-wojennych w pracy naczelnego wodza. Praca zaś jego, jak słusznie

twierdzi p. Miles, jest decydująca dla losów wojny, gdyż w ostatnim rachunku rozstrzygnięcie ich pada nie gdzie indziej, jak na polach bitewnych.

Jeden z wielkich teoretyków wojny, von der Goltz [1]), porównywując pracę ludzką w najrozmaitszych funkcjach państwowych, twierdzi, że najcięższą, najwięcej wysiłku umysłu, woli i nerwów wymagającą jest funkcja naczelnego wodza podczas wojny. Bez względu na normy ustaw czy praw, postawiony on jest w głównym ognisku wielkiej maszyny wojennej i każde koło i kółko zaczepia o niego w ten czy inny sposób, czyniąc swoje prawidłowe funkcjonowanie zależnym wprost od sukcesu jego pracy. Jasnym by był z tego wywód, że im mniej ten ogrom kół zaczepi o nerwy naczelnego wodza, im mniej jest niepotrzebnych szarpnięć i złośliwych tarć, tym łatwiej może on przepracować swą decyzywną robotę. Zawsze, gdym myślał o wielkiej prawdzie von der Goltza i gdym zestawiał ją z tym mnóstwem wstydliwych zakątków historii wojen, o których pisałem wyżej, stawała mi przed oczami smutna postać jednego z naczelnych wodzów wielkiego państwa — Kuropatkina. Wszystkie powyżej wyłuszczone wywody i wszystkie myśli można, zdaje się, najlepiej zilustrować jednym przykładem z jego działalności — momentem, gdy gen. Kuropatkin w walnej rozprawie z Japończykami pod Liaoyangiem [2]) w ostatnim dniu tego boju decydował o losach bitwy, o losach swoich i o losach swego kraju.

Kariera gen. Kuropatkina w Rosji nie była zwykłą; pracował on jako szef sztabu przy efektownym, zdolnym i śmiałym gen. Skobielewie, który w opinii świata rosyjskiego dorastał do znaczenia bohatera narodowego w wojnie z Turkami i w wyprawach turkiestańskich. Wyszedł gen. Kuropatkin na ministra spraw wojskowych nagle i niespodziewanie, wywyższając się ponad wszystkich generałów, odrabiających swoją karierę długimi latami służby, i rozniecił tym niezadowolenie w wielkim świecie petersburskim, jako jakiś parweniusz, który zawdzięcza swe stanowisko głównie swym zdolnościom i pracy. Był przeciwnikiem zadzierania z Japończykami i opierał się ekspansywnej polityce Rosji w kierunku t. zw. Wielkiego

[1]) Mowa o Kollmarze von der Goltz, feldmarsz. prus., który długi czas pracował w biurze hist. niem. sztabu gener. Należał on do wybitnych pisarz wojsk. niem. i ogłosił szereg prac, które zyskały rozgłos. Najważniejsze z jego dzieł są: «Das Volk in Waffen» i «Von Rossbach bis Jena». Pamiętniki jego zostały opublikowane w latach 1919—1920.

[2]) Liao-jang-czou, zwane Laojanem lub Liaoyang, miasto w prow. Ki-lin w Mandżurii (Chiny płn.), gdzie dn. 3 września 1904 r. odbyła się rozstrzygająca bitwa w wojnie ros.-jap., zakończona klęską Rosjan.

Wschodu. Promotorem tej właśnie polityki był na wschodzie admirał Aleksiejew, jak powiadają, spokrewniony z lewej strony z dworem, który zrobił sobie na wschodzie nieledwie udzielne księstwo, pełne przepychu i luksusu, i który z całą pogardą lekceważył sobie wszystkie ludy Wschodu łącznie z Japonią. Kręcili się przy nim różnego rodzaju niepewni ludzie, aferzyści, brudni geszefciarze bankowi, leśni, kolejowi, portowi. Gdy wreszcie Aleksiejew doprowadził do wybuchu wojny, został jako głównodowodzący na wschodzie w pierwszych bitwach przez Japończyków sromotnie pobity. Na ratunek wtedy posłano, jako głównodowodzącego sił lądowych, gen. Kuropatkina, zostawiając nad nim, jako głównodowodzącego nad armią i flotą, namiestnika Dalekiego Wschodu, admirała Aleksiejewa, który świeżo od swojej floty w Porcie Artura wycofał się szczęśliwie do dalekiej stolicy Mandżurii — Mukdenu.

Nie znam pobudek, które skłoniły Kuropatkina do przyjęcia tego posterunku. Może był do tego zmuszony. W każdym razie poczynił pewne kroki ostrożności, i jako swego szefa sztabu wybrał gen. Sacharowa, którego brat miał zastąpić samego Kuropatkina na stanowisku ministra spraw wojskowych w Petersburgu.

Od samej chwili przybycia gen. Kuropatkina do głównej kwatery w Liaoyangu rozpoczęła się ostra, zjadliwa walka pomiędzy Liaoyangiem a Mukdenem. Walka ta odbywała się na tle sprawy Portu Artura. Gen. Kuropatkin zdecydował nie dać się wciągnąć w żadną wielką bitwę, nim nie będzie miał dostatecznej ilości wojska, i jako miejsce koncentracji korpusów, przybywających z Rosji, przeznaczył Liaoyang. Odwrotnie, admirał Aleksiejew, lekceważąc zupełnie przeciwnika, pchał ustawicznie do otwarcia drogi do Portu Artura, żądając oswobodzenia związanej w Porcie Artura floty i uważając nieledwie za tchórzostwo ostrożność Kuropatkina. Jeżeli starcia pomiędzy Steinmetzem a Moltkem i Fryderykiem Karolem dawały iskry, tu swobodnie buchał już pożar, oświetlający plotki, obmowy, kpiny i wszelkiego rodzaju ukłucia i poniżenia, jakich się swobodnie dopuszczano w Mukdenie w stosunku do parweniusza Kuropatkina. Stało się zwyczajem zatrzymywanie transportów wojskowych w Charbinie czy Mukdenie dla sformowania niezależnych od Kuropatkina oddziałów, zmuszając tym generała do upokarzających targów. Zwyczajem też była złośliwa praca poza plecami Kuropatkina w Petersburgu dla obniżenia autorytetu generała, który opuścił najwyższy posterunek wojskowy w państwie dla objęcia dowództwa w polu. Petersburg

dawał też odczuć Kuropatkinowi w dalekiej Mandżurii, że jego czasy członka rządu już minęły i że pogodzić się musi, jako parweniusz, z brakiem wpływów i brakiem znaczenia w głównym centrum państwa.

Z różnych drobnych uwag, rozsianych w wielu wspomnieniach i pamiętnikach z tych czasów, widać, że gen. Kuropatkin cierpiał bardzo z powodu tego miliona szpilek, ukłuć i inwektyw, które znosić musiał w przeciągu kilku miesięcy, poprzedzających bitwę pod Liaoyangiem.

Szarpało mu to nerwy, przeszkadzało nieraz pracować. Przeglądając zaś korespondencję urzędową z tego czasu gen. Kuropatkina z gen. Aleksiejewem, spostrzegałem wyraźnie, jak zrównoważony, spokojny, z pewnym odcieniem wyższości ton korespondencji zmienia się powoli w ton znacznie mniej opanowany, rozdrażniony i złośliwy. W takim stanie osłabionych nerwów przyjął Kuropatkin pierwszy wielki bój, próbę sił obu przeciwników, bitwę pod Liaoyangiem. Dziwna bitwa! Zrazu Japończycy uderzyli ze swą przedziwną odwagą i brawurą, z pogardą śmierci, na przygotowane zawczasu pozycje pod Liaoyangiem. Przyzwyczajeni dotychczas do przewagi nad nieprzyjacielem, nie przedsiębrali może zbytnich środków ostrożności, szli szybko, by w gwałtownym szturmie złamać nieprzyjaciela. Po paru dniach boju pierwszy promyk tryumfu w tej kampanii zaświecił nad stroskaną głową Kuropatkina. Skrwawione, niekiedy zdziesiątkowane bataliony i dywizje japońskie zaległy w bezsilności przed pozycjami, nie uzyskawszy nigdzie większej przewagi, nie zrobiwszy nigdzie większego wyłomu w pozyjach nieprzyjacielskich. Kuropatkin daje rozkaz przygotowania się do kontrataku. Wysyła do Petersburga nieledwie tryumfujące depesze o zwycięstwie. W tej sytuacji następuje fakt niespodziany, który mąci nieco obliczenia Kuropatkina, lecz jak gdyby rozmyślnie stwarza nowe warunki, dające mu w ręce nieledwie ułatwienie dla pobicia przeciwnika. Na skrajnym prawym skrzydle japońskim gen. Kuroki, dowodzący 1-szą armią japońską, dostrzegłszy wzmocniony ruch pociągów, idących ku północy — do Mukdenu, osądził, że jest to oznaką cofania się rosyjskiego i zdecydował się na krok nadzwyczajnie śmiały. Przerzucił mianowicie trzy i pół dywizji, będących w rezerwie, na drugą stronę rzeki po jednym tylko moście, by uderzyć na flankę cofającej się jakoby rosyjskiej armii.

Na pierwszą wieść o tym wypadku Kuropatkin, nie wiedząc zresztą o sile Kurokiego, zdecydował się zmienić front,

zebrać przeciwko nowemu przeciwnikowi prawie «gros» swojej armii, mianowicie — 4 i pół korpusów swego wojska, by Kurokiego zdusić i wyrzucić z powrotem do rzeki. Była to ostatnia faza boju pod Liaoyangiem.

Kuroki wkrótce spostrzegł, że o pościgu, tak, jak marzył, nie było mowy, znalazł się w opresji i przeszedł prawie zupełnie do defensywy, przerywanej tylko od czasu do czasu kontratakami. Gdym studiował dzieje tej bitwy, największą ciekawość budził we mnie ostatni dzień boju. Kuropatkin dnia tego z każdą chwilą tracił pewność siebie. Z niedawnego jeszcze zwycięzcy zmienił się stopniowo w złamanego moralnie człowieka. Jedno z pięknych określeń Napoleona mówi, że «le chef doit avoir une tête froide», musi mieć zimną głowę, by należycie i spokojnie oceniać wypadki, nie denerwować się tym czy innym niepowodzeniem, nie tracić nerwów przy kalkulacji częściowych zwycięstw. Dla takiej «tête froide d'une chef» trzeba mieć nerwy spokojne, nerwy, nie dopuszczające zbyt silnych wrażeń, zbyt łatwych impresyjnych pojęć o wypadkach i zdarzeniach. Tej «tête froide», tych spokojnych nerwów Kuropatkin ostatniego dnia nie wykazał. Przecenił te czy inne niepowodzenia; inteligentny, wykształcony jego umysł nie zdołał wiązać wypadków z sobą. Oczy wodza nie dostrzegały zmęczenia nieprzyjaciela, zatrzymania prawie zupełnego kontrataków. Umysł przestał brać w rachubę swoje własne siły, których miał jeszcze poddostatkiem dla dnia następnego. Kuroki z trudem dotrzymywał placu. Świadczy o tym fakt, że jego bohaterska 15-ta brygada (część 2-ej dywizji), postawiona w najgorętszym miejscu boju, gdy nazajutrz zeszła z pozycji, nie była w stanie ugotować sobie ryżu. Gen. Jan Hamilton, attaché angielski przy armii Kurokiego, cudowny w swych zapiskach o wojnie japońskiej, mówi, że parę szwadronów jazdy odkomenderowano specjalnie po to, by wyczerpanym w boju kolegom z 15-ej brygady gotowali strawę. Tenże świadek naoczny mówił, że gdy dnia tego wszedł na pagórek, skąd sztab Kurokiego obserwował bitwę, poczuł prawie fizycznie jak gdyby niechęć i nienawiść Japończyków do cudzoziemca, mogącego obserwować ich klęskę i przegraną.

Gdy się śledzi w tym ostatnim dniu boju z godziny na godzinę bieg raportów i rozkazów Kuropatkina, wydać się może, że gdzieś u najwyższego sędziego wiszą i wahają się wielkie szale na wagach, na których miecze rosyjskie i japońskie dla zważenia złożono. Szale tak się chwieją, jak gdyby zupełnie już zrównoważyć się miały. Brak ostatniego ciężaru na tej

lub innej wadze. Do szali japońskiej nikt już nic dorzucić nie zdoła. A na szalę rosyjską nic prócz ostatniego słowa Kuropatkina spaść nie może, i ostatnie słowo padło: wstecz! Kuropatkin nakazał cofanie się.

Wielki sztab niemiecki («Grosser Generalstab»), wydając analizę tego boju, kończy określeniem, że był to bój w całej wojnie najważniejszy, gdyż złamał on gruntownie «morale» rosyjską, dając Japończykom aż do końca wojny wielką przewagę moralną i olbrzymią pewność siebie, której do boju pod Liaoyangiem nie mieli. Ktoby temu nie chciał wierzyć, tegoby niechybnie przekonało studium następnej bitwy, t. zw. bitwy na Sza-he. Kuropatkin bój ten prowadzi drżącą ręką. Trwoga już dyktuje mu jego rozkazy. Dosyć obserwować ruchy prawego skrzydła, gdzie oficerowie rosyjscy sami mówili, że posuwają się dwa kroki naprzód, a jeden lub dwa w tył. Dosyć przeczytać, ile przestróg, ile nakazów wahania się i ostrożności idzie od Kuropatkina do decydującego lewego skrzydła, gdzie jedna marna maleńka rezerwowa brygada japońska trzyma trzy dni w szachu całą armię gen. Stackelberga. Wydaje się, że groźny duch Liaoyangu stoi na straży pozycji tej brygady, grożąc ognistym mieczem nawet wtedy, gdy brygada już swe pozycje opuściła.

Nerwy gen. Kuropatkina były rozbite. Jeden z jego przyjaciół opisuje zmiany, jakie w nim zaszły po boju pod Liaoyangiem. Kuropatkin przywitał go dobrotliwym, jak gdyby zażenowanym uśmiechem. Miał oblicze zestarzałe («osunuwszejesia lico»). W porównaniu z czasami petersburskimi miał ruchy niepewne i nerwowe. Skarżył się ustawicznie na intrygi petersburskie, a radość wyraził jedynie z powodu wyjazdu Aleksiejewa do Rosji.

Obiektywne warunki boju pod Liaoyangiem dawały, zdaniem moim, prawie pewność zwycięstwa rosyjskiego. Nie wytrzymały tylko nerwy Kuropatkina, które tak nieużytecznie i tak nikczemnie targano ze wszystkich stron przed bojem. Drogo też Rosja zapłaciła za stargane nerwy swego naczelnego wodza w bitwie pod Liaoyangiem. Cała polityka Wschodu, koleje i porty poszły na marne. A po przegranej wojnie miano, jako skutek porażki, rewolucje i zamieszki wraz z osłabieniem autorytetu państwa w całym świecie. Tyle stanowić mogą, a nieraz i więcej, nerwy naczelnego wodza, ten może najcenniejszy materiał na wojnie.

Gdym przejrzał wszystko, com napisał na poparcie tez p. Milesa, dając te strony życia wojny, których p. Miles poru-

szać nie chciał, a które nazwałem «wstydliwymi zakątkami historii», dostrzegłem w swej wyobraźni tyle twarzy znajomych, radośnie uśmiechniętych. Więc wszędzie, z wyjątkiem Rzymu i to tak dawnego, wszędzie to samo. Więc o cóż chodzi, jak było wszędzie, tak będzie i u nas, nie chcemy być gorsi od całego świata. Jeżelim takie wrażenie zostawił — żałuję; jeżelim kogokolwiek oświecił i nauczył — dziękuję, żem to potrafił.

WYWIAD STANISŁAWA LAUDAŃSKIEGO

(10 lutego 1924 r.)

W latach 1923—1924 podpułkownik Stanisław Laudański spisywał z najwybitniejszymi ludźmi z okresu wojennego relacje, odnoszące się do ich przeżyć i prac w tym czasie. Wywiad z Piłsudskim odbył się w Sulejówku 10. II. 1924 r. i w odpisie maszynowym jest przechowywany w archiwum Wojskowego Biura Historycznego. Wywiad ten został opublikowany przez Wacława Lipińskiego w tomie VII «Niepodległości» (str. 63—80) pod tytułem «Wywiad u Marszałka Piłsudskiego w Sulejówku w dniu 10. II. 1924 r.». Wywiad ppłk. Laudańskiego nie daje żadnej gwarancji, czy myśli J. Piłsudskiego zostały w nim wiernie odtworzone. Wobec tego ograniczam się w swoich przypisach do powtórzenia tylko tych uwag, którymi Wacław Lipiński zaopatrzył ten wywiad w «Niepodległości».

— Niegdyś spotykaliśmy w Polsce ludzi, twierdzących, że służba Rosji jest równoznaczną ze służbą ojczyźnie. Tym bardziej zrozumiałym było, że służba w Austrii mogła być uważaną jako dążąca do identycznego celu. W tym państwie wolność była większa, Polacy zaś zajmowali wysokie stanowiska. W austriackim zaborze istniały trzy potęgi w stosunku do Polaków: 1) wojskowa, 2) społeczeństwo cywilne, stojące poza Legionami, 3) sami legioniści, których przywódcami najwybitniejszymi byli królewiacy.

Pierwsza potęga — wojsko — w swych przedstawicielach Polakach nie żywiła przychylnych uczuć względem Legionów. Nie wiem, czy przyczyną tego był pewien wyrzut moralny, że nie są oni w Legionach, czy też pewna «raison de metier» [1]) jako że należeli do regularnej austriackiej armii. Wskutek tego w stosunkach służbowych wolałem nie mieć do czynienia z Polakami.

Zapytuje mnie pan, na czym polegała ideologia legionowa. Jest to sprawa bardzo drażliwa, sięga ona bowiem kardynalnych różnic w zapatrywaniach Polaków na swe zadania społeczno-polityczne. W dziejach naszych przełomowym był 1863 r. Po tym kryzysie ludzie nie chcieli myśleć o walce zbroj-

---

[1]) Przekonanie o swej fachowości.

nej. Większości narodu chodziło przede wszystkim o spokój, o zapewniony, niezmącony ewentulanością przykrych niespodzianek żywot codzienny. Wobec tego wszystko, co w ten lub inny sposób dążyło do walki, spotykało się z niechęcią, ze sprzeciwem warstw, przystosowujących się do istniejących warunków. Protesty jawne i tajne, akcja oporu względem rządów zaborczych w jakiej bądź formie, wszystko to «przeszkadzało żyć». Na tym uczuciu polegała właściwa treść sporów z jednostkami, buntującymi się przeciw narzuconej nam przemocy. Jakie tam na usprawiedliwienie swej bezczynności, swej abstynencji dawano słowa i hasła, zależało od chwili. Mówić o wolności, o potędze Polski można było, bo to było pięknie, patriotycznie. Lecz czynić coś realnie, by tej wolności dopiąć — za żadne skarby. Czynna akcja oporu była uważaną za pewną zbrodnię, za wiwisekcję organizmu polskiego. Była wyciąganiem z duszy najdroższego pierwiastka, uśpionego tam. Dlatego wszelką akcję w tym kierunku zwalczano wszelkimi sposobami, by nie rumienić się ze wstydu.

Wracając do stosunku wojska austriackiego do Legionów, muszę zaznaczyć, że zmienił się on na lepsze ku końcowi 15 r., po zajęciu całego Królestwa przez państwa centralne. Fakt ten postawił kwestię polską na porządek dzienny. Przypominam sobie, że pewien oficer-Polak, zajmujący obecnie wysokie stanowisko w Wojsku Polskim, w pierwszych dniach wojny traktował mnie lekceważąco, będąc wyraźnie orientacji cesarsko królewskiej. W 1915 zaś roku na Wołyniu, podczas zatargu z moimi legionistami, zajął tak przyzwoite stanowisko, że z przyjemnością ten fakt przechowałem w pamięci.

Między I Brygadą a wojskowymi austriackimi istniał silny antagonizm. Traktowali nas jako hołotę, szmaty ludzkie. My im odpłacaliśmy wzajemnością. Brygada moja stała w zupełnej odrębności duchowej i politycznej od państw centralnych. Kierunek polityczny nadawałem jej osobiście ja. Miałem na I Brygadę szalony wpływ oraz posiadałem talent dowodzenia i podporządkowywania sobie ludzi.

W początku wojny po raz drugi nastąpiła między mną a sztabem austriackim umowa. Pierwszy raz było to w 1912 r. Wtedy sztab wszedł ze mną w kontakt jako z szefem strzelców, dając mi szersze możności niż w 1914 r. Miałem wówczas styczność z gen. Tschiczericzem, Kroatem z pochodzenia, późniejszym przedstawicielem Austrii podczas traktatu Brzeskiego. Był znacznie lepszym w stosunkach do spraw legionowych, niż większość Polaków w ówczesnym okresie. O młodszych oficerach Polakach z armii austriackiej, z którymi się

stykałem podczas tych pertraktacyj, zachowałem jak najlepsze wspomnienia. Starsi zaś byli przeważnie skończeni «dranie».

W 1914 r., niedługo przed wybuchem wojny, Austriacy postawili mi bardzo ostre warunki pod względem technicznym. Rozmów politycznych odmówiłem, twierdząc, że, ponieważ nie zawierają oni sojuszu z Polską, więc z nimi nie mam o czym gadać. Twierdziłem, że jestem za małą siłą. Dwa dni wahałem się, czy przystać na ich propozycję. Dali mi wtedy do zrozumienia, że zmuszeni będą internować wszystkich legionistów [1]), nie będących obywatelami austriackimi, mianowicie uciekinierów z Królestwa. Motywowali to ewentualne zarządzenie tym, że nie mogą pozostawiać u siebie na tyłach elementu rozsadzającego. Stanowisko to było słuszne z ich punktu zapatrywania. Wobec tej sytuacji zmuszony byłem na ich warunki przystać. Niekorzystne były one dla nas pod względem uzbrojenia, ekwipunku itp.

Sztab austriacki zawarł osobną umowę ze mną, osobną z Naczelnym Komitetem Narodowym. Była to zasadnicza różnica, która legła jako kamień węgielny w formacje polskie.

Po nakazaniu przez mnie mobilizacji Strzelca w Krakowie uznałem, że muszę mieć poparcie polityczne. Powstała [2]) wtenczas Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Nie brała ona udziału w moich pertraktacjach z Austriakami, ja zaś nie wtajemniczałem jej członków w tę sprawę, uważając ją za tajemnicę służbową. Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, starała się również werbować ludzi dla siebie. Wtedy w Krakowie zapanowała niesłychana rozpacz wobec perspektywy, że Polacy będą zmuszeni walczyć z rodakami z zaboru rosyjskiego. Bardzo tym przejęty był wówczas Daszyński, nalegał gwałtownie, by coś zaradzić przeciw temu, coś przedsięwziąć.

Zostało zwołane posiedzenie w krakowskiej Radzie Miejskiej pod przewodnictwem dr Leo, Prezesa Koła Polskiego, z udziałem posłów do parlamentu. Byłem na tym posiedzeniu obecnym. Rozeszliśmy się głównie na podstawie tego, że nie zdawali oni sobie sprawy z warunków wojny. Byli jak dzieci, przypuszczali, że ich wpływy, jako Koła Polskiego w parlamencie, wystarczą, by coś na Austrii wymóc, lub jej nakazać. Ja zaś w to nie wierzyłem — i słusznie.

Druga rzecz, która napełniała społeczeństwo trwogą, było nie traktowanie nas przez nieprzyjaciela, jako kombatan-

[1]) Winno być: strzelców.

[2]) Winno być: istniała. Kom. Tymcz. Skonf. Stronnictw Niepodl. powstała w r. 1912.

tów. Tak też w istocie się stało: kilku moich legionistów, którzy trafili do niewoli, zostało rozstrzelanych lub powieszonych. Kilku zaś, by uniknąć tego losu — zastrzeliło się. Lecz przy takim postawieniu sprawy zyskiwałem polityczną niezależność od Austrii. Uważałem zresztą, że niewielką różnicę stanowi być zabitym w polu lub rozstrzelanym w niewoli. Tą sytuacją bardzo był przejęty Daszyński. Ja zaś szukałem szerszego poparcia w społeczeństwie polskim, żeby móc zmienić ciężkie warunki techniczne, narzucone mi.

Jeśli chodzi o tło psychiczne, to olbrzymia większość społeczeństwa polskiego nie wierzyła w możność powstania polskiego żołnierza i w ogóle w siły polskie. Ufała bardziej w łaskę rządu austriackiego, we wpływy u dworu, by coś dla Polaków uzyskać. Nie pokładali nadziei we własne czyny. Na tym gruntował się psychologiczny rozdźwięk między światopoglądem I Brygady a resztą społeczeństwa.

Wśród tych nastrojów wyruszyłem. Kadrówka wystąpiła 6-go sierpnia, ja zaś 7-go.

Zajęcie przeze mnie Kielc wzbudziło szaloną sensację i silnie wpłynęło na chwiejne usposobienia. Uczucie dumy napełniło serca polskie. «Ot, co my możemy zrobić» — powtarzały elementy, dotychczas powściągliwe. Zaczęto okazywać mi pomoc bardzo wydatną nawet ze strony moich przeciwników. Świat lekarski dał mi wielką pomoc sanitarną. Entuzjazm w Krakowie i Lwowie był wysokiego napięcia. Chłopcy moi również uwierzyli w siebie.

Wkrótce potem zostałem wezwanym do Miechowa, do kwatery jednej z dywizyj austriackich, gdzie postawiono mi ultimatum, bym złożył broń lub poszedł za programem N. K. N. To ultimatum oświadczył mi ppłk. Nowak — Polak. Ja starałem się sprawę przewlec, lecz, gdy drugi raz mi to ultimatum postawiono, zmuszony byłem zgodzić się na żądanie Naczelnego Dowództwa. Samodzielnie pracowałem od końca lipca 1914 r. do 20-go sierpnia. Byłem w tym okresie zupełnie swobodnym ptakiem, żadnego akcesu nie zgłaszałem, starałem się sprawę przeciągnąć. Nie znałem wtedy dostatecznie Austrii. Nauczył mnie Moraczewski, jakie metody względem nich stosować. On z nadzwyczajnym spokojem traktował wszystkie pogróżki i żądania cesarsko-królewskiego rządu i wojska.

N. K. N. starał się o mnie, ponieważ byłem dla niego jedyną siłą wartościową. Z drugiej strony silny nacisk w tym kierunku wywierało dowództwo wojska austriackiego. Przy przeprowadzeniu pertraktacyj z N. K. N. wytargowałem różne rzeczy.

Zasadniczą różnicą I Brygady od analogicznych formacyj polskich w Austrii było, że stanowiła ona samodzielną formację wojskową. N. K. N. zaś trzymał się zasady obsadzania stanowisk dowódców przez oficerów-Polaków z armii austriackiej. To była kardynalna przyczyna wszystkich sporów i tarć legionistów wszelkich odcieni z N. K. N. Walka z austriackimi oficerami-Polakami była treścią akcji legionowej [1]).

Po drugie N. K. N., postępując w ten sposób, mógł grać pewną rolę w «Armee Ober-Kommando». To zaś, że ja przedtem miałem oddzielną umowę z dowództwem austriackim, czyniło mnie zupełnie swobodnym wewnętrznie i niezależnym. Chodziło mi o wygranie tej niezależności, czy to od N. K. N. czy też Austrii.

Podkreślam fakt następujący. Komenda austriacka, chcąc przeciągnąć mnie na swoją stronę, pozornie podkreśliła, że ja i moja formacja jesteśmy coś odrębnego od armii austriackiej. Wymyślili dla mnie i mojego oddziału przysięgę na wierność Królowi Polskiemu. Pierwiastek monarchiczny był sprzeczny z ideologią I Brygady. Przysięga ta zrobiła z nas element, zupełnie odrębny w armii. Była to łapówka, którą nam dali. Mogłem tę okoliczność wykorzystać w późniejszych wypadkach, jednakże tego nie zrobiłem. Ja zaś przy werbunku żadnej przysięgi nie używałem, uważając, że wystarcza ochotnicza chęć zaciągu. Ten stan początkowy miał doniosłe znaczenie na przyszłość.

Co do stosunku politycznego i wojskowego względem państw centralnych — stwierdzam, że żaden z nas nie żywił ku nim sympatii. Biliśmy się z Moskalami, będąc z musu w szeregach wojska austriackiego. Lecz wszelkimi siłami broniliśmy się przed próbami austriaczenia nas. Żywiliśmy ku nim pogardliwy stosunek. Z Niemcami spotykaliśmy się bardzo rzadko. Z punktu widzenia wojskowego byli oni dobrymi kolegami, traktowali nas jako żołnierzy, czego nie było ze strony austriackiej. Wobec tego ku Niemcom żywiliśmy niechęć z punktu widzenia politycznego, do Austriaków zaś mieliśmy nienawiść żołnierską. «Ententa» była bardzo daleko. Moi oficerowie i żołnierze zdecydowali milcząco, że wszystko, co się tyczyło polityki, składają na moją głowę. Wiedząc, że są potrzebne fundusze na prowadzenie Brygady, postanowili pobierać ze swej gaży tylko 100 koron miesięcznie, resztę ofiarując na cele wspólne do mojego rozporządzenia.

---

[1]) Winno być napewno: «treścią wewnętrznej akcji legionowej».

Mój pogląd na stosunek wojny do sprawy Polski był następujący:

Twierdziłem z samego początku, wbrew wszystkim, że wojna potrwa znacznie dłużej, niż ogólnie przypuszczano. Wskutek tego obydwie strony, zwycięzca i zwyciężony, będą nadal wyczerpane i osłabione. Ten stan daje możność być w końcu silnym tym, którzy, będąc słabymi w początku, będą mieli dosyć siły moralnej i materialnej, by przetrwać. Wtedy przedstawi się możność wpłynięcia na losy Polski, o ile tę siłę posiadać będziemy. Nie robiłem żadnych przypuszczeń, czy ci, czy tamci zwyciężą. Byłem przekonany, że jedni i drudzy osłabną, a my na tym skorzystać możemy.

Drugim punktem mego zapatrywania było, że tak wielka wojna nie może się skończyć inaczej, jak wprowadzeniem pewnego przewartościowania psychicznego u obu stron. Żelazne prawa społeczno-polityczne, istniejące poprzednio, muszą ulec zmianie, wobec czego, gdyby nawet Polska nie uzyskała niepodległości, to zwycięzca zmuszonym będzie dać jej lepsze warunki istnienia. Lecz wynikiem nieodzownym będzie, by Polska stała się «wartością gry» w ostatniej chwili. Dlatego przeciwny byłem zawieraniu umów z jedną lub z inną stroną. Wypadki dziejowe mogły bowiem przejść nad nimi do porządku dziennego.

Na tej zasadzie we współpracy mojej z N. K. N. wywodziłem zawsze, że gra nasza musi być grą na plus, a nie na minus, że trzeba nasze żądania śrubować jak najwyżej. Uważałem, że tanio pracować nie należy.

Główną obawą moją było, że pokój może być zawarty kosztem Polski. Nie miałem za to pretensji do walczących państw, bo przecież musiały dbać o własną skórę, nie o Polskę im oczywiście chodziło. Jedynym krajem, który, przystępując do wojny, otwarcie się za nami wypowiedział, była Ameryka w słynnej Wilsonowskiej deklaracji z 14 punktów.

Zawsze powtarzam, że Polacy powinni byli dobrze grać w winta i oburzałem się okropnie, że ludzie nie umieją tak grać. Mówiłem N. K. N., żeby podtrzymywał tego, co gra wysoko. Ja chciałem tworzyć polskie wojsko i grać drogo.

W Radzie Stanu Królestwa Polskiego i Beselerowi twierdziłem, że formacje legionowe mogą walczyć tylko na froncie wschodnim, i że nikt nas nie namówi do walki na zachodzie. Zresztą Niemcy nie bardzo na to kładli nacisk.

* *

*

Przytoczę panu kilka moich żartów i aforyzmów w tych sprawach.

Powtarzałem nieraz, lecz jako dowcip, że Rosja zostanie naprzód pobita przez państwa centralne, następnie zaś one same będą zwyciężone przez «Ententę».

Sytuację po wojnie malowałem w ten sposób: trzy duże olbrzymy, rzygające krwią, chore na dyzenterię, skurczone w stanie agonii, a malutki Polaczek kręci się wokoło nich, prosząc uniżenie o miejsce dla siebie.

Porównywałem nasze zadanie do wyścigów. Rumaki pędzą do mety, my zaś jako mucha usadowiliśmy się na uchu jednego z nich. W chwili zbliżenia do startu mucha odlatuje z wyczerpanego rumaka i staje pierwszą u celownika.

* *
*

P. O. W. w Królestwie tworzyłem po zajęciu Warszawy przez Niemców. Żuliński, który formował w tym zaborze oddziały legionowe, został zabity [1]). Jego ochotnicy wymaszerowali do mnie na Wołyń. Wtedy chory leżałem w Otwocku w pensjonacie. Po rozmowie z różnymi panami zdecydowałem wstrzymać rekrutację ochotników i nie formować nadal oddziałów wojskowych. Natomiast postanowiłem stworzyć [2]) organizację tajną, zwaną «Polską Organizacją Wojskową». Misję tę powierzyłem obecnemu ppłk. sztabu generalnego Kasprzyckiemu. Wywiązał się on doskonale z tego zadania. Brygady mojej zaś rozwiązać nie chciałem, ponieważ traktowałem ją jako szkołę. Wysyłałem tam w wyjątkowych wypadkach ochotników, zdradzających szczególny zapał do boju lub mających zatargi z Niemcami. W zasadzie odmawiałem wstępu do linii, zalecając zaciąg do P. O. W. Weszła ona pod moją komendę, uznała mnie jako wodza naczelnego i zwierzchnictwo tych, których wyznaczałem na dowódców. Niemcy nazywali ją «Die so genannte P. O. W.» Organizacja ta stała się motywem stałych pertraktacyj między mną a Niemcami.

W zaborze pruskim nie miałem podwładnych sobie for-

[1]) P. O. W., działająca przeciwko wojskom rosyjskim, została utworzona w pierwszych tygodniach wojny światowej w Warszawie. Żuliński, przysłany z Brygady, stanął na jej czele w październiku 1914 r. W rok później, wymaszerowawszy wraz z batalionem P. O. W. (warszawskim) do I Brygady, zginął w bitwie pod Kamieniuchą.

[2]) Winno być: rozszerzyć.

macyj. Tam istniały nieliczne drużyny polskie [1]). Było u mnie kilku dezerterów z tego zaboru.

Niemcom chodziło głównie, by trwał spokój w Polsce. Komitet obywatelski, który im stale kadził i szedł na rękę, był dla nich bardzo pomocnym w tym względzie. Dzięki temu Niemcy mogli zaoszczędzić siłę zbrojną dla zapewnienia spokoju w kraju. My zaś byliśmy elementem niespokojnym. Ogłosili, że wszystkie legalne stowarzyszenia mogą istnieć i byli w poszukiwaniu tajnych. Zaznaczam, że nader łatwo było ich oszukiwać, ponieważ tak byli przyzwyczajeni do legalizmu, że jakikolwiek pozornie urzędowy papierek im wystarczał. Z Austriakami trudniej było pod tym względem.

Pamiętam epizod komiczny. U pewnego znajomego mego zrobiono rewizję, podczas której znaleziono spis koni wyścigowych. Ten znajomy mój był namiętnym zwolennikiem wyścigów. Na śledztwie powiedziano mu: «dobrze wiemy, że pan należysz do tajnego stowarzyszenia O g i e r ó w. Musi pan nam wyjaśnić, kto kryje się pod pseudonimami «Almansor», «Galaret», i «Kirkor» etc., kto jest prezesem, a kto sekretarzem tego stowarzyszenia».

Spotkałem się z konspiracyjną pracą zaboru pruskiego, lecz prowadzący ją byli ludzie starsi, do czynu nie skorzy, dlatego pertraktacyj z nimi nie prowadziłem.

Kryzysy legionów. Drugą Brygadę Austriacy zaraz wysłali w Karpaty. Trzymali ją w klubach, bo tam była komenda, złożona z austriackich oficerów z Zagórskim i Trzaska-Durskim na czele. Nosili austriackie mundury i odznaki. Biedna pod względem życia duchowego Brygada. Ratunku szukała w zbliżeniu do N. K. N., bo to było jednakże polskie.

Trzecią Brygadę sformowano natomiast w Królestwie. Została rzucona ona do wspólnej pracy z Pierwszą. Z 4. pułkiem spotkałem się po raz pierwszy pod Lublinem. Asymilacja z I poszła bardzo szybko. W III dawała się odczuwać pewna zazdrość do I, dzięki temu, że w tej ostatniej panowała wielka swoboda przekonań politycznych i specjalny duch. Co czwarty człowiek miał maturę, wolność panowała nadzwyczajna. Wskutek tego III Brygada bardzo szybko przejęła ideologię I, nawet czasami szła zadaleko w podkreśleniu tego ducha, była chwilami «plus catolique que le Pape». Kierowali nią Roja i Norwid-Neugebauer. We wszystkich kryzysach legionowych stale była przy Pierwszej.

---

[1]) Mowa o przedwojennych Polskich Drużynach Strzeleckich, których praca zdołała rozciągnąć się również na zabór pruski.

Kryzys nastąpił wtedy, gdy Komenda Legionów poczęła bezpośrednio wtrącać się do I Brygady. Na to wróciłem z Warszawy. Zrobiłem straszną hecę wtedy, zmaltretowałem w najbardziej obcesowy sposób tę Komendę legionową. Zaostrzyła się wtedy bardzo silnie walka między mną a Komendą, trwająca kilka miesięcy. Zakończyła się dymisją, daną Zagórskiemu i Durskiemu w 1916 r. W ten sposób wygrałem ja.

Wezwano mnie następnie do «Armee Ober-Kommando», potem do Wiednia, gdzie miałem konferencję z Bilińskim. Skutkiem moich targów z rządem austriackim było, że zamienili nazwę «Legionów» na «Polski Korpus Posiłkowy». Pozostawiono nam mundury legionowe, język polski, wewnętrzny samorząd i połączono wszystkie trzy Brygady razem.

Dowództwo austriackie rozpoczęło pertraktacje ze mną o otworzeniu rekrutacji P. O. W. Odmówiłem, oświadczywszy, że dopóki nie istnieje polityczna reprezentacja Królestwa, werbunku nie ogłoszę. Do N. K. N. ludzie nie mieli zaufania, ponieważ musiał on swoje obowiązki wypełniać względem państwowości austriackiej. Ten opór mój był podwyżką gry politycznej. Chciałem nawet wtedy ustąpić, lecz chłopcy mnie nie puścili. Zresztą pragnąłem utrzymać Legiony jako szkołę wojskową.

Przestałem się wahać po wygranej Brusiłowa pod Łuckiem i objęciu nad nami komendy przez Niemców [1]). Weszliśmy w skład grupy generałów Linsingena i Bernhardiego. Przeszliśmy boje na Styrze i Stochodzie. Szczególnie świetnym był dla nas bój pod Kostiuchnówką. Austriacy wycofali się w popłochu, pozostawiwszy nas na pastwę losu. Trzymaliśmy się aż do ostateczności i wycofaliśmy się we wzorowym porządku. Ja odszedłem ostatni. Był to bardzo ładny epizod wojenny. «Armee Ober-Kommando» wydało o nas chwalebne biuletyny, wskutek czego na tyłach rozeszła się pogłoska, że nas wszystkich wycięli.

W tym czasie spostrzegłem, że Niemcy jakoś zanadto się o nas starają, Austriacy zaś umyślnie wypuszczają z rąk. Byłem oporny w pertraktacjach z wysłannikami Linsingena i Bernhardiego, między którymi byli nawet Polacy. Bernhardi obraził się na mnie, ponieważ oświadczyłem mu, że w polityczne układy wchodzić nie będę. Przy tym mówiłem Niemcom bez ogródek, że sympatii ku nim w polskim społeczeństwie nie ma i wolimy Austriaków niż ich. Chociaż właściwie

[1]) Druga połowa lipca 1916 r.

Austriacy chcieli nas uważać za część swej armii, my zaś uważaliśmy się za formację odrębną.

Niemcy przejrzyście mówili, «macali», lecz ja się nie dawałem. Gniewała mnie możność przypuszczenia z ich strony, że mówią z durniem. Celem pochlebstwa twierdzili, że wyróżniają mnie od Austriaków. Czułem w tym wszystkim, że nasza władza nas sprzedaje.

Wtedy powiedziałem oficerom swoim, że jako sztandarowy człowiek nie mogę przechodzić z rąk do rąk. Napisałem list do «Armee Ober-Kommando», że nie mogę ponosić odpowiedzialności przed swymi żołnierzami za bezcelową walkę, wobec tego, zmuszony jestem podać się do dymisji. Wezwano mnie do A. O. K. i zaproponowano, bym wziął w swoje ręce prowadzenie moich Brygad, opierając się na mającej być zorganizowanej przeze mnie politycznej reprezentacji jedynie austriackiej okupacji. Propozycję tę odrzuciłem, oświadczając, że chodzą pogłoski o czwartym rozbiorze Polski, i ja nie mogę swego nazwiska mieszać do tego aktu. Dali mi wtedy dymisję [1]).

Drugi kryzys legionowy był bardzo silny. Nastąpił on po akcie 5 listopada. Polska była wtedy tak stęsknioną do jakiegoś chociażby najmniejszego aktu, stwierdzającego jej samodzielność, że wśród społeczeństwa powstał bardzo wielki entuzjazm. P. O. W. się zachwiało, było gotowe wstąpić do wojska, organizowanego przez Niemców. Jest to fakt niewątpliwy. i wówczas przyjeżdżali do mnie Polacy, wysłannicy Niemców, namawiając mnie, by nie zwlekać. Bali się, bym był z Austriakami, a nie z nimi. Pojechałem do Lublina do ekscelencji von Kuka i Madeyskiego. Oświadczyli mi, że mam być członkiem Rady Stanu od okupacji austriackiej. Dla mnie najważniejszą była sprawa wojska. Na to otrzymałem odpowiedź, że tę sprawę ureguluje von Beseler. Zażądałem zezwolenia na przyjazd do Warszawy, które uzyskałem. Wtedy podjąłem próbę umowy między t. zw. aktywistami i t. zw. pasywistami. Z pierwszymi nie byłem szczery, z drugimi mówiłem otwarcie. Dłużej konferowałem z ks. Zdzisławem Lubomirskim, Chrzanowskim i prałatem Chełmickim. Starałem się ich namówić, by weszli do Rady Stanu. Należało ułożyć listę członków w ten sposób, by Niemcy zgodzili się bez targów na tę listę, lub wcale nie wstępować do Rady. Drugą rzeczą, na którą wskazywałem, było, że targi i przetargi będą się odbywały na przeciwstawianiu interesów wojskowych cywilnym. Dlatego radziłem t. zw.

[1]) Wrzesień 1916 r.

pasywistom, by przy układach z aktywistami grali na tym pewnego rodzaju antagonizmie, godząc się na ustępstwa w jednej dziedzinie w zamian za zyski w drugiej.

Twierdziłem, mając za sobą 5 czy 6 przyszłych członków Rady Stanu od okupacji austriackiej na ogólną liczbę 25, że będziemy szli w sprawach cywilnych z pasywistami, a w sprawach wojskowych z aktywistami, by się obawiali rozłamu. Ta kombinacja jednakże mi się nie udała.

Z Beselerem sprawa była jeszcze trudniejsza. Ten zagadać mógł. Wypowiadał półtoragodzinne mowy, starając się mi dowieść, że lepiej rozumie interes Polski, niż ja. Jednakże trudno było mi wierzyć, że Beseler jest lepszym Polakiem ode mnie.

Po nieudanych pertraktacjach w Warszawie wyjechałem do Krakowa, ponieważ przekonałem się, że ze sprawy wojskowej nic dodatniego dla nas stać się nie może.

Zmuszony byłem wstąpić do Rady Stanu, ponieważ P. O. W. w mojej nieobecności zaciągnęłoby się do wojska. Wielki panował wtedy entuzjazm dla obietnic okupantów. Gdy przybyłem do Warszawy, wziąłem jako komendant kierownictwo w swoje ręce i skierowałem organizację, dokąd chciałem.

Entuzjam z powodu aktu 5 listopada wkrótce minął, ponieważ aktywiści naprawdę wyobrażali sobie, że są rządem polskim i częściowo potrafili wpoić to przekonanie w społeczeństwo. Wobec tego oczekiwano od nich i żądano, by działali w tym duchu. Gdy ludność przekonała się, że nic się nie zmieniło, że ciężary okupacyjne trwają dalej, nastroje w przeciągu dwóch miesięcy radykalnie się zmieniły.

Szczegóły z tego okresu da panu Artur Śliwiński.

W skutkach powstała jeszcze większa niechęć do Niemców i rozczarowanie co do rady Stanu. Z wielkim trudem można było przekonywać społeczeństwo o przyszłym «Rządzie Polskim».

Wtedy nastąpił kryzys przysięgowy. Osobiście zdecydowany byłem prowadzić moją robotę nadal. Powiedziałem sobie: «Tu okres się kończy, jadę do Rosji» — i przygotowywałem swój wyjazd. Lecz miałem w sercu drzazgę — moich chłopców. Zdecydowałem napisać list do Beselera, oświadczając, że chcę podzielić ich los, przeczekać tydzień i następnie wyjechać. Listu tego nie zdążyłem wysłać. Znaleziono go u mnie w dniu 22 lipca.

* *
*

Na trzy tygodnie przed wywiezieniem mnie z Magdeburga dyżurny podoficer, będący stale przy mnie w twierdzy, wbrew rozkazom przyniósł mi numer «Die Woche», w której znalazłem moją fotografię z podpisem «Joseph von Piłsudski der Polnische Kriegsminister». Ironia była niezwykła — minister wojny w więzieniu. Takie jaskółki do mnie przylatywały.

* *
*

Podczas dwuletniej wojny naszej z bolszewikami, ja, będąc Naczelnikiem Państwa, byłem w tym rzadkim wypadku, że polityczną i wojskową władzę ześrodkowałem w swoim ręku i dlatego odgrywałem decydujący wpływ na bieg sprawy.

W tym czasie zgłosił się do mnie pewien historyk polski, specjalista od naszej historii porozbiorowej, prosząc mnie o wytłumaczenie faktu, iż stanowię wyjątek, jakoby załom w naszym okresie zaborczym. Nie mógł sobie dać rady z tym, że stanowię tak odrębny, tak odskakujący typ od rozwojowych postaci polskich tej epoki, i prosił mnie o zdanie moje. Na to mu odrzekłem:

«Po przyjeździe moim z Magdeburga zastałem wszystkich Polaków w nieświadomości tego, co czynić należy. Każdy miał gotową receptę działania, w którą zresztą nie wierzył. Pomimo to wszyscy receptarze kłócili się wzajemnie. Jeśli pan sądzi, że ja wtedy wiedziałem, co należy przedsięwziąć, to pan się myli. I ja też nie wiedziałem, ale byłem na tyle mądrym, że z tej nieświadomości mojej przed nikim się nie zdradziłem. Dlatego oddziaływałem na psychikę ludzką, wpajając przekonanie, że, skoro milczę, to wiedzieć muszę. W tym leży bardzo charakterystyczny rys psychologiczny. Z tego płynie różnica między człowiekiem decyzji, którym jestem, a człowiekiem chwiejnym». Historyk wyszedł ode mnie, zdaje się, bardzo rozczarowanym moją odpowiedzią.

Dalszy ciąg pytań, które mi pan przedłożył, tyczą się historii polskiej. Zagadnienia te opracowuję w moich pamiętnikach i wkrótce będę miał odczyt o pierwszych chwilach powstania naszego państwa. Wobec tego proszę zwolnić mnie od udzielenia odpowiedzi na nie.

LIST DO GEN. SIKORSKIEGO

(29 lutego 1924 r.)

Dnia 17 lutego 1924 r. nastąpiła zmiana na stanowisku ministra spraw wojskowych. Odszedł gen. Sosnkowski, a miejsce jego zajął gen. Sikorski, który dnia 25 lutego 1924 r. przeprowadził na Radzie Ministrów gabinetu Wł. Grabskiego wycofanie projektu ustawy o organizacji Najwyższych Władz Wojskowych, uchwalonego przez rząd poprzedni (por. str. 146), i opracował nowy projekt uchwalony później przez Radę Ministrów w dniu 10 marca 1924 r. i przedłożony Sejmowi do uchwalenia w dniu 14 marca 1924 r. Gen. Sikorski, jak to widać z komunikatu Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, ogłoszonego w tej sprawie dnia 18 sierpnia 1925 r. przez Polską Agencję Telegraficzną, zdawał sobie sprawę, że jego projekt ustawy nie mógł odpowiadać zapatrywaniom Piłsudskiego. Projekt ten bowiem szedł mniej po linii zapatrywań Piłsudskiego, aniżeli wypracowany przez gen. Sosnkowskiego projekt, który spotkał się z krytyką Piłsudskiego. Dlatego gen. Sikorski, z pominięciem drogi prostej i oficjalnej, przysłał Piłsudskiemu swój projekt dla uzyskania jego uwag, pragnąc stworzyć pozory, że ustawę uzgadnia z Piłsudskim.

W odpowiedzi na to Piłsudski wysłał dnia 29 lutego 1924 r. niżej przytoczony list do gen. Sikorskiego, krytykujący projekt ustawy. List ten ogłosił Piłsudski w «Kurierze Porannym» z dnia 15 sierpnia 1925 r. ze swoim komentarzem (por. t. VIII List do redaktora «Kuriera Porannego» z dnia 12 sierpnia 1925 r.), tłumaczącym powód opublikowania przez niego tego listu.

Sulejówek, 29 lutego 1924 r.

Szanowny Panie Generale!

W sposób dosyć niezwykły, bo za podwójnym pośrednictwem, został mi przysłany Pański projekt o najwyższych władzach wojskowych z wyraźnym i niezrozumiałym dla mnie żądaniem, czy prośbą, abym porobił «uwagi, inne sformułowania i skreślenia» w związku z projektem [1]).

Wyznaję, że ten niezwykły sposób uważam za niegrzeczność względem mnie, niegrzeczność, uzasadnioną chyba tym, że wychowuje się Pan Generał w atmosferze, gdzie niegrzeczność względem mnie uważana jest za «dobry ton», coś w ro-

[1]) Gen. Sikorski w liście, będącym odpowiedzią na ten list Piłsudskiego, przyznawał «z przykrością», że było tu «nieporozumienie spowodowane przez jego adiutanturę» i zawiadamiał, że swemu «adiutantowi wytknął niewłaściwość jego postępowania» (komunikat Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, ogłoszony w prasie dnia 18 sierpnia 1925 r.).

dzaju szyku czy elegancji państwowej dla dostojników tak wysokich, jak minister.

Co się tyczy samego projektu, to streszczam krótko swą opinię. Jest to bardzo nieudolne naśladownictwo instytucji francuskich z zapomnieniem o radykalnej różnicy pomiędzy nami a Francją. Tam ministrem jest zmienny człowiek cywilny, do którego dostawiają gabinet, aby go uczył być trochę rozumiejącym wojsko, a właściwym ministrem wojskowym jest szef sztabu generalnego. U nas zaś ministrem jest zmienny także, lecz oficer armii. Wobec tego ta przewaga, jaką dekrety we Francji dają generalnemu inspektorowi, — generałowi, przewidzianemu na naczelnego wodza, — nad szefem sztabu generalnego czyni z generalnego inspektora głównego oficera w armii, co jest w zgodzie ze zdrowym duchem wojska, którego jedyną racją istnienia jest zbrojna obrona państwa, a nie hocki-klocki pokojowych intryg i burz w szklance wody przechodnich ministrów i gabinetów.

U nas więc wszystkie hocki-klocki dotychczasowych projektów i ustaw w tej dziedzinie są, niestety, ubliżające wojsku i zdrowemu poczuciu służby oficera; próba obniżenia wartości ducha wojny przez obniżanie generała, mającego w swej pracy odpowiednik ducha wojny, albo na korzyść oficera ministra (zmiennego), albo — co najśmieszniejsze — szefa Sztabu Generalnego [1]).

W tym trójkącie małżeńskim oficerów — ministra, szefa sztabu i, niechaj będzie, inspektora czy przewodniczącego Ścisłej Rady — szef sztabu ma rolę przewrotnej kobiety, dającej tyłka na dwie strony, aby ciągnąć dla swego prostytucyjnego życia korzyści z obu stron.

Współpraca w tych warunkach jest, zdaniem moim, niemożliwa.

Zaznaczam, że nie mając zamiaru w ogóle w tych hockach-klockach dawać swego sumienia na handel polityczny, mówię obiektywnie, nie będąc w niczym zainteresowanym.

Powstrzymuję się od uwag szczegółowych co do projektu

---

[1]) Projekt gen. Sikorskiego w art. 7 mówił, że «Minister Spraw Wojsk. urzeczywistnia swe zadania przez Gen. Inspektora Wojsk..., Radę Wojenną i Ministerstwo Spraw Wojskowych», w którego «skład wchodzi Sztab Generalny». Minister Spraw Wojskowych stawał się w ten sposób przełożonym Gen. Inspektora Wojsk. Szef Sztabu Generalnego miał «kierować pracami Sztabu na podstawie r o z k a z ó w Ministra Spraw Wojskowych» i «d y r e k t y w Generalnego Inspektora Wojsk» (art. 15), co groziło, że Szef Sztabu, uzależniony od dwóch panów, w praktyce będzie miał wolną rękę.

z powodu, że samą zasadę uważam za hocki-klocki, niewarte poważnego zastanowienia się nad nimi.

Samego projektu nie odsyłam, gdyż zacząłem robić na nim notatki w stylu sobie właściwym i nie chciałbym, aby Pan Minister już literalnie wziął te określenia do siebie.

Proszę przyjąć zapewnienia wysokiego szacunku, z jakim pozostaję.

J. Piłsudski.

P. S. Kopię listu zachowuję sobie.

LIST DO REKTORA UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO ALFONSA PARCZEWSKIEGO

(11 marca 1924 r.)

List niżej przytoczony, w którym Piłsudski przeznacza swoje pobory miesięczne na cele Uniwersytetu Wileńskiego, odczytał rektor Witold Staniewicz w trakcie swego przemówienia na obchodzie imienin Piłsudskiego we Wilnie dnia 19 marca 1934 r.

List podajemy według «Kuriera Wileńskiego» z dnia 20 marca 1934 r., który, dając sprawozdanie z obchodu, opublikował tekst listu.

Sulejówek, 11. III. 24 r.

Wielce Szanowny Panie Rektorze!

Przesyłam Panu przez zbliżonego mi oficera 2 miliardy 20 milionów marek. Stanowi to wypłacane mi teraz miesięcznie coś w rodzaju pensji za uprzednie moje prace w państwie. Wobec tego, że nie mogę się pogodzić z myślą, bym taką pensję brał na swoje potrzeby, oddaję ją na te, czy inne cele publiczne, wybierając te, które z moją poprzednią pracą w państwie najsilniej ze mną były związane. Wobec tego marcową pensję przesyłam Panu na cele uniwersytetu w Wilnie. Przede wszystkim chodziłoby mi o zabezpieczenie choć cokolwiek pracy młodych sił asystentów i asystentek, obawiam się bowiem, że fala oszczędności kierowanej przede wszystkim na tych siłach się odbić musi, siłach i tak małopłatnych i mało ubezpieczonych.

Obok tego, gdyby jakaś część, chociażby niewielka, była dana na najniepraktyczniejszy, lecz tym bardziej drogi mi wydział, byłbym rad. Dumny zawsze jestem, że Wilno ma taki wydział, jakiego nie ma gdzie indziej [1]), a tak się boję, że zi-

[1]) Mowa o wydziale sztuki.

mne podmuchy poziomego, głupiego rozumu zdmuchnąć mogą i ten ledwo tlejący się płomyk piękna w życiu, że chciałbym choćby trochę protestu z mej strony złożyć.

Proszę przyjąć zapewnienia wysokiego szacunku i poważania. Przesyłając pozdrowienie wszystkim w uniwersytecie, pozostaję szczerze przyjazny.

Józef Piłsudski.

ZEZNANIA W PROCESIE PORUCZNIKA BŁOŃSKIEGO

(21 marca 1924 r.)

Z rozkazu ówczesnego szefa Sztabu Generalnego, generała Stanisława Hallera, została wytoczona sprawa sądowa porucznikowi Błońskiemu, referentowi II Oddziału Sztabu Generalnego, za złożenie fałszywego meldunku władzy przełożonej, między innymi o tym, że jego przełożony w II Oddziale, major Pieczonka, polecił mu w październiku 1923 r. inwigilować Piłsudskiego, zwerbować do tego zaufanych ludzi i że proponował mu na tę akcję dać natychmiast pieniądze.

Sprawa ta nabrała dużego rozgłosu, wiązała się bowiem z istotnym stosunkiem będącego wówczas u władzy rządu Witosa, szczególnie zaś ministra spraw wojskowych, generała Szeptyckiego, do osoby Piłsudskiego.

Rozprawa rozpoczęła się w wojskowym sądzie okręgowym w Warszawie dnia 18 marca 1924 r. Przewodniczył pułkownik Daniec, oskarżenie wnosił prokurator major Rumiński, bronił oskarżonego adwokat Paschalski.

W czwartym dniu rozprawy, 21 marca, składał zeznania jako świadek Piłsudski, dla stwierdzenia, że był inwigilowany. Tegoż dnia odroczono rozprawę dla rozszerzenia śledztwa i przesłuchania przez prokuratora nowych świadków. Dnia 19 listopada 1924 r. — po przeprowadzeniu dodatkowego śledztwa — zostało postępowanie karne przeciw porucznikowi Błońskiemu umorzone na skutek cofnięcia oskarżenia przez prokuratorę wojskową. Tym samym prokurator uznawał fakt zarządzenia inwigilacji Piłsudskiego przez oficerów II Oddziału Sztabu Generalnego.

Zeznania niżej przytoczone podajemy według sprawozdania dziennikarskiego z tego procesu, podanego w «Kurierze Porannym» z dnia 22 marca 1924 r.

Po wejściu na salę Marszałka Piłsudskiego, przewodniczący zwrócił się do niego: — Panie Marszałku! Porucznik Błoński oskarżony jest o to, że przed władzami swoimi złożył

meldunek rzekomo fałszywy tej treści, że major Pieczonka, oficer oddziału II, polecił mu przeprowadzenie inwigilacji Pana Marszałka. Obrona por. Błońskiego wezwała Pana Marszałka na świadka w tym celu, żeby Pan Marszałek był łaskaw wyjaśnić, jaka była wówczas polityka i stosunek do Pana Marszałka i czy taka inwigilacja była możliwa. Co Pan Marszałek w ogóle o tej sprawie może powiedzieć?

Marszałek Piłsudski: — Proszę powtórzyć pytanie.

Przewodniczący: — Obrona por. Błońskiego powołała Pana Marszałka na tezę dowodową, że wtedy, kiedy miało miejsce rzekome przestępstwo por. Błońskiego, t. j. jesienią 1923 r., stosunek Pana Marszałka do pewnych sfer był tego rodzaju, że Pan Marszałek pozostawał pod ścisłą opieką i kontrolą pewnych czynników państwowych.

Marszałek Piłsudski: — W tym okresie — pan mówi o raporcie — nie mogę stwierdzić dokładnie, w jaki sposób i od kogo, czy od p. por. Błońskiego, czy od kogoś z jego znajomych, otrzymałem kopię tego raportu. W tym czasie, muszę stwierdzić, że istotnie byłem inwigilowany, o ile to pojęcie inwigilacji oznacza obserwację mojej osoby, zarówno w Sulejówku, gdzie mieszkałem, jak też moje wprawne oko, które mam wyrobione z przeszłych doświadczeń, stwierdzało to i w innych miejscach. Natomiast inwigilacja w Sulejówku była tak widoczna, jak to może być widoczne na wsi, gdzie wszyscy sąsiedzi zwracali mi na to uwagę. Sam fakt inwigilacji był dla mnie widoczny.

Pan pytał mnie o motywy i z czyjej to było strony?

Przewodniczący: — W ogóle o wyjaśnienie tego na tle tych stosunków, jakie były wtedy.

Marszałek Piłsudski: — Wtedy panowały w naszym państwie dziwaczne warunki. Dziwaczność polegała na tym, że wszyscy wszędzie mówili o jakichś zamachach stanu. Warszawa była w specjalnych warunkach. Wyglądało niejedno, jak przygotowanie do jakiejś rewolucji i kontrrewolucji zamachu stanu. Sprowadzono specjalne wojska, które były wybierane, które miały pilnować takiego czy innego porządku. Sprawa wyglądała nawet tak, że wyznaczano nawet terminy takich czy innych zaburzeń, takich czy innych zamachów stanu.

Więc w tym czasie co do mnie, jeśli idzie o przypuszczenie, gdyż w pewnych danych po temu nie mam, — jeśli idzie o przypuszczenie, to gdybym mógł określić jako szanse, to powiedziałbym, że osiemdziesiąt na sto było szans na to, że byłem obserwowany z polecenia panów z rządu. Takie były moje

przypuszczenia. Czy do tego były jakie inne dodatki, t. zn. dobrowolne pod tym względem szpiegowanie i dobrowolna obserwacja mojej osoby, to trudno mi stwierdzić.

Te rzeczy ja odczuwałem w życiu moim bardzo często i bardzo długo, naprzód w Rosji, kiedy byłem czynnym, jako człowiek, występujący przeciwko rządowi rosyjskiemu; w Austrii i Galicji panowie «szpektorowie» [1]) obserwowali mnie bardzo pilnie. Podczas okupacji Beseler obserwował mnie bardzo łaskawie — miałem więc pod tym względem bardzo wyrobione oko.

Natomiast w państwie polskim, niestety, muszę skonstatować, że w okresie, kiedy wychodziłem z Belwederu, jako Naczelnik Państwa, obserwowano mnie bardzo dokładnie, prawdopodobnie z tych grup, które zabiły Prezydenta, mego przyjaciela, Gabriela Narutowicza. Czy tu dodatki były z rządowych sfer, tego skonstatować nie mogę. Natomiast podam dla potwierdzenia tego to, że miałem inwigilację telefoniczną, że jedna stacja rembertowska, która była połączona z moim mieszkaniem, miała nakaz podsłuchiwania. Ta inwigilacja była bardzo staranna w tym właśnie okresie, o który obronie chodzi.

Przewodniczący: — Czy Pan Marszałek nie wiedział, że byli pewni ludzie, przeznaczeni do strzeżenia Pana Marszałka?

Marszałek Piłsudski: — Skonstatowałem rzecz jedną, że trzej ludzie zgłosili się do mnie i przedstawili się, że są przeznaczeni do strzeżenia mnie. Była tam jedna z wybitnych osób w administracji państwowej, która właśnie w tym celu przysłała tych trzech panów.

Mecenas Paschalski: — Ośmielam się przedłożyć Panu Marszałkowi zapytanie, czy nie zachodziła w stosunkach Pana Marszałka do p. gen. Szeptyckiego [2]) *okoliczność, któraby usprawiedliwiała i wyjaśniała poza ogólnym charakterem politycznym rządu Witosa potrzebę nakazu inwigilacyjnego?*

Marszałek Piłsudski: — Osobiste stosunki moje z p. gen. Szeptyckim nie należały do najlepszych. I jeżeli panu idzie o skonstatowanie, czy ja osobiście to przypuszczałem — to tak.

Mecenas Paschalski: — W tych stosunkach czy to jest pierwszy wypadek, że p. gen. Szeptycki w tej czy innej formie, t. zn., że za jego rozkazem Pan Marszałek był inwigilowany?

Marszałek Piłsudski: — Gen. Szeptycki był generał-guber-

---

[1]) Pogardliwe określenie na inspektorów policji austriackiej.

[2]) Gen. Szeptycki był w drugim rządzie Witosa Ministrem Spraw Wojskowych (od 13. VI. 1923 do 5. XI. 1923 r.).

natorem w Lublinie [1]), a wtedy byłem na pewno inwigilowany i oczywiście to nie mogło być bez jego wiadomości. Należało to wówczas do służby państw okupacyjnych.

Mecenas Paschalski: — Czy Pan Marszałek nie przypomina sobie wypadku, gdy jednego z członków Pana warty próbowano zrewidować, gdy miał wyjechać do mjr. Świtalskiego?

Marszałek Piłsudski: — Słyszałem o tym. Jeden z podoficerów meldował mi o tym, ale dokładnie sobie tego nie przypominam. Wiem tylko, że coś podobnego było.

Mecenas Paschalski: — Panie Marszałku, w jakim czasie otrzymał Pan wiadomość o podsłuchu telefonicznym? Zdaje się, że podsłuch telefoniczny był w ręku władz wojskowych?

Marszałek Piłsudski: — Zdaje się, że się pan myli. Podsłuch telefoniczny jest w Polsce bardzo rozpowszechniony. Już w czasie mojego urzędowania w Polsce na najwyższych stanowiskach ten podsłuch był stosowany.

Mecenas Paschalski: — Do jakiego czasu odnosi się zawiadomienie o podsłuchiwaniu w Sulejówku?

Marszałek Piłsudski: — Mam wrażenie, że to było w początkach października. Ja to łączę z okresem, kiedy rząd ówczesny zachwiał się. To było przed wyjściem p. Głąbińskiego [2]) i p. Seydy [3]) z gabinetu, w okresie wielkiego zamętu w Warszawie.

Mecenas Paschalski: — Ze słów P. Marszałka wywnioskowałem, że P. Marszałek został zawiadomiony przez posterunek w Rembertowie o podsłuchu telefonicznym?

Marszałek Piłsudski: — Tego nie mogę z całą ścisłością powiedzieć, bo w tym czasie mnóstwo osób mnie o różnych rzeczach ostrzegało i o różnych rzeczach mi komunikowało. O ile chodzi o te rzeczy, mój stan psychiczny był zobojętniały — nic sobie z tego wszystkiego nie robiłem. Obecnie nie mogę skonstatować kto, kiedy i o czym mnie zawiadamiał.

Mecenas Paschalski: — P. Marszałek kwestię swojej inwigilacji połączył z nastrojami ówczesnego rządu. P. Marszałek był łaskaw podkreślić, że były to nastroje daleko idących obaw. Czy P. Marszałek, nie mógłby nam dać jakiego drobnego przykładu, któryby te obawy w formie daleko idących posunięć precyzował?

---

[1]) Gen. Stanisław Szeptycki był w r. 1917 generał-gubernatorem ziem okupowanych przez Austrię w b. Kongresówce.

[2]) Stanisław Głąbiński był ministrem oświaty od dn. 28. V. 1923 do dn. 27. X. 1923 r.

[3]) Marian Seyda był ministrem Spraw Zagran. od dn. 28. V. 1923 do dn. 27. X. 1923 r.

Marszałek Piłsudski: — Taką rzeczą było, np., ściąganie do Warszawy różnych wojsk, specjalnie dobieranych. To jest rzecz, o której ludzie, znający sposób rządzenia, — a ja należę do nich — wiedzą, że to jest rzecz wyjątkowa, która codziennie się nie dzieje. Nie przerzuca się wojska z różnych stron i nie ponosi się dużych kosztów tak sobie, dla zabawki. To jest jedno. Po drugie, jeżeli chodzi o fakty, mnie się zdaje, że każdy mieszkaniec Warszawy słyszał chyba o wyznaczanych terminach różnych zamachów stanu. Wątpię, czy ktokolwiek w Warszawie o tym nie wiedział.

Wreszcie, jeżeli chodzi o władze wojskowe, to znam taki wypadek, że minister spraw wojskowych nie nocował w domu, ale w kordegardzie na placu Saskim, oczywiście nie bez pewnego powodu [1]). Te wszystkie rzeczy były bardzo szeroko komentowane, wszędzie mówiono o zamachu stanu.

Mecenas Paschalski: — Czy P. Marszałkowi nie wiadomo, czy osoba, która Pana zawiadomiła o podsłuchu telefonicznym, była osobą cywilną czy wojskową?

Marszałek Piłsudski: — Wojskową.

Mecenas Paschalski: — Czy P. Marszałek przypomina sobie dzień swojego aresztowania przed wywiezieniem do Magdeburga?

Marszałek Piłsudski: — To było 22-go lipca.

Mecenas Paschalski: — P. Marszałek został aresztowany w nocy. Czy w przeddzień nie widział P. Marszałek gen. Szeptyckiego?

Marszałek Piłsudski: — Pan zapewne słyszał o moim opowiadaniu. W przeddzień spotkałem gen. Szeptyckiego, jadącego w stronę Belwederu.

Mecenas Paschalski stwierdza, że w Belwederze mieszkał wówczas Beseler.

Prokurator: — Chciałbym jedno pytanie zadać, czy Pan Marszałek przypomina sobie nazwisko tego wojskowego, który zawiadomił o nakazaniu inwigilacji przez podsłuch telefoniczny w Rembertowie?

Marszałek Piłsudski: — Powtarzam, że nie byłbym w stanie tego powiedzieć. Wtedy mnie ostrzegano prawie codziennie o różnych rzeczach i nie przywiązywałem do tego znaczenia, i szczegółów nie pamiętam. Zresztą człowiek, obeznany z tymi rzeczami, biorąc słuchawkę może sam skonstatować, że jest podsłuch telefoniczny.

[1]) Aluzja do faktu, że gen. Szeptycki w 1923 r. pod wpływem pogłosek o gotującym się rzekomo zamachu stanu nocował raz jeden w Komendzie Miasta.

Przewodniczący: — Czy P. Marszałek ma jeszcze co do powiedzenia w sprawie stosunku do pewnych osobistości wyżej położonych, któryby uzasadniał przypuszczenie, iż nieufność tych osób szła tak daleko, że aż potrzebę inwigilacji uzasadniała?

Marszałek Piłsudski: — Wprowadza mnie pan w nadzwyczajną trudność określenia sytuacji, gdyż tyczy się to spraw politycznych, które się datują od dawna i które są swego rodzaju tłem politycznym życia politycznego naszego kraju i należą do historii. Ja osobiście odnosiłem się bardzo niechętnie do pewnych jednostek, które wchodziły w skład rządu, i to motywowałem, wychodząc z wojska, w moim przemówieniu w tzw. «Sali Malinowej» [1]) w Bristolu, tu, w Warszawie, kiedy mówiłem, że nie jestem w stanie służyć w wojsku ze względu na stosunek niektórych panów, będących w rządzie, do sprawy zamordowania Prezydenta, mego przyjaciela.

[1]) Por. t. VI, str. 24 i nast.

SKOROWIDZ NAZWISK [1])

Adam Ernest **109**
Albrecht arc. 181
Aleksander II **154**
Aleksiejew 192, 193
Anusz Antoni **24,** 32

Bagge Picton **122**
Baryczkowie 6
Batory Stefan **101**
Bazaine Franciszek 175, 176
Bem **96**
Berg Mikołaj 164
Bernhardi **205**
Bernadotte Karol 170, 172
Beseler 202, 206, 207
Bethmann-Hollweg 181
Biernacki **113**
Biliński Leon 205
Billewiczówna Hanna 38
Blücher **170**
Błoński **212—217**
Bobiatyński Stanisław 114
Bobrowski Stefan 160
Bogdański Zygmunt **140**
Briand Arystydes 118
Brusiłow 205
Brzozowski Jan 112
Brzóska Stanisław 165

Car Stanisław 133
Chardigny **127**
Chrzanowski Wojciech 116, 177
Chrzanowski 206
Chełmicki 206
Cincinat 189
Cromvell 181
Czachowski Dionizy 157, 163, **164**

Daniec **212**—214
Daszyński Ignacy 199
Davoût 170, 172
Dąbrowski Henryk 162
Dąbrowski Jarosław 160
Denikin Antoni 123, 124
Dreszer Gustaw **67**
Dubanowicz Edward **109**
Dubiecki Marian 162
Durski-Trzaska Karol 204, 205
Dybicz Jan 117
Dziewulski Stanisław 115

Erzberger **54**
Eustachiewicz Bolesław 96

Ferdynand I **20,** 22, 23
Foch Ferdynand **17**
French Jan Denton 177—182
Frossard Charles **173,** 175, 176
Fryderyk Karol 173, 174, 192
Fryderyk Wielki 189

Garbiec **165**
Gembarzewski Bronisław **31**
Giller Agaton 160
Głąbiński Stanisław **109,** 215
Goltz Kollmar 191
Górecki Roman **146**
Grabowski Adam **158, 160**
Grabski Stanisław 138
Grabski Władysław **8, 124,** 126, **145,** 147, 209

Haller Józef **13,** 110, 115,
Haller Stanisław **19**
Hamilton Jan **194**
Heine Henryk **76**
Henrys 111
Hindenburg **66,** 181
Hoetzendorf Konrad 181
Hughes **115**

[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

Iwaszkiewicz Wacław 93

Janowski Józef Kajetan 155
Joffre 178, 179
Junosza Klemens zob. Szaniawski Klemens

Karol I 85, 86
Karol arc. 181
Karłowicz Jan **164**
Kasprzycki Tadeusz 107, 113
Kawekami 118
Kiereński **23**
Kitchener Herbert 177—182
Kołakowski **24**
Korda **65**
Kossak 68
Kościuszko Tadeusz 29, 117
Krzemieński Jakub **146**
Kucharski Władysław **140**
Kuk 206
Kuroki 193, 194
Kuropatkin 102, 118, 119, 191—195
Kutrzeba Tadeusz **168**, 186, 189, 190, 191, 195

Langiewicz Marian 157, 158, 160
Lasocki Józef **111**
Laudański Stanisław **197**
Lempke **150**
Leo Juliusz 199
Leśniewski Józef **31**
Lloyd George **41**, 117, 182
Limanowski Bolesław **24**
Linsingen 205
Lipecki Jan zob. Pannenkowa Irena
Lipiński Wacław **197**
Litwinowicz Aleksander **146**
Lubomirski Zdzisław 206
Ludendorff 181
Luttwitz **54**

Łapiński Stanisław 87
Łubieński Tomasz 117

Maciejewicz Stanisław 133
Mackiewicz Mieczysław 113
Mackiewicz Stanisław **99**
Madeyski 206
Malinowski Aleksander 142—145
Maria królowa rum. **22**
Masson Jan **164**
Matuszewski Ignacy **146**
Mączyński Czesław **96**
Metman 175
Michalski Jerzy 39, 40, 128
Michałowicz **24**, 27
Mickiewicz Adam 115
Mierosławski Ludwik 157, 158, 160
Mikołaj Mikołajewicz 183
Miles zob. Kutrzeba Tadeusz
Miłkowski Zygmunt 162
Moltke Hellmuth 173, 174, 176, **192**
Moniuszko Stanisław 25
Moraczewski Jędrzej **24**, **138**, 200
Moreau Jean Victor 171

Napoleon I 76, 106, **111**, **116**, **118**, 170—172, 177, 190, 194
Napoleon III **77**, 175
Napoleon Eugene Louis 175
Narutowicz Gabriel **1**, **5**, 7—9, **24**, 33, **34**, 36—59, 131, 134, 135, 214, 217
Narutowicz Stanisław **38**
Nedoka J. **20**
Neugebauer-Norwid Mieczysław 204
Niewiadomski Eligiusz **5**, 6
Nivelle Robert Jerzy 110, 117, 118, 182, **185**
Nowak Antoni 44
Nowak Stanisław **142**

Obst Jan 131, 134, 135
Oksiński Józef 156
Olszański **150**
Ossolińscy **155**
Ovidiusz Naso 134
Oyama Iwao 118

Paderewski Ignacy **29**, 110—123
Padlewski Zygmunt 156, 160
de Panafieu **17**
Pannenkowa Irena **135**
Parczewski Alfons **211**
Paschalski **212**, 214—216
Paskiewicz Iwan 154
Perlówna **130**
Pieczonka **212**, 213
Piotr Wielki 189
Piskor Tadeusz 113, **152**
Poniatowski Józef **17**, 34
Ponikowski Antoni **8**—10, 39, 44, **121**
Popławski Feliks **140**, 141
Prażmowski-Belina Władysław **71**, 111—115, 119
Prądzyński Ignacy 102, 116, 117, 177
Prokrustes 106, 108

Radziwiłł Stanisław 115,
Rapp **54**
Rataj Maciej **7**
Rawicz Władysław 165, 166
Rawlinson Henry 179
Rathenau **54**
Ratti Achiles **83**
Ribot Aleksander 118
Rogiński 156
Roja Bolesław 86, 89, 90, 204
Romanówny **25**
Rosner Ignacy **5**
Rozwadowski Tadeusz 11, 86, 92, 93
Rumiński **212,** 216
Rutkowski Stanisław **87**
Rybak **19**
Rydz-Śmigły Edward 86, 111—114

Sachnowski Zygmunt **145**
Seyda Marian 215
Sikorski Władysław **2, 19,** 125, **209, 210**
Skarbek Aleksander 11, **31, 109**
Skirmunt Konstanty 40, 42
Skobielew 191
Skrzynecki Jan Zygmunt 116, 117, 177
Skrzyński Aleksander 125
Skulski Leopold 10, 38
Skwarczyński Adam **14**
Słowacki Juliusz 69, 115, **167**
Sosnkowski Kazimierz 11, 58, 65, 85, 107, **145,** 147, 209
Spartakus **108**
Stachiewicz Julian 107
Stackelberg 195
Stamirowski Kazimierz **138, 146**
Staniewicz Witold **211**
Stanisław August **6**
Stec Stefan 87, 89
Steinmetz Karl Friedrich 173, 174, 176, 192
Szaniawski Klemens **155,** 163, 164
Szeptycki Stanisław 107 111, **146, 214—216**
Szwarce Bronisław 158, 162
Szymański Adam 31

Śliwiński Artur **8,** 44, 207
Śniadeccy **101**
Świerzyński 85
Świtalski Kazimierz **4, 36**

Tabouis **122**
Taraszkiewicz Bronisław 135
Thugutt Stanisław **145**
Tokarzewski Michał 90, 98, 107
Tommasini **124**
Traugutt Romuald 161
Tschiczericz 198

Uspienskij Gleb Iwanowicz 77

Wartensleben Herman 173
Wejtko **101**
Wellington Arthur Wellesley 170
Wende E. **148**
Weygand 11
Wielopolski Aleksander 154, 158, 167
Wilson Wodroow 122
Witos Wincenty **2, 8, 19, 145,** 146, 212, **214**
Wojciechowski Stanisław **17, 19, 22,** 53, 54, 110, 114, **145**
Wojłaszek Jan Władysław **140**
Wyspiański Stanisław 103

Zagórski Włodzimierz 204, 205
Zamorski Jan 132
Zamoyski Andrzej **154, 155**
Zamoyski Maurycy 52, 53
Zawistowski Leon 114

Żeligowski Lucjan 12, 124, 126, **127**
Żmigrodzki **31**
Żuliński Tadeusz 203

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Alessandria **171**
Antwerpia 178, 179
St. Arold 175
Auerstaedt 170, 172

Baranowicze 114
Bastuny 114
Berlin **107**
Bern **36**
Bieniakowie 115, 119
Brimont 185
Brześć Litewski 104, 114, 124

Charbin 192
Charków 142, **144**
Chęciny 65
Chicago **132**
Cieszyn 181

Dębe Wielkie 117
Dęblin **67**
Douaumont 118

Eleusis **106**

Forbuck 175

Genua **8,** 40, 41
St. Germain **23**
Gravelotte **173**
Grochów **68, 117**
Grodno 106, 107, 109, 114

Hazenbrouck 179
Herkulanum 158, 159
Hohenlinden 171
Horoszowa **20**

Jarosław 89
Jena **170, 191**
Jędrzejów 64, **65**

Kamieniucha **203**
Kielce 64—66, 200
Kijów 122
Kłajpeda **49**
Kostiuchnówka 205
Kraków 63, 65, **68,** 86, 89, 137, **142,** 158, 199, 200
Książ Wielki **167**

Leśna 114
Liao-jang-czou 191—195
Lida 104, 106, 107, 110—115
Lille 179
Londyn **144,** 180, 181
Lublin 204, 206, 215
Lwów **3,** 11, 13, **60,** 74, 79, 83—98, 103, 104, 109, 138, **155,** 200

Łódź 15, **144**
Łunna 114

Maciejowice 117
Magdeburg 25, 27, **28,** 57, 84, 85, 208, 216
Marasesti 23
Marengo 171
Mediolan **83**
Merecz 107
Metz **175**
Miechów 65, 200
Mińsk Litewski 106, 112—114
Mosty 105
Muelenberg **36**
Mukden 118, 119, 192, 193

Nachod 173, 174
Nowy Jork **140,** 141
Nowy Sącz **89**

Olita 105
Ostrołęka 117
Ostrów Mazowiecki 179
Ostenda 179

Paryż 110, 115, 118, 176, 180, 182, 185
Pawłów 119
Petersburg 137, **155,** 160, 192, 193
Pompei 158, 159
Port Artura 192
Poznań **135**
Przemyśl 15, 89, 90, 92
Puławy 11

Raduń 105
Rapallo **8**
Reims **185**
Rembertów 20, 109, 215
Rossbach **191**
Różanka 105, 107
Rudniki 105
Ryga 124
Rzym 188, 196

Saarbrücken 173, 174
Sandepu 102
Sandomierz 164
Schweinschädel **173**
Sedan 77, 176
Sèvres **21**
Siedlce 165
Sinaia **20**
Skalitz **173**
Skrzybowce 111, 113, 114
Słonim 104, 108, 112, 114
Soleczniki 119
Spaa 124, 126
Spicheren 172—176
Stoczek **68**
Sulejówek **20, 36,** 141, 145, 152, **197,** 209, 211, 215
Szczucin 66

Świątniki 131

Telsze **36,** 134
Trianon **23**
Tylża 172

Warszawa **5, 6,** 10—12, 20, 28, 34, 37, 38, 54, 57, **60,** 80, 81, 85, 86, 88, 89, 133, 138, **141, 148,** 154, 157, 162, 164, 169, 207, **212,** 213, 216, 217
Waterloo 116, 170
Weimar 170
Wiedeń 73, 181, 205
Wilno **3,** 11—13, 21, 55, 98—**101,** 103—107, 109—116, 119—139, 211
Włodzimierz Wołyński **31**
Wolbrom **68**
Wołkowysk 104,

Verdun 117, **118**

Zdzięcioł 114
Zeebrugge 179
Zurych **36**

Żyrmuny 114

SPIS RZECZY TOMU VI

Wstęp 1
Wywiady z redaktorem «Kuriera Polskiego» 5
Sprawa obrony państwa 14
Przemówienie przy dekorowaniu marszałka Foch'a orderem «Virtuti Militari» pierwszej klasy 17
Przemówienie wygłoszone przy opuszczaniu stanowiska Szefa Sztabu Generalnego 19
Przemówienie przy dekorowaniu króla rumuńskiego Ferdynanda I orderem «Virtuti Militari» pierwszej klasy 20
Wywiad z przedstawicielem pisma «Adverul» 22
Przemówienie wygłoszone na bankiecie w hotelu «Bristol» . . . 24
Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu 36
O wartości żołnierza Legionów 60
Przemówienie na zjeździe legionistów we Lwowie 79
Obrona Lwowa 83
Wywiad z redaktorem «Słowa» 99
Dowodzenie podczas wojny 101
Sprawa wileńska 120
List do Feliksa Popławskiego 140
Przemówienie na zjeździe Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych 141
Ze wspomnień o Aleksandrze Malinowskim 142
Wywiad z przedstawicielem «Kuriera Porannego» 145
Rok 1863 148
Naczelni wodzowie 168
Wywiad Stanisława Laudańskiego 197
List do gen. Sikorskiego 209
List do rektora Uniwersytetu Wileńskiego Alfonsa Parczewskiego . 211
Zeznania w procesie porucznika Błońskiego 212
Skorowidz nazwisk I
Skorowidz miejscowości IV

www.awirakces.pl

Książka przygotowana na podstawie wydania z lat 1937–1938

Projekt okładki: Michał Wojciechowicz

ISBN 978-83-62761-53-1 (całość)
ISBN 978-83-62761-89-0 (tom szósty)

Przygotowanie reprintu, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa Akces